Zane Grey

Tor stalowego smoka

(The U.P. Trail)

Pierwsze wydanie: 1918

Tekst na podstawie wydania: Gwiazda samotna, Wydawnictwa M. Arcta, Warszawa, 1930. Pozyskany dzięki uprzejmości Biblioteki Narodowej z portalu polona.pl,
W tekście przeprowadzono zmiany redakcyjne, dostosowujące pisownię do współcześnie obowiązujących reguł.

Rozdział I

W szóstym dziesięcioleciu ubiegłego wieku od rozlanej szeroko rzeki Missouri wiódł w dal nieskończenie długi gościniec. Szare jego pasmo wiło się kapryśnie wśród zielonych rozłogów Nebraski, a skręcając gwałtownie na zachód, biegło poprzez falującą z lekka płaszczyznę stepów i jednostajny kraj bawełnianych krzewów, ku płaskowzgórzom lesistego Wyoming, gdzie pasły się nieprzeliczone stada bawołów. W one czasy jedynym władcą tej okolicy był szary wilk, a człowiek-traper zaledwie gościem. Stąd gościniec biegł dalej przez nieurodzajną pustynię, równie milczącą, bezbarwną i rozległą, jak rozpościerający się nad nią ocean bezkresnego nieba. A jeszcze dalej szary szlak sunął zygzakiem po zboczach stromych gór, przemykając się niekiedy dnem mnóstwa skalistych wąwozów, gdzie zawsze panowała cisza, od czasu do czasu tylko przerywana przez szelest żwiru, sypiącego się spod racic dzikich kozłów — jedynych mieszkańców tego pustkowia. Wolno, a niestrudzenie, niby śmiały wędrowiec, pięła się droga pomiędzy sterczącymi samotnie skałami, hen, na wietrzne wyżyny Utah z ich pełnymi szmaragdowej zieleni dolinami, dziwacznymi szczytami górskimi i słonymi jeziorami, spowijanymi w cień i drzemiącymi spokojnie u stóp wyniosłych skał. Minąwszy Nevadę i kierując się wciąż na zachód, nieskończenie długi gościniec biegł dalej, przez Kalifornię, najeżoną wieżycami dumnych świerków, skąpaną w białych pianach hałaśliwych potoków górskich, a upstrzoną bogato turkusami jezior, po czym urywał się nagle i ginął w złocistym puchu piasków wybrzeża Oceanu Spokojnego.

Rozdział II

W głębi dobrze ukrytej wśród wzgórz Wyoming doliny, której dno było łożyskiem potoku, płynącego od przesmyku Cheyenne, obozowała garść Indian Siuksów. Obecność ich nie zakłócała bynajmniej przedziwnego spokoju, jakim tchnął piękny, samotny wąwóz, ani nie mąciła jego miłej dla oka barwności. Brzegi potoku wabiły ku sobie bogatą zielenią kędzierzawych krzewów bawełnianych i wierzb, woda szemrała cicho, przybierając miejscami barwę niemal czarną, miejscami zaś jaśniejszą od przebłyskujących pod powierzchnią piaszczystych łach. Pasące się na zboczach doliny konie wyglądały zdała niby małe plamki, czarne i brązowe. Wśród gąszczu zieleni bielejące w słońcu namioty były zaledwie widoczne i gdzieniegdzie tylko sączyło się ku niebiosom błękitnawe pasemko dymu płonącego ogniska.

W tej okolicy było wiele podobnych dolin i wszystkie miały takie same, bujnie porośnięte trawą, łagodnie opadające w dół krawędzie. Nad brzegiem jednej z nich stał samotny mustang, uwiązany na lasso. Nie miał ani siodła, ani uzdy, a całe jego zachowanie wskazywało, że jest to zwierzę dzikie, niesforne i do prowadzenia trudne. Nie nęciła go wcale soczysta trawa, której wystarczyłoby do wykarmienia całego tabunu. Mustang nie zwracał na nią żadnej uwagi, lecz, strzygąc niespokojnie uszami, wpatrywał się w falujący podejrzanie gąszcz odległego zagajnika krzewów bawełnianych.

Z wyniosłości, na której stał na wpół dziki rumak, tkwiąc nieruchomo nad krawędzią głębokiej doliny, rozpościerał się widok rzeczywiście majestatyczny. W zasnutej subtelną pajęczyną sinawej mgły dali piętrzyły się łagodne zarysy wzgórz Wyoming, których łańcuch kończył się u stóp wyniosłych gór, o szczytach, pokrytych nigdy nietopniejącą warstwą śniegu. Wyżej błękitniał już tylko ocean nieba, po którym żeglowały wielkie orły, rozglądające się bacznie bystrymi oczami i gotowe runąć w każdej chwili na zwierzę, co lekkomyślnie odważy się wychylić z gąszczu zarośli.

Z drugiej strony doliny ciągnęła się płaszczyzna stepów, beznadziejnie szarych i niegościnnych, a nieco dalej rozwierała się głębia innego wąwozu, którego dnem snuła się biaława wstęga starego szlaku, zwanego drogą św. Wawrzyńca.

Ustało wreszcie lekkie falowanie gąszczu zieleni i na skraju zagajnika ukazała się nagle odrażająca postać Siuksa w pełni ubarwienia bojowego. Przeszywający i złowrogi wzrok jego czarnych oczu objął całą widzialną

długość szlaku św. Wawrzyńca. Półnagie ciało sprężyło się elastycznie, jakby gotując do drapieżnego skoku, a ciemna dłoń ściskała kurczowo strzelbę.

Indianin znieruchomiał zupełnie i trwał na swym posterunku, choć godzina mijała za godziną. Słońce przebiegło wreszcie swą codzienną drogę i, zatrzymawszy się na zachodzie, zróżowiło ostatnimi promieniami szczyty skał. Dno doliny przesłoniła gęsta krepa zmroku. Zarysy dalszego tła krajobrazu poczęły się zacierać i tracić na wyrazistości, a Siuks wciąż czuwał jeszcze i wypatrywał coś pilnie swymi bystrymi oczami, gdyż w tej chwili w zaścielającej wąwóz wieczornej mgle zamajaczyły jakieś białawe plamki.

Plamki te zbliżały się dość szybko i wprędce z łatwością już patrzący mógł odgadnąć, że są to woły i muły. Niewielka karawana dążyła na wschód szlakiem św. Wawrzyńca. Jeszcze chwila i wędrowcy zatrzymali się, rozbijając obóz nad brzegiem płynącego dnem doliny strumienia.

Wówczas dopiero ożyła nieruchoma postać, czatująca na skraju zagajnika. Indianin cofnął się nagle i bez żadnego szelestu pogrążył w gąszczu krzewów, które znów zafalowały z lekka, zdradzając kierunek jego odwrotu. Wyłonił się niebawem i, dopadłszy swego mustanga, pogalopował wzdłuż krawędzi wąwozu.

Rozdział III

Bill Horn, naczelnik owej małej karawany, wiózł na wschód pokaźną ilość złota. O skarbie tym jednakże nie wiedział nikt z jego podwładnych, wyjąwszy pewną młodą dziewczynę.

Horn udał się na Zachód już w zaraniu okresu gorączki złota ale poszukiwania jego osiągnęły pożądany skutek dopiero w r. 1853. Jął się wówczas pracy ze zdwojonym zapałem i po dwunastu latach zdołał zebrać tak znaczne bogactwo, że w r. 1865, zgromadziwszy partię, składającą się z pewnej liczby mężczyzn oraz kilku kobiet, opuścił brzegi rzeki Sacramento, z chwilą, gdy pierwszy śnieg ubielił szczyty gór. Trudy podróży powrotnej nie przerażały go bynajmniej. Bill Horn był przecież zahartowanym w wielu przeciwnościach życiowych górnikiem i uczucia trwogi nie znał zupełnie.

Przestrzegali go wprawdzie ludzie w Ogden, aby z tak szczupłym orszakiem nie zapuszczał się w góry Wyoming, gdyż rozniosła się właśnie wieść, że Siuksowie wykopali znów topór wojenny, zapowiadając białym śmierć i zniszczenie, ale Horn zlekceważył te rady i udał się w dalszą drogę, nie zabierając ze sobą żadnego wytrawnego trapera, który mógłby wskazać mu kierunek.

Karawana Billa Horna składała się początkowo z jedenastu mężczyzn, trzech kobiet i dziewczyny. W drodze jednak Horn zastrzelił jednego ze swych ludzi, a drugi wraz z żoną pozostał w Ogden, ulegając namowom przyjaciół. W chwili więc, kiedy karawana zatrzymała się na popas w malowniczej dolinie górzystego Wyoming, nieustraszony górnik miał już tylko dziewięciu pomocników.

Długie podróże wspólne przez zupełnie dziki kraj zazwyczaj zbliżają wędrowców lub pogłębiają ich wzajemną obcość. Bill Horn nie miał czasu zastanawiać się nad charakterami ludzi, którzy przyjęli jego propozycję, i teraz z dniem każdym stawał się im coraz więcej obcy. Na żadnym bowiem z nich nie można było całkowicie polegać. Umieli tylko poganiać woły i dość nieporządnie zresztą rozbijać obozowiska. Zwierzynę już Horn sam musiał zdobywać, a wynajdywanie zdatnej do użytku wody i sprawowanie straży również należało do jego obowiązków. Nic dziwnego zatem, że, znalazłszy się w górach Wyoming, stary górnik zdradzał żywy niepokój i naglił swych pomocników do pośpiechu, co wcale nie przypadło im do smaku, bo byli lekkomyślni i leniwi, jak ludzie, którzy niczego nie spodziewają się po przyszłości.

Malownicza dolina posiadała wszelkie potrzebne dla postoju warunki, wyjąwszy jakiejkolwiek bądź osłony naturalnej w razie napadu. Ale Horn nie miał wyboru. Woły jego karawany były już bardzo znużone, osie wozów wymagały gruntownego naoliwienia, a zapasy żywności należało uzupełnić świeżo ubitą zwierzyną. W dolinie znalazł pod dostatkiem soczystej trawy, piękną polanę dla obozu, obfitość drzewa na ogniska i widniejące wszędzie ślady racic jeleni.

Zaraz po zatrzymaniu się Horn zabrał strzelbę i podążył w milczeniu ku zaroślom, a jego pomocnicy zabrali się powoli do roboty. Wprędce też w kilku miejscach jednocześnie ku zaciągającemu się przejrzystą mgłą wieczorną niebu wystrzeliły pionowe słupki błękitnawego dymu, których wierzchołki płaszczyły się na wietrze i rozpościerały na kształt pióropuszy.

Stojąc przy ogniskach, ludzie Horna rozprawiali między sobą z ożywieniem.

— Czy zdarzyło ci się już kiedy wędrować szlakiem św. Wawrzyńca? — pytał jeden.

— Nie — zabrzmiała odpowiedź. — Znam tylko szlak Santa Fe.

— A ty, Jones?

— Ja też znalazłem się tu po raz pierwszy w życiu.

— Co tam dużo gadać — wtrącił inny. — Pewne jest, że nikt z nas tej drogi nie zna i że wszyscy jesteśmy teraz o wiele biedniejsi, niż w chwili, gdy wyruszaliśmy na Zachód.

— Nareszcie powiedziałeś coś do rzeczy.

— Och, Wal! Ja nic nie znalazłem, ale... widziałem złoto... Och, widziałem.

— Jak myślisz, Jones? Czy ten Bill Horn wiezie jakieś złoto?

— Tak coś na to wygląda — odparł zagadnięty. — Słyszałem, że wzbogacił się bardzo na Zachodzie.

Z dalszej wymiany zdań okazało się, że każdy z nich żywił odmienny pogląd na sprawę zamożności naczelnika karawany. Zmienili zresztą wprędce temat, poczynając prawić o niebezpieczeństwach podróży i o możliwości napadu Indian, po czym któryś z rozmawiających wspomniał o krążącej od dawna pogłosce, że na szlaku św. Wawrzyńca ma być niebawem zbudowana kolej żelazna, łącząca Wschód z Zachodem.

— Skądże znowu? — obruszył się Jones. — Widzimy przecież sami, że jest to niemożliwe.

— Pewnie. Ale może zdołano by jednakże wyrównać nieco tę okolicę — zauważył inny.

— Co takiego? — zawołał trzeci. — Wyrównać góry Wyoming do poziomu pustyni Utah? Nie, mój drogi. W całej Ameryce nie znalazłoby się kapitalisty, który zechciałby wyrzucić pieniądze za okno.

Tak rozprawiali sobie ludzie Billa Horna, dorzucając co chwila do ognia nowe wiązki chrustu. Kobiety natomiast mówiły bardzo mało. Jedna z nich była żoną gadatliwego Jonesa. Miała bladą twarz i zmęczone, smutne oczy kobiety w średnim wieku. Druga wyglądała nieco młodziej, ale i jej rysy, pomimo śladów wybitnej zapewne niegdyś piękności, miały wyraz skrajnego znużenia. Nazywano ją panią Durade. Siedząca przy niej dziewczyna była jej córką i nosiła imię Allie.

Dziewczyna mogła mieć najwyżej piętnaście lat, ale również wyglądała na bardzo zmęczoną. Jej blada twarz nie posiadała ani cienia tej pozłoty, którą daje słońce w połączeniu z wiatrem górskim. Zachowanie Allie było milczące, ciche i wstydliwe nieomal. Miała bardzo regularne, wielkie oczy barwy fiołków i bujne, kasztanowate włosy, które nosiła splecione w jeden długi warkocz.

— Och, długo jeszcze będziemy musieli wędrować, zanim dostaniemy się do własnego kraju — westchnęła pani Jones.

— Co słyszę? — zauważyła z goryczą pani Durade.

— Wschód nazywa pani „własnym krajem"?

— Owszem — odparła pierwsza. — W Kalifornii zawsze czułam się obca. Nigdy nie mogłam się przyzwyczaić do tych brudnych namiotów i lepianek. Jestem przecież kobietą. Bóg mi świadkiem, że znienawidziłam głęboko całą Kalifornię z jej na wpół obłąkanymi mieszkańcami, którzy potrafią myśleć i mówić tylko o złocie. Och, to przeklęte złoto było główną przyczyną, dla której tak bardzo pragnęłam powrotu na Wschód. Niewielu potrafiło je zdobyć, a nikt nie zdołał utrzymać.

Pani Durade w milczeniu słuchała tych utyskiwań, spoglądając gdzieś w dal oczami, w których czaił się niewypowiedziany smutek.

Nagle w głębi doliny rozległ się huk wystrzału i mężczyźni porzucili pracę, spoglądając na siebie ze zdziwieniem. Wymiana spojrzeń jednak starczyła im widać za wyjaśnienie nieoczekiwanego odgłosu, gdyż niebawem zabrali się znowu do roboty. Tylko kobiety nadal rozglądały się dokoła i ujrzały wreszcie Billa Horna, nadchodzącego ociężale z młodym jelonkiem na plecach.

Allie zerwała się szybko, biegnąc na spotkanie naczelnika karawany. Przyjaźnili się bardzo oboje i Horn w stosunku do młodego dziewczęcia zawsze był uprzejmy, choć innych stale traktował opryskliwie i nawet brutalnie.

Idąc powoli, Horn zrzucił nagle z ramion swą zdobycz i pochylił się nad ziemią, jakby czegoś poszukując, a w chwili, gdy dopadła go Allie, klęczał już na piasku, badając uważnie wyraźny odcisk stóp obutych w miękkie mokasyny.

— Czyżby Indianie? — zawołała dziewczyna.

— Nie ma w tym dla mnie żadnej niespodzianki — odparł Horn. — Jeszcze dzień, dwa może, a spotkamy się z nimi na pewno.

— A więc grozi nam wielkie niebezpieczeństwo, wujku — rzekła, spoglądając z niepokojem na dalekie góry.

— Co robić, Allie. Jesteśmy w Wyoming. Błagam Boga, aby zechciał wyprowadzić nas stąd cało — oświadczył Bill Horn.

Powiedziawszy to, dźwignął z ziemi ubitego jelonka i umieścił go z powrotem na swych plecach.

— Daj mi swą strzelbę, wujku — rzekła Allie.

Podzielili się w ten sposób ciężarami i poszli razem ku obozowi.

— Słuchaj, dziewczyno — odezwał się Horn po chwili milczenia. — Może i nie ma tu żadnego niebezpieczeństwa, a jednak nie podobają mi się te ślady czerwonoskórych włóczęgów. Postaram się więc na straszyć

nimi naszych leniuchów. Może, usłyszawszy o Indianach, raźniej zabiorą się do pracy. Ale ty nie lękaj się niczego na razie.

Widok świeżej zwierzyny wywołał radosne poruszenie w obozie.

— Dowiedzcie się, że wraz ze mną tropili tego jelenia Indianie — rzekł chłodno Bill Horn, kładąc swą zdobycz na trawie.

Wyjął następnie z kieszeni składany nóż myśliwski i spojrzał spod oka na swych podwładnych.

— Widzę, że nasz naczelnik dziś więcej jeszcze, niż zwykle, obawia się Indian — zauważył z przekąsem Jones.

— Bo spostrzegłem tylko co ich świeże ślady.

— Doprawdy?

— Co? Siuksowie są w pobliżu? Niemożliwe! — zawołał drugi.

— Możecie pójść i zobaczyć je własnymi oczami, jeśli mi nie wierzycie.

Nikt jednak jakoś nie kwapił się na tę wycieczkę, Horn więc splunął tylko pogardliwie i, nie mówiąc już nic więcej, począł ściągać skórę ze swego jelonka.

Słońce tymczasem ukryło się za skałami, a na okolicę padł cień zmierzchu. Płomienie podsyconego świeżo ogniska buchnęły niebawem wesoło i zatknięta na ruszcie poczęła skwierczeć ociekająca tłuszczem pieczeń. Ale wędrowcom nie sądzone było, widać, spokojne spożycie wieczerzy, gdyż Horn zerwał się nagle z ziemi, porywając nabitą strzelbę.

— To nie jest Indianin — przemówił, jakby sam do siebie, wpatrując się w szarzejącą dal. — Nie podoba mi się jednak jego wygląd.

Teraz już wszyscy ujrzeli przedmiot uwagi naczelnika karawany. Nieznany jeździec cwałował szybko w stronę obozu i zarył konia przy ognisku, zanim podwładni Horna zdołali ochłonąć ze zdumienia.

— Dobry wieczór! — zawołał, nie zdradzając zamiaru opuszczenia siodła.

W blasku płomieni ogniska wędrowcy zauważyli, że przybysz był już niemłody. Miał długie włosy i szare, przenikliwe oczy. Nosił obcisły kaftan ze źle wyprawionej skóry koźlej, a w ręce dzierżył długą i ciężką strzelbę myśliwską.

— Jestem tutejszym traperem i nazywam się Slingerland — rzekł, obrzucając bystrym spojrzeniem stojącą przed nim gromadkę. — Kto jest naczelnikiem tej karawany?

— Ja, Bill Horn — odparł stary górnik, występując naprzód.

— Proszę zatem przyjąć do wiadomości, że banda Siuksów idzie za waszym tropem — oświadczył traper

Horn wzniósł do góry obie dłonie. Inni mężczyźni wydali okrzyki trwogi i zdumienia. Kobiety tylko zachowały zupełne milczenie.

— Czy pan ich widział? — zagadnął górnik,

— Owszem. Spostrzegłem tę szajkę z wysokości skały, oddalonej stąd o całe dziesięć mil. Zauważyłem, ze idą po waszych śladach i zrozumiałem od razu, że zamyślają coś niedobrego. Popędziłem więc niezwłocznie wzdłuż krawędzi doliny, aby ostrzec was o niebezpieczeństwie.

— Iluż było tych czerwonoskórych diabłów?

— Naliczyłem ich piętnastu. Przypuszczam jednak, ze niebawem przybędą im posiłki, gdyż w sąsiedniej dolinie znajduje się wielki obóz Siuksów.

— Czy wstąpili na wojenną ścieżkę?

— Kilka dni temu widziałem oskalpowane zwłoki białych ludzi — zabrzmiała znamienna odpowiedź.

Horn zachmurzył się i zaklął z cicha, spoglądając ze wzgardą na gromadkę wybladłych mężczyzn, których sam sobie dobrał na pomocników.

— Powąchacie teraz prochu, tchórze — rzucił im brutalnie. Sprawi mi to przyjemność wprost niezwykłą.

— Niedaleko stąd obozują żołnierze — zauważył Slingerland. Czy życzy pan sobie, abym po nich pojechał?

— Co takiego? — zawołał Horn. — Czy naprawdę są tu w pobliżu żołnierze?

— Tak. Przybyli niedawno wraz z inżynierami mającymi budować w tej dolinie kolej żelazną. Sądzę że uda mi się przyprowadzić ich na czas, o ile tylko Siuksowie będą się posuwali nadal tak powoli, jak to czynią obecnie. Jak więc mam postąpić? Jechać po pomoc czy pozostać z wami?

— Och, niechże pan jedzie zaraz po tych żołnierzy.

— Doskonale. Jadę zatem, a pan niechaj zwinie obóz i ruszy niezwłocznie w dalszą drogę wzdłuż wąwozu. Pozwoli mi to zyskać nieco na czasie i odciąć waszą karawanę od czerwonoskórych.

— A może udać się raczej w góry? — spytał Horn.

— Nie radzę. Nie macie przecież koni. Tam Siuksowie dopadną was najłatwiej. Aha! Widzę, że macie tu jakąś młodą dziewczynę. Może życzy pan sobie, abym zabrał ją z sobą?

— Allie! Pojedź z panem Slingerlandem. Skorzystaj ze sposobności — rzekł Horn tonem prośby.

— Nie, wuju. Zostanę z matką — odparła dziewczyna.

— Och, uciekaj stąd, dziecko — błagała pani Durade.

Inni również poczęli nalegać, aby ratowała się ucieczką, lecz Allie wszystkie namowy zbywała milczeniem. Horn podniósł wówczas w górę drżącą widocznie dłoń i po raz pierwszy może rysy jego twarzy straciły zwykłą ostrość.

— Kochanie! — rzekł szeptem niemal. — Wiesz przecież, że życzę ci dobrze, bo nie mam własnego dziecka. Pojedź z panem Slingerlandem. Ocalejesz wówczas na pewno... no... i mogłabyś zabrać z sobą moje...

— Nie — przerwała mu z uporem dziewczyna.

Traper obrzucił ją spojrzeniem pełnym podziwu, po czym zwrócił swe szare oczy na Horna.

— Czy chce pan powierzyć mi coś do ukrycia w bezpiecznym miejscu?

Horn zawahał się na chwilę.

— Nie — rzekł wreszcie. — Dziękuję panu za wszystko. Powierzyłbym to tylko pannie Allie.

Slingerland dotknął konia ostrogą i pogalopował naprzód, rzucając pozostałym przez ramię:

— Nie traćcie czasu! Ruszajcie w dalszą drogę!

— Zwijać obóz! — zagrzmiał górnik.

Zawrzała gorączkowa praca i niebawem wozy karawany potoczyły się wzdłuż wąwozu. Poganiacze bili woły, aby je zmusić do szybszego biegu, ale zwierzęta wlekły się dość powolnie, gdyż były głodne i wskutek tego podwójnie odczuwały ciężar ładunków. Zapadła tymczasem noc i droga poczęła się stawać coraz więcej uciążliwa. Wozy trzęsły się i przechylały z boku na bok, przy czym co chwila spadały z nich jakieś drobne przedmioty. Jeden wywrócił się w reszcie, więc siedzący w nim pobiegli szybko naprzód aby wsiąść do drugiego.

Horn, nie zwracając na nic uwagi, naglił tylko do pośpiechu, jednakowo okrutny dla ludzi i dla zwierząt. Nikt zresztą nie poważył się stawić mu oporu. Mijały godziny i karawana dążyła wytrwale naprzód, mila za milą oddalając się od miejsca swego postoju. Skończył się wreszcie jeden wąwóz i zaczął się drugi o zboczach jeszcze więcej skalistych i pełnych grozy. Mroki nocy stawały się coraz czarniejsze i coraz więcej nieprzeniknione. Horn ostatecznie wysiadł z wozu, polecając swym podwładnym uczynić to samo. Niebawem jednak okazało się, że dalsza podróż jest wprost niemożliwa, gdyż wycieńczone woły odmawiały posłuszeństwa, a na drodze wyrosła nieprzebyta zapora w postaci gąszczu drzew i grupy skał.

Wtedy zbiegowie posiadali na ziemi i z drżeniem oczekiwali świtu. Nikt nie zadrzemał. Wszyscy trwali wsłuchani czujnie w odgłosy nocy, spotęgowane niezmiernie przez ich własną trwogę. Horn tylko nie odpoczął ani na chwilę, w ponurym milczeniu przechadzając się wokoło wozów z nabitą strzelbą w ręce. Tu i owdzie rozlegał się skowyt wilka, miauknął od czasu do czasu dziki kot, lub odezwał się żałosnym głosem jakiś ptak nocny, a każdy z tych odgłosów zimnym dreszczem przejmował zbiegów, spodziewających się lada chwila usłyszeć złowrogie wycie Siuksów. Rozmawiali przy tym szeptem dla dodania sobie wzajemnie otuchy, zapatrzeni w wyłaniającą się co chwila z mroków nocy olbrzymią postać Horna, który wciąż chodził w zamyśleniu, jakby przygotowywał jakiś plan obrony.

Allie siedziała w jednym z wozów, przytulona do matki. Oczy miała otwarte, ale przestraszona nie była. Myśli dziewczyny biegły w innym zupełnie kierunku. Oto zachowanie się matki w czasie całej tej strasznej podróży wydawało się jej bardzo dziwne. Allie zauważyła przy tym, że w miarę zbliżania się kresu wędrówki matka stawała się coraz bardziej niespokojna. W nocy zwłaszcza jęczała często, tuląc córkę do siebie i za dnia tylko była spokojna po dawnemu.

Teraz Allie starała się dodać matce otuchy, szepcząc jej, że żołnierze zdążą na czas, aby obronić ich od czerwonoskórych zbójów.

— Zobaczysz, że ten odważny traper w skórzanym kaftanie ocali nas z pewnością — mówiła.

— Drogie dziecię! — odszepnęła pani Durade. — Czuję, że nigdy już nie zobaczę naszego domu.

— Och, mamo!

— Słuchaj, Allie! Ja... muszę ci coś wyznać! — zawołała nagle pani Durade, tuląc mocno córkę do piersi.

— Wyznać? — zdumiała się dziewczyna. — Co, mamo?

— Prawdę, moje dziecko. Och, dowiedz się, że oszukiwałam cię przez całe życie.

— Oszukiwałaś mnie? Ty, mamo? Powiedzże mi prędzej, o co chodzi.

— A czy przebaczysz mi, dziecko? Czy obiecujesz, że nie znienawidzisz mnie? — zawołała pani Durade głosem zdławionym boleścią.

— No, mamo! Jakże możesz tak mówić? Wiesz przecież, jak bardzo cię kocham — mówiła Allie, gładząc pieszczotliwie drżącą ze wzruszenia dłoń matki.

Ale pani Durade dopiero po dłuższej chwili odzyskała względną równowagę ducha.

— Dowiedz się zatem, Allie, że przed twym przyjściem na świat uciekłam z panem Durade — zaczęła wreszcie szybko, jakby pragnąc co prędzej pozbyć się ciężaru swej tajemnicy. — Pan Durade nie był twym ojcem... Nazywasz się Lee... Jesteś córką Allisona Lee który ma być obecnie, jak słyszałam, bardzo bogatym człowiekiem. Och, jakże pragnęłabym teraz wrócić do niego, aby prosić o przebaczenie i powierzyć mu ciebie, dziecko... Pobraliśmy się w r. 1847 w Nowym Orleanie. Dziadek twój zmusił mnie do poślubienia tego człowieka, ale ja nie kochałam Allisona Lee. Nie był to człowiek przyjemny, a w każdym razie mnie nie podobał się wcale... Potem spotkałam pana Durade — Hiszpana, arystokratycznego poszukiwacza przygód... Uciekłam wraz z nim na Zachód, gdzie przyłączyliśmy się do poszukiwaczy złota. Wałęsaliśmy się tak długo po całej Kalifornii, gdzie urodziłaś się, kochanie, w r. 1850... Och, bardzo twarde miałam tam życie, ale troska o ciebie nie pozwalała mi myśleć o trudach... Po wielu latach jednak tak mi wszystko obrzydło, że, zabrawszy ciebie, uciekłam wreszcie od pana Durade.

— Och, mamo! Czułam, że uciekamy od niego — zawołała Allie z boleścią w głosie. — A teraz czuję, że on będzie nas ścigać.

— Sama tak sądzę — westchnęła matka. — Błagam Boga, aby uchronił mnie od jego zemsty.

— Straszne to jest, mamo. Cieszę się jednak, że on nie jest mym ojcem, bo nigdy jakoś nie mogłam go pokochać... Ale ty, mamo... musiałaś chyba lubić pana Durade.

— Ależ ja go ubóstwiałam, dziecko — zabrzmiała smutna odpowiedź.

— Dlaczegóż więc uciekłaś? On przecież był dla nas dobry.

— Posłuchaj, Allie! Durade był szulerem i w karty gotów był przegrać wszystko. Tak, dziecko. Pewnego wieczora miał zamiar nawet zagrać o mnie ale partner jego okazał się uczciwszy i odmówił przyjęcia takiej stawki. Zdaje mi się, że odtąd właśnie poczęłam go nienawidzić. Przekonałam się wówczas, co to za człowiek... Używał mnie jako przynęty dla górników, których zwabiała do jego spelunki moja twarz... Byłam przecież kiedyś bardzo piękna... Och, jakże nisko upadłam... Ale to on zmuszał mnie do grania takiej roli... Bogu dziękuję, że zdołałam znaleźć w sobie tyle siły, aby opuścić go, zanim zdążył użyć do tego samego ciebie.

— Oby nie zechciał nas ścigać, mamo — szepnęła Allie.

— Zabiłabym go chyba, gdyby spróbował cię porwać — odparła matka.

— Nie sądzę, aby pragnął mnie skrzywdzić — zauważyła z powątpiewaniem Allie.

— Ależ, dziecko! Bądź pewna, że postąpiłby z tobą nie lepiej, niż ze mną. Żądał już przecież ode mnie, abym oddała mu cię do rozporządzenia. Mówił mi, że z każdym dniem stajesz się piękniejsza, więc musi przyzwyczaić cię do pracy.

— Doprawdy, mamo? — westchnęła boleśnie Allie.

— Tak, dziecko! Ale przebacz mu te zamiary. Przebacz i mnie, bo żałuję mego postępowania. Żałuję i pragnę już teraz tylko przyprowadzić cię cało do Allisona Lee, twego ojca, którego nigdy nie znałaś.

Chłód nocy stawał się tymczasem coraz więcej przejmujący, a mroki zdawały się zgęszczać z każdą chwilą. W całej okolicy zapanowała teraz niczym niezakłócona cisza, a na czarnym niebie mrugały jaskrawe ogniki niezliczonych gwiazd. Ale wreszcie nastąpiła zmiana. Ciemna zasłona nieba pobladła z lekka w stronie wschodniej, światło gwiazd poczęło tracić swą dotychczasową jaskrawość. Świtała jutrzenka i na horyzoncie zarysowały się niewyraźnie cienie potężnych gór, tonące jeszcze w opalowej szarości wczesnego zarania. Wszystko zmieniło się naraz dokoła, z wyjątkiem owej dziwnej, szerokiej jak ocean, ciszy dzikiego, przez nikogo niezamieszkałego kraju.

I nagle ciszę tę zamąciło przeraźliwe, ścinające krew w żyłach wycie Siuksów.

Ci okrutni czerwonoskórzy mieli rozmaite systemy napadu. Czasami rzucali się na wędrowców w zupełnym milczeniu, niekiedy zaś czynili to, wydając straszne bojowe okrzyki, których odgłos najodważniejszym wstrzymywał oddech w piersiach. Bardzo możliwe, że owo wycie rozlegało się wtedy tylko, gdy ofiarom napadu groziła nieuchronna śmierć.

Horn tak niej zrozumiał znaczenie strasznej zapowiedzi i poczynił niezwłocznie niezbędne zarządzenia. Zebrał więc wszystkich zbiegów w miejscu najlepiej stosunkowo chronionym przez skały i wozy, po czym polecił im wziąć kobiety między siebie, a wreszcie zwrócił się do mężczyzn.

— Słuchajcie! — rzekł ponuro. — Nadchodzi nasza ostatnia godzina, postarajcie się zatem nabrać nieco odwagi... Może zdołamy się utrzymać tu do czasu przybycia żołnierzy.

Powiedziawszy to, wziął rydel i począł kopać dół w ziemi. Podczas tej roboty podnosił od czasu do czasu głowę, nasłuchując czujnie, czy nie rozlegnie się gdzieś nowy okrzyk bojowy, i badając przenikliwym wzrokiem okolicę, zasłaną szarą mgłą przedświtu. Ale wszędzie dokoła panowała cisza i nigdzie na pozór nie było nic podejrzanego. Horn bez żadnej przeszkody wykopał dół, głębokości kilku stóp, po czym umieścił w nim spokojnie dwa czy trzy ciężkie skórzane worki i tak samo w milczeniu zasypał jamę ziemią, obserwowany przez swych podwładnych, na których twarzach malowało się wyraźne zdumienie.

A on pochylił się jeszcze nad świeżo poruszoną ziemią, wpatrując się w nią takim wzrokiem, jakby pogrzebał tylko co własne dziecię i, wyprostowawszy się znowu, roześmiał się ponuro.

— Oto, gdzie ukryłem me złoto! — zawołał głośno. — Może je sobie zabrać każdy, któremu uda się dziś ocalić.

Sam widocznie zrezygnował już z życia, skoro nie dbał zupełnie o swe złoto, dla którego zdobycia w swoim czasie ważył się na wszystko.

W straszliwej niepewności mijały im chwile za chwilami. Nieszczęśliwi zbiegowie słyszeli jedynie bicie własnych serc, nie wiedząc, czy rozlegnie się zaraz dzikie wycie czerwonoskórych, czy też zwiastujący wybawienie galop rumaków odsieczy. Ale ani w pobliżu, ani dalej żaden szelest nie zamącił jeszcze groźnej ciszy, która oczekującym zdawała się o wiele gorsza od szybkiej, nieuchronnej śmierci.

I nagle popielejący zwolna mrok przeszyły krwawe wstęgi płomieni. Załoskotały głucho wystrzały. Całą dolinę napełnił zgiełk i zamęt. Szara mgła zmieszała się z błękitnawym dymem prochu. W odstępach pomiędzy grzmotami przewalającego się wśród skał echa kanonady dźwięczały przeciągle cięciwy łuków i z ostrym świstem leciały pierzaste strzały.

Rozdział IV

W r. 1865, niezwłocznie po zakończeniu wojny, grupa inżynierów pracowała w górach Wyoming nad przedsięwzięciem co najmniej ryzykownym, jeśli w ogóle nie wątpliwym, co do wyniku. Miano tu bowiem wytknąć trasę Kolei Zjednoczonego Pacyfiku.

Inżynierowie ci, eskortowani przez oddział wojsk Stanów Zjednoczonych, pozostający pod dowództwem pułkownika Dillona, zdołali przezwyciężyć już szczęśliwie mnóstwo trudności, ale, zagłębiwszy się w dziką okolicę wschodniej odnogi Gór Skalistych, zatrzymali się wobec nowej, na pozór wprost niemożliwej do pokonania, przeszkody w postaci przepaści zbyt głębokiej do wyrównania z ogólnym poziomem terenu, a zbyt szerokiej, by można było przerzucić ponad nią most.

— Zaprzęgnijcie teraz do roboty młodego Neale'a polecił jednemu ze swych pomocników generał Lodge, naczelny inżynier. — Jeśli w ogóle uda się nam przeprowadzić tu kolej, to chyba tylko dzięki jego pracy.

Stojący przy generale pomocnik, niejaki Baxter, polecił znajdującemu się w pobliżu i ćmiącemu krótką, czarną fajeczkę Irlandczykowi odnaleźć Neale'a i powtórzyć mu rozkaz. Irlandczyk, nazwiskiem Casey, posiadający szerokie bary i ogorzałą twarz człowieka wdrożonego od młodości do pełnego trudów życia, a w szarych oczach iskierki wesołości, wyjął natychmiast z ust fajeczkę.

— Panie generale! Melduję posłusznie, że nie podoba mi się barwa flagi, którą musiałem zatknąć na tutejszym terenie. W olałbym, aby była zielona[1]. Baxter skrzywił się niecierpliwie, ale generał Lodge spojrzał na Irlandczyka z uśmiechem.

— Wymień zatem barwę flagi według swego upodobania rzekł przyjaźnie. — Może zielona przyniesie nam szczęście.

— Panie generale! Oświadczam, że sam diabeł nie zbuduje tu kolei, jeśli nie uda się tego zrobić Irlandczykom — rzekł jeszcze Casey, po czym odszedł spełnić polecenie.

Generał Lodge wierzył istotnie, że tylko śmiały Neale, z jego oczami urodzonego górnika i niesłychanie subtelnym wyczuciem przestrzeni, zdoła przeprowadzić tu szlak nowej kolei.

Czekając na przybycie Neale'a, inżynierowie poczęli przeglądać mapy i wykresy z niecierpliwością ludzi, pragnących doprowadzić swe dzieło jak najprędzej do końca.

---

[1] Narodowa barwa irlandzka (przyp. tłum).

Lodge, który w randze generała uczestniczył w walkach tylko co zakończonej wojny domowej, wiele razy już bywał w górzystej okolicy Wyoming i zawsze nosił się z projektem zbudowania tu wielkiej kolei. Pomysł ten w przeciągu długich lat omawiany był w kołach zainteresowanych i obecnie zbliżał się ku urzeczywistnieniu. Gigantyczny plan połączenia Wschodu z Zachodem za pomocą nieskończenie długiej linii kolejowej powstał w umyśle jednego jedynego człowieka, który dla niego wyłącznie żył i działał. Niezłomna jego wiara w możliwość urzeczywistnienia tego zakrojonego na miarę olbrzymów projektu, pokonała ostatecznie wszelkie wątpliwości innych i nadszedł wreszcie dzień, kiedy Kongres Stanów Zjednoczonych upoważnił rząd do zmobilizowania całej armii wojska i oddania go do dyspozycji generała Lodge'a wraz z wielkimi środkami pieniężnymi dla zbudowania owej kolei.

Ale nikt w całym kraju, jak długi był i szeroki, nie znał niebezpieczeństw, grożących wykonawcom uchwały Kongresu. Znał je tylko naczelny inżynier oraz jego pomocnicy. Społeczeństwo czekało tylko z zaciekawieniem i powątpiewało. Inżynierowie natomiast wraz z generałem Lodgem pracowali z szczerym zapałem wielkiej miłości dla swego dzieła, znajdując się całkowicie pod przemożnym urokiem jego wielkości i doniosłego znaczenia.

Warren Neale zjawił się niebawem. Był to młodzieniec, liczący zaledwie dwadzieścia trzy lata, bardzo wysoki i barczysty, ogorzały na twarzy i żwawy w ruchach. Był dzieckiem ubogiej rodziny i całą swą wiedzę posiadł dzięki samouctwu.

Generał Lodge osobiście wytłumaczył mu szczegóły trudności położenia, wyjaśniając jednocześnie, czego się po nim spodziewa. Młodzieniec zarumienił się z dumy, a w jego oczach błysnęło zadowolenie. Nie odezwał się jednak ani słowem gdy inżynierowie prowadzili go ku przeszkodzie, którą uważali za niepokonaną Była to przepaść o nierównych, poszarpanych krawędziach, których zbocza porastały cedry podczas gdy dno bielało jałową plamą.

— Szlak kolei nie może niestety ominąć tej przepaści — zauważył inżynier Henney, najmłodszy z podwładnych generała Lodge`a.

Przepaść zamykała olbrzymia skalista ściana, piętrząca się pionowo nad nią. Było to dzikie i nieprzystępne pustkowie. Sam jego widok musiał wpłynąć odstraszająco na każdego, kto miałby zamiar zbudować tu kolej.

Neale podpełznął ostrożnie ku przepaści i położywszy się na jej krawędzi, próbował zbadać oczami dno. Nie zdołał jednak zapewne wypatrzyć wiele, gdyż powstał niebawem, niechętnie wstrząsając głową i spojrzał na piętrzący się opodal wysoki skalny mur.

— Część tej ściany można by wysadzić w powietrze — mruknął.

— No dobrze. Ale czy my wiemy, co znajduje się za węgłem? — zauważył powątpiewająco Boone, jeden z najdzielniejszych inżynierów generała Lodge'a. — Może znajdziemy tam również prostopadłą skałę, ciągnącą się na wiele mil?

Generał także rzucił spojrzenie na ziejącą przepaść i rysy jego twarzy przybrały nagle wyraz ponurej zaciętości.

— Zdaje się, że przeprowadzenie w tym miejscu szlaku naszej kolei jest zupełnie niemożliwe, a jednak... musimy go tu przeprowadzić — oświadczył.

Po tych słowach nastąpiła chwila zupełnej ciszy. Inżynierowie spoglądali na siebie, jak ludzie którym wykonać dzieło przerastające ich siły. Neale pierwszy przerwał milczenie.

— Nie jest jeszcze tak źle — rzekł. — Należy tylko wspiąć się na wierzch skały, a ja spuszczę się stamtąd po linie.

Nikt nie wyraził zdziwienia, gdyż Neale przezwyciężył już wiele przeszkód i wszystko dotąd udawało mu się pomyślnie. Nie próbowano więc wcale ostrzegać go teraz przypominaniem rozlicznych nieszczęśliwych wypadków, jakie zdarzyły się podczas pracy nad wytknięciem trasy przyszłej kolei. A przecież, kilka tygodni temu zaledwie, spadł w przepaść i zabił się na miejscu jeden z pomocników, który wykazywał zazwyczaj zbyt wiele odwagi.

Wdzieranie się na szczyt prostopadłej skały zabrało im sporo czasu, ale wspięli się tam wreszcie wszyscy inżynierowie, w towarzystwie kilkunastu żołnierzy.

— Potrzebuję bardzo długiej liny — rzekł Neale do Kinga, swego pomocnika.

Polecenie to zniewoliło Kinga do niezmiernie powolnego wspięcia się na skalną wyżynę. Poza tym należy zaznaczyć, że King był z zawodu cowboyem i umiał doskonale jeździć konno, ale nie znał się zupełnie na turystyce górskiej.

— O mało sobie nóg nie połamałem — wysapał zdyszanym głosem, rzucając Neale‘owi do nóg gruby zwój. Neale spojrzał z powątpiewaniem na częściowo przetarte sznury.

— Czy nic lepszego nie udało ci się dostać?— spytał.

— Och! Niektóre z tych lin Casey musiał wprost wykraść żołnierzom.

— Pomóż mi powiązać to wszystko— rzekł Neale.

— Zdaje mi się, że tym razem zejdę stąd prędzej, niż ty — wycedził King.

Neale roześmiał się, spoglądając z pewnym zdziwieniem na swego pomocnika. Poznali się jeszcze w Nebrasce, dokąd cowboy przybył z Teksasu i zaprzyjaźnił się wkrótce z Nealem. Zawsze odtąd pracowali razem i nie mieli dla siebie żadnych tajemnic. Larry Red King jednakże nigdy nie wspominał przyjacielowi o przyczynie, która zmusiła go do opuszczenia rodzimego Teksasu.

— Co takiego? Chcesz spuścić się na dół pierwszy? — zawołał Neale.

— Ma się rozumieć — odparł King.

— Nie uczynisz tego — oświadczył szorstko Neale. — Wątpię, czy będę cię tam potrzebował, nie opłaci ci się zatem ryzykować życia.

— A właśnie, że zaryzykuję je, albo w ogóle podziękuję za służbę.

— Cóż to za diabelski upór! — wybuchnął Neale, zaczynając wiązać liny.

Spojrzał następnie jeszcze raz na swego pomocnika, ale tym razem wyraz zdziwienia w jego oczach ustąpił miejsca czemuś cieplejszemu.

Larry Red King był dość szczupły, ale niezwykle silny i jednocześnie bardzo zgrabny. Miał twarz gładką, niebieskie oczy i włosy barwy płomiennej. Za całą broń posiadał długi pistolet, zwisający mu ciężko u pasa.

— Podziękuję za służbę — przedrzeźnił go Neale. — Jeszcze czego?

Na tym sprzeczka urwała się jednak, gdyż w różnych miejscach wdrapywali się już na skałę inżynierowie i niebawem cała grupa otoczyła obu przyjaciół.

— Wypróbujcie przede wszystkim tę linę — rozkazał generał Lodge. Polecenie to spełniono niezwłocznie i wytrzymałość sznura została uznana za dostateczną. King wówczas obwinął skwapliwie jeden z jego końców wokoło swego ciała, ale niektórzy z inżynierów, podobnie jak przedtem Neale. poczęli wyrażać wątpliwości, czy mierniczemu będzie potrzebny na dole pomocnik. Henney, który był kierownikiem tego rodzaju robót, oświadczył kategorycznie, że posyłanie Kinga jest zupełnie zbędne.

— Nie mam zamiaru zrzekać się tej przyjemności — oświadczył stanowczo King.

Zdawało się, że niebawem musi wybuchnąć burza, gdyż generał Lodge groźnie zmarszczył brwi, obrzucając Neale'a pytającym spojrzeniem.

— King podejrzewa, że lina może nie wytrzymać ciężaru. Dlatego też woli zejść pierwszy — wyjaśnił z szacunkiem młodzieniec.

Na twarzach obecnych ukazały się szerokie uśmiechy, ale nikt nie zadrwił. Był to jeden z tysiąca owych dziwnych przejawów uczucia, z którym muszą się liczyć budowniczowie wszystkich kolei. Surowy wyraz twarzy generała złagodniał nieco, ale ton jego głosu pozostał stanowczy.

— Rozkaz musi być wykonany — rzucił przez zęby niesfornemu cowboyowi.

Odebrano mu zaraz linę i przewiązano nią Neale'a, który, zabrawszy niezbędne do pomiarów przyrządy, przygotował się ochoczo do niebezpiecznej wyprawy.

— Skała ma dość znaczny występ, który nie pozwala ujrzeć, co znajduje się na dole — rzekł. — Nie będę więc mógł ani dawać, ani otrzymywać sygnałów, ale spodziewam się, że długość liny wystarczy mi w zupełności do pomyślnego wylądowania.

Inżynierowie milczeniem wyrazili swą zgodę. Neale wobec tego usiadł na skale i, ścisnąwszy mocno swe instrumenty, rzekł do żołnierzy, którzy trzymali linę:

— Gotowe!

Żołnierze ostrożnie, cal za calem, poczęli wypuszczać z rąk długi sznur i młody mierniczy zniknął niebawem za krawędzią skały. Inżynierowie śledzili go bacznie oczami, stojąc tuż nad przepaścią. Larry King natomiast wpatrywał się jedynie w rozkręcające się zwoje liny.

— Już znalazł się poza występem! — zawołał Baxter, wyciągając szyję.

— Zniknął mi zupełnie z oczu! — wykrzyknął Henney.

Tajemnicza głębia przepaści zdawała się drzemać w promieniach zachodzącego słońca, pełna błękitnawego zmroku. Oglądana z tej wysokości miała pozory olbrzymiej doliny, wyżłobionej niegdyś wśród skał

przez prąd nieznanej rzeki. Krawędzie jej i zbocza mieniły się teraz dziwacznie, co chwila przybierając inną barwę.

Cal za calem opuszczali żołnierze długą linę. Około dwustu metrów musiało się już znajdować poza krawędzią skały i pozostawało jeszcze co najwyżej sto. Teraz już były to najgorsze, powiązane z sobą i zużyte kawałki sznura i żołnierze spoglądali na nie z widoczną obawą.

Inżynierowie również poczęli się niepokoić.

— Coś mi się w tym nie podoba — zauważył nerwowo Henney. — Neale przecież powinien by chyba natrafić już na stały grunt.

Żołnierze w tej chwili wstrzymali odruchowo swą robotę, patrząc z powątpiewaniem na węzeł, który zatrzymał się na skraju przepaści. Niepokój Kinga wówczas wyraził się w głośnym okrzyku.

— Trzymajcie, na Boga! — zawołał, chwytając się oburącz za głowę.

Lina nie opuszczała się już więcej, ale naprężenie jej wzmagało się widocznie.

— Zerwie się lada sekunda! — jęknął Larry King.

Głos jego był ochrypły i pełny przerażenia. Cowboy upadł na kolana i drżącymi rękami pochwycił linę, jakby pragnąc pociągnąć ją z powrotem. Nie odważył się jednak i szeptał tylko rozpaczliwie:

— Sam wiązałem tę linę, ale sznury były diabła warte. Zerwie się teraz na pewno.

Nim zdążył dokończyć tych słów, rozległ się suchy trzask i lina zerwała się istotnie. Trzymający ją żołnierze stracili równowagę i padli na ziemię. Baxter zaklął głośno. Boone i Henney wydali okrzyki zgrozy. Generał Lodge stanął, jak wryty. Reszta świadków wypadku zamarła na swych stanowiskach, czujnie nasłuchując.

W głębi przepaści rozległ się naraz jakiś głuchy dźwięk, po czym doleciał stamtąd odgłos upadku i łoskot walących się mas żwiru.

Milczenie ogólne przerwało głośne przekleństwo Caseya. Larry Red King wstał z klęczek, spoglądając na inżynierów tak nienawistnie, jakby uznawał ich za winnych rozmyślnego morderstwa. Zawrócił potem bez słowa i zeszedł pośpiesznie ze skały, mając najwidoczniej zamiar przedostania się w jakiś sposób na drugą stronę przepaści.

Generał Lodge polecił żołnierzom udać się w ślad za cowboyem i odszukać ciało Neale‛a.

— Ten chłopiec miał przed sobą przyszłość — rzekł smutnie stary Henney. — Ponieśliśmy niepowetowaną stratę.

Twarz Boone’a wyrażała zgrozę. Baxter przygryzł sobie wargi do krwi.

— Źle się stało — rzekł wreszcie. — Ale... co robić?

Naczelny inżynier rzucił zatroskane spojrzenie na mroczną przepaść, której krawędzie poczerwieniały teraz od krwistych promieni zachodzącego słońca. Wykonywanie jego planu napotykało na coraz to większe trudności. Śmierć przerzedzała szeregi podwładnych. Budowa kolei żelaznej poczynała przypominać wojnę, podczas której wielu kwitnących młodzieńców i dzielnych mężczyzn wtrąciły do grobu surowe rozkazy generała.

Inżynierowie zeszli wreszcie ze skały i powrócili do obozu, znajdującego się o milę dalej w ciasnym wąwozie. Zapłonęły niebawem

ogniska, wystrzeliły w górę pionowe słupki dymu i rozebrzmiały dokoła wesołe pieśni beztroskich żołnierzy.

W pewnej chwili do namiotu generała Lodge'a przybył pułkownik Dillon, donosząc, że wywiadowcy wytropili w sąsiedniej dolinie liczną bandę Siuksów. Wszelkie oznaki przy tym wskazywały, że Indianie ci wstąpili na wojenną ścieżkę i zamierzają napaść na inżynierów. Wobec takiego niebezpieczeństwa wszyscy zapomnieli niezwłocznie o tragicznej śmierci młodocianego mierniczego.

— Obawiam się, że Siuksowie uniemożliwią nam budowę Kolei Zjednoczonego Pacyfiku — zauważył pesymista Henney.

— Ani oni, ani żadne inne plemię czerwonoskórych nie zdoła odwieść nas od tego zamiaru — oświadczył ucho naczelny inżynier.

A tymczasem żołnierze, których posłano w ślad za Kingiem, powrócili do obozu, oświadczając, że stracili go z oczu i nie mogli dostać się na dno przepaści.

Wstał poranek, ale Larry'ego Kinga nie było jeszcze. Rozesłano wówczas na poszukiwania w różne strony małe oddziałki żołnierzy, a inżynierowie powrócili do swych badań. Wyniki pracy obu stron okazały się najzupełniej płonne i o zachodzie wszyscy ściągnęli ponownie do obozu. Cowboy tylko nie zjawił się przy ognisku, a przeto uznano go ostatecznie za zaginionego.

Przed zapadnięciem zmierzchu jednakże ujrzano wyłaniającą się z gąszczu krzewów jego wysoką postać. Miał odzież bardzo zakurzoną i podartą, a w rękach trzymał trójkąt geometryczny oraz inne przyrządy, którymi posiłkował się Neale. Zbliżywszy się do namiotu naczelnego inżyniera, postawił przed nim w milczeniu instrumenty swego przyjaciela, zdając się nie widzieć przerażonych twarzy inżynierów.

— Przeprowadziliśmy pomiary na długości czterech mil w tym miejscu, gdzie przekroczenie przepaści jest możliwe — oświadczył spokojnie.

— Ależ, człowieku! przecież Neale się zabił! — wykrzyknął Henney, spoglądając na cowboya takim wzrokiem, jakby powątpiewał o jego zdrowych zmysłach.

— Co takiego? — wycedził King. — Nie. Neale żyje.

— Gdzież więc jest, na Boga?

— Zobaczycie go za chwilę.

— Czy jest ranny?

— Nie. Jest tylko bardzo głodny. Ja również przegryzłbym chętnie cośkolwiek — odparł zimno King i powlókł się ku ognisku krokiem człowieka doszczętnie wyczerpanego z sił.

Generał Lodge przyjął tę wiadomość spokojnie, ale w szarych jego oczach błysnęła radość.

— A więc udało im się szczęśliwie dokonać pomiarów — rzekł. — I Neale żyje. To bardzo dobrze. Niech przyjdzie zaraz do mnie. Przywołajcie także Kinga. Z nim również chcę zamienić kilka słów.

Kilku żołnierzy pobiegło na spotkanie Neale'a. Znaleźli go wprędce i wiedli do obozu, podtrzymując z obu stron, gdyż ledwo się wlókł z głodu i znużenia. Przyprowadzony do ogniska, usiadł przy nim, stękając boleśnie.

Któryś z inżynierów tymczasem, wykonywając polecenie szefa, odnalazł Kinga i oświadczył mu, że ma się zaraz stawić u generała.

— Muszę się przede wszystkim najeść — odparł cowboy obojętnie. — A zresztą, generał nie jest moim bezpośrednim zwierzchnikiem.

Powiedziawszy to, począł posilać się skwapliwie, nie zwracając już żadnej uwagi na inżyniera, który nie próbował wypytywać go o nic, wiedząc bardzo dobrze, że Larry King mówić nie będzie.

Mówił za to Neale. Młody mierniczy wprost rozpływał się w pochwałach dla swego pomocnika i przed upływem godziny wszyscy wiedzieli już, że Larry uratował Neale'owi życie. Uczuciowy Casey chciał za ten czyn uściskać cowboya, ale naraził się jedynie na gniewne przekleństwo.

— Zdaje mi się, że powinien byś był raczej urodzić się Indianinem Siuksem — rzekł urażony Irlandczyk. — Tam zdołano by ocenić właściwie zalety twego charakteru.

Cowboy, który skończył właśnie posiłek, nic nie odpowiedział na tę uwagę i poszedł sobie precz, a Casey, rozczarowany nieco, że nie usłyszał z jego ust nowego przekleństwa, użalił się swemu towarzyszowi, nazwiskiem MacDermott.

— Co myślisz o cowboyach, Mac? — spytał.

— Tyle tylko, że obawiam się, aby ciało twoje przed zakończeniem budowy kolei żelaznej nie podziurawiły kule, jak rzeszoto — zabrzmiała odpowiedź.

W godzinę później generał Lodge sam odwiedził Neale'a i otrzymał z jego rąk cały stos wykresów, stanowiących zupełne rozwiązanie jego gigantycznego planu.

— Wszystko poszło już łatwo, skoro udało mi się wylądować pomyślnie pod owym występem skalnym — wyjaśnił Neale. — Znajduje się tam płaszczyzna, mająca najwyżej czterdzieści pięć stopni pochyłości, po której będziemy mogli poprowadzić nasz tor, na długości mniej więcej czterech mil. Dalej natomiast będzie znacznie gorzej... Och, wiem dobrze, że wtedy dopiero zaczną się dla nas prawdziwe trudności.

— Zdaje się, że ma pan słuszność — mówił generał w zamyśleniu. — Będziemy musieli chyba wyszukać sobie jakieś inne miejsce, łatwiejsze do przeprowadzenia toru.

— I znajdziemy je na pewno — oświadczył z przekonaniem Neale.

Generał spojrzał nań przyjaźnie.

— Wiem, że posiada pan znaczną dozę szlachetnej ambicji i odwagi — powiedział. — Przepowiadam też, że pozyska pan sobie niechybnie bardzo wysokie stanowisko, jeśli tylko uda się panu dożyć szczęśliwie do zakończenia budowy tej kolei.

— Och, uda mi się na pewno — roześmiał się Neale. — Padam przecież zawsze, jak kot, na wszystkie cztery łapy i jestem niezmiernie żywotny.

— To prawda. Ale niechże pan opowie mi przynajmniej o przebiegu tego ostatniego upadku.

— Nic w tym nie było godnego uwagi, panie generale. Zatrzymałem się przede wszystkim na wierzchołku jakiegoś drzewa, o które zaczepił się mój trójkąt mierniczy. Potem dopiero spadłem na ziemię i bardzo boleśnie

się potłukłem. Nie dawałem żadnych oznak życia, kiedy znalazł mnie King. Zemdlałem.

— Zdaje się, że ten cowboy jest szczególnie przywiązany do pana.

— O tak — rzekł Neale z uczuciem. — Larry jest leniwy i śmieszny niekiedy, inżynierowie więc kpią z niego po trosze. Dzieje się to jednak dlatego, że go nie rozumieją, panie generale. Nikt nie wie, jak bardzo niebezpieczny może się stać mój King.

— Doceniam całkowicie tę jego właściwość — uśmiechnął się generał. — Widziałem przecież, że gotów był strzelać do nas, gdy urwała się lina. Jest to człowiek istotnie bardzo nieprzeciętny i żałuję doprawdy, że nie miałem was obu przy sobie podczas wojny.

— Dziękuję za uznanie, ale jestem zadowolony, że teraz dopiero służę pod rozkazami pana generała — odparł młodzieniec.

Naczelny inżynier obdarzył go przyjaznym spojrzeniem.

— Tęskni pan zapewne do przygód, co? — zagadnął z uśmiechem.

— Owszem — odparł szczerze Neale.

— Ja odczuwałem taki sam głód, będąc w pańskim wieku — westchnął generał. — No, cóż? Jest pan naprawdę odpowiednim dla nas człowiekiem. Ale proszę wziąć pod uwagę, że praca nad budową Kolei Zjednoczonego Pacyfiku będzie się odbywała w warunkach, przypominających piekło.

— Liczę się z tym, panie generale. Muszę jednak przyznać, że niebezpieczeństwo naszego przedsięwzięcia ma dla mnie szczególny urok.

— Doskonale. Miejmy więc nadzieję, że uda się panu ocalić życie i dokonać naprawdę wielkich rzeczy.

— Sądzi pan generał, że łatwo mogę sobie skręcić kark? — zagadnął Neale.

— Czy ja wiem? Jest pan może nieco zbyt porywczy. Czy pan pije?

— Nie unikam alkoholu — oświadczył szczerze młodzieniec. — Nie zależy mi jednak na trunkach.

— Będzie najlepiej, jeśli zaniecha ich pan zupełnie — rzekł poważnie generał. — Teraz, oczywiście, nie ma to tak wielkiego znaczenia, gdyż jest nas tu niewielu i nie potrzebuje pan się obawiać złego towarzystwa. Pokusy zaczną się wtedy dopiero, kiedy, zakończywszy pracę nad naszą przepaścią, poczniemy cofać się wstecz do Omaha. Słyszał pan pewnie, że rozpoczęły się tam już roboty nad budową toru. Przypuszczam, że niebawem napłyną tam dziesiątki tysięcy oczajduszów, którzy nie mają nic do stracenia i wszędzie węszą tylko łatwy zysk. W takich warunkach nasza praca stanie się już nadzwyczaj uciążliwa i niebezpieczna. Będziemy musieli zatem zebrać całą armię dla celów obrony i przyjąć do służby wszystkich żołnierzy, jacy zgłoszą się na ochotnika. Będziemy silni. Ale proszę nie zapominać, że równie liczna stanie przeciwko nam ta druga armia, złożona z wszelakiego rodzaju mętów.

— Ach, to będzie wspaniale! — zawołał Neale.

— Nie, młodzieńcze! Przede wszystkim straszne — zauważył sucho generał.

Urwał na tym rozmowę i, życząc swemu młodocianemu pomocnikowi dobrej nocy, odszedł z chmurą smutku w oczach, zgarbiwszy się nagle pod brzemieniem wizji przyszłości. Zdawał sobie przecież całkowicie sprawę ze

swej odpowiedzialności za wykonanie olbrzymiego przedsięwzięcia i czuł, że lada chwila mogą nastąpić wypadki, których nikt nie zdoła przewidzieć.

Następnym gościem Neale'a był Henney. Ten stary inżynier, zazwyczaj dość nieprzystępny i nawet nadęty, pozbył się naraz całej sztywności, wypytując troskliwie o zdrowie młodego mierniczego. Upewniwszy się, że nic złego mu się nie stało, przymrużył figlarnie jedno oko.

— Proszę sobie wyobrazić, że nasz naczelnik dał panu awans — szepnął tajemniczo.

— Niemożliwe! — zawołał Neale, zrywając się z miejsca.

— Ależ, tak. Mówił o tym przed chwilą ze mną i Baxterem. Bardzo mu pan dogodził tym swoim ostatnim czynem.

— Co mówił? — spytał skwapliwie młodzieniec.

— Och, dużo. Powiedział nam między innymi, że osiągnie pan najwyższe zaszczyty, jeśli uda się nam zbudować tę kolej. Prorokował, że zajmie pan niezawodnie stanowisko naczelnego inżyniera.

— Doprawdy? — wyjąknął Neale.

— Zaręczam panu, że mówię szczerą prawdę. Ale to jeszcze nic. Generał już teraz daje panu lepsze stanowisko. Odtąd będzie pan powoływany jedynie do dokonywania szczególnie odpowiedzialnych i trudnych pomiarów. Szef nasz w związku z tym nadał panu nowy tytuł, a mianowicie, głównego nadzorcy drogowego, z czego cieszę się niezmiernie. Teraz radzę panu nie zbaczać już z raz obranej drogi i hamować nieco swą porywczość. To wszystko, co chciałem powiedzieć. Dobrej nocy.

Uścisnął mocno dłoń młodzieńca i wyszedł, nie czekając na jego odpowiedź.

Dużo jeszcze gości odwiedziło Neale'a tego wieczora, a wreszcie zjawił się i King.

— Jak się czujesz? — spytał, zatrzymując się przy wejściu do namiotu.

— Niezbyt dobrze, Larry — odparł młody mierniczy. — Mam trochę gorączki i boli mnie całe ciało. Czy mógłbyś pozostać przy mnie na noc?

— Uczynię to z praw dziwą przyjemnością — odparł cowboy. — No, ma się rozumieć, że masz gorączkę — dodał, przesunąwszy dłonią po czole przyjaciela.

Opuścił namiot na chwilę i powrócił niebawem, niosąc swoje koce i poduszki. Rzucił to wszystko niedbale na ziemię, po czym obmył Neale'owi twarz zimną wodą. Podczas tej czynności postać jego oświetlił blask płonącego obok namiotu ogniska i Neale zauważył wtedy, że lewą rękę Kinga spowija bandaż.

— Czy skaleczyłeś się? — spytał.

— Nie.

— Dlaczegóż więc masz zawiązaną rękę?

— To głupstwo. Chirurg wojskowy powiedział, że złamałem ją sobie.

— Co ty mówisz, człowieku? Nawet nie podejrzewałem, że ci się coś stało. I dźwigałeś mnie na plecach, mając złamaną rękę?

— Wcale nie mam pewności, że jest złamana.

Neale zaklął gniewnie, po czym niezwłocznie ziewnął szeroko i zasnął od razu. King usiadł przy nim i czuwał przez całą noc, zwilżając od czasu do czasu czoło przyjaciela zimną wodą.

Ognisko dopaliło się wreszcie i cały obóz pogrążył się w nocnej ciszy. Wiatr górski tylko hulał wśród skał, a tam i owdzie koń niecierpliwie bił kopytem w ziemię. Rozlegały się także gdzieniegdzie odgłosy miarowego stąpania wartowników i w osnutych mrokiem zaroślach zakwilił od czasu do czasu przeraźliwie jakiś nocny ptak.

Rozdział V

Neale miał słuszność, mówiąc inżynierom, że trudności zwiększą się z chwilą, gdy będą dokonywane pomiary wzdłuż przepaści.

Już nazajutrz wypadło zagłębić się jeszcze dalej w dziką okolicę, gdzie budowniczowie przyszłej kolei żelaznej stanęli niemal bezradni wobec ogromu gór Wyoming, które w swoim czasie już przysporzyły dużo kłopotów generałowi Lodge'owi.

Długo badano okolicę, nie mogąc natrafić na właściwe przejście. Wił się wprawdzie wśród tych skał i dolin stary gościniec św. Wawrzyńca. Szlak jego jednakże nie nadawał się zupełnie do budowy toru. Musiano zatem znaleźć inne, odpowiedniejsze miejsce, na którem można by bez obawy ułożyć żelazne szyny.

Po szeregu narad inżynierowie postanowili wreszcie porzucić myśl o wytknięciu trasy wzdłuż dna wąwozów i przepaści, gdyż badania ich wykazały ostatecznie, że oparciem dla przyszłego toru mogą stać się jedynie krawędzie gór. Cały obóz przeniesiono przeto na wschód, ku podnóżom pierwszych pagórów Wyoming. Stąd dopiero grupa generała Lodge'a rozpoczęła powolny pochód, wspinając się z każdym dniem coraz wyżej.

Przez cały ten czas ruchy budowniczych kolei były czujnie śledzone przez bandę Siuksów, naczelny inżynier uważał więc za niezbędne trzymanie w pogotowiu towarzyszących mu żołnierzy. Wszystkie badania i pomiary odbywały się zatem teraz niejako pod opieką oddziału pułkownika Dillona, dzięki czemu wróg nie zakłócał ich przebiegu. Ale praca wciąż jeszcze nie dawała żadnych dodatnich wyników i pomimo nadludzkich wprost wysiłków odważni pionierzy komunikacji nie mogli odszukać wśród tych stromych skał miejsca odpowiedniego do zbudowania toru.

Zarówno szef grupy, jak i członkowie jego sztabu łamali sobie głowę nad rozwiązaniem zawiłego zadania, popadając chwilami w skrajną rozpacz. Zaciskali jednak zęby i postanawiali walczyć aż do końca, badając coraz to nowe pasma terenu.

Okolica przesmyku Cheyenne wydała się im nieco więcej obiecująca i przenieśli się tam niezwłocznie, rozbijając obóz u podnóża wysokiej skały. Tu również rozpoczęły się zwykłe badania i pomiary, ale pewnego poranku cała grupa powróciła na stary szlak św. Wawrzyńca i znowu począł posuwać się naprzód oddział wojska z inżynierami na czele.

Szef wraz ze sztabem wyprzedził, swym zwyczajem, wszystkich. Jechał w zamyśleniu, nie zwracając wiele uwagi na okolicę. Z tego stanu

wyprowadził go dopiero okrzyk jednego z wywiadowców, który obwieścił, że w oddali spostrzega dym.

Generał wówczas wstrzymał konia, rozglądając się bacznie dokoła, ale nigdzie nie zauważył nic podejrzanego, ruszył więc naprzód spokojnie, a w ślad za nim podążyli najbliżsi pomocnicy. Lecz wywiadowca ostrzegł ich ponownie.

— Miejcie się na ostrożności! — zawołał. — Tropi nas banda czerwonoskórych. Spotkamy się z nią niebawem.

Bystre oczy Neale'a wprędce wypatrzyły wroga.

— Indianie zabiegają nam drogę! — krzyknął młodzieniec podnieconym głosem.

Hen, wysoko, wzdłuż porosłej bujną trawą krawędzi doliny, siedząc oklep na rumakach z rozwianymi grzywami, galopowali Indianie, najwidoczniej zamierzający odciąć małą gromadkę od postępującego nieco opodal oddziału żołnierzy.

— Złowili nas w pułapkę — oświadczył wywiadowca. — Odwrót mamy odcięty.

Naczelny inżynier popatrzył obojętnie na Indian, po czym rzucił okiem na wiodące wstecz żółtawe pasmo gościńca. Wzruszył wreszcie ramionami. Bywał już w gorszych opałach.

— Zawrócić! — rozkazał krótko.

— Och, panie generale! — zawołał namiętnie Neale. — Czyż nie lepiej będzie stoczyć z nimi walkę?

Gromadka liczyła ośmiu ludzi, którzy przy swym doskonałym uzbrojeniu mogliby przez pewien czas trzymać Siuksów w szachu. Generał zamyślił się więc nad propozycją swego pomocnika, po czym, skinąwszy na podwładnych, ruszył wraz z wywiadowcą, Kingiem, w kierunku stromego wzgórza, z którego szczytu miał nadzieję ujrzeć żołnierzy. Konie wspinały się po pochyłości bardzo żwawo, a jednak upłynął cały kwadrans, zanim jeźdźcy znaleźli się na owej wyniosłości. Spostrzegli stąd wprawdzie żołnierzy, ale zarazem przekonali się, że oddział jest jeszcze dość daleko i że Siuksowie zbliżają się coraz szybciej.

Położenie było groźne i wymagało niezwłocznej decyzji. Wywiadowca oświadczył przy tym, że jazda brzegiem doliny będzie niemożliwa, ale generał uznał tę drogę za jedyną, jaką należało wybrać w tych warunkach. King jednak miał słuszność. Jazda istotnie okazała się bardzo uciążliwa. Ludzie zsiadali jeden za drugim, aby dążyć dalej na piechotę, prowadząc konie za uzdy. Neale, dosiadający bardzo niesfornego rumaka, ledwie mógł utrzymać się na siodle.

— Weź lepiej mojego wierzchowca — zauważył King.

— Ależ ja muszę opanować przeklęte bydlę, albo...

— Wątpię, czy ci się to uda — odparł cowboy. — Przekaż twego konia mnie. Wiesz przecież, że ujeżdżanie dzikich mustangów jest moją specjalnością.

Wydarł uzdę przyjacielowi i w ciągu niespełna minuty krnąbrny rumak uspokoił się, czując siłę ręki prawdziwego znawcy.

Zdawało się, że Indianie zamierzają wyprzedzić szczupłą gromadkę inżynierów. Neale i King popędzali swe konie, nagląc je do szybszego

biegu i po wielu wysiłkach zdołali zrównać się z towarzyszami. Indianie tymczasem zebrali się wszyscy razem na przeciwległej krawędzi doliny, galopując z łatwością po równym terenie. Grunt z tej strony wąwozu natomiast stawał się coraz trudniejszy. Koń Baxtera pośliznął się i uszkodził sobie poważnie prawą przednią nogę. W chwilę potem przekręciło się siodło Henneya i zbiegowie znowu stracili nieco cennego czasu. Teraz już wszyscy trzymali strzelby w pogotowiu, spodziewając się, że lada chwila mogą napotkać przeszkodę, która zmusi ich do przerwania jazdy.

Z któregoś szczytu roztaczał się widok na dolinę i maszerujących gościńcem żołnierzy.

— Dajcie sygnał! — rozkazał naczelny inżynier.

Rozległy się niezwłocznie okrzyki i strzały. Wionęły szarfy i kapelusze. Wszystko to jednak było bezskuteczne. Żołnierze nie zwrócili na nich żadnej uwagi.

— Jedziemy dalej! — zabrzmiał nowy rozkaz.

— Zdaje mi się, że nie powinniśmy tego czynić, panie generale — zauważył niechętnie wywiadowca.

Wskazał opaloną, ciemną dłonią na wiodącą w dół pomiędzy skałami pochyłość i dodał stanowczym tonem:

— Tylko tędy uda się nam zjechać.

Neale rzucił w tej chwili złym spojrzeniem na Siuksów.

— Zatrzymajmy się lepiej — jęknął. — Jestem pewny, że rozgromimy tę bandę!

— Teraz jeszcze nie możemy ich zaczepiać — orzekł zimno generał. — Naprzód!

Znów więc rozpoczęła się karkołomna jazda po najeżonym złomami skał terenie. Gdzieniegdzie droga stawała się nieco lepsza i takie odcinki przebywano w czasie znacznie krótszym. Indianie jednak posuwali się zupełnie równolegle, a w pewnej chwili zniknęli co było szczegółem bardzo niepokojącym, gdyż nie wiadomo było, kiedy i gdzie ukażą się znowu.

Słońce tymczasem chyliło się już ku zachodowi i zaniepokojenie inżynierów poczęło się wzmagać. Okrzyk Neale'a, jadącego na tyłach gromadki, ostrzegł wszystkich, że Indianie przebyli dolinę i pościg stał się już bezpośredni. Generał Lodge rozkazał wówczas przygotować broń i zwrócić się przeciwko prześladowcom.

Zręczny ten manewr zaszachował Siuksów, którzy zatrzymali się w niepewności, co mają czynić.

— Mam wrażenie, że chcą doczekać się zmierzchu — zauważył po chwili wywiadowca King.

— Naprzód! — przerwał mu generał.

Kopyta rumaków znowu zadzwoniły o kamienie skalistej drogi, ale zmrok jął zapadać coraz szybciej, co podwajało trudność i niebezpieczeństwo ucieczki, uniemożliwiając jednocześnie zbiegom dawanie sygnałów wojsku. Któryś z inżynierów wreszcie wysforował się naprzód i wypalił kilka razy ze strzelby, podczas gdy pozostali zatrzymali się u podnóża potężnej skały, aby, w razie nadmiernego zbliżenia się Indian, zmusić ich do odwrotu. Szczęście sprzyjało im tym razem.

Żołnierze usłyszeli dawane im sygnały i odpowiedzieli na nie wystrzałami. A w chwilę po zapadnięciu zmroku oddział pułkownika Dillona spotkał się z inżynierami na pochyłości zbocza doliny, podczas gdy Indianie zniknęli gdzieś pod osłoną nocy.

Pomyślne wymknięcie się z rąk czerwonoskórych zbójów stało się hasłem do ogólnej, wielce hałaśliwej radości, której nie podzielał tylko Neale, utrzymujący, że wolałby zmierzyć się z Siuksami.

— Mnie również ręce swędziły — odezwał się, niby echo, wierny sprzymierzeniec młodego mierniczego.

A generał Lodge zadał pułkownikowi Dillonowi pytanie, które zdziwiło wszystkich.

— Czy pochód nie nastręczył panu żadnych, szczególnych trudności, pułkowniku?

— Nie, panie generale.

— To bardzo dobrze — zabrzmiała spokojna odpowiedź.

Naczelny inżynier tego wieczora nie udał się wcale na spoczynek, lecz długo jeszcze błądził wśród skał i zarośli, badając uważnie okolicę, po czym zebrał swych najbliższych pomocników i przemówił do nich pełnym zapału głosem:

— Słuchajcie! — rzekł. — Mieliśmy istotnie bardzo niebezpieczną przygodę, ale wyszliśmy z niej cało i, co więcej, odnaleźliśmy właściwe przejście wśród gór Wyoming. Zaraz jutro poddamy pomiarom tę długą krawędź, która niechaj odtąd, na cześć owych czerwonych diabłów, nosi miano Przełęczy Siuksów.

Nazajutrz rano gwałtowne szarpnięcie zbudziło Neale'a z ciężkiego, pozbawionego wszelkich marzeń snu.

— Obudź się prędzej! — mówił King. — Obudź się i nadstaw uszu.

Neale usłyszał rozlegający się w oddali przeciągły dźwięk rogu i odrzucił niezwłocznie kołdrę.

— Co to jest, Larry? — spytał, sięgając po obuwie.

— Indianie — oświadczył cowboy.

Świtało zaledwie, ale w obozie wrzało już życie. Tu i tam biegali żołnierze, poszukując swych wierzchowców, strzelb i siodeł.

— Przyprowadź nasze konie, Larry, a ja pójdę tymczasem spytać, co się tam dzieje! — krzyknął Neale.

King pobiegł posłusznie, zapinając po drodze swój pas, Neale zaś udał się do obozu. Spotkał tam niebawem porucznika Lesliego, który powiedział mu, że tylko co przybył jeden z wywiadowców z wiadomością o napadzie, jaki zdarzył się w pobliżu. Pułkownik Dillon postanowił wobec tego wysłać na odsiecz napadniętym część swego oddziału.

— Ja również pojadę! — zawołał Neale. — Gdzie jest ten wywiadowca?

Porucznik Leslie wskazał na postać, odzianą w kaftan z jeleniej skóry, i młody mierniczy pobiegł żwawo dowiedzieć się o szczegółach napadu. Stanął niebawem przed nowoprzybyłym i odgadł natychmiast, że musi to być traper lub myśliwy.

— Jestem Neale — rzekł, wyciągając dłoń. — Czy mogę służyć panu pomocą?

Nieznajomy obrzucił młodzieńca badawczym wzrokiem.

— Nazywam się Slingerland — odparł z wolna, ściskając podaną sobie rękę. — Czy jest pan oficerem?

— Nie. Zawodem moim jest miernictwo. Ale to nic nie znaczy. Umiem bardzo dobrze jeździć konno i strzelać, a mam tu przyjaciela — cowboya z Teksasu, który chętnie uda się wraz ze mną. Może zechce pan mi powiedzieć, co się właściwie stało?

— Sam nic nie wiem jeszcze, ale spodziewam się wszystkiego najgorszego — odrzekł traper. — Zauważyłem, że Siuksowie tropią ciągnącą na Wschód karawanę i ostrzegłem niezwłocznie jej kierownika. Powiedziałem, aby zwinął obóz i umykał jak najszybciej, a potem pojechałem szukać żołnierzy. Niestety, oddział wasz zmienił tymczasem miejsce pobytu, dopiero teraz więc udało mi się zawiadomić dowódcę. Obawiam się więc, że jest już za późno, aby podążyć z odsieczą.

— Czy była to większa karawana? — spytał z zaciekawieniem Neale.

— Sześć wozów zaledwie. Kilkunastu mężczyzn, dwie kobiety i jedna dziewczyna.

— Dziewczyna? — wykrzyknął młodzieniec.

— Tak. Musi mieć chyba około szesnastu lat. Jest bardzo ładna i posiada cudne, wielkie oczy. Chciałem zabrać ją z sobą. Wszyscy towarzysze prosili, aby ratowała się ucieczką. Ale cóż? Nie chciała... Obawiam się, że...

Slingerland nie dokończył zdania, gdyż w tej chwili nadjechał King, prowadząc za uzdę wierzchowca swego przyjaciela, i traper spojrzał nań badawczo.

— Kiedy wyruszamy? — zagadnął cowboy, patrząc w przestrzeń.

W zimnych jego oczach nie było ani śladu żadnego zaciekawienia. Spokojny, obojętny niemal wyraz twarzy Kinga stanowił rażący kontrast z ruchliwą, pełną energii twarzą Neale'a.

— Zabrałeś strzelby, jak widzę — zauważył z zadowoleniem młody mierniczy.

— Nie tylko. Zdążyłem wziąć również nieco biszkoptów.

Żołnierze w ciągu kilku minut zakończyli przygotowania do pochodu i siedli na konie, po czym Slingerland powiódł ich ku dolinie, po której przebyciu zaczęli wspinać się wzwyż po stromej pochyłości skalnego wzgórza.

Całą milę jechali wyżyną, po czym napotkali nowy wąwóz, w którego głąb zapuścili się niezwłocznie. Tak więc, wspinając się na szczyty i zjeżdżając w dół na przemiany, zatrzymali się wreszcie na krawędzi wzgórza, skąd było widać bielejącą na dnie doliny wstęgę szlaku św. Wawrzyńca. Kopyta wierzchowców zadudniły wprędce po wyboistej drodze i w chwili, gdy słońce podniosło się z poza skał. Slingerland wskazał żołnierzom miejsce niedawnego postoju karawany. Teraz widniały tu wszędzie ślady kopyt niepodkutych koni.

— Spóźniliśmy się! — zauważył traper, zagryzając wargi.

Rozejrzał się jeszcze raz po okolicy i pogalopował naprzód, wzywając swych towarzyszy do pośpiechu. Dolinę przebyto w bardzo szybkim tempie, po czym bieg rumaków zwolnił nieco wobec nierówności chropowatej drogi.

W pewnej chwili Slingerland wstrzymał swego wierzchowca, gdyż uwagę jego zwrócił jakiś podejrzany przedmiot, znajdujący się tuż przy drodze. Po bliższym zbadaniu okazało się, że jest to zwęglony zupełnie szkielet spalonego wozu. Nigdzie natomiast nie było widać śladu wołów, które go tu przyciągnęły.

Dalej poczęli znajdować rozsiane na gościńcu różne przedmioty domowego użytku, jak garnki, koce lub poduszki, a jeszcze dalej natrafili na ślad kół, wiodący w zarośla, co dowodziło, że wędrowcy zboczyli tu pospiesznie z drogi. Teren w tym miejscu był z lekka falisty i z rzadka zaledwie porośnięty krzakami, a na krańcu polany znajdowały się wyraźne ślady rzezi, jaka się tu niedawno odbyła. Żołnierze z daleka już ujrzeli resztki zwęglonych wozów i leżące wśród nich trupy.

Neale pierwszy zeskoczył z siodła, a w ślad za nim to samo uczynił King.

— O Boże! — westchnął cowboy.

Ściskając w rękach broń, weszli obydwaj pomiędzy szczątki dwóch spalonych wozów. Leżały tu w nieprawdopodobnych wprost pozycjach nagie, okaleczone strasznie zwłoki pomordowanych. Wszystkie trupy przy tym były oskalpowane i pławiły się w kałużach krwi.

W tej chwili nadjechał Slingerland z żołnierzami i niebawem wszyscy już chodzili między zwęglonymi wozami, oglądając zabitych i mrucząc przekleństwa.

Pułkownik Dillon polecił wreszcie odszukać wszystko, co mogłoby dopomóc do ustalenia nazwisk pomordowanych. Przy trupach nic jednak nie znaleziono. Wszystkie przedmioty, stanowiące własność wędrowców, były zrabowane lub spalone. Na pobojowisku pozostały tylko dwie łopaty ze zwęglonymi doszczętnie rękojeściami. Żołnierze użyli ich do wykopania grobu, w którym pochowano okrwawione trupy.

Młody mierniczy początkowo uległ całkowicie wrażeniu straszliwego widowiska. Oddalił się więc nieco, aby ochłonąć i dać nerwom chwilę niezbędnego wypoczynku. Czoło zrosił mu obfity pot, a pierś rozsadzał szalony gniew. Nic dziwnego. Po raz pierwszy w życiu wszakże zobaczył własnymi oczami ślady szatańskiego okrucieństwa dzikich czerwonoskórych.

Drgnął nagle, gdyż wydało mu się, że słyszy słaby jęk.

— Halucynacja — powiedział sobie.

Ale jednocześnie zerwał się z ziemi, nie mogąc opanować rozigranych nerwów, i podszedł do żołnierzy, grzebiących trupy. W tej chwili składano do grobu zwłoki kobiety, których widok przypomniał młodzieńcowi opowiadanie Slingerlanda. Ujrzał jednocześnie rozglądającego się po okolicy wywiadowcę i zbliżył się do niego niezwłocznie.

— Czy odszukaliście dziewczynę? — spytał.

— Nie jeszcze. Przypuszczam, że ci zbóje uprowadzili ją z sobą, o ile nie postradała życia.

— Wolałbym, aby raczej nie żyła.

— To samo życzenie wypowiedział przed chwilą Slingerland — mruknął wywiadowca.

Poszukiwania nie dały żadnego wyniku i dziewczynę uznano za zaginioną.

— Postaram się dowiedzieć coś o jej losie — rzekł Slingerland. — Znajduję się przecież w stosunkach przyjaznych z tą bandą Siuksów.

— Ależ, człowieku! — przeraził się pułkownik Dillon. — Należy wszak pamiętać, że oni wstąpili na wojenną ścieżkę i zerwali wszelkie stosunki z białymi.

— Prowadziłem już handel zamienny z tymi samymi Siuksami nawet w czasie, gdy kroczyli wojenną ścieżką. Nie wyrządzili mi jednak nigdy żadnej krzywdy... Rozumiem wprawdzie, że trzeba ich stąd wypędzić. Ale ostatecznie... Indianie są tylko Indianami.

Grób zasypano tymczasem i przywalono ciężkim złomem skalnym, po czym żołnierze osiodłali swe wierzchowce, nie mając tu już nic więcej do roboty.

Neale, Slingerland i Larry King wsiedli na koń ostatni. I w tej chwili właśnie Neale przypomniał sobie ów dziwny jęk, a może usłyszał go znowu, gdyż wstrzymał nagle swego wierzchowca.

— Zostanę tu jeszcze trochę — oświadczył.

— Ale po co? — zdziwił się traper.

King również ze zdumieniem spojrzał na przyjaciela.

— Jestem z siebie niezadowolony — wyjaśnił mu Neale i w krótkich słowach opowiedział o swej halucynacji słuchowej.

Cowboy pokręcił głową.

— Zdaje mi się, że zaczynasz tracić rozsądek — wycedził przez zęby.

— Może masz słuszność. Zostaję jednak. Czy będziesz mi towarzyszyć?

— Oczywiście — mruknął King ze zniecierpliwieniem.

Slingerland zajął stanowisko wyczekujące i, siedząc nieruchomo na swym wierzchowcu, począł wpatrywać się w obłok kurzawy, okrywającej posuwających się wolno naprzód żołnierzy.

Neale zeskoczył z siodła i porzucił uzdę, rozglądając się dokoła bystrym wzrokiem. King jednak, który zawsze czuł się pewniej na grzbiecie swego rumaka, nie opuścił siodła. A młody mierniczy odruchowo zupełnie podążył w pewnym określonym kierunku, ku grupie skał. Nie słyszał dotąd nic jeszcze, prócz lekkiego szelestu liści, poruszanych przez wiatr. Cały teren rzezi był dokładnie zbadany i zdawało się, że nie ma takiego zakątka, którego by nie przeszukano.

Dziwaczne przeczucia młodzieńca nie miały zatem na pozór żadnej podstawy. A jednak Neale nie chciał uznać, że powoduje się wyłącznie intuicją. Byłby gotów przysiąc, że słyszy jakiś głos, wzywający go na pomoc.

Z tym przeświadczeniem młody mierniczy zabrał się do poszukiwań z całą cechującą go zaciętością. Nieco dalej znajdowały się jakieś kolące krzaki. Neale zagłębił się w ten gąszcz i wówczas słuch jego pochwycił już wyraźnie słaby jęk, podobny do westchnienia.

— Red! Chodź tu co prędzej! — krzyknął głosem, którego brzmienie podziałało na cowboya niby prąd elektryczny.

Obydwaj razem w chwilę potem rozchylili gałęzie krzewów i Neale'owi serce zamarło nagle w piersi. Ujrzał leżące na ziemi zwoje jasnych włosów. Pierwszą jego myślą było, że znalazł skalp, którego nie zdążyli zabrać dzicy.

Ale King, stojący tuż przy nim, wykrzyknął nagle:

— Słuchaj! Przecież to jest dziewczyna!

— Aha! Ta sama, o której mówił mi Slingerland — rzekł Neale, odzyskawszy wreszcie równowagę. — Dziewczyna, o wielkich, błękitnych oczach.

Dotknął lekko dłonią jej czoła i poczuł, że jest ciepła. Zadrżał jednocześnie, gdyż przez głowę przemknęła mu myśl, że dziewczyna może znajdować się w agonii.

W tej chwili nadjechał Slingerland.

— Co znaleźliście tam, chłopcy? — spytał z zaciekawieniem.

— Dziewczynę — odparł Neale.

Slingerland błyskawicznym ruchem ześliznął się z siodła, a Neale tymczasem ostrożnie podniósł leżącą, starając się posadzić ją na trawie. Wysiłki te były bezskuteczne. Dziewczyna leciała mu przez ręce i Neale począł wreszcie poszukiwać pełnym niepokoju wzrokiem śladów krwi na jej ciele, ale nie znalazł nic.

— Przypominam sobie teraz te włosy — zauważył Slingerland — spróbujcie no chłopcy odwrócić ją teraz twarzą do ziemi.

— Zgaduję, że musi mieć ranę na plecach — mruknął King.

Neale musiał być zapewne tego samego zdania, gdyż widocznie obawiał się wykonać zlecenie trapera.

— Okazało się, że to jest już prawie dorosła osoba — rzekł jakby pragnąc zmienić bieg swych myśli.

Powiedziawszy to, spróbował ponownie dźwignąć zemdloną i wtedy poczuł na rękach coś wilgotnego i lepkiego. Spojrzał i przekonał się z przerażeniem, że była to krew.

— Oho! — zawołał King.

— Czego się dziwisz? — spytał Slingerland. — Dostała zapewne postrzał i z przestrachu ukryła się w krzakach. Zobaczymy! Może uda nam się ją jeszcze odratować.

Uwaga ta podziałała niezwłocznie na młodego mierniczego który otrząsnął się z odrętwienia i, podniósłszy ostrożnie głowę dziewczyny, złożył ją sobie na kolanach. Spod bujnych zwojów złocistych włosów wyjrzała teraz śmiertelnie blada twarz. Okazało się przy tym, że pierś i ręce dziewczyny zbroczone są krwią.

— Musi mieć zapewne głęboką ranę — zauważył King.

— Nie — odparł Slingerland. — Ranną oskalpowano by niezawodnie. Może jednak drasnęła ją jakaś zabłąkana strzała.

Neal obmacał szybko dłońmi głowę dziewczyny i potrząsnął głową przecząco.

— Odzież jest nienaruszona — oświadczył.

— Zatem bardzo możliwe, że zbryzgała ją cudza krew — rzekł traper.

Młody mierniczy rozdarł bluzkę nie dającej znaku życia ofiary Indian i dotknął ręką jej ciała. Było ciepłe, ale uderzeń serca zupełnie się nie wyczuwało.

— Te jęki, które słyszałem, musiały być jej ostatnim tchnieniem — szepnął tragicznie, załamując ręce.

— Widziałem już wielu nieżywych ludzi, ale ta młoda osoba nie wygląda mi jakoś na umarłą — zauważył sceptycznie King. — Spróbuj jeszcze pomacać jej puls.

Neale usłuchał i ku swej nieopisanej radości wyczuł, że puls dziewczyny bije bardzo regularnie.

— Boże! Jakiż ja jestem niemądry! — zawołał. — Przecież ona żyje. No, tak! Żyje i nie jest ranna.

— Na razie przynajmniej nie widzimy żadnej rany na jej ciele — wtrącił ostrożnie traper.

— Może znajdziemy ją po bliższym zbadaniu — dodał King.

— Ach, nie! — wykrzyknął młodzieniec. — Ta krew na bluzce i rękach wytrysnęła z innego ciała; najprawdopodobniej jej zamordowanej matki. Red! Biegnij zaraz po wodę. Możesz użyć do tego swego wielkiego kapelusza. Panie Slingerland! Proszę pojechać po żołnierzy!

Traper wskoczył niezwłocznie na swego rumaka, ale nie kwapił się z odjazdem.

— Słuchajcie! — rzekł. — Mam pomysł. Zawieźmy tę dziewczynę do mego szałasu, który znajduje się w pobliżu. Lekarza wojskowego możemy tam zawsze w razie potrzeby przywieźć.

— A Siuksowie?

— Och, nie zrobią jej nic złego, gdy będzie przy mnie. Paliłem przecież z nimi fajkę pokoju.

— Zgadzam się — oświadczył Neale. — Musi pan jednak udać się po żołnierzy i zameldować pułkownikowi Dillonowi, że znaleźliśmy dziewczynę.

Slingerland puścił konia galopem i zniknął wprędce w obłoku kurzawy. A Neale spojrzał pełnym zdumienia wzrokiem na uratowaną przez siebie ofiarę okrucieństwa czerwonoskórych. Blade jej wargi rozchyliły się właśnie, jakby do wydania nowego słabego jęku i młody człowiek pomyślał ze wzruszeniem, że taki sam odgłos zmusił go do wszczęcia poszukiwań. Myśl ta jednak spotkała się z niezwłocznym sprzeciwem.

Nie! Coś innego jeszcze odegrało tu rolę. Był to jakiś nakaz wewnętrzny, trudny do wytłumaczenia, ale nieodparty. Neale takie nakazy miewał od czasu do czasu, nie zdając sobie sprawy z ich pochodzenia lecz wierząc w nie ślepo. Dziwiło go jednak, że w danym wypadku chodziło o kobietę. Och, Warren Neale był jeszcze taki młody! Kobiety w życiu jego nie grały dotąd prawie żadnej roli.

Z zadum y wyprowadziło go przybycie Reda Kinga niosącego pełne wody sombrero.

— Obmyj jej przede wszystkim ręce, aby nie zobaczyła krwi po powrocie do przytomności — polecił mu młodzieniec.

Cowboy wykonał powierzony sobie zabieg z taką delikatnością, jakby był zawodową pielęgniarką, a w chwilę potem dziewczyna otworzyła swe

wielkie ciemnobłękitne oczy. W ich wyrazie nie było jednak jeszcze przytomności. Gdzieś, w głębi źrenic czaiło się przerażenie, które na próżno starała się rozwiać drżąca ręka.

— Niechże pani przestanie się obawiać — rzekł łagodnie Neale. — Indian już nie ma, a pani jest ocalona.

Zrozumiała znaczenie jego słów i przez chwilę spoglądała nań szeroko rozwartymi fiołkowymi oczami.

Wprędce jednak powieki jej opadły, ręce wyciągnęły się, jakby pragnąc odepchnąć niewidzialnego wroga, a z ust wydarł się przejmujący krzyk. W chwilę potem zaś ciało dziewczyny znowu opadło bezwładnie na ziemię.

W tej chwili nadjechał Slingerland.

— Czy nie udało się wam jej docucić? — spytał.

— Owszem! Na krótką chwilę — odparł złamanym głosem Neale.

— No, to już dobrze... Mówiłem z pułkownikiem Dillonem. Ucieszył się bardzo, że odnaleźliśmy tę dziewczynę, ale żołnierzy przysłać nie chciał. Powiedział, że uważa to za zbyteczne, skoro zawieziemy ją do mojej chaty. Obiecał natomiast wytłumaczyć wobec generała pana nieobecność.

— Jedźmy zatem — oświadczył krótko Neale.

Dźwignął z trudem zemdloną dziewczynę i poniósł ją ku miejscu, gdzie pasł się jego wierzchowiec. Wierny King dopomógł mu przy wsiadaniu, po czym ruszyli obaj w ślad za wskazującym im drogę traperem.

Rozdział VI

Domek myśliwski znajdował się w pięknej, ale dzikiej dolinie, którą dzieliło około dziewięciu mil od miejsca krwawej rzezi, a blisko piętnaście od obozu inżynierów.

Dojazd był uciążliwy i zabrał jeźdźcom dość dużo czasu, ale Neale nie narzekał na trudy podróży, tyle zaledwie zwracając uwagi na nierówności terenu, ile potrzebował dla zapamiętania drogi. Czuwał natomiast troskliwie nad spoczywającą w jego ramionach dziewczyną.

Dwa razy spostrzegł, że otwiera oczy. Zdawała się jednak nic nie widzieć i mocniej tylko przyciskała się do swego wybawcy. Młody mierniczy więc poczynał przypuszczać, że nadzieje jego szły zbyt daleko. Ciało dziewczyny ciążyło mu w ramionach coraz więcej, coraz bezwładniej i stawało się jakby chłodniejsze. A Neale pomyślał przy tym, że w razie powrotu dziewczyny do przytomności nie zdoła jej może uspokoić. Nieszczęśliwa oszaleje chyba z bólu i przerażenia, przypomniawszy sobie o swych straszliwych przejściach, a on nie będzie potrafił ukoić jej żalu po stracie najbliższych osób. Może... może byłoby nawet lepiej, gdyby nie żyła.

Ostatnią milę jechali dnem uroczej, pełnej zieleni doimy o stromych zboczach. Zatrzymali się w miejscu, gdzie piękny wąwóz tworzył zakręt. Tutaj, spod wielkich skalnych złomów tryskało kryształowe źródełko, rozlewające się w zwierciadlaną taflę wodną. Nieco powyżej, wśród gąszczu zarośli i nagich, szarych skał, widniał sklecony z nieociosanych bali szałas o palenisku z surowych głazów.

— No, cóż? Jesteśmy już na miejscu — oznajmił Slingerland, a zadowolony ton głosu świadczył, że traper czuje się tu naprawdę gospodarzem i panem.

— Któż tu zbudował ten pałac? — wycedził przez zęby Red King, zeskakując z konia.

— Ja i mój towarzysz — odparł z dumą Slingerland. — Zbudowaliśmy go w czasie, kiedy, prócz nas, nie było jeszcze w górach Wyoming białych ludzi. Teraz mieszkam tu sam. Musisz być pewnie bardzo zmęczony, synu — dodał, zwracając się do Neale'a. — Oho! Nasza dziewczynka jest blada jak papier. Daj mi ją co prędzej, gdyż obawiam się, że podróż nie wpłynęła zbyt dodatnio na stan jej zdrowia.

Wziął w ramiona podane sobie ciało i złożył je ostrożnie na miękkiej murawie, po czym wszyscy trzej stanęli obok, wpatrując się z niepokojem w pobladłą twarz cudem uratowanej ofiary.

— Więcej nic już na razie dla niej nie możemy zrobić — rzekł wreszcie traper.

Red King rozłożył w milczeniu ręce, jakby uznając swą zupełną bezradność. Neale również nie odezwał się ani słowem, pragnąc jedynie, aby oczy dziewczyny po przebudzeniu spoczęły przede wszystkim na nim.

— Pójdę zrobić tymczasem trochę porządku w mojej norze — odezwał się traper.

— Pomóż panu Slingerlandowi, Red — poprosił Neale. — Zajmij się końmi.

— Rozsiodłam je i puszczę luzem — odparł cowboy. — Nikt ich nam tu nie ukradnie.

Domek myśliwski Slingerlanda składał się z dwóch izb, przy czym jedna z nich była o wiele większa i nowsza od drugiej. Przybudówka ta stanowiła część mieszkalną szałasu, podczas gdy mniejsza izba służyła za skład skór i innych łupów myśliwskich trapera. Wszystko to wyniesiono teraz na dwór i złożono pod drzewami, po czym okazało się, że izdebka ma dwa okna, a za całe umeblowanie posiada tylko stół oraz kilka innych niezdarnie wyciosanych z drzewa sprzętów domowych. Mężczyźni wyprzątnęli troskliwie ten ubogi pokoik. Podłogę zasłano skórami jeleni, odwróconymi futrem na wierzch. Za łoże posłużyła wiązka skór bawolich, którą przykryto barwnemu indiańskimi kocami.

Po zakończeniu tych wszystkich przygotowań traper zdjął wielką, futrzaną czapę i, poskrobawszy się po siwiejącej głowie, mrugnął znacząco na Neale‛a i Kinga.

— Słuchajcie, chłopcy! — rzekł z udaną powagą. — Może byście teraz dostarczyli tu trochę przyborów toaletowych, w których tak bardzo lubują się wszystkie dziewice.

Red King wybuchnął swym zwykłym, beztroskim śmiechem.

— No, ma się rozumieć — odparł. — Zaraz przyniosę tu lustro, perfumy, puder i różne inne dobre rzeczy. Mamy tego w bród w obozie.

Dowcipy te jednak bynajmniej nie zdołały rozchmurzyć Neale'a, którego naprawdę niepokoił stan zdrowia dziewczyny. O wygody jej nie chodziło mu zupełnie.

— Biegnij no szybko na dwór! — krzyknął nagle Slingerland, chwytając go za ramię.

Młodzieniec wypadł z izdebki, spostrzegłszy w tej chwili, że dziewczyna ocknęła się już i siedzi na ziemi, oglądając się dokoła błędnym wzrokiem. Na widok nieznajomego drgnęła nerwowo, wydając jednocześnie przenikliwy okrzyk.

Drżała jeszcze na całym ciele, gdy zbliżył się do niej.

— Kim pan jest? — wyjąkała, patrząc nań z przerażeniem.

— Nazywam się Warren Neale, proszę pani — odparł łagodnie młodzieniec.

Usiadł obok dziewczyny i wziął do ręki jej dłoń, radując się, że nareszcie rozsądnie przemawia.

— Gdzież ja się znajduję?

— W domu pewnego trapera. Przywiozłem panią właśnie tutaj, gdyż nigdzie w pobliżu nie ma lepszego pomieszczenia.

— Wydarł mnie pan zatem z rąk czerwonoskórych? — zagadnęła złamanym głosem.

— Tak... tak — odparł pośpiesznie Neale. — Ale... proszę już nie myśleć o Indianach. Oni poszli sobie precz.

Nie wiedział sam, co ma mówić, gdyż przeraził się bardzo, widząc, że oczy dziewczyny poczyna powlekać znowu biaława mgła zgrozy.

— Och, matka! — jęknęła, drżąc konwulsyjnie. — Matka... Zamordowali ją ci zbóje... O, tak! Widziałam, jak zabijali wszystkich... Moja matka padła od ciosu noża... Nie krzyknęła nawet... Nie... Tylko jej krew trysnęła na mnie... A ja żyję... O, Boże!... Czemuż... czemuż nie umarłam?...

Jęknęła jeszcze raz i opadła bezwładnie na ziemię.

W tej chwili Slingerland i King wyszli z chaty i stanęli przy Neale'u, przypatrując się ofierze czerwonoskórych.

— Jej życiu nie grozi żadne niebezpieczeństwo — rzekł wreszcie traper. — Znam się na tym. Przyjdzie do siebie z całą pewnością. Musimy jednak w ciągu kilku dni jeszcze czuwać bardzo pilnie, aby nie zrobiła sobie czegoś złego.

Neale wziął na siebie skwapliwie ten obowiązek i czuwał nad biedną dziewczyną przez całe dwie doby, z wyjątkiem tych krótkich okresów, kiedy zasypiała. Wtedy przy łożu jej zmieniał Neale'a wierny King. Budząc się, miewała czasami chwile przytomności i wówczas poznawała Neale'a, przeważnie jednak bredziła jakby w gorączce, lub leżała, nie dając żadnego znaku życia.

Na trzeci dzień dopiero zachowanie chorej wzbudziło otuchę w Neale'u. Dziewczyna zbudziła się słaba bardzo, ale zupełnie przytomna. Korzystając z tego, Neale wszczął z nią rozmowę. Zaledwie wspomniał przy tym o strasznym napadzie, w którym postradali życie jej najbliżsi, starając się mówić wyłącznie o nowym życiu, na którego progu się znajdowała.

Słuchała go w milczeniu, zdradzając trudną do pokonania obojętność dla wszystkiego, o czym mówił. Niełatwo też było nakłonić ją do przyjęcia posiłku. Nie chciała ruszyć się z miejsca. Neale oświadczył jej wreszcie, że musi powrócić już do obozu, gdzie czeka nań praca, obiecując przyjechać za parę dni. Wiadomość ta nie zrobiła jednakże na chorej żadnego widocznego wrażenia. Młodzieniec wyszedł, a ona nie odezwała się, ani nawet otworzyła oczu.

Neale był zrozpaczony, ale Slingerland dodał mu nieco otuchy.

— Niechże pan się nie martwi— rzekł, gdy Red przyprowadził oba wierzchowce. — Ręczę, że w najbliższych dniach dziewczyna stanie się zupełnie normalna.

— Ależ, oczywiście — dodał skwapliwie cowboy. — Czas ją uleczy. Widziałem często takie same wypadki w Teksasie, gdzie nagła śmierć zabiera ofiary z każdej niemal rodziny.

Neale westchnął ciężko.

— Och, nie mam co do tego żadnej pewności — rzekł smutnie. — Wrażliwość jej jest znacznie większa, niż możecie sobie wyobrazić. Wątpię, czy zdoła przeboleć kiedykolwiek swą stratę... Miejmy jednak nadzieję, że wszystko zakończy się pomyślnie. A teraz żegnam pana, ufając, że otoczy

ją pan najtroskliwszą opieką. Za kilka dni przyjadę tutaj. Muszę pomówić z tą dziewczyną, aby zdobyć wskazówki dla odszukania jej krewnych.

— Podoba mi się bardzo serdeczność, z jaką zaopiekował się pan tą biedaczką — odparł traper. — Nie miałem nigdy żony ani córki. Rozumiem jednak, czym musi być dla młodej dziewczyny śmierć wszystkich ukochanych oglądana na własne oczy.

— Ja również — rzekł z uczuciem Red. — Ona wciąż jeszcze przeżywa tę straszną scenę.

— Czy mamy spodziewać się spotkania z Indianami, panie Slingerland? — zagadnął Neale.

— Nie sądzę. Siuksowie po tej sprawce umknęli zapewne daleko. Musicie jednakże mieć się na baczności i w razie, gdyby zastąpili wam drogę, umykać jak najspieszniej. Uda się wam to zresztą na pewno, gdyż posiadacie przecież bardzo dobre rumaki.

— To zasługa Kinga. On je ujeździł.

— Owszem — w trącił cowboy. — Znam świetnie te koniki i ręczę, że rączość ich w razie potrzeby ocali nam życie.

— No, to pięknie. Szczęśliwej drogi zatem i powracajcie tu jak najprędzej — rzekł traper.

Wypoczęte konie puściły się raźno w drogę. Przezorny cowboy jednak zmusił wprędce oba wierzchowce do równego biegu, aby, nie tracąc nic na szybkości, zaoszczędzić ich siły... Dzięki temu, po upływie trzech godzin zaledwie ujrzeli pierwsze czaty pułkownika Dillona, a w chwilę później znaleźli się już w obozie.

Wprędce po ich przybyciu, jeden po drugim, powrócili do obozu wszyscy inżynierowie, bardzo znużeni i od stóp do głów okryci kurzem, ale niezwykle zadowoleni. Udało im się bowiem przeprowadzić pomiary na całej długości Przełęczy Siuksów, a dalszy etap pracy zdawał się nastręczać znacznie mniej trudności. Nieobecność Neale’a przy tym pozostała niezauważona, gdyż nie potrzebowano na razie uciekać się do jego usług. Całe towarzystwo teraz dopiero dowiedziało się o ocaleniu młodej, nieznanej dziewczyny. Wiadomością tą ucieszyli się wszyscy, a wypytywaniom wprost nie było końca.

Młody mierniczy miał wrażenie, że zwierzchnik przypatruje mu się tak badawczo, jakby kilkugodzinna nieobecność wyryła na jego twarzy jakieś szczególne ślady. Nie dziwił się temu zresztą, zdając sobie sprawę z pewnej zmiany, jaka nastąpiła w jego duszy. Nie mógł przecież zapomnieć o tej dziewczynie i o przejmująco tragicznym wyrazie jej oczu.

— Nie rozumiem doprawdy, co się ze mną dzieje — powtarzał sobie w duchu. — Eh, głupstwo! Żałuję jej po prostu.

A nazajutrz młody mierniczy jeszcze raz zabłysnął swymi zgoła niepospolitymi zdolnościami wobec wszystkich inżynierów i znowu zyskał sobie milczącą pochwałę zwierzchnika. Sprawiło mu to wielką przyjemność, dodając jednocześnie bodźca do dalszej pracy, której pomyślny wynik przestał w nim budzić wątpliwości.

W końcu tygodnia jednak z zapału tego wyprowadził go King, który ni stąd, ni zowąd począł się uskarżać na zbyt ciężką pracę.

— Widzisz, co się stało z moimi butami? — począł wyrzekać, pokazując przyjacielowi pełne dziur podeszwy. — Jeszcze dzień lub dwa, a nie będę mógł w nich zupełnie chodzić. Za dużo każesz mi biegać.

— Po cóż więc chodzisz ciągle w butach z cholewami? — spytał z niezadowoleniem Neale.

— Może mam nosić takie, jak ty?

— Ma się rozumieć. Innych nie można używać przy naszej pracy. Tu trzeba się zwijać.

Red spoglądał na swego przyjaciela z szczególnym wyrazem w oczach.

— Przypominam sobie teraz, że wczoraj zganiłeś mnie za powolność.

— Ach, zawsze jesteś zbyt powolny! Ruszasz się dobrze tylko w tych wypadkach, kiedy uda ci się dosiąść konia.

Neale lubił robić surowe wymówki Ringowi i nie liczył się nigdy ze słowami, a cowboy, który drobnej części tego nie zniósłby od kogoś innego, pozwalał mu na wszystko. Teraz jednak zniecierpliwił się.

— Nie zobowiązywałem się do ciągłego łażenia po górach — mruknął. — Poszukaj sobie innego pomocnika, jeśli jesteś niezadowolony ze mnie.

— Doskonale. Zaraz jutro sporządzę umowę z Caseyem. Albo nie. Mam lepszy pomysł. Casey też jest zbyt powolny. Poproszę, aby przydano mi do pomocy Murzyna.

Red King poprawił pasa i w błękitnych jego źrenicach zamigotał dziwnie chłodny blask.

— Ano, spróbuj — rzekł przeciągle. — Zobaczysz wówczas, że już nazajutrz trzeba będzie tego Murzyna pochować z należnymi honorami.

Neale roześmiał się wesoło. Wiedział wszak coś niecoś o nienawiści, z jaką King traktował czarnych, a podejrzewał przy tym, że zawzięty cowboy wielu z nich ma już na sumieniu.

— Uspokój się, Red — rzekł przyjaźnie. — Nie chcę wywoływać rozlewu krwi. Wolę już raczej męczyć się z tobą... Ale, jak myślisz? Może byśmy zrobili sobie mały, jednodniowy odpoczynek i pojechali na parę godzin do Slingerlanda? Co?

Czerwona twarz cowboya rozpłynęła się w szerokim uśmiechu.

— Uczyniłbym to z prawdziwą rozkoszą — oświadczył skwapliwie. — Trzeba przecież dowiedzieć się, co porabia nasza dziewczynka.

— Przejdź się zatem po obozie i sprawdź, czy nie dałoby się czegoś dla niej zabrać.

— Czy namawiasz mnie do kradzieży? — zdumiał się King.

— Skądże znowu? Nic nie zabierzemy bez pozwolenia, chyba... chyba, że będziemy musieli, — odparł Neale po namyśle. — Slingerland przecież nie posiada nawet ręczników, a ta dziewczyna na pewno była przyzwyczajona do wszelkich wygód... Poczekaj zresztą. Ja mogę oddać jej lusterko i szczotkę do włosów. Ty też, jak sądzę, znajdziesz coś wśród swych gratów... No, Red! Pędź na poszukiwania.

Obydwaj rozpoczęli je od starannego przeglądu własnego ubogiego mienia, wybierając zeń starannie wszystko, co mogło przydać się dziewczynie, przebywającej w pozbawionej wszelkich wygód leśnej chacie.

Obeszli przy tym starannie wszystkie namioty, wypraszając różne przedmioty toaletowe od inżynierów, którzy zresztą ofiarowywali je dość

chętnie. Dał coś nawet poważny generał Lodge, który, spojrzawszy na rozgorączkowaną twarz Neale'a, roześmiał się.

— Mam wrażenie, że poślubi pan niebawem tę panienkę — zauważył łagodnie.

Młodzieniec zarumienił się po same uszy.

— Ależ, panie generale — wy jąknął. — Ja wcale nie planowałem tego.

Inżynier naczelny jeszcze raz wybuchnął wesołym śmiechem, co stanowczo było oznaką zarówno dobrego humoru, jak i szczególnej sympatii dla podwładnego.

— Nie mam żadnej wątpliwości co do jej przyszłego losu — rzekł. — Ocalił pan przecież życie tej dziewczynie. A proszę nie zapominać, że czeka pana wysokie i zupełnie intratne stanowisko w zarządzie naszej kolei. O, tak! Proszę mi nie przeczyć. Wiem, co mówię.

Z sercem bijącym mocno ze wzruszenia Neale opuścił namiot swego zwierzchnika. Krótka ta rozmowa odsłoniła mu nagle jakieś nowe, nieznane dotąd horyzonty. Przez całą noc nie mógł zmrużyć oczu i skoro świt udał się wraz z Kingiem do leśnej sadyby Slingerlanda.

Słońce już stało wysoko, kiedy znaleźli się nareszcie w dolinie strumienia, u którego źródeł stała chatka trapera. W całej okolicy tchnęło wiosną. Jasno szmaragdowa zieleń krzewów bawełnianych i wikliny zdobiła przecudnie strome zbocza wąwozu, których krawędzie porastał las wysokopiennych świerków. W trawie błękitniały dzwonki, żółciła się lawenda i inne kwiaty, których nazwy nie znał Neale. W strumieniu pluskały się, wyskakując swawolnie w powietrze, srebrnołuskie pstrągi, a w gąszczu krzewów rozlegały się melodyjne głosy ptasząt.

Slingerland z daleka już spostrzegł swych gości i nadbiegł niezwłocznie, witając ich serdecznie. Ale Neale ze zwykłą sobie szorstkością odtrącił wyciągniętą dłoń trapera.

— Niechże pan powie prędzej, jak się miewa chora? — rzucił niecierpliwie.

— Oj, źle — odparł Slingerland ze szczerym smutkiem. — Nie chce nic jeść, nie odzywa się wcale i nie podnosi się z pościeli. Słabnie też w oczach.

— Czy nie próbował pan z nią rozmawiać?

— Owszem, ale bez powodzenia. Sama tylko odzywała się do mnie kilka razy, pytając, kiedy pan powróci. Potem przestała pytać. Zapomniała o panu widocznie. Pamięta za to na pewno o tej krwawej rzezi. Zgaduję to z wyrazu jej oczu.

Neale zeskoczył z wierzchowca i, zdjąwszy siodło oraz uzdę, puścił go na trawę, kładąc jednocześnie na ziemi przywiezioną paczkę. Robił to wszystko najzupełniej odruchowo, gdyż myślał o czym innym.

— Gdzie ona jest? — spytał wreszcie.

— A, tam wysoko, pod świerkami, gdzie sączy się źródło odparł traper. — Jest to jedyne miejsce, w którem lubi przebywać. Przypuszczam, że szmer wody działa kojąco na jej nerwy.

— Chodź, Red! — rzekł Neale. — Zaniesiemy jej przywiezione rzeczy.

Ale cowboy odmówił mu kategorycznie swego towarzystwa.

— Nic z tego — powiedział. — Idź sam. Ja nie umiem obchodzić się z chorymi dziewczętami.

Neale nie namawiał bynajmniej przyjaciela i udał się ochoczo do lasu, dźwigając ciężką paczkę. Znalazł się wprędce na pięknej łączce, porosłej bujną murawą, gęsto przetykaną kwieciem, i niebawem ujrzał siedzącą przy źródle samotną, jakby przez wszystkich opuszczoną, postać. A w chwili, kiedy ją zobaczył, uradował się jednocześnie i zasmucił. Drgnęła bowiem na odgłos jego kroków i zwróciła szybko ku niemu twarz, a on zauważył od razu, jak bardzo schudła i pobladła od czasu, gdy widział ją po raz pierwszy.

— Mój Boże! Ależ ona umrze chyba — pomyślał z rozpaczą młodzieniec. — Och, cóż mam jej powiedzieć?

Skierował się wprost ku niej, ale szedł wolno, starając się przy tym nie patrzyć dziewczynie w oczy.

— Dzień dobry, panienko! — zawołał. — Przywiozłem różne drobiazgi, które mogą się pani przydać w tej pustelni.

— Ach... to... pan? — wyszeptała głosem złamanym.

— Tak! To ja! Spodziewam się, że nie zapomniała pani mnie jeszcze. Proszę zobaczyć tylko, co przywiozłem. Wszystko to są rzeczy bardzo pożyteczne. Rozwiązał paczkę, pokazując z triumfem dostarczone przybory toaletowe, ale dziewczyna nie zaszczyciła ich nawet pobieżnym spojrzeniem. Wyraz jej twarzy nadal był zupełnie obojętny, o czym Neale przekonał się z prawdziwą rozpaczą. Przyglądając się bacznie siedzącej przed nim nieruchomej postaci, powziął wreszcie przekonanie, że uleczyć ją może jedynie silny wpływ magnetyczny, wspomagany przez bezmierną cierpliwość.

Rozumiał dobrze, że on sam wyjątkowo mało nadaje się do tego celu. Wszelkie trudności jednak miały dlań zawsze urok nieodparty. Porażka w zbudzała w nim gniew. Cofania się wobec przeszkód nie znosił. A przy tym, cóż tu było takiego trudnego? Dziewczyna żyła przecież i fizycznie była zupełnie zdrowa. Wszystko zatem pozwalało żywić nadzieję, że zapomni z czasem o przeżytej niegdyś nocy krwi i śmierci.

Neale więc zacisnął zęby i poprzysiągł sobie, że postara się być łagodny, jak kobieta, cierpliwy na miarę świętego i dbały o zdrowie chorej niby najlepszy lekarz, aby powstrzymać tę dziewczynę od rzucenia się w rozwartą przepaść grobu.

— Czy pani mnie rozumie? — spytał, dotykając delikatnie ramienia dziewczyny.

— Tak — odparła.

Głos jej był bardzo słaby i jakby dolatujący z oddali, a wydobywał się z pobladłych ust z widoczną trudnością.

— Uratowałem pani życie.

— Szkoda, że nie pozwolił mi pan umrzeć.

Powiedziała to z takim żalem, że serce młodzieńca ścisnęło się boleśnie.

— No... ale jednak ocaliłem panią. Oczekuję więc teraz nagrody.

— Nie rozumiem pana.

— Nagrodą będzie dla mnie, jeśli porzuci pani tę niechęć do życia.

— Och, nigdy chyba... nigdy — wyszeptała, zapadając ponownie w dawną melancholijną apatię.

Na tym rozmowa na razie się urwała. Neale więc począł wyjmować z przyniesionej paczki różne drobiazgi, jak lusterka, grzebienie i szczotki, starając się zwrócić na nie uwagę dziewczyny. Ale jej nie zainteresowało nawet odbicie własnej twarzy.

— Pani włosy są w nieładzie — rzekł wreszcie, wydobywając z paczki grzebień. — Proszę sobie je uczesać.

— Nie... nie... — jęknęła. — Nie...

— Postaram się uczynić to sam — powiedział stanowczo.

Zdumiał się, znajdując bierność tam, gdzie spodziewał się napotkać opór. Począł jednak rozczesywać bujne loki, nie myśląc wcale, że zabiegi jego komuś trzeciemu mogą się wydać nieco dziwne. Pełnił te czynności fryzjerskie z takim zapałem, że nie zauważył nawet nadchodzącego Kinga.

Cowboy zdziwił się z początku niezmiernie, a potem uśmiechnął się z zadowoleniem. Dziewczyna przyszła już widocznie do siebie i nie było potrzeby obawiania się o jej zdrowie.

— Zawsze uważałem cię za prawdziwego bawidamka, mój kochany — oświadczył żartobliwie, siadając w pobliżu.

Dziewczyna siedziała z pochyloną głową i nie widziała w tej chwili nic, gdyż oczy jej przesłaniały gęste zwoje włosów. Neale więc, korzystając z tego, ostrzegł przyjaciela wzrokiem, aby zachowywał się nieco poważniej.

— Pozwoli pani sobie przedstawić mego druha — cowboya — rzekł. — Był ze mną w chwili, gdy... gdy znalazłem panią. Nazywa się Larry Red King.

— Larry... Red... King — powtórzyła szeptem dziewczyna. — A ja nazywam się... Allie — dodała z widocznym wysiłkiem.

Neale ze zdumienia o mało nie upuścił szczotki, którą wyjął właśnie, i spojrzał bezradnie na przyjaciela. A King nagle zaprzestał się uśmiechać. Ujrzał bowiem przelotnie wyraz twarzy swej nowej znajomej i niezwłocznie spoważniał.

— Cieszę się bardzo, że jest pani z nami, panno Allie — rzekł.

W głosie jego było dużo serdeczności, której Neale przedtem nigdy nie zauważył u swego przyjaciela. Ale cowboy posunął się dalej jeszcze. Zaczął mówić o różnych rzeczach błahych, choć zazwyczaj przecież był bardzo skąpy w słowa. Neale z uśmiechem słuchał tej jego gadaniny, obliczonej widocznie na rozproszenie smętnych myśli dziewczyny, i podziwiał wielkoduszność Kinga, który potrafił poświęcić wstrzemięźliwość swego języka dla dobra ofiary Indian.

Ale biedny Larry wiele wytrzymałości nie miał. Jego wysiłki w kierunku ożywienia dziewczyny i skłonienia jej do rozmowy słabły stopniowo, a wreszcie zupełnie ustały. Jeszcze jeden przelotny rzut oka na pobladłą tragicznie twarzyczkę i cowboy zamilknął, aby nie odezwać się już więcej.

— Na imię zatem ma pani Allie, prawda? — zagadnął Neale. — A jak brzmi pani nazwisko?

Nie odpowiedziała. Pytanie to widocznie, jak wiele innych, nie zdołało utorować sobie drogi do jej zamglonego umysłu.

Ale już nazajutrz w stanie Allie nastąpiło wydatne polepszenie. Może zresztą było ono jedynie płodem wyobraźni Neale'a. A jednak wiara jego w uzdrowienie dziewczyny nie była zupełnie pozbawiona podstaw. Oto traper i cowboy nadal wprawdzie nie zdołali nawiązać z chorą rozmowy, lecz młody ich towarzysz dopiął tego, a powodzenie to wzruszyło go niezmiernie.

Na godzinę przed zachodem słońca Neale postanowił udać się z powrotem do obozu i polecił Ringowi przyprowadzić konie, a w chwilę potem udał się do Allie. Sam nie wiedział wprawdzie, co ma jej powiedzieć. Rozumiał przecież, że dalsze wysiłki muszą być równie bezowocne, jak poprzednie, a jednak odczuwał silną pokusę, aby spróbować raz jeszcze.

— Panno Allie! — rzekł, stając przed nią.

Poruszyła się dopiero z chwilą, gdy powtórzył jej imię po raz drugi. Spojrzała nań wtedy swymi wielkimi, pełnymi bezbrzeżnej grozy oczami, których wyraz tak bardzo niepokoił młodzieńca.

— Odjeżdżam teraz, ale powrócę tu niezadługo.

Nieoczekiwanym ruchem pochwyciła jego dłoń w obie ręce.

— Och... niechże pan mnie nie opuszcza — wyjąkała z rozpaczą w głosie.

Neale oniemiał na razie. Zaskoczył go jej błagalny ton. Ochłonąwszy nieco ze zdumienia, począł tłumaczyć biednej dziewczynie, że musi już powrócić do pracy, ale postara się przybyć do leśnej chatki w czasie jak najkrótszym. Lecz zanim zdążył skończyć, towarzyszka jego popadła znowu w stan swej zwykłej, pełnej tragizmu obojętności.

Zmiana ta jednak bynajmniej nie wpłynęła na zmniejszenie radosnego uczucia, z którem młodzieniec odjechał, postanawiając powrócić jak najrychlej.

Rozdział VII

W ciągu następnego tygodnia Neale dwa razy przybywał do leśnej sadyby Slingerlanda, ale podczas obu tych wizyt nie zauważył żadnego polepszenia w stanie zdrowia i zachowaniu Allie. Traper jednak zapewniał go, że dziewczyna przychodzi powoli do siebie i zaczyna zdradzać zainteresowanie różnymi sprawami. Napomknął też, że rekonwalescencja postępowałaby znacznie szybciej, gdyby Neale mógł dłużej pozostawać w towarzystwie chorej. Młodzieniec nic mu na to nie odpowiedział, ale bardzo poważnie się zamyślił.

Generał Lodge postanowił, że kilku inżynierów musi spędzić na linii przyszłego szlaku kolejowego całą zimę, aby przeprowadzić badania nad opadami śnieżnymi. Długotrwały pobyt na pustkowiu nie był zachęcający, ale Neale skwapliwie zgłosił swą gotowość do zimowania w lasach Wyoming, ku wielkiemu zadowoleniu generała, który powierzył mu badania opadów śnieżnych na Przełęczy Siuksów.

Młody mierniczy zwierzył się z tego planu Slingerlandowi podczas następnej swej wizyty w leśnej sadybie.

— Ależ zmarznie pan na śmierć — przeraził się traper.

— Nie zmarznę. Zbuduję sobie ciepły szałas i poczynię należyte przygotowania do przetrwania zimy.

Slingerland pokręcił w zamyśleniu swą siwiejącą głową.

— Myślę, że nie zna pan tak dobrze, jak ja, tutejszej zimy — rzekł wreszcie. — Ale ostatecznie ta miejscowość, którą nazywacie Przełęczą Siuksów, leży niedaleko. Zawsze można się tam dostać na nartach, będzie pan mógł zamieszkać wraz ze mną.

— Doskonale! — ucieszył się Neale. — Lecz co będzie z Allie?

— O to nie ma pan się czego martwić. Pozostanie z nami. Dokądże mielibyśmy ją posłać? Nie powiedziała nam przecież, czy posiada jakich krewnych. Może zresztą jest zupełną sierotą. Wolę nawet mieć ją przy sobie, bo się do niej bardzo przyzwyczaiłem. Muszę też panu powiedzieć, że nasza Allie z każdym dniem teraz staje się normalniejsza.

— Cieszy mnie, że pan tak postanowił — odparł Neale. — Niepokoił mnie bardzo los tej dziewczyny.

— No, inaczej być nie może — rzekł dobrodusznie traper. — Allie nie jest jeszcze dość silna, aby ją można było wyprawić w daleką podróż. Poza tern, pozostając tutaj, będzie w towarzystwie pana, a to już znaczy bardzo dużo.

— Mianowicie?

— Eh, ja nie jestem znawcą dziewczęcych charakterów — oświadczył Slingerland po chwili namysłu. — Zdaje mi się jednak, że panna Allie interesuje się panem.

— Niemożliwe! — zawołał gorączkowo młodzieniec. — Czyżby pan przypuszczał, że zakochała się we mnie?

— Czy ja wiem? Na razie może nie jest zdolna kochać kogokolwiek. Ale wszystkie pozory mówią mi, że w pamięci Allie żyją jedynie dwa wspomnienia. O krwawej rzezi i o panu. Myślę też, że to pierwsze pan tylko mógłby wyrugować z jej duszy.

— Tak pan sądzi?

— Oczywiście. Allie nie ma przecież żadnego przyjaciela prócz pana.

— O, przepraszam — zarumienił się młodzieniec. — Ma trzech: pana, Kinga i mnie.

Traper uśmiechnął się.

— Zdaje mi się, że z tej trójki pan tylko może wchodzić w rachubę, jako przedmiot zainteresowania tej dziewczyny. Och, proszę się nie obrażać! Jest pan wszakże młody i przystojny. Łatwo wam będzie porozumieć się między sobą. Życzę więc panu szczerze powodzenia.

Skinął mu przyjaźnie głową i odszedł, wywijając trzymaną w ręku siekierą, aby narąbać drzewa na ogień, a Neale po chwili namysłu udał się do chaty. Allie tam nie było, ale pobieżny rzut oka przekonał młodzieńca że dziewczyna nie zrobiła żadnego użytku z przywiezionego przezeń sprzętu toaletowego. Zniecierpliwiło go to, gdyż jednocześnie odczuwał w duszy dziwną rozterkę. Położenie zmieniło się zdumiewająco od czasu tej krótkiej rozmowy z Slingerlandem.

Neale skierował się nad strumień, gdzie spodziewał się znaleźć dziewczynę, zastanawiając się, czemu go unika. Powziął wreszcie przekonanie, że jest to jednakże objaw zupełnie zwykły, potwierdzający całkowicie przypuszczenia trapera.

— Czekaj! Użyję ja teraz innego sposobu — pomyślał z przekornością iście chłopięcą.

Allie siedziała w cieniu niskiej, rozłożystej sosny, rosnącej nad samym brzegiem rwącego potoku. Miała nisko opuszczoną głowę i pozornie zdawała się być jak równie dawniej obojętna na wszystko, co ją otaczało. Ale Neale wypatrzył niebawem swym bystrym wzrokiem, że z bluzki dziewczyny zniknęła zapewne wyprana, wielka krwawa plama. Ucieszyło go to niezmiernie i napełniło nową otuchą.

Zagwizdał wesoło i, wydobywszy z kieszeni składany nóż zagłębił się w gąszczu, aby wyciąć sobie wędzisko. Dawno już przecież kusił jego oczy widok pluskających się w wodach tego strumienia, barwnie nakrapianych pstrągów. Od dawna planował urządzenie tu połowu i teraz miał przy sobie linkę oraz haczyki. Sporządził naprędce wędkę i, czyniąc umyślnie dużo hałasu, zarzucił ją niedaleko od miejsca, na którym siedziała Allie. Korek wędki zakręcił się gwałtownie i popłynął szybko z prądem, a Neale, wyciągając wędkę w celu założenia na haczyk nowej przynęty zauważył, że dziewczyna przygląda mu się bacznie.

Młody mierniczy był wytrawnym rybakiem, więc w krótkim czasie złowił, jednego za drugim, trzy pstrągi. A tak zapalił się przy tym, że

zapomniał nawet o Allie. Zapomniał, że sam pragnął przekonać się, czy dziewczyna zauważy brak zajęcia nią z jego strony. Nic dziwnego. W bystrych wodach strumienia aż roiło się od pstrągów, a wszystkie szły na przynętę, chciwe, niebaczne na niebezpieczeństwa. Nikt, widać, nie łowił ich jeszcze w tern ustroniu.

Zarzuciwszy wędkę po raz czwarty, Neale przekonał się, że tym razem złowił jakąś niezwykle wielką rybę. Korek bowiem niezwłocznie zniknął pod wodą, a linka wyciągnęła się gwałtownie. Wprędce potem rozległ się plusk i nieprawdopodobnej wielkości pstrąg wyskoczył z głębi, połyskując srebrzyście w słońcu. Młody rybak szarpnął gorączkowo wędką i padł jak długi, potknąwszy się o wystający z ziemi korzeń drzewa. Linka jednocześnie zakreśliła wielki łuk, a ogrom na ryba urwała się z haczyka, niknąć wśród gęstej trawy.

W tej samej chwili młodzieńcowi wydało się, że gdzieś w pobliżu rozległ się jakiś okrzyk. Nie zwrócił nań jednak uwagi, gdyż pilno mu było odszukać zdobycz. Zerwał się więc z ziemi, lecz stanął zaraz jak wryty, patrząc ze zdumieniem na Allie, która trzymała już wyrywającego się jej z rąk pstrąga za skrzela.

— Wcale nie umie pan łowić ryb — oświadczyła porywczo.

— Doprawdy? — rzucił z przekąsem.

— No, pewnie. O mało nie wypuścił pan tego ogromnego pstrąga. Gdyby nie ja, już byłoby po nim. Zeskoczyłby na pewno z brzegu do wody.

Powiedziała to wszystko głosem przerywanym ze wzruszenia. Oczy jej były teraz pełne życia i błyszczące, a na bladych policzkach wykwitły lekkie rumieńce! Na tle tego nagłego ożywienia uwydatniła się od razu jej niepospolita uroda i Neale pomyślał z radością, że znalazł nareszcie sposób rozproszenia czarnych myśli biednej ofiary Indian. Ale wkrótce potem jego uwaga znowu zwróciła się całkowicie ku trzepoczącej się rozpaczliwie rybie.

— Och, jakiż to wspaniały pstrąg! — rzekł, biorąc go z rąk dziewczyny. — Cieszę się niezmiernie, że nie pozwoliła mu pani ujść do wody.

Zabił rybę uderzeniem kamienia, przyłączył ją do innych trzech, leżących już nieruchomo na piasku i w tedy dopiero przywitał się z Allie. Zauważył że jest dziś zupełnie inna, niż zwykle, ale nie powiedział jej tego, obawiając się, aby znowu nie popadła w dawną obojętność.

— Czy nie zechciałaby pani pomóc mi w wykopywaniu dżdżownic na przynętę? — spytał.

Allie skinęła głową i zeszła na sam brzeg strumienia, a Neale zauważył wówczas, że była boso.

— Biedne dziecko — pomyślał. — Nie posiada nawet obuwia, które trudno będzie zdobyć dla niej w tym pustkowiu.

— Czy łowiła pani kiedykolwiek pstrągi? — spytał głośno, idąc wraz z nią wzdłuż strumienia.

— Owszem... w Kalifornii — odparła, jakby z lekkim zaniepokojeniem.

— Chodźmy nieco dalej — zauważył, widząc, że twarz jej zasępia się znowu. — Znajdziemy tam zaciszne doły, w których na pewno będzie mnóstwo pstrągów.

Poszła posłusznie, omijając starannie tkwiące w piasku ostre kamienie. Stanęli w reszcie nad utworzonym w pewnym miejscu przez wody strumienia dość szerokim a głębokim rozlewiskiem i Neale znowu zarzucił wędkę.

— Niech pan tylko nie podrywa zbyt nagle, jeśli zacznie brać jakaś większa ryba — ostrzegła go Allie.

Młodzieniec postarał się ukryć swą radość, ale w wysiłku tym stracił dwa pstrągi i odstraszył inne. Przestały iść na przynętę. W tej chwili rozległo się ciche pogwizdywanie i z zarośli nadbrzeżnych wyszedł King, niosąc na plecach zabitego jelonka. Ujrzawszy łowiącą ryby parę, zrzucił swój ciężar na ziemię i uchylił z uśmiechem kapelusza.

— Jak się państwo miewają? — zagadnął, zwracając się głównie do Allie.

— Przepraszam, ale nie znam pańskiego nazwiska — odparła.

— Jest to mój przyjaciel i współpracownik — wyjaśnił Neale. — Nazywa się Larry King. Ja jednak zwykłem zwać go Red.

— Pani również może otrzymać ode mnie ten przywilej — rzekł z humorem King. — Wolę zresztą, aby nazywała mnie pani Reddy. To brzmi pieszczotliwiej.

Allie spojrzała nań badawczo, jakby spotkała go po raz pierwszy w życiu, ale nie odezwała się już więcej. Cowboy więc, zmieszawszy się nieco, podniósł swego jelonka i oddalił się w kierunku chaty, rzucając im na pożegnanie:

— Życzę państwu przyjemnej zabawy.

Neale spojrzał szybko na Allie, aby się przekonać, jak zareaguje na tę dwuznaczną uwagę. Nie słyszała jej jednak. Była zmęczona widocznie. Miała rozchylone nieco usta i oddychała ciężko.

— Znużyła się pani? — pytał. — Może więc powrócimy już do chaty?

— Och, nie... Ja bardzo lubię łowić ryby — odparła z wolna, jakby zastanawiając się nad znaczeniem słów młodzieńca.

Przez dłuższy czas zatem oddawali się tej miłej rozrywce, w której Allie brała zresztą udział bierny zupełnie, śledząc jedynie oczami każdy ruch wędziska, podrywającego złowionego pstrąga. Po upływie godziny jednak Neale spostrzegł, że towarzyszka jego jest już naprawdę znużona i zaproponował powrót do leśnej sadyby. Tym razem nie natrafił na opór. Dziewczyna podniosła się chętnie, zabierając wiązkę złowionych ryb.

Szli w milczeniu, gdyż młodzieniec teraz już nie odzywał się prawie wcale, nie chcąc zbyt nagle oświadczyć Allie, że musi wyjechać dziś jeszcze, aby o świcie zabrać się do zwykłej pracy. Oznajmił jej o tym wreszcie, gdy znajdowali się już w pobliżu szałasu. Dziewczyna przyjęła wiadomość na pozór zupełnie spokojnie i bez słowa odpowiedzi udała się do swej izdebki.

Neale tym czasem jął pomagać Larry'emu i Slingerlandowi w przygotowaniach do wieczerzy, spodziewając się że tym razem Allie spożyje ją wraz z nimi. Zawiódł się jednak, gdyż nie odezwała się wcale kiedy Slingerland zaprosił ją w chwilę potem.

Młodzieniec wówczas sam wszedł do pokoju dziewczyny i zastał ją pogrążoną po dawnemu w głębokiej, beznadziejnej zadumie. Przemówił do

niej łagodnie choć stanowczo, ale bez żadnego skutku. Nie chciała udać się na kolację. Zjedli więc wieczerzę sami i później dopiero Neale zdołał namówić Allie do przełknięcia odrobiny pożywienia. Pozostał przy niej aż do chwili, gdy słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, a pod oknem leśnej sadyby zarżały przyprowadzone przez cowboya wierzchowce. Wtedy powstał, czując że serce ściska mu się z żalu. Nie miał przecież żadnej pewności, kiedy zobaczy ją ponownie.

— Panno Allie — zagadnął. — Czy pani nigdy już nie będzie wesoła?

— Och... nigdy — westchnęła.

Ujął ostrożnie dwoma palcami jej podbródek, zmuszając dziewczynę do zwrócenia się twarzą ku niemu. Ogromne, pełne bezbrzeżnego smutku oczy nie unikały wcale jego spojrzenia, ale Neale wiedział już że był to tylko wynik zupełnej apatii. Tak! Tę dziewczynę należało zmusić do życia.

Zapragnął nagle pocałować ją w same usta, ale powstrzymał się. Może z czasem pokocha go jeszcze, byłoby to wszakże zrozumiałe. Na razie musiał być dla niej obojętny.

— Nie chce pani się nawet uśmiechnąć — zauważył.

— Nie.

— A jednak tam, przy strumieniu, zachowywała się pani inaczej.

Nie odpowiedziała, ale twarz jej zmierzchła na raz tak bardzo, że stała się jakby martwa.

— Odchodzę — rzekł młody mierniczy.

— Już? — wyszeptała cicho.

— A czy zależy pani na mej obecności? — zapytał młodzieniec. — No, tak. Musi pani zależeć — dodał, widząc że spogląda nań uważnie.

— Dlaczego? — odparła głosem bezdźwięcznym.

— Pani pyta jeszcze? Przecież to jasne. Bo... bo... — plątał się coraz więcej i urwał niezadowolony z siebie samego.

Rzeczywiście. Dlaczegóżby miało jej zależeć na nim?

— Och... czemu nie pozwolił mi pan... umrzeć — jęknęła nagle dziewczyna.

— Ależ, panno Allie — zaniepokoił się Neale.

Jednocześnie zaś uderzył go ton jej głosu, który brzmiał tym razem inaczej, niż zwykle. Teraz nie było w nim już poprzedniej zastraszającej obojętności. I w sercu młodego człowieka znowu obudziła się nadzieja. Pomyślał, że przecież uda mu się może przywrócić tej dziewczynie radość życia. Położył obie dłonie na jej ramionach i pogładził ją delikatnie. Zadrżała nagle i opadła z westchnieniem na zwój ciężkich bawolich skór. Czyżby się przestraszyła pieszczoty? Tego Neale nie wiedział. Widział jednak, że głowa jej pochyliła się nisko, a twarz zakryły pukle bujnych włosów.

— Proszę mnie wysłuchać, panno Allie — zaczął. — Czy nie zna pani żadnego człowieka, dla którego warto żyć?

— Nie...

— Owszem. Zna pani. Ja jestem tym człowiekiem, panno Allie — oświadczył nieco melancholijnie.

Powiedział to i parsknął śmiechem, który zabrzmiał mu w uszach nieco dziwnie i obco. Jakże? Wiedział przecież, że nigdy już nie zdoła zapomnieć o tej sadybie leśnej i o klęczącej przed nim na stosie futer dziewczynie.

— Pan?...

— No, ma się rozumieć — odparł radośnie.

W głosie Allie brzmiało zdziwienie i Neale przekonał się, że nareszcie poruszył właściwą strunę. Teraz miał przed sobą żywą dziewczynę. Apatyczna obojętna na wszystko istota zniknęła gdzieś od razu. O, była to zaprawdę wielka chwila. Młodzieniec rozumiał całą jej doniosłość.

— Rozumie mnie pani zatem ? Prawda? Tak. Pani musi żyć dla mnie. Czy pani słyszy? — powtarzał.

Pochwyciwszy uchem zaledwie dosłyszalne „tak” ucieszył się niezmiernie, czując, że zdoła na pewno pokonać jej rozpacz i smutek.

— Powracam teraz do mego zwykłego zajęcia, panno Allie — zaczął szybko. — Jak długo będzie trwała ta praca, nie wiem. Może kilka tygodni tylko a może znacznie dłużej. W każdym jednak razie powrócę. Na pewno powrócę. Pozostanę tu zresztą przez całą zimę, gdyż będę pracować w pobliskim wąwozie. A potem... Potem zajmę na Kolei Zjednoczonego Pacyfiku bardzo wysokie stanowisko. Tak. Będę naczelnym inżynierem lub szefem nadzoru drogowego... Będę pracował z prawdziwym samozaparciem, teraz zwłaszcza, gdy dodaje mi otuchy myśl, że może z czasem zechce mnie pani... poślubić.

Słabe westchnienie było jedyną odpowiedzią na to wyznanie, ale Neale, uczyniwszy je, wstał niezwłocznie, obawiając się, że niebawem pochwyci dziewczynę w objęcia. Tego chciał uniknąć, ale wyrzeczonych nagle słów nie żałował. Cieszył się nawet, że wymknęły mu się z ust nieoczekiwanie. Jakiś głos wewnętrzny szeptał mu, że postąpił dobrze. Allie wszakże była zupełną sierotą, a jemu zawdzięczała życie.

— Do widzenia, panno Allie. Powrócę na pewno — rzekł łagodnie i szeptem niemal dodał. — Proszę nie zapominać o mnie.

Dziewczyna podniosła się wolno z klęczek, nie żegnając go ani słowem, ani żadnym znakiem. Twarz jej przy tym nadal pozostała ukryta pod zwałem bujnych włosów.

Neale wyszedł. Na rozpalone policzki wionął mu orzeźwiający, chłodny wiatr. Niemal jednocześnie spotkały go spojrzenia Larry’ego, który trzymał za uzdy dwa wierzchowce, i Slingerlanda, stojącego z rękami w kieszeniach.

Postanowił zaspokoić ich ciekawość.

— Powinszuj mi, poczciwy Redzie! — zawołał głosem, w którym brzmiało coś w rodzaju dumy. — Tylko co zaręczyłem się z Allie.

Cowboy zamrugał oczami, jakby z podziwu.

— A niechże cię nie znam — wycedził, podając przyjacielowi dłoń tak zręcznie władającą lassem i pistoletem. — Winszuję ci szczerze, ale dowiedz się, że mnie ubiegłeś, bo byłem gotów właśnie sam złożyć me uczucia u stóp tej uroczej dzieweczki.

Uścisnęli sobie ręce gorąco, a w chwilę potem odezwał się traper, którego surowe oblicze w tej chwili dziwnie złagodniało.

— My wszyscy niezwykle szybko polubiliśmy pannę Allie — rzekł. — Pan jednak zasłużył na jej miłość rzetelnie. Niechajże sprzyja wam szczęście, moje dzieci.

Młody mierniczy zdjął z palca niewielki pierścionek i podał go Slingerlandowi.

— Proszę doręczyć to pannie Allie — oświadczył. — Zechce pan poprosić ją, aby uważała ten pierścionek za zaręczynową obrączkę.

Rozdział VIII

Jeszcze przed upływem lata inżynierom generała Lodge'a udało się wybrnąć z gór Wyoming i wytknąć linię przyszłego szlaku kolejowego aż do Utah, gdzie spotkali się z inną partią, przeprowadzającą takie same pomiary od strony oceanu.

Tym sposobem zamknięto pierwszy etap wielkich prac przygotowawczych, stwierdzając, że budowa kolei poprzez teren Gór Skalistych jest przedsięwzięciem możliwym i wykonalnym. Należało tylko jeszcze wyjaśnić szczegóły wprowadzenia w życie tego gigantycznego pomysłu.

Neale przez cały ten czas pracował dużo i myślał wiele, a na ogół spokojny bieg jego obozowego życia zakłóciły jedynie dwa niezwykłe wypadki.

Pierwszy z nich zdarzył się w obozie. Jeden z robotników, niejaki Shurd, człowiek ordynarny i leniwy, zapałał szczególną nienawiścią do młodego mierniczego, który zwrócił mu kiedyś w sposób dość surowy uwagę na niedokładności w wykonywaniu roboty. Neale był zresztą dość porywczy i nie liczył się ze słowami. Shurd zniewagi nie zapomniał i, przechodząc pewnego wieczora w stanie nietrzeźwym około namiotu Neale'a, kopnął ze złością jego przyrząd mierniczy. Ktoś z obecnych doniósł o tym niezwłocznie Neale'owi, a młodzieniec, wraz z towarzyszącym mu nieodstępnie cowboyem, puścił się zaraz w pogoń za zuchwalcem. Znaleźli go w namiocie robotników i młodzieniec, nie lubiący tracić na próżno słów, wymierzył mu od razu straszliwy cios pięścią. Uderzenie to byłoby zapewne ponowione w następnej chwili, lecz rozjuszony Shurd wydarł z ziemi potężny kół i ruszył na przeciwnika, zamierzając mu najwidoczniej roztrzaskać głowę.

Stałoby się to niechybnie, gdyż Neale nie mógł umknąć. Uratował mu życie cowboy, który strzelił nagle z pistoletu, raniąc podniesione do ciosu ramię robotnika. Shurd zaklął głośno i upuścił na ziemię swój straszny oręż.

— Wynoś się stąd! — krzyknął Larry King, zbliżając się powoli ku ubezwładnionemu.

Rozwścieczony Shurd zamierzył się nań skrwawioną pięścią, ale cowboy wystrzelił znowu, po czym uderzył rannego kolbą ciężkiego pistoletu.

— Na razie jesteś niezdolny do... pracy — wycedził spokojnie. — Idź więc zaraz do lekarza obozowego. Uprzedzam cię przy tym, że żadna pomoc nie będzie ci potrzebna, jeśli w tej chwili nie wyjdziesz z namiotu.

Te stanowcze słowa poskutkowały. Shurd wybiegł, klnąc głośno.

— Słuchaj, Red! Przecież ty strzaskałeś mu rękę! — zawołał Neale.

Cowboy wzruszył ramionami.

— Cóż miałem zrobić?

— Nie wtrącać się wcale. Ja zbiłbym go tylko na kwaśne jabłko, ale nie zrobiłbym użytku z pistoletu.

— Mam wrażenie, że leżałbyś już teraz z rozbitą głową, gdybym nie wtrącił się do waszej zwady — oświadczył spokojnie King.

Od tego dnia Neale nie ruszał się nigdzie bez broni palnej. Nosił pistolet, a czasami karabin. Wolał nawet karabin, z którego strzelał bardzo dobrze, podczas gdy pistolet sprawiał mu raczej kłopot. Nie umiał się jeszcze z nim obchodzić i Larry King uczył go dopiero strzelania z tej broni. Na razie więc młodzieniec prawie nie rozstawał się z karabinem i przyzwyczajenie to, jak się okazało niebawem, było wprost zbawienne.

Oto pewnego poranku Neale siedział przy źródle, oczekując na Larry'ego, który miał tu przybyć wraz z końmi. Nie zjawiał się jednak jakoś bardzo długo i mierniczy zasnął wreszcie w cieniu krzewów. Zbudził go po pewnym czasie tętent kopyt. Młodzieniec usiadł, spostrzegając od razu cowboya, który przyklękał właśnie, aby napić się wody. Ale bystry jego wzrok zauważył jednocześnie coś ciemnego, poruszającego się wśród zarośli.

Był to Indianin, pełznący ostrożnie z palcem na cynglu strzelby. Błyskawicznym ruchem porwał Neale karabin i wystrzelił, prawie nie celując. Indianin padł. Konie rzuciły się niespokojnie, a Larry podniósł się niezwłocznie.

— To ty? — zagadnął Neale'a. — Do kogo strzelałeś?

Młody mierniczy wskazał mu na leżące nieruchomo ciało. Ręka mu drżała. Czuł dziwne oszołomienie, ale ściskał kurczowo karabin, gotowy do nowego strzału. Cowboy porzucił uzdy i, wyjąwszy z pochwy pistolet, popełznął ku zaroślom z niezwykłą jak na niego szybkością. Po chwili stanął nad leżącym wciąż bezwładnie Indianinem.

— Ma dosyć! — zawołał donioslym głosem — Chodź tutaj!

— Nie chcę! — odkrzyknął z obrzydzeniem Neale. — Czy nie żyje?

— Ależ najzupełniej. Przypuszczam tylko, że gdzieś w pobliżu muszą znajdować się jego towarzysze.

Powiedziawszy to, cowboy podbiegł ku swemu wierzchowcowi i wsiadł nań szybko, a Neale postąpił podobnie. Pojechali ścieżką wśród zarośli, rozglądając się dokoła, ale nigdzie nie spostrzegli żadnych podejrzanych śladów.

— Mam wrażenie, że ten czerwonoskóry czyhał na mnie zauważył Larry po chwili, gdy dążyli już do obozu.

— Możesz o tym nie wątpić — odparł Neale, drżąc z lekka.

Larry poklepał go po ramieniu. Wiedział, że zawdzięcza przyjacielowi życie. Ale, spojrzawszy nań przelotnie, roześmiał się wesoło.

— Sumienie cię gryzie, co? — rzekł żartobliwie. — Znam to, przyjacielu. Sam doświadczyłem kiedyś czegoś w tym rodzaju. Teraz już się nie przejmuję.

Przypuszczenia Kinga były trafne. Neale istotnie odczuwał obecnie wyrzuty sumienia. Działał bez namysłu, nieomal odruchowo i teraz dopiero poczynał zdawać sobie sprawę z tego czynu. Strzelił w prawdzie w obronie przyjaciela, ale bądź co bądź zabił człowieka.

Po przybyciu do obozu zameldowali o wypadku zwierzchnikowi i dowiedzieli się w zamian, że Indianie pokazali się w wielu miejscach wzdłuż wytyczonej przez inżynierów drogi. Czerwonoskórzy wszędzie zachowywali się zaczepnie, wobec czego nakazano prowadzić roboty tylko pod ochroną żołnierzy. Żadnej zasadzki wprawdzie się nie spodziewano, ale na wszelki wypadek część wojska została wysłana w lasy dla przepłoszenia włóczących się po nich zgraj Siuksów.

Oba te zdarzenia podziałały otrzeźwiająco na młodego mierniczego, przekonywając go o zupełnej prawdziwości przestróg, udzielonych mu w swoim czasie przez generała Lodge'a. Inżynier naczelny słusznie mówił. Praca na budowie Kolei Zjednoczonego Pacyfiku nie była wcale łatwa. Neale wiedział już o tym, a jednak wciąż jeszcze kusiła go nieznana przyszłość. Leżąc przy obozowym ognisku w godzinach wypoczynku, marzył o niej zawsze, a myśli jego zazwyczaj biegły ostatecznie ku osobie Allie.

Dziewczyna, której ocalił życie, teraz wydawała mu się jakaś dziwnie daleka. Nawet rysów jej twarzy Neale nie mógł sobie przypomnieć. Zdołał wywołać jedynie wizję jej oczu, ogromnych, przerażonych oczu, w których czaiło się wspomnienie o śmierci. Były zawsze jednakowe, a jednak Neale pamiętał, że raz czy dwa dostrzegł w nich przecież zmianę. Stawały się wówczas cudne i pełne obietnicy.

Teraz wydawało mu się wprost niewiarogodne, że mógł tak nagle zaręczyć się z Allie. Nie czynił sobie z tego powodu żadnych wyrzutów, lecz rozumiał dobrze, że litość dla osieroconej nie miała nic wspólnego z miłością. A jednak wspomnienie o niej budziło w jego sercu inne jeszcze uczucie, zbyt subtelne i zbyt mało na razie uchwytne, aby je mógł poddać trzeźwej analizie. Miałażby to być miłość? Neale żywił wątpliwości. Myślał wprawdzie o godzinach spędzonych wraz z nią na połowie pstrągów, o własnych wrażeniach, które miał, niosąc ją w ramionach, i o tej ostatniej chwili swego pobytu w leśnej sadybie, z której pozostało mu wspomnienie jej klęczącej postaci.

W sercu czuł wzruszenie ale przecież niemiłość. Myśląc o tym, powziął wreszcie przekonanie, że następna wizyta w chacie Slingerlanda musi mu przynieść jakieś nowe, dotąd nieznane przeżycia.

W połowie września Neale wraz z Larrym oraz inżynierem, nazwiskiem Service, dotarli wreszcie do Przełęczy Siuksów, obładowani przeróżnymi zapasami, gotowi do wytrwania na tym posterunku przez całą zimę, w ciągu której mieli badać opady śnieżne na linii przyszłego szlaku.

Pracę podzielono w taki sposób, że Service objął nadzór nad górną, a Neale nad dolną częścią wytyczonej trasy. W okolicy, która przypadła Service'owi, rosło mało drzew, postanowiono więc nie budować tu szałasu, lecz wykopać schronisko w ziemi. Sporządzili je niebawem wspólnymi siłami. Była to zwyczajna nora, wygrzebana w ziemi, na zboczu góry i osłonięta dachem z gałęzi.

— Obawiam się, że będzie pan tu zbyt osamotniony — zauważył Neale.

— Cóż robić? — odparł inżynier z uśmiechem. — Muszę się przyzwyczaić do braku towarzystwa.

— No, sądzę, że zobaczymy się jeszcze przed pierwszym śniegiem.

— Chyba, że pan przyjdzie do mnie. Ja nie wychylę się zapewne z mej nory. Mam skaleczoną nogę i w ogóle nie lubię włóczyć się po górach.

— Przyjdę zatem. Będziemy przecież mieć jeszcze dużo pogodnych dni. Postaram się zapolować na jelenie w pańskim okręgu.

— Doskonale! Więc do zobaczenia!

Tak rozstali się ci dwaj najmężniejsi z grupy nieustraszonych inżynierów, wybrani przez zwierzchnictwo do pełnienia ciężkiej służby dla dobra wielkiej sprawy.

Zieleń doliny Slingerlanda ustąpiła miejsca złotopurpurowym barwom jesieni. W poprzek strumienia bobry zbudowały tamę, tworząc niewielkie jeziorko, nad którego brzegami rozlegał się teraz pogwar licznych stad ptactwa wodnego. Neale spostrzegł zawzięcie pracujące bobry i pomykające wśród zarośli płowe jelenie.

— To było przed trzema miesiącami — myślał, zatrzymując się w miejscu, gdzie niegdyś w obecności Allie zarzucał wędkę na pstrągi. — Dużo się mogło zdarzyć w ciągu tego czasu. Ale, nie. Slingerland żyje dobrze z Indianami. Spodziewam się, że zastanę oboje w dobrem zdrowiu.

Dręczyła go niepewność, a jednak nie śpieszył się. Larry, obładowany jak wielbłąd pakunkami, zdążył wyprzedzić swego przyjaciela i zniknąć za wzgórzem, a Neale wlókł się wciąż noga za nogą. Ujrzał wreszcie w oddali snujący się między drzwiami słupek błękitnawego dymu i odetchnął z ulgą. W tej samej chwili wierzchowiec jego parsknął głośno i począł strzyc niespokojnie uszami. Jakaś dziewczyna, odziana w strój, sporządzony z jelenich skór, wynurzyła się z zarośli i biegła ku nim szybko.

— Indianka! — zawołał ze zdumieniem Neale.

Ale nie. Twarz dziewczyny była biała, a rozpuszczone jej włosy miały jasną barwę. Czyżby to mogła być Allie?

— Jak ona się zmieniła! O, Boże! — szepnął młodzieniec, zeskakując z siodła i wpatrując się szeroko rozwartymi oczami w nadbiegającą dziewczynę. Stanęła tuż przy nim i od razu zarzuciła mu ramiona na szyję.

— Och! Przyjechał pan więc nareszcie — zawołała.

Jasna jej twarzyczka, jakaś zmieniona zupełnie i nieznana, znalazła się tak blisko jego ust, że Neale nie mógł się oprzeć pokusie i wargi obojga spoiły się w namiętnym pocałunku.

— Allie! Allie! — szepnął po chwili wzruszonym głosem. — Ja przecież wcale ciebie nie znałem.

— Wiedziałam o tym — odparła, kryjąc wstydliwie twarz.

— Nie można mi się dziwić — zażartował. — Zostawiłem tu przecież taką małą, zbiedzoną dziewczynkę, a znajduję... Pozwól, niechże popatrzę na ciebie.

Odsunęła się nieco posłusznie i stała przed nim skromna, ale bynajmniej nie zakłopotana, najpiękniejsze i najsłodsze dziewczę, jakie widział kiedykolwiek. Spoglądając na nią uważnie, odnajdywał teraz w jej twarzy pewne znane sobie szczegóły. Ograniczało się to jednak tylko do oczu. Reszta rysów była zupełnie nowa. A ta reszta składała się z białej twarzyczki o prześlicznie zaróżowionych policzkach, z cudnie wykrojonych usteczek i wspaniałych łuków brwi, pod którymi jaśniały ogromne, fiołkowe oczy, smutne może jeszcze, ale już promienne i czyste.

Neale począł zdawać sobie sprawę z wielkiej piękności dziewczyny w tej samej chwili, w której zrozumiał że jest kochany. A jedno i drugie zdumiało go tak bardzo, że przez czas dłuższy nie mógł przemówić.

— Wyobraź sobie, że wziąłem cię za Indiankę — rzekł wreszcie, starając się nadać swemu głosowi swobodny ton.

— Nie dziwię się wcale — odparła wesoło. — Mam przecież nawet na nogach mokasyny, a cały strój sporządziłam sobie sama. Bardzo dużo roboty miałam z tymi skórami, ale teraz czuję się w nich wygodniej, niż w jakiejkolwiek z mych poprzednich sukienek.

— Niezupełnie więc nudziłaś się od czasu mego wyjazdu?

Dziewczyna zarumieniła się z lekka.

— Starałam się robić wszystko, aby tylko nie poddawać się temu smutkowi, którego tak bardzo nie lubiłeś — oświadczyła. — Gotowałam, szyłam, kąpałam się, łowiłam ryby, polowałam, no i... czekałam na ciebie.

Usiadła na gładkim kamieniu, zapraszając ruchem ręki towarzysza, aby spoczął obok. Neale jednak nie ruszył się z miejsca. Był wciąż jeszcze niepewny. Wszystko to wydawało mu się jakby snem.

— A więc czekałaś na mnie? — zagadnął łagodnie.

— Och, tak! — westchnęła. — Przez te wszystkie godziny, dni i tygodnie.

— Tęskniłaś zatem za mną?

Dziewczyna nie odpowiedziała tym razem, a Neale nie mógł się jakoś zdecydować na spojrzenie jej wprost w oczy.

— Powiedz — nastawał.

— Tak — wyszeptała.

— Ale dlaczego? — spytał, wstydząc się sam za siebie i nie rozumiejąc własnej natarczywości.

— Bo... bo kocham cię.

Powiedziała to głosem rwącym się nieco, ale wyraźnym i pełnym słodyczy.

Neale zadrżał i spojrzał nagle na dziewczynę. Siedziała z głową nieco spuszczoną, z oczami, ukrytymi pod firankami długich rzęs. Wyraz jej twarzy był rozmarzony i przedziwnie czysty, a pierś falowała szybko. Neale wywnioskował, że miłość, jaką dlań żywiła, musi być uczuciem

zupełnie niewinnym, nie mającym nic wspólnego z namiętnością. Sam już nie wiedział, co ma powiedzieć, aby jej nie spłoszyć. Raz jeszcze ogarnął ją spojrzeniem i to dodało mu otuchy. Zrozumiał, że dziewczyna nie oczekuje żadnego wyznania. Za łaskę będzie uważała każde jego słowo. W tej chwili przecież pogrążona była w marzeniach.

Spojrzał jeszcze raz i na trzecim palcu jej małej i kształtnej, ale silnej rączki spostrzegł swój pierścionek. Zapomniał zupełnie sprawdzić, czy go nosi. W zruszony niezmiernie ujął tę drobną, opaloną dłoń.

— Och, Allie! — szepnął. — Włożyłaś zatem mój pierścionek.

Podniosła nań swe fiołkowe oczy, w których jaśniały teraz promienie radości.

— Odjechałeś tak szybko, że... że nie zdążyłam ci nic powiedzieć — odszepnęła.

Twarzyczka jej spłonęła teraz cała gorącym rumieńcem i Neale poczuł, że serce zamiera mu nagle w piersi. Omylił się więc. To nie było przelotne uczucie dziewczęce, lecz prawdziwa miłość. Zaledwie zdołał się powstrzymać od porwania jej w ramiona, wciąż jeszcze nie wiedząc, co ma mówić.

Nachylił się tylko i pocałował ją w rękę.

— Zostanę tu przez całą zimę i będziemy widywali się często — powiedział. — Ja za jutro może zdołam ochłonąć nieco, a wtedy coś ci powiem.

— Och, powiedz teraz! — poprosiła przymilnie.

— Jesteś uroczo piękna — oświadczył z uznaniem.

Uśmiechnęła się po raz pierwszy od czasu, gdy ją poznał.

— Doprawdy? — szepnęła cichutko. — Byłam kiedyś ładna. Tak mi przynajmniej mówiono. Dziś jednak zdaje mi się, że jestem brzydka.

Neale roześmiał się. Teraz był już swobodniejszy i bardziej zdolny do sytuacji opanowania tej niezwykłej dlań sytuacji.

— Powiedz mi jeszcze, jak ci na nazwisko, kochanie? — zagadnął łagodnie.

— Nie wiedziałeś więc? — spytała.

— Wyjawiłaś mi przecież tylko swe imię.

Obawiał się nieco wywołania w niej dawnych wspomnień, a jednak nie cofnął się przed tą próbą. A oczy dziewczyny straciły naraz cały swój blask promienny i widocznie posmutniały. Twarz jej wszakże nie okryła się teraz chmurą dawnej melancholii.

— Jakże ci na nazwisko Allie? — nastawał młodzieniec.

Wtedy z jej oczu trysnęły łzy.

— Nazywam się Lee — szepnęła.

Rozdział IX

Neale zauważył, że Slingerland bardzo odmłodniał. Przyczyna tego była łatwo zrozumiała. Traperowi przestała ciążyć samotność, bo miał towarzystwo. Neale jednak odczuwał pewną zazdrość.

— Co za nadzwyczajna zmiana zaszła w usposobieniu tej dziewczyny — mówił doń traper, gdy szli razem w kierunku źródła. — Postęp był wprawdzie powolny, chociaż Allie od razu rozpromieniła się, gdy doręczyłem jej ten pierścionek. Potem przez dłuższy czas jeszcze siedziała zamyślona i samotna, ale pewnego dnia pełno jej było w całej chacie. Zaczęła pracować, przystrajać się na gwałt i wypatrywać pana. Powiedziała mi też kiedyś, że będzie odtąd żyła wyłącznie dla pana. Była to na pewno szczera prawda. Widzę przecież, jak bardzo pana kocha.

Rozstali się niebawem i Neale podążył dalej sam, rozmyślając nad swoim położeniem i analizując własny swój stosunek do Allie.

Cóż bowiem właściwie się stało? Po dłuższej nieobecności powrócił wszak tylko do leśnej sadyby Slingerlanda, w której przebywała wydarta przezeń z rąk śmierci dziewczyna. Pozostawił ją tu jako milczącą i ponurą ofiarę krwawych wspomnień. A co zastał? Pełną życia i energii istotę, śliczną w dodatku i rozkwitłą niby dzika róża. To nie była już wyobraźnia, ale rzeczywistość. Starając się uświadomić sobie przyczynę tej nagłej zmiany, młodzieniec dochodził niezmiennie do przekonania, że spowodowała ją miłość. Mówiła mu o niej wprawdzie przedtem jeszcze promienność oczu Allie, ale on nie dowierzał wówczas własnemu wzrokowi. Teraz jednak, w samotności, z brzmiącym w uszach echem słów Slingerlanda, poczynał już zdawać sobie sprawę z istotnego położenia rzeczy. Tak. Allie kochała go i miłość ta ocaliła ją od szaleństwa, przywracając jednocześnie urok piękności. Neale nieraz słyszał o przeistaczającym wszystko, potężnym wpływie miłości. Przykład Allie Lee dowiódł mu teraz prawdziwości owego twierdzenia. Pozostawało jeszcze nierozstrzygnięte pytanie, czy on sam zasługiwał na tak wielką łaskę nieba. Otrzymał ją jednak bądź co bądź, serce więc miał przepełnione wdzięcznością, i poprzysiągł, że postara się okazać godnym tego zaszczytu.

Mrok już zapadał, gdy Neale powrócił do chaty, której wnętrze oświetlał jasno ogień, płonący na skleconym z wielkich głazów palenisku.

Slingerland siedział w cieniu, zajęty, jak zwykle, robotą, od czasu do czasu rzucając Larry'emu jakieś wesołe słówko. Postaci cowboya oraz Allie były widoczne w blasku ognia, jak na dłoni, i jeden rzut oka przekonał Neale'a, że King flirtuje z jego narzeczoną. Allie wydawała się nieco zakłopotana.

— Wyobraź sobie, że on nie chce, abym go tytułowała panem Kingiem, lub nawet po prostu Larrym.

Teraz już i Larry zmieszał się z kolei.

— Uprzedzam cię, Allie, że ten cowboy jest bardzo niebezpieczny dla młodych dziewcząt — oświadczył surowo młody mierniczy.

— Ach, nie! — odparła. — Był zupełnie grzeczny. Przesadzasz, Neale. Tylko... tylko on chce, abym go nazywała Reddym.

— Tu go mam — jęknął pociesznie młodzieniec.

Uśmiechnął się, ale w gruncie rzeczy zadowolony nie był. Wiedział przecież, czego może się spodziewać po Larrym, lub innym młodym człowieku, którego szczęśliwy los zbliży z Allie.

— No, dobrze — zgodził się wreszcie. — Nazywaj go Reddym. Przypuszczam, że przyszła żona Warrena Neale'a może sobie pozwolić na taką poufałość w stosunku do jego najlepszego przyjaciela.

Allie pokraśniała niby kwiat maku.

— Jesteś wyjątkowo szczodry — zauważył półgębkiem cowboy. — Przypuszczam jednak, że więcej nie mogę się spodziewać po człowieku, który stracił głowę.

— Eh, straciłem znacznie więcej, niż głowę — odciął się Neale. — Mam wszakże wrażenie, że pewien dziki młody cowboy wygląda również na bezgłowego.

— Wcale się tego nie wstydzę, mój drogi — oświadczył rezolutnie King. — Znam bowiem trapera, który też od niejakiego czasu zdradza brak głowy.

Allie odezwała się wreszcie, aby położyć kres tym kąśliwym docinkom.

— Powiedz mi, Neale...

— Obawiam się, że moja skóra będzie w niebezpieczeństwie, jeśli pani będzie nazywać mnie po imieniu, a jego tylko po nazwisku — wtrącił cowboy, mrużąc jedno oko. — Obawiam się tego bardzo, bo wiem, że ma ciężką rękę.

Neale roześmiał się, grożąc mu palcem.

— Tym razem on ma słuszność, Allie. Zapomniałaś, że mam na imię Warren.

— Wcale nie zapomniałam. Ale wolę cię nazywać – Neale. To brzmi milej.

Cowboy wstał nagle, sięgając długą ręką po fajkę, leżącą na jednym z kamieni paleniska.

— Wyjdźmy na chwilę, panie Slingerland — powiedział, krzywiąc się pociesznie. — Mam wrażenie, że ci młodzi ludzie chcą sobie powiedzieć coś na osobności. Będzie więc lepiej, jeśli pójdziemy wypalić fajki poza domem.

Traper wynurzył się niezwłocznie ze swego ciemnego kąta i zdjął z półki kapciuch z tytoniem.

— Nie taję, że przyjemnie mi było popatrzeć na tę młodą parę — rzekł do cowboya. — Ja też przecież niegdyś przeżywałem podobne chwile szczęścia. Mógłbym nawet... Ale, nie mówmy już o tym. Chodźmy, panie Larry. Będziemy zastawiać sidła na piżmowce.

— Teraz? — zdziwiła się Allie. — Nigdy dotąd nie zakładał pan sideł po ciemku.

Slingerland zmieszał się, chciał odpowiedzieć coś na ten zarzut, ale wreszcie machnął tylko ręką i wyszedł uśmiechnięty w towarzystwie cowboya, który na pożegnanie rzucił Neale'owi iście łobuzerskie spojrzenie.

Młodzieniec westchnął z ulgą, gdy wyszli, Allie zaś zbliżyła się ku niemu z uśmiechem.

— Oni myślą, że my odczuwamy potrzebę prawienia sobie czułości — rzekła rozmarzonym głosem, opierając główkę na jego ramieniu.

— Tak mi się zdaje — odparł Neale.

Był wzruszony i jednocześnie niepewny. Czyżby Allie chciała, aby ją pocałował? Spojrzał na nią przelotnie i pozbył się od razu wszelkich wątpliwości. Nie. Na twarzy dziewczyny był tylko spokój przedziwny.

— Powiedz mi o sobie wszystko — rzekła półgłosem. — Mów zwłaszcza o swej pracy.

Trzymając się za ręce, usiedli oboje przy ognisku, i Neale opowiedział jej o swych chłopięcych latach, które spędził wraz z owdowiałą matką, o rozpaczy swej, kiedy ją stracił i o ciężkiej pracy, jaką zdobywał wiedzę z zakresu inżynierii cywilnej.

— Miałem zaledwie dwadzieścia lat, kiedy po raz pierwszy usłyszałem o projekcie budowy Kolei Zjednoczonego Pacyfiku — mówił. — Wiadomość ta, otrzymana przeszło trzy lata temu, wpłynęła decydująco na wybór mego zawodu. Od razu wówczas powiedziałem sobie, że muszę stać się inżynierem i budowniczym dróg. Nikt wprawdzie wtedy nie wierzył w możliwość budowy tej kolei. Wszyscy się ze mnie śmiali, ale ja trwałem przy mym postanowieniu i wreszcie udałem się do miasta Omaha. Było to rok temu i miasto już roiło się od żołnierzy oraz przeróżnych obieżyświatów. Po długich staraniach udało mi się uzyskać posłuchanie u generała Lodge'a. Stanąłem przed nim tym więcej onieśmielony, że w olbrzymiej kancelarii znajdował się cały jego sztab. Ochłonąłem po chwili i poprosiłem o zajęcie, dziwiąc się w duchu, dlaczego ci wszyscy inżynierowie mają twarze tak bardzo ponure, jakby stracili ostatnią nadzieję. Rozmawiali przy tym bardzo głośno i nikt nie zwracał na mnie uwagi. Ponowiłem prośbę głośniej nieco, ale również bez żadnego wyniku. Rozzłościłem się wówczas, a w gniewie ważę się zazwyczaj na rzeczy najtrudniejsze. Wyskoczyłem na środek pokoju i krzyknąłem z całej siły:

— Słuchajcie, ludzie! Przybyłem do Omaha prawie na piechotę, bo wiem, że będziecie tu budować kolej żelazną, a ja potrzebuję pracy i muszę ją znaleźć!

Tym zmusiłem ich wreszcie do zwrócenia na mnie uwagi. Jeden ze starszych inżynierów, niejaki pan Henney, którego teraz znam dobrze, rzekł ostro:

— Mylisz się, chłopcze! Żadna kolej nie będzie tu budowana.

Oświadczyłem mu na to, że on sam jest w błędzie, gdyż Kolej Zjednoczonego Pacyfiku musi być zbudowana.

— Tak bardzo jesteś tego pewny, młodzieńcze? — zagadnął mnie wówczas sam generał Lodge.

— Tak — odpowiedziałem, czując, że jestem czerwony, jak burak z gniewu i rozczarowania.

— No, to dowiedz się, że masz słuszność — odpowiedział z błyskiem w oczach, którego nigdy nie zapomnę.

— Patrzcie, koledzy! — mówił, zwracając się do swego sztabu. — Takich ludzi, jak ten chłopiec, potrzeba mi jak najwięcej.

W chwilę potem zapisano m nie na listę pracowników, a nazajutrz już pełniłem powierzone mi obowiązki i możesz być pewna, Allie, że wykonywałem je dobrze.

Zamilknął na chwilę, aby odetchnąć trochę i niebawem począł opowiadać dalej. Mówił o niebezpieczeństwach, jakie czyhały nań na każdym kroku podczas pracy, o dzikich przełęczach górskich, dokąd zapuszczali się jedynie traperzy, polujący na jelenie, bawoły oraz rysie, i o tern, jak Larry Red King dwukrotnie ocalił mu życie.

— Dobry Reddy — szepnęła Allie, patrząc na narzeczonego oczami pełnymi miłości i łez. Nigdy mu tego nie zapomnę.

— Och, wyrównałem już mój dług wobec niego — roześmiał się Neale. — Zabiłem Indianina, który miał zamiar wystrzelić doń znienacka.

Allie zadrżała na całym ciele, przyciskając się trwożnie do narzeczonego, a Neale ciągnął dalej:

— Teraz jesteśmy obaj wielkimi przyjaciółmi. Red nie lubi dużo mówić, ale jego czyny starczą za słowa. Nigdy mnie nie opuszcza i zawsze chodzi za mną jak cień, nie zwracając uwagi na kolegów, którzy stroją sobie z niego żarty. Z jego pomocą też dokonałem największych mych czynów... A, kiedy pomyślę sobie o nich... Och, Allie!... Czasami wydaje mi się wprost niemożliwe, że udało się nam przebyć wszystkie te góry i pustynie. Tylko wiara gorąca mogła dodać nam sił do zwalczenia wszystkich niebezpieczeństw i zniesienia tylu trudów. Ale ja tę wiarę mam. Wierzę, że uda się nam pomyślnie doprowadzić do końca dzieło budowy Kolei Zjednoczonego Pacyfiku. Żyję tą wiarą, Allie.

Dziewczyna wtuliła główkę w ramiona i spojrzała nań uważnie.

— A z chwilą ukończenia budowy tej kolei mój chłopiec obejmie urząd naczelnego inżyniera, prawda?

Pamiętała więc, że powiedział jej to w swoim czasie.

— Miejmy nadzieję, Allie, że tak będzie — oświadczył, czując niejaką obawę wobec takiej ufności.

— Będę pracować i muszę zdobyć sobie poważne stanowisko.

Dzień następny przyniósł Neale'owi dobrze zasłużony wypoczynek, którym młody mierniczy napawał się pełną piersią.

Jesień była dlań zawsze najulubieńszą porą roku, a tutaj jej czar był większy, niż gdziekolwiek indziej. Góry Wyoming zdawały się drzemać w głębokiej, tajemniczej ciszy, lasy okryły się płaszczem czerwieni i bladego złota, zbocza dolin falowały perłowoszarymi łanami pierzastych traw, a nad całym tym wielobarwnym krajobrazem roztaczał się przepyszny

baldachim bladego nieba, którego nie kalała żadna chmurka. Słońce nie paliło, lecz ogrzewało litośnie, znikąd nie zawiał wiatr i powietrze było pełne orzeźwiającej, dziwnie słodkiej woni.

Dni i noce pędziły szybko, niby na skrzydłach, a każda godzina zbliżała Neale'a do tego niezrównanego dziewczęcia, które tak nagle zjawiło się na horyzoncie jego życia. Allie stała się teraz jego cieniem, zastępując skutecznie wiernego Larry'ego, chociaż i cowboy często przebywał wraz z nimi, przystosowawszy się w zupełności do zmienionych warunków i nie wykazując żadnej zazdrości. Z rana łowili pstrągi w strumieniu, lub odbywali długie konne przejażdżki, trzymając się posłusznie dróg, które Slingerland uznał za zupełnie bezpieczne. W południe wspinali się na szczyt najwyższego okolicznego wzgórza i siedzieli tam długo, wpatrując się w szkarłaty dalekich lasów. Wieczorami przechadzali się wśród wyniosłych świerków, a z nadejściem nocy zasiadali przy płonącym wesoło ognisku, snując rozkoszne plany na przyszłość.

Nastał październik, a wraz z nim przyszły chłody. Slingerland począł mówić o dobrych widokach na korzystną sprzedaż skór dzikich zwierząt i całymi dniami polował wraz z Larrym. Młody mierniczy natomiast nadal korzystał z pięknej pogody, odbywając przechadzki wraz z Allie.

Nigdy dotąd nie pytał o jej przeszłość, dziwiąc się tylko w duszy wykształceniu i ogładzie dziewczyny. Zdecydował, że sama wyjawi mu z czasem tę tajemnicę, i nie obchodziło go wiele, kiedy to się stanie. Pewnego dnia wreszcie, w sposób zupełnie naturalny, acz z pewnym zakłopotaniem, powtórzyła mu Allie część wyznania jakie złożyła jej matka owej pamiętnej nocy, kiedy Indianie napadli na ich karawanę.

Neale osłupiał ze zdumienia.

— A więc twój ojciec żyje? — zawołał.

— Tak.

— Muszę go zatem odszukać i zwrócić mu ciebie.

— Uczynisz, jak zechcesz — westchnęła smutnie. — Dowiedz się jednak, że nigdy nie widziałam mego ojca. Nie żywię doń żadnej miłości, a on też nie wie zapewne nic o mym istnieniu.

— Jakie to dziwne, Allie! A gdzież mieszka ten twój nieznany ojciec?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

— Sama nie wiem. Matka mówiła mi tylko że mieszkali w Nowym Orleanie. Stamtąd też uciekła od niego, za co jej bynajmniej nie potępiam, znając szczegóły ich pożycia. A ty? Powiedz, czy razi cię postąpienie mej matki?

— Ależ skąd! Jestem pewny, że nie mogła postąpić inaczej. Tylko... tylko zdumiała mnie bardzo ta wiadomość. Opowiedz mi coś więcej o tym panu Durade.

— Och, był to Hiszpan dobrego pochodzenia, ale obieżyświat i szuler. Gra w karty była jego jedyną namiętnością, a matka moja służyła mu za przynętę dla naiwnych ludzi, których wciągał do swej szulerni. W przyszłości mnie miał użyć do tego samego celu, matka więc uciekła od

niego wraz ze mną. Zawsze jednak obawiała się, że Durade będzie nas ścigać, bo jest bardzo zawzięty i lubi postawić na swoim. Ale muszę przyznać, że był dla mnie dobry. Nigdy nie wyrządził mi żadnej krzywdy.

— Cóż będzie, jeśli trafi kiedykolwiek na twój ślad, kochanie? — zaniepokoił się młodzieniec.

Dziewczyna nie odpowiedziała od razu, lecz otoczyła go ramieniem.

— Wtedy — szepnęła — będę już może twoją żoną.

— Kiedyż to się stanie? — odszepnął, drżąc cały ze szczęścia.

A jej twarz oblała się nagle jaskrawą purpurą rumieńca, który rozszerzył się na białe czoło i zniknął pod splotem bujnych włosów.

— Dzień ślubu naszego sam wyznaczysz, mój najdroższy.

Oczy jej, gdy to mówiła, były spuszczone, a twarz miała wyraz niewypowiedzianie uległy i słodki. Neale więc zdecydował, że teraz nastąpiła wreszcie najwłaściwsza chwila dla wypowiedzenia słów, które od dawna chciały mu sfrunąć z warg.

— Kocham cię, Allie! — rzekł z mocą.

— A ja ciebie — odparła z przesłodką odwagą.

— Bardzo zaniepokoiłaś mnie wiadomością o tym panu Durade — ciągnął dalej z obawą. — Życie przestałoby mieć dla mnie wartość. gdybym ciebie stracił.

— Możesz się nie obawiać — zapewniła go skwapliwie. — Nigdy mnie nie stracisz, ukochany. Zawsze będę należała tylko do ciebie.

— Och, Allie! — szeptał, obejmując ją namiętnie. — Wiedz, że miłość twoja od dziś aż do śmierci będzie jedynym mym szczęściem i jedyną w życiu radością. Jesteś taka słodka, tak bardzo słodka i śliczna...

Dalszym wynurzeniom przeszkodziło zdumienie, jakie w tej chwili odmalowało się na twarzy dziewczyny.

— Ależ, Neale! Nigdy dotąd nie mówiłeś mi przecież... takich rzeczy. I jak ty wyglądasz?

— Jakże ja wyglądam? — spytał, ciesząc się jej zabawnym zdziwieniem.

Roześmiała się głośno, co było dla niego zupełną nowością, gdyż śmiech jej zabrzmiał wesoło i radośnie, niby dźwięk srebrnego dzwoneczka.

— Wyglądasz jak Durade w chwili, gdy zgrywał się do ostatniej nitki. Szkoda, że nigdy go nie widziałeś. Był wówczas tak samo blady i... i... straszny.

Neale przysunął się jeszcze bliżej i delikatnie ujął w obie ręce jej śliczną główkę.

— Masz słuszność — rzekł. — Ja też zgrywam się teraz do ostatniej nitki. Czuję, że stracę wszystko, jeśli cię pocałuję, ale trudno... muszę...

— Co musisz? — spytała, spoglądając nań promiennymi oczami.

— Muszę cię pocałować.

— No, to pośpiesz się.

Wargi ich złączyły się razem i słodycz tego pocałunku stała się dla Neale'a źródłem nowej energii do dalszego budowania teraz już wspólnej przyszłości.

A tego samego pamiętnego dnia, na krótko przed zachodem słońca, Allie znowu zdołała wprawić w zdumienie swego narzeczonego.

— Och, zupełnie zapomniałam powiedzieć ci o tym złocie! — zawołała w pewnej chwili, blednąc z przejęcia.

— O jakim złocie, najdroższa?

— A widzisz? Wiedziałam, że będziesz zdziwiony. On zakopał je pod największym z trzech drzew, które rosną razem. Tuż przy skale. Ach, teraz jeszcze zdaje mi się, że widzę go, jak wyrzuca łopatą ziemię z dołu.

— Kto taki? Co ty wygadujesz, Allie?

Położyła mu na ustach paluszek, nakazując milczenie.

— Słuchaj! Horn, naczelnik naszej karawany, miał złoto. Nie wiem, ile tego było. Myślę jednak, że dużo... A on mnie tylko polubił, choć innych wprost nie znosił... Zdarzyło się to owej strasznej nocy, kiedy napadli na nas Indianie... Horn wykopał wówczas głęboki dół i zagrzebał w nim swoje złoto, mówiąc, że może je sobie zabrać stamtąd każdy, który ocaleje z pogromu. Śmiał się przy tym, gdyż nie miał żadnej nadziei, aby ktoś z nas mógł się uratować.

— No, wiesz? Jesteś istną skarbnicą wszelkich niespodzianek. Powiedz, czy dużo jeszcze masz ich w zanadrzu?

— Och, Neale! — mówiła, nie zwracając uwagi na jego żartobliwe słowa. — Jak myślisz? Czy Indianie mogli wykopać to złoto?

— Nie sądzę. Skądże by mogli się domyślić o istnieniu skarbu twojego Horna? Pojadę tam jutro i rozpocznę poszukiwania.

— Zabierz mnie z sobą — prosiła błagalnie. — A zresztą... — lepiej będzie, jeśli zostanę... Zapomniałam, że tam musi znajdować się grób mej matki.

— Owszem. Jest. Ale słuchaj, Allie! Cieszę się niezmiernie, że możesz już mówić spokojnie o swej matce i o jej przeszłości... Winszuję ci. Jesteś zuch dziewczyna... A teraz staniesz się jeszcze w dodatku bardzo zamożna. Złoto będzie przecież twoją własnością, jeśli je znajdę.

— Ależ nie. Twoją.

— Jakim sposobem? Nie należałem wszakże do waszej karawany, a Horn nie miał zapewne zamiaru oddania owego skarbu pierwszemu z brzegu przybłędzie. Ty jedna uratowałaś się z pogromu, będziesz więc miała złoto.

— No, tak. Ale ty będziesz miał mnie.

Nazajutrz po tej rozmowie Neale udał się w górę wąwozu, nic nie mówiąc Slingerlandowi i Larry’emu o celu swej podróży. Spodziewał się, że z łatwością odnajdzie miejsce tragicznego wypadku, stało się jednak inaczej. Przez dzień cały krążył po bezdrożach i ostatecznie, zwątpiwszy o wynikach dalszych poszukiwań, zawrócił ku leśnej sadybie, postanawiając prosić Larry’ego i Slingerlanda o pomoc w odszukaniu ukrytego skarbu.

Allie czekała nań przy strumieniu.

— Co? Zabrali nasze złoto? — zawołała z przejęciem.

— Ach, nie! Skarb twój leży zapewne spokojnie w swym dole. Nie mogłem tylko odnaleźć miejsca, gdzie zakopał go Horn... Teraz trzeba będzie powiedzieć o wszystkim Slingerlandowi i Larry'emu, aby dopomogli nam trochę.

— Może pozwolisz mnie to uczynić — poprosiła nieśmiało.

— Ależ doskonale. Nie odmówią ci na pewno. Larry zawsze miał zamiłowanie w kierunku odszukiwania ukrytych skarbów.

Po kolacji, gdy trzej mężczyźni zapalili fajki, Allie spojrzała zalotnie na cowboya.

— Panie Reddy — zagadnęła tajemniczo. — Czy oświadczyłby się pan o mnie, gdybym miała widoki na otrzymanie niebawem wielkiego spadku?

Slingerland wybuchnął głośnym śmiechem, co zmieszało cowboya jeszcze więcej niż to nieoczekiwane pytanie.

— Wielkiego spadku? — wybełkotał niewyraźnie.

— Tak. Kilka worów złota.

Wesoła twarz Slingerlanda spoważniała nagle. Cowboy przymknął oczy, jakby zastanawiając się, co ma odpowiedzieć.

— Myślę, że uczyniłbym to chętnie, nawet nie oglądając się na spadek, gdyby nie stał mi na drodze pewien tu obecny młodzieniec — wycedził wreszcie z wolna.

Znowu zabrzmiał wesoły śmiech trapera i z kolei zmieniła się twarz Allie. Neale jednak niezwłocznie przyszedł jej z pomocą, dzieląc się z towarzyszami tajemnicą zakopanego złota, którego poszukiwał bezowocnie.

— Zaręczam ci, że znajdę ten skarb — oświadczył bez namysłu Larry. — Zaraz jutro udamy się tam razem.

Slingerland podniósł dłoń do góry.

— Nie spodziewajcie się jednak, że już jutro uda się wam odnaleźć to złoto.

— Dlaczego? — zdziwił się Neale, wierzący bez zastrzeżeń w węch swego przyjaciela.

— Proszę posłuchać — rzekł traper.

Neale wytężył słuch, nie odrywając wzroku od promiennych ocząt Allie. W izbie zrobiło się nagle cicho zupełnie, i wszyscy rozróżnili niebawem jękliwy poszum drzew, których gałęzie, rozkołysane przez wiatr, muskały z lekka dach sadyby.

— Wiatr ten sprowadzi śnieg — oświadczył Slingerland. — Zobaczycie, co będzie się tu działo jutro.

Nie mylił się. Nazajutrz istotnie rozszalała nad doliną burza śnieżna. Wzgórza i lasy okrył gruby, biały całun. Nastała zima, a wraz z nią zaczął się dla Neaie'a okres ciężkiej pracy.

W ciągu pierwszego tygodnia troskliwego badania stanu swego okręgu młody mierniczy zapoznał się dokładnie z jego topograficznymi warunkami, zwracając szczególną uwagę na nagą powierzchnię Przełęczy Siuksów, po której swobodnie poruszały się lotne zwały śniegu. Pewnego

dnia, wyruszywszy ze swego obozu nieco wcześniej niż zwykle, młody mierniczy postanowił odwiedzić po raz pierwszy oddającego się podobnym badaniom inżyniera Service'a. W spiąwszy się na szczyt najbliższego wzgórza, znalazł tam warstwę śniegu o wiele głębszą niż te, z którymi miał do czynienia w dolinie, a powietrze też było dużo chłodniejsze i wiatr więcej gwałtowny. Przekonało go to, że towarzysz pracy miał jednak znacznie trudniejsze warunki, niż on.

Uścisnął wkrótce jego dłoń. Service siedział w swej jamie, samotny niby kret, ale zupełnie zadowolony ze wszystkiego i nawet dość wesoły. Porównawszy notatki, obaj koledzy spożyli razem posiłek, po czym Neale udał się z powrotem do własnej siedziby. Miał przy tym wrażenie, że brak towarzystwa bynajmniej nie ciążył Service'owi, który zresztą nie zdawał sobie zapewne sprawy z niebezpieczeństwa, jakim groziły mu zbliżające się mrozy.

A zima w górach Wyoming istotnie była o wiele dotkliwsza, niż w dolinie i Neale nie przestawał żywić obaw o los swego kolegi. W listopadzie rozpętały się straszliwe huragany, po niebie poczęły się przewalać zwały czarnych chmur, bluzgające lodowatym deszczem lub zasypujące całą okolicę puszystym śniegiem, z którego wiatr mozolnie budował piętrzące się wysoko piramidy. Och, jakiż to był wiatr! Pewnego mroźnego poranku strącił Neale'a z nóg, a przez kilka następnych dni młodzieniec w ogóle nie mógł wyjść ze swego szałasu, który drżał cały, w strząsany potężnymi podmuchami huraganu. A po ustaniu burzy okazało się, że śnieg zasypał wszystkie drogi i Neale musiał nauczyć się sztuki chodzenia na nartach. Posiadł ją w zdumiewająco krótkim czasie, ale wielomilowe podróże po stromych zboczach nużyły go bardzo. Zdarzało się częstokroć, że powracał do leśnej sadyby zupełnie wyczerpany, nie mogąc ani mówić, ani przełknąć pożywienia. Stopniowo jednak przyzwyczaił się do trudów zimowej pracy, nabrał sił i zmężniał niezmiernie.

W połowie grudnia młody mierniczy znowu udał się w góry, aby odwiedzić swego kolegę, lecz tym razem zastał go w bardzo złym stanie. Service leżał z nogą skaleczoną, czy nawet złamaną podczas upadku z któregoś szczytu. Neale, zaniepokojony poważnie, starał się ustalić charakter uszkodzenia, co mu się jednak nie udało. Service nie odczuwał w prawdzie żadnego bólu, ale jego noga była zupełnie sztywna. Chodzić więc nie mógł. Po dłuższej naradzie zdecydowali obaj, że złamania kości nie ma, ale noga wymaga leczenia.

— Będzie najlepiej, jeśli pan zechce opuścić swą norę i przenieść się na pewien czas do szałasu Slingerlanda — oświadczył Neale. — Da się to z łatwością uskutecznić. Jutro przyprowadzę trapera i z jego pomocą wywiozę stąd pana na sankach.

Service zgodził się po chwili wahania i Neale, zrobiwszy dlań jeszcze wszystko, co było w jego mocy, pożegnał się, obiecując powrócić przed upływem doby.

Słońce jakoś dziwnie zachodziło tego wieczora. Było szczególnie blade i otoczone dokoła pierścieniem sinych obłoków. Traper patrzył na nie i kiwał głową, marszcząc czoło w zamyśleniu. Neale jednak zrozumiał znaczenie tego zjawiska wtedy dopiero, gdy Slingerland powiedział mu, że w

powietrzu wisi nowa burza. Okazało się niebawem, że miał słuszność. Jeszcze przed zapadnięciem zmierzchu zerwał się wicher, pod którego podmuchem pochyliły się konary wszystkich drzew, a z wierchów skalnych poczęły odrywać się i wznosić w górę całe tumany śniegu.

Neale zaniepokoił się tern bardzo i wyszedł z chaty wraz ze Slingerlandem. Było przenikliwie zimno i zewsząd prószył śnieg. Traper powiedział coś głośno, ale wycie huraganu zagłuszyło jego głos. Zaledwie mogąc utrzymać się na nogach, powrócili co prędzej do izby i wówczas Slingerland powtórzył poprzednio wypowiedziane zdanie:

— Wiatr halny.

Neale spojrzał nań z przerażeniem.

— Teraz już nic nie możemy zrobić dla Service'a — rzekł traper, odgadując jego myśl. — Mowy nie może być o zapuszczeniu się w góry podczas wiatru halnego. Musimy zaczekać.

Tego wieczora nawet Allie nie mogła uspokoić Neale'a. Zatroskany o los kolegi, młodzieniec długo jeszcze siedział przy kominku, wsłuchując się z nerwowym niepokojem w straszliwe wycie huraganu. Udał się na spoczynek, gdy wszyscy spali już dawno, ale nie zmrużył oczu aż do świtu.

Całe dwie doby trwała straszliwa zawierucha, a kiedy śnieg przestał wreszcie padać, powietrze oziębiło się znacznie i Neale wyraził przypuszczenie, że musi być co najmniej czterdzieści stopni poniżej zera. Traper jednakże był zdania, że jest ze sześćdziesiąt. Trzeba więc było nadal trwać w bezczynności i czekać ocieplenia się powietrza.

Na piąty dzień dopiero udało się Neale'owi namówić Slingerlanda do podążenia z pomocą Service'owi. Larry chciał im towarzyszyć, ale traper polecił mu zostać wraz z Allie. Samo wtór więc tylko ruszyli na nartach w góry, ciągnąc za sobą małe sanki. Nie była to łatwa wędrówka. Mroźny wicher tamował im oddech w piersiach, szczypiąc policzki i pomimo ciepłego ubrania przejmując chłodem całe ciało. Narty przy tym ślizgały się po zamarzniętej powierzchni śniegu i w wielu miejscach każdy krok naprzód groził stoczeniem się w przepaść.

Po kilku godzinach rozpaczliwych wysiłków udało się im wreszcie dotrzeć do wzgórza, u którego stóp znajdowała się nora Service'a. Nic jednak nie wskazywało na obecność jej właściciela. Czarny otwór jamy tchnął pustką, a z prowizorycznego komina nie unosiło się, jak zwykle, pasmo sinawego dymu. Neale zatrzymał się, spoglądając z rozczarowaniem na Slingerlanda, ale traper naglił do pośpiechu.

— Czy nie widzi pan tych chmur? — syknął niecierpliwie. — Nie mamy ani chwili czasu do stracenia.

Wspólnymi siłami podnieśli deski, służące Service'owi jako drzwi, i weszli do jamy. Na palenisku nie było ani odrobiny żaru, który musiał wygasnąć od kilku dni, gdyż węgle zdążył już przyprószyć śnieg, wdzierający się do wnętrza owej nory przez szpary, znajdujące się między deskami. W kącie, okryty z głową kocami leżał Service, a Neale nie potrzebował zgadywać, jaki go spotkał los.

— Zmarzł na śmierć — westchnął.

Slingerland odkrył w milczeniu twarz nieszczęśliwego. Była marmurowo-biała i jakby zastygła, ale spokojne jej rysy nie zdradzały śladów cierpienia.

— Zasnął i więcej się już nie obudził — zauważył traper.

— Dobrze jeszcze się stało, że choć miał lekką śmierć — westchnął Neale. — Och, jakże żałuję, że go opuściłem!

— Spóźniony to żal, panie Neale — rzekł traper. — Ale, proszę się uspokoić. Wielu jeszcze porządnych ludzi przeniesie się w zaświaty, zanim ukończycie budowę tej przeklętej kolei.

Więcej nic już nie mówili, rozumiejąc, że trzeba się śpieszyć. Neale przeszukał szybko kieszenie nieszczęśliwego i wyjął z nich wszelkie notatki oraz drobne przedmioty osobistego użytku, które należało przedstawić zwierzchnictwu. Slingerland natomiast, wśród nielicznych sprzętów, stanowiących umeblowanie schroniska, znalazł kilof oraz łopatę i z pomocą tych narzędzi przystąpili obaj do kopania grobu. Łatwiej może poszłoby żłobienie skały. Żelazny kilof z trudnością odłupywał kawały zmarzniętego na kamień piasku, a łopata wyszczerbiła się wprędce od uderzeń o zlodowaciały żwir. Po dłuższej pracy jednak udało im się wydrążyć dostatecznej głębokości jamę, w której złożyli zawinięte w koce zwłoki Service'a i zasypali je starannie.

— Nowa mogiła — westchnął Neale. — Ach, panie Slingerland! Kiedyś w pobliżu będą przebiegać pociągi pełne młodzieńców, dążących po dalekie szczęście, i tyle tysięcy innych ludzi, zadowolonych, bogatych, myślących o własnych swych interesach. Wszyscy oni będą spoglądać na to wzgórze, nie domyślając się wcale, że jego zbocze kryje zwłoki naszego biednego Service'a.

— Trudno, panie Neale — odparł traper. — Każda kolej musi wprzódy przejechać po trupach, zanim stanie się użyteczna.

Neale zrozumiał, że Slingerland nie był usposobiony życzliwie dla pomysłu przeprowadzenia kolei przez tę okolicę. Postęp cywilizacji nie uśmiechał mu się wcale, gdyż wraz z nim traper tracił swe zyski.

Odwrót był już łatwiejszy. Teraz wiatr dął im w plecy, nieomal pędząc do domu. W ciągu dość krótkiego czasu zatem znaleźli się znów w ciepłej izbie, gdzie czekała na nich z wieczerzą Allie, której oczywiście nie powiedzieli nic o tragicznym wyniku swej ratowniczej wycieczki.

Minęła wreszcie zima, śniegi stopniały, a wiatry uspokoiły się. Nastała wiosna. Neale od dawna już postanowił, że na całe lato powierzy Allie opiece Slingerlanda, a dziewczyna zgadzała się na to chętnie, obiecując czekać na powrót narzeczonego. Inaczej zresztą być nie mogło. Neale przecież nie mógł zabrać jej do obozu, pełnego żołnierzy i robotników. To jedno zatem było ustalone, na ogół wszakże przyszłość pozostawała pod znakiem zapytania. Neale dręczył się bezustannie myślami o Hiszpanie Durade, który unieszczęśliwił w swoim czasie matkę Allie, a także o nieznanym ojcu dziewczyny. Czuł też, że obaj ci ludzie odegrają jakąś rolę w jego życiu, pragnął więc poślubić Allie, zanim pojawią się na horyzoncie.

Przedtem jednak musiał złożyć raport o wynikach zimowych badań sztabowi obozu inżynierów, który mógł przebywać w Fort Fetterman lub w

North Platte, lecz równie dobrze mógł znajdować się w drodze do Omaha. W tych warunkach trudno było robić jakieś plany na najbliższą przyszłość.

Pewnego poranka, nieomal w przededniu wyjazdu Neale'a, do spokojnej i cichej doliny Slingerlanda wtargnęło nieoczekiwanie czterech, wielce podejrzanie wyglądających ludzi. Nieznani ci goście przybyli na dobrych koniach, nieobarczeni żadnymi ładunkami. Larry zaklął głośno na ich widok, co było nader znamienne dla Neale'a, po czym stanął spokojnie z fajką w zębach, zagradzając przybyszom drogę do chaty, na której progu siedziała Allie. Cowboy trzymał dłoń na tkwiącym mu za pasem pistolecie i miał taki wygląd, że goście od razu musieli się domyślić, jakiego mają przed sobą człowieka. Nie zmieszali się jednak bynajmniej i poprosili bardzo grzecznie o nieco tytoniu, nie zdradzając żadnych złych zamiarów.

— Zabłądziliśmy tu, dążąc na wschód — wyjaśnił jeden z nich.

— A skądże to Bóg prowadzi? — zagadnął Slingerland, który wyłonił się naraz zza węgła chaty.

— Z Ogden, panie gospodarzu — odparł przybysz, mierząc go zaciekawionym spojrzeniem. — Słyszeliśmy, że budują tu podobno jakąś kolej. Nie wiecie czegoś o tym?

— Owszem — odezwał się cowboy. — Budują. Dzięki temu mamy w naszej dolinie cały obóz wojskowy.

— Doprawdy? — wykrzyknął któryś z przybyszów.

— Ależ tak. Wojsko buduje tę kolej.

Oświadczenie Larry'ego wywołało skutek zgoła nieoczekiwany. Czterej jeźdźcy, nie żegnając się wcale, zawrócili niezwłocznie i pogalopowali w dal. Slingerland krzyknął im jeszcze, aby wystrzegali się Indian, którzy wstąpili na wojenną ścieżkę, ale gdy zniknęli w gęstwinie, skrzywił się z obrzydzeniem.

— Nie podobali mi się ci włóczędzy — rzekł.

Neale również wyraził podobne przekonanie, ale Larry roześmiał się ze wzgardą, oświadczając, że wizyta tego rodzaju bandy nie może im grozić żadnymi złymi następstwami.

— Przecież to są nędzni tchórze — powiedział. — Jednego mężczyzny będzie dosyć dla odparcia ich napadu, ale przyznam, że wolałbym nie pozostawiać tu panny Allie.

— Nie obawiajcie się o mnie. Dam sobie radę — oświadczyła ochoczo dziewczyna.

Pojawienie się w dolinie nieznanych przybyszów zmusiło Neale'a do zmiany planu wycieczki dla odszukania zakopanego skarbu. Obawiał się, aby go kto nie podpatrzył przy tej robocie, a Slingerland również nie pragnął przechowywać w swej chacie takiej ilości złota.

— Nie mamy nawet pewności, czy w ogóle uda się nam odnaleźć skarb Horna — mówił. — Będzie więc najlepiej, jeśli odłożymy poszukiwania do waszego powrotu.

Niebawem nastał przykry dla wszystkich dzień rozstania. Allie zachowywała się mężniej, niż Neale i jego przyjaciel, ale była bardzo blada i przejęta. Na pożegnanie pocałowała Larry'ego w czoło.

— Proszę dbać o siebie i... o niego, panie Reddy — rzekła prosząco.

— Zrobię wszystko, co będzie w mej mocy. Do widzenia, panno Allie — odparł cowboy.

Dotknął konia ostrogą i odjechał, nie oglądając się za siebie, gdyż w tej chwili Allie poczęła żegnać się z Nealem.

— Wystrzegaj się Indian, najdroższy — szeptała dziewczyna, zarzuciwszy młodzieńcowi ręce na szyję.

Westchnęła przy tym ciężko, a twarz jej pobladła, lecz tylko na chwilę, gdyż niebawem na policzki powróciły rumieńce, a oczy zajaśniały zwykłym promiennym blaskiem.

— Och, Allie! Jakże mi ciężko rozstawać się z tobą — jęknął Neale.

— Wiem o tym. Ale to nic. Powrócisz przecież. Teraz musisz myśleć o swej pracy... Jedź już!... Jedź, mój ukochany.

Młodzieniec mówił coś, czego sam nie rozumiał, czując jednocześnie, że wzrok mu przesłania jakaś dziwna mgła.

— Czy... czy zawsze będziesz mnie... kochać? — szepnął przerywanym głosem.

— Alboż potrzebujesz o to pytać?... Zawsze... Do końca życia.

— Pocałuj mnie więc — prosił, pochylając się ku niej z siodła. — Och! serce rwie mi się z rozpaczy! Pocałuj mnie, jedyna.

— Do widzenia!

Ostatnie to słowo, jakie usłyszał Neale z ust narzeczonej, zabrzmiało mu w uszach jakby tragicznym wspomnieniem niedawno przeżytej przez nią strasznej klęski.

Rozdział X

Jadąc wyciągniętym kłusem, Neale i King o świcie już dotarli do głównej drogi, wytkniętej stosunkowo niedawno, ale już noszącej ślady dość znacznego ruchu, który miał odtąd wzrastać z każdym dniem.

Znajdowali się w dziewiczym kraju i niepodzielnie jeszcze należącym do Indian. Niebezpieczeństwo napadu mogło zagrażać zewsząd, gdyż nie wiadomo było, czy Siuksowie znajdują się na łowach czy też wstąpili na wojenną ścieżkę. Ale nawet bystre oko cowboya nie wykryło nigdzie żadnego podejrzanego ruchu. Dookoła panowała głęboka, żadnym odgłosem niezakłócona cisza.

Po krótkim popasie przyjaciele ruszyli dalej i przed południem znaleźli się w Fort Fetterman. Nie zastali tam jednak nikogo ze sztabu generała Lodge'a, ale jakiś żołnierz doręczył Neale'owi kopertę, w której młody mierniczy znalazł rozkaz niezwłocznego udania się do North Platte. Wraz z nim miał wyruszyć oddział wojska, podróż więc mogła być odbyta w warunkach zupełnego niemal bezpieczeństwa. Od tego samego żołnierza Neale dowiedział się, że na przestrzeni czterdziestu mil od Omaha działa już tor kolejowy i krążą pociągi. Serce wezbrało mu radością. Budowa Kolei Zjednoczonego Pacyfiku posunęła się znacznie od chwili, gdy wyruszył na prace zimowe.

Niebawem Neale i Larry przybyli do North Platte, które było raczej obozem, niż osadą. Zastali tam inżyniera Baxtera, który, mając na razie do rozporządzenia tylko jednego mierniczego i nie spodziewając się przysłania innych sił pomocniczych przed jesienią, przyjął ich obu z otwartymi ramionami. Praca na rozprażonej płaszczyźnie niezbyt uśmiechała się Neale'owi, ale wyboru nie było i młodzieniec zabrał się do niej z zapałem i energią, którą tak bardzo cenili w nim zwierzchnicy. Pracował całymi dniami, nie zaprzątając umysłu osobistymi sprawami, i myślał o Allie tylko w rzadkich chwilach wypoczynku. Skwapliwie czyhał jednak na wszystkich przybywających z Zachodu, wypytując ich o zachowanie się Indian w górach Wyoming, chciwie chwytając jednocześnie wszelkie wieści, nadchodzące ze wschodu o dalszym postępie budowy Kolei Zjednoczonego Pacyfiku.

A tymczasem minęło lato i z początkiem jesieni Neale otrzymał rozkaz udania się do Omaha. Była to dlań bardzo przykra niespodzianka. Toż żył przecież i krzepił się nadzieją spędzenia następnej zimy w górach Wyoming. Nadzieja ta rozwiała się obecnie jak mgła i serce młodzieńca ścisnęło się z żalu. Tak długa rozłąka z Allie wydała mu się wprost

niemożliwa do zniesienia. Po pewnym namyśle jednak Neale zrozumiał, że nie może się uchylić od wykonania rozkazu. Przeprowadził już wszakże wszystkie pomiary dla mostów, jakie miały stanąć w górach Wyoming, a teraz naczelny inżynier pragnął niezawodnie powierzyć mu jakieś wyższe i odpowiedzialniejsze stanowisko. Był to więc uśmiech szczęścia i Neale uchylił czoła wobec konieczności, postanawiając prosić zwierzchność o wysłanie go do Wyoming na wiosnę.

Ale niebawem spotkało go nowe rozczarowanie. Larry King nieoczekiwanie odmówił towarzyszenia mu w podróży na wschód. Neale zdumiał się.

— Cóż to? — spytał. — Czy chcesz porzucić pracę?

— Nie, ale wolę pozostać tutaj — odparł cowboy.

— Obawiam się, że na zimę zabraknie tu dla ciebie zajęcia.

— W takim razie będę zbijać bąki.

Wszelkie namowy spełzły na niczym. Larry trwał niezłomnie przy swym postanowieniu, obiecując jedynie, że powróci do pełnienia obowiązków przy Neale'u na wiosnę.

— Nie mogę zrozumieć twego uporu, Red — zniecierpliwił się młody mierniczy.

— Dowiedz się zatem, że ostrożność nie pozwala mi zapędzać się zbyt daleko na wschód — rzekł Larry znaczącym tonem.

Neale domyślił się wreszcie.

— Ach, Red! Widocznie zbroiłeś tam coś złego — zawołał ze szczerym żalem w głosie.

— Może — odparł wymijająco cowboy.

— I teraz obawiasz się następstw? — przyciskał go do muru Neale.

Cowboy poczerwieniał nagle, krzywiąc się gniewnie.

— Tobie tylko mogę wybaczyć tego rodzaju uwagę. Każdemu innemu wepchnąłbym ją z powrotem do gardła.

— Nie obrażaj się na mnie, stary przyjacielu. Zaskoczyła mnie, widzisz, twoja odmowa. Bardzo mi będzie ciebie brakować.

— A mnie ciebie — odrzekł Larry. — Nie martwmy się jednak. Jest to wszakże sprawa tylko kilku miesięcy. Zostanę tutaj i będę czekać na twój powrót. Jedź, przyjacielu... Wiem dobrze, że dorobisz się z czasem jakiegoś wybitnego stanowiska.

Z North Platte Neale wyruszył wraz z innymi wielkim wozem i po długiej, a dość uciążliwej podróży przybył do miejsca, gdzie odbywała się niwelacja terenów. Roboty jednak były na razie zawieszone, a w opuszczonym obozie młodzieniec nie spotkał żadnego robotnika. Za to, przejechawszy dalsze pięćdziesiąt mil, usłyszał nieoczekiwany gwizd parowozu. Był odległy wprawdzie i nikły, ale zupełnie realny. Neale na ten odgłos wykrzyknął z radości, a towarzysze zawtórowali mu niezwłocznie.

Niebawem na horyzoncie ukazały się smugi licznych dymów, a w chwilę później młody mierniczy ujrzał rozpościerające się w oddali miasto szałasów i namiotów. Z wielką ciekawością rozglądał się po tym obozie. Panował tu chaos nie do opisania i ścisk. Tłum ludzi, nie mających, jak się zdawało, nic do roboty, pchał się do stojącego na szynach długiego

pociągu, złożonego z samych towarowych oraz starych osobowych wagonów.

Po zaledwie dziesięciominutowym pobycie w obozie Neale również wsiadł do pociągu, czując się niewypowiedzianie dumnym. Jakże? Był przecież jednym z budowniczych szlaku, po którym krążyły już pociągi. Linia nowej kolei powstawała w jego oczach z niczego. Pamiętał dobrze, że niedawno jeszcze było tu pustkowie. Przymknął oczy i oddał się marzeniom, snując niezliczone plany na przyszłość. A pociąg wlókł się powoli, przystając lada chwila i wreszcie zajechał do Omaha, rojnej niby ul osady, mającej stać się z czasem wielką metropolią Wschodu.

W Omaha Neale pogrążył się w morzu planów i projektów, obejmujących całokształt budowy Kolei Zjednoczonego Pacyfiku. Rozpatrywanie ich sprawiało mu niezwykłą rozkosz, gdyż młody mierniczy w głębi duszy był marzycielem, podobnie jak wszyscy ci ludzie, w których umysłach zrodziła się wielka idea budowy kolei, łączącej Wschód z Zachodem. Z prawdziwą przykrością jednak dowiedział się o pewnym szczególe, którym dotąd nie zaprzątał sobie głowy. Oto ci szlachetni ludzie, inicjatorzy stworzenia wielkiego dzieła, musieli wytężać swe siły dla zdobycia niezbędnych środków finansowych.

Zarówno prezydent jak i kongres Stanów Zjednoczonych mieli dużo innych kłopotów, związanych z niedawno zakończoną wojną domową, i rząd mógł udzielić zaledwie dość nikłej pomocy budowniczym Kolei Zjednoczonego Pacyfiku, ofiarowując im jedynie znaczne ulgi.

Uczestnicy pierwszego towarzystwa, jakie powstało dla urzeczywistnienia owego przedsięwzięcia, zadeklarowali z górą półtora miliona dolarów kapitału, wpłacając do kasy gotówką czwartą część tej sumy. Ale pieniądze rozeszły się tak szybko, że udziałowcy towarzystwa, w obawie aby budowa kolei nie stała się dla nich studnią bez dna, wycofali się niebawem.

Wtedy ludzie, pragnący żerować na budowie nowej kolei, utworzyli organizację pod nazwą „Credit Mobilier", która stała się niebawem sławna i zarazem osławiona.

Był to rodzaj kompanii budowlanej, jednej z licznych, jakie zakładano w owych czasach dla finansowania powstających kolei. Wspomnienie o „Credit Mobilier" jednak przetrwało długie lata, gdyż operacje zarządu tej instytucji stały się przyczyną wielkiego skandalu politycznego.

Drogo kosztowała budowa Kolei Zjednoczonego Pacyfiku. Ceny wszystkich materiałów kształtowały się bardzo wysoko i rosły niemal z każdym dniem. Żadna linia przecież nie łączyła Omaha ze Wschodem, wszystkie więc parowozy, wagony, maszyny i materiały budowlane, a nawet robotników trzeba było przewozić parowcami rzeką Missouri z St. Louis.

To samo już było pracą, wymagającą znacznego zasobu energii i zdolności organizacyjnych. Były jednak inne jeszcze trudności. Oto na całym tym, setki mil kwadratowych liczącym obszarze nie istniały żadne

lasy, a przeto i środki opałowe należało przywozić z daleka, jak również podkłady kolejowe, węgiel oraz kamień do budowy mostów. Wymagało to zatrudnienia tysięcy robotników, którzy, przekonawszy się wprędce, jak bardzo ich usługi potrzebne są budowniczym, poczęli występować z żądaniem coraz to większych płac.

Kłopot niemały przy tym sprawiała budowniczym kontrola, z którą Neale wprost nie mógł się pogodzić. Oto, po zakończeniu robót na pewnym, określonej długości odcinku, przybywali z Waszyngtonu eksperci rządowi dla zadecydowania, czy wykonanie odpowiada warunkom. Dawało to pole różnego rodzaju nadużyciom władzy, gdyż niektórzy eksperci, ze względów przeważnie czysto osobistych, orzekali, że dany odcinek został wykonany źle, po czym trzeba było go przebudowywać, co, oczywiście, podwajało koszty.

Zdarzyło się, że taka komisja kontrolna, po zbadaniu pewnej serii robót, zakwestionowała stopień pochyłości jednego z odcinków. Zawezwano do wyjaśnienia sprawy Neale'a, który sprawował nadzór nad pracami, i młody mierniczy danymi cyfrowymi dowiódł, że podany w wątpliwość stopień pochyłości całkowicie odpowiadał wymaganiom.

Wspomagany dzielnie przez inżyniera Henney'a, przekonał wreszcie swymi wywodami wszystkich członków komisji, wyjąwszy jednego, niejakiego Allisona Lee. Już samo brzmienie tego nazwiska zastanowiło Neale'a. Był to człowiek w średnim wieku, o dziwnie szarej i pomarszczonej twarzy, a posiadającej wyraz wielce zarozumiały, z którego młody mierniczy wywnioskował, że pan Lee musi być człowiekiem wpływowym.

Jegomość ten trwał przy swym zdaniu, twierdząc, że dany odcinek jest zbudowany nieodpowiednio.

— Pan się myli — oświadczył mu wreszcie Neale, ze zwykłą sobie porywczością.

— Sądząc ze sposobu pańskiego zachowania się wobec zwierzchności, wnioskuję, że straci pan niezadługo posadę — oświadczył oschle pan Lee.

Twarz młodzieńca stała się nagle blada jak płótno.

— Wszystkie te kontrole są diabła warte! — wybuchnął. — Tak! D-i-a-b-ł-a warte, drogi panie! Wie o tym Lodge i Henney, i my wszyscy. Pan sam zapewne śmieje się w duchu z własnych czynności. Tak!

Wyszedł, trzasnąwszy drzwiami, w ślad za Henney'em, który wycofał się już wcześniej z gabinetu i ostatniej wymiany zdań nie słyszał, ale, dowiedziawszy się o niej, zganił nieustępliwość Neale'a. Sprzeczka ta mogła zaszkodzić sprawie budowy nowej kolei. Niektórzy z członków komisji ekspertów pracowali w ścisłym porozumieniu z dyrektorami kompanii i mogli wraz z nimi celowo wprowadzać w błąd „Credit Mobilier".

Były to sprawy wyższej polityki, o której przecież inżynierowie nic nie wiedzieli.

W maju roku 1866 do obozu w North Platte przybył wielki wóz ciężarowy i spod jego budy pierwszy wyskoczył Warren Neale, równie silny

i energiczny jak dawniej, ale postarzały widocznie od trudów i niepokojów. Wysiadłszy z wozu, wpadł niezwłocznie w objęcia Larry'ego Kinga, który uściskał go czule, niby rodzonego brata.

— Jakże miewają się twe konie, Red? — spytał Neale.

— Przezimowały nieźle, mój kochany, ale wyżywienie ich kosztowało mnie cały majątek — oświadczył żałośnie cowboy. — Zubożałem doszczętnie, kupując im owies i sieczkę.

— Nie martw się — odparł ze śmiechem młody mierniczy. — Mam dość pieniędzy, a wiesz przecież, że wszystko co posiadam, należy w połowie do ciebie. Zbierz jak najszybciej swe manatki, stary przyjacielu. Pojedziemy w góry Wyoming.

— Wiedziałem, że nic innego od ciebie nie usłyszę. Dowiedz się jednak, że na drogach bocznych jest bardzo niebezpiecznie. Włóczą się tam całe hordy Indian. Pomyśl o tym, Neale!

— Ależ pojechałbym wtedy nawet, gdybyś powiedział mi, że lasy się palą — burknął niecierpliwie Neale. — Czyż nie pamiętasz, że od roku już nie widziałem Allie i nie miałem od niej żadnej wiadomości? Nie! Ani chwili nie chcę czekać.

Larry King odszedł, wzruszając ramionami, a już w godzinę później dwa rącze rumaki pędziły na zachód.

Jadąc tak bez przerwy całymi nocami, a za dnia zatrzymując się na postojach, obaj jeźdźcy wprędce pozostawili za sobą jednostajne równiny Nebraski. Teraz droga ich wiodła przez kraj pełny Siuksów, gdzie mógł się przydać bystry wzrok cowboya, dla którego fraszką było wykrywanie zasadzek w stepach dzikiego Teksasu. I przydał się istotnie, niejednokrotnie bowiem oczy Kinga dojrzały w oddali elastyczną sylwetkę Indianina, zanim jeszcze zamajaczyły na horyzoncie zarysy gór Wyoming.

Przybyli wreszcie do zacisznej doliny Slingerlanda, w której panowała niepodzielnie młoda zieleń wczesnego lata. Wstąpiwszy na dobrze znany szlak, nie znaleźli nigdzie śladów kopyt końskich, ale wiedzieli dobrze, że me ma to żadnego znaczenia, gdyż droga rozmiękła zupełnie od deszczu, który musiał padać niedawno.

Z drżącym sercem Neale popędził konia, wyprzedzając swego towarzysza, i nagle zdarł uzdę, skutkiem czego rumak przysiadł na zadzie, parskając głośno. Na polanie, wśród wysokich sosen, czerniały zwęglone kłody, znacząc miejsce, gdzie niegdyś wznosił się szałas trapera. Neale wpatrywał się w te zgliszcza nieruchomym wzrokiem nie mogąc wydobyć głosu z piersi.

— Boże litościwy! — jęknął Larry, podjechawszy na czas, aby podtrzymać ramieniem walącego się z siodła przyjaciela. — Tutaj hulali Indianie! Och, zawsze się tego obawiałem, chociaż Slingerland był pewny, że go nie ruszą!

Dotknięcie ręki cowboya ocuciło Neale'a i młodzieniec zeskoczył na ziemię.

— Szukaj jej, Red! Szukaj wszędzie!

Cowboy usłuchał tego wezwania i począł gorliwie przetrząsać zarośla, czując jednak, że wszelkie poszukiwania są zbędne. Allie nie było nigdzie! Biedny Neale!

Rozpacz młodzieńca nie miała granic. Przekonawszy się, że nic nie wskóra, upadł na ziemię, szlochając boleśnie i rwąc rękami trawę, po czym wyprężył się i leżał nieczuły na wszystko. Poruszył się wtedy dopiero, gdy Larry powrócił z poszukiwań i usiadł obok niego. Wówczas podniósł się, spoglądając przyjacielowi prosto w oczy, jakby spodziewał się wyczytać w nich całe dzieje zniknięcia ukochanej.

— Nigdzie żadnego śladu — westchnął cowboy. — Pożar musiał zdarzyć się jakieś dwa tygodnie temu. Może nieco dawniej. Potem padał obfity deszcz, który zatarł wszystko...

Cowboy, pomimo wyraźnego przygnębienia, był wierny zwyczajowi odgadywania ruchów ludzi i zwierząt po śladach. Tym razem jednak na nic się nie zdały jego wrodzone zdolności.

Neale spoglądał przez pewien czas na przyjaciela, po czym schwycił się nagle za głowę.

— Nie ma jej, Red! Nie ma — jęczał.

— No, nie rozpaczaj tak — pocieszał go King. — Może Slingerland przeprowadził się tylko i zabrał ją ze sobą.

— Ach, nie! Gdyby tak było zresztą, Allie pozostawiłaby mi wiadomość pod tam tym kamieniem na polanie. Tak przynajmniej umówiliśmy się, a nie znalazłem nic. Och, nie ma jej! Nie ma!

— Może... znajdziemy ich jeszcze.

Neale rzucił się gniewnie.

— Zostaw już! Wiem wszakże, że mówisz to wszystko, aby mnie uspokoić, ale sam myślisz inaczej. Powiedz więc nareszcie coś do rzeczy.

— Zdaje mi się, — odparł Larry, marszcząc czoło w widocznym natężeniu umysłu — zdaje mi się, że pan Slingerland musiał pójść sobie gdzieś i pozostawił Allie samą... Wtedy... wtedy oni ją porwali, a chatę spalili...

— Ale kto? Czyżby Indianie?

— Może...

— Och, Red! To byłoby wprost straszne. Oni mogli ją zabić, lub oskalpować, czy wreszcie uprowadzić żywcem i ukryć gdzieś daleko.

King, zamiast odpowiedzi, pociągnął go energicznie za ramię.

— Chodź! — rzekł. — Siedząc tutaj, nic nie dokażemy, a należy teraz jak najszybciej odnaleźć starego Slingerlanda.

Od tej chwili rozpoczęli poszukiwania zaciekłe i uporczywe. Neale przy tym zachowywał się jak człowiek obłąkany i nie zwracał uwagi na żadne grożące mu zewsząd niebezpieczeństwa, z których ratowała go jedynie pewna ręka Kinga. Teraz już mogli spotkać się oko w oko z Siuksami za każdym zakrętem i w każdym wąwozie. Ale Neale pożądał gorąco tego spotkania. Miałby przynajmniej na kim wywrzeć gniew, jaki rozsadzał mu pierś.

Rozglądając się bacznie dokoła, obaj przyjaciele zapuszczali się coraz dalej w głąb doliny. Jechali przy tym wciąż brzegiem strumienia, rozumując słusznie, że nową chatę Slingerland mógł zbudować jedynie w pobliżu wody. Od czasu do czasu spostrzegali po drodze jakieś ślady ludzkich stóp, a niekiedy i kopyt końskich, ale wszelkie dalsze poszukiwania spełzały na niczym. Góry Wyoming, na razie przynajmniej,

zdawały się być olbrzymią samotnią, nie zamieszkaną przez żadną istotę człowieczą.

Po dwóch tygodniach jałowej włóczęgi, przy tamie, zbudowanej w poprzek strumienia przez bobry napotkali wreszcie dwóch traperów i Neale od razu poczuł, że od tych ludzi dowie się czegoś o Slingerlandzie.

— Dzień dobry! — powitał myśliwych Larry. — Przyjemnie jest zobaczyć nareszcie ludzi po wielu tygodniach wałęsania się wśród gór.

— Czy szukacie tu kogo? — zagadnął jeden z traperów.

— Owszem. Niejakiego Slingerlanda. Czy nie zna go pan czasem?

— Ach, od całego szeregu lat — uśmiechnął się myśliwy. Widziałem go nawet niedawno, bo przechodził tędy coś tydzień temu.

— Czy... czy był sam? — zagadnął Larry, starając się mówić jak najswobodniej.

— Sam jak palec, a wyglądał bardzo źle. Mówił, że zginęła mu w tych czasach dziewczyna, która chowała się pod jego opieką. Martwił się tym bardzo.

— Zginęła? Porwano ją więc zapewne. Ale kto?

— Slingerland nie sądził, by uprowadzili ją Indianie — ciągnął wolno traper. — Miał przecież wśród nich wielu przyjaciół. Twierdził też...

— Proszę! Niechże pan mówi prędzej! — zawołał głucho Neale. — Co się stało z panną Allie Lee?

— Nie powinni panowie dziwić się gwałtowności mego przyjaciela — wtrącił Larry, widząc zdziwienie na twarzach traperów. — Ta młoda osoba jest jego narzeczoną.

— Wiemy to tylko, co powiedział pan Slingerland — wyjaśnił łagodnie jeden z myśliwych. — A mówił, że raz jeden tylko pozostawił ją samą i wtedy właśnie zdarzyło się nieszczęście. Po powrocie z polowania znalazł dopalające się zgliszcza swego domu. Nie wiem, kogo podejrzewa o tę zbrodnię, ale uskarżał się, że od czasu rozpoczęcia budowy tej nowej kolei pełno włóczyło się zawsze w okolicy ludzi nieznanych, a zachowujących się tak dziwnie, jakby mieli złe zamiary. Sam zresztą często teraz spotykam takich obieżyświatów. Tak, młodzieńcze!— dodał, wzdychając. — Nic dobrego nie przyniosła nam ta przeklęta kolej.

Po powrocie do North Platte Neale zmienił się dziwnie. Począł pić i grać w karty. Cowboy starał się odwieść przyjaciela od tych zgubnych namiętności, ale widząc, że namowy nie działają, również oddał się kartom i pijaństwom. I wówczas zauważyli wszyscy, że Neale przestał przegrywać i że alkohol nie działa nań zupełnie. Nie było w tym zresztą nic nadzwyczajnego. Larry King wylewał przecież wódkę z kieliszków swego przyjaciela i sam kierował jego grą.

Obydwaj zaś jednakowo stronili od kobiet. Obu raziły długie włosy i suknie.

A budowa kolei posuwała się wciąż dalej. Obóz roboczy przesunął się na zachód i do North Platte przybył wreszcie pierwszy pociąg, przywożąc

dyrektorów Kolei Zjednoczonego Pacyfiku — Warburtona, Rudda i Rogersa oraz członków komisji ekspertów Lee i Dunna.

Pięciomilowy odcinek Neale'a, który komisja zdyskwalifikowała w swoim czasie, teraz był już ponownie wymierzony i przebudowany. Młodzieniec więc udał się tam z Baxterem i sprawdził pomiary a powróciwszy do North Platte, wzbudził istne zamieszanie wśród areopagu dyrektorów, ekspertów oraz inżynierów, rzucając im na stół listę z danymi cyfrowymi, które okazały się zupełnie zgodne z dawnymi jego obliczeniami.

— Proszę! Przekonajcie się panowie! — zawołał, śmiejąc się szyderczo. — Oto całe pięć mil szlaku zburzono po to jedynie, aby zbudować taki sam nowy!

Towarzyszący mu Baxter potwierdził całkowicie to oświadczenie, ku wielkiemu oburzeniu członków komisji i zdumieniu dyrektorów, którzy zażądali od inżyniera dodatkowych wyjaśnień.

— Ja sam wyjaśnię to panom! — wołał rozgorączkowany Neale. — Oto budowa jednej mili toru kolejowego kosztuje czterdzieści sześć tysięcy dolarów, na pięć mil zatem przypada dwieście trzydzieści tysięcy. Wydaliśmy natomiast dwa razy tyle, bo... ktoś musiał zarobić na dostawach.

Niemłody już, ale żywy i energiczny dyrektor Warburton zerwał się z miejsca, uderzając pięścią w stół.

— Czuję, że ten młody inżynier mówi szczerą prawdę! — zagrzmiał. — Tak, panowie! Czy nie zauważyliście jeszcze, że ciągle budujemy różne odcinki po dwa razy, płacąc za to rzeczywiście podwójnie. Nareszcie jednak znalazł się uczciwy człowiek, który nie bierze łapówek i mówi wam otwarcie, jak rzeczy stoją. Znam tego młodzieńca, panowie. Wiem, że nazywa się Neale. Słyszałem już wiele o nieustraszonej odwadze, z jaką dokonywał pomiarów. Takich ludzi potrzeba by nam jak najwięcej. Szybciej posunęłaby się sprawa budowy naszej kolei. Na razie radzę wysłać pana Neale'a do Waszyngtonu. Niechaj przedstawi tam swoje obliczenia. Mamy już dość tego głupiego prawa, które pozwala komisjom inspekcyjnym na psucie roboty naszym ludziom.

Twarze dwóch pozostałych dyrektorów wyrażały milczącą zgodę. Szczęście zdawało się znowu uśmiechać do Neale'a.

Allison Lee namyślał się przez chwilę, po czym wstał, przeszywając członków zarządu kolei zimnym spojrzeniem swych szarych, niby stal, oczu.

— Panie Warburton! — rzekł. — Ja również znam tego młodego inżyniera. Przybywszy dziś do North Platte, zapytałem zaraz o niego, pamiętając, że pan Neale pozwolił sobie w sposób niedopuszczalny skrytykować orzeczenie komisji ekspertów w sprawie tego pięciomilowego odcinka. Dowiedziałem się wówczas, że jest to dziwny, niezrównoważony młodzieniec, który potrafi wyruszyć bez opowiedzenia się na jakąś bezcelową, daleką włóczęgę, a prócz tego pije i namiętnie grywa w karty. Czyż można ufać takiemu człowiekowi? Z góry wszak wiadomo, że jego wywody muszą być bezpodstawne.

— Nie są bezpodstawne! Pan kłamie! — krzyknął Neale, błyskając oczami. — Panowie rozumieją mnie przecież — dodał spokojniej, zwracając się do dyrektorów. — Ten jegomość nie jest inżynierem. Jakże przeto może sądzić o wynikach naszej pracy? Nie, panowie! Wyrok komisji był przesądzony z góry. To jest już nadużycie! Rozbój! Kradzież!

Towarzysz Allisona Lee rzucił nań spojrzenie pełne złości.

— Jutro straci pan posadę — syknął przez zęby.

Neale skrzyżował ręce na piersiach i cofnął się nieco.

— Sam porzucam ją już od dzisiaj — oświadczył ze wzgardą. — Niechaj piekło pochłonie waszą przeklętą kolej.

W tej chwili przy wejściu do namiotu, gdzie stała grupa inżynierów i robotników, wszczął się hałas. Któryś z dyrektorów zawołał, aby się uciszono, i krzykacze zamilkli rzeczywiście, ale z innego zupełnie powodu. Oto z ciżby wystąpił nagle człowiek w stroju cowboya, trzymający w każdej ręce wielki pistolet.

— Wyjdź stąd zaraz, Red! — zawołał Neale.

Larry King nie zwrócił nań żadnej uwagi.

— Poproszę panów o chwilę spokoju — wycedził chłodno, zwracając się do członków komisji ekspertów.

Nikt nie ruszył się z miejsca. Nastała chwila krępującego milczenia. Cowboy posunął się jeszcze o kilka kroków. Wzrok jego był utkwiony w postaci Allisona Lee.

— Zdawało mi się, że pan jest niezadowolony z mego przyjaciela Neale'a — zagadnął grzecznie, kierując w pierś wpływowego człowieka lufę jednego z pistoletów.

Allison Lee zbladł jak trup. Cowboy miał zacięte wargi i wyraz zimnego okrucieństwa w oczach. Trudno było przypuszczać, że nie ośmieli się popełnić zabójstwa w biały dzień i wobec tylu świadków.

— Jakże więc, drogi panie Lee? — odezwał się znowu Larry King z odcieniem niecierpliwości w głosie.

Allison Lee zakręcił się na swoim krześle, jakby go coś uwierało.

— O... owszem... — wyjąkał wreszcie. — Bardzo jestem zadowolony... ba-a-r-dzo.

Cowboy cofnął się wolno ku wejściu, obrzucając wzrokiem po kolei innych uczestników zgromadzenia.

— Mam nadzieję, że wszyscy panowie podzielają to zdanie — oświadczył chłodno.

W chwilę potem zniknął w tłumie.

Rozdział XI

Po rozstaniu się z Larrym i Nealem Slingerland przeżył wszystkie cztery pory roku, nie widząc nikogo z obcych w swej samotnej dolinie.

Przez cały ten czas ostrożny traper nigdy nie opuszczał Allie, a przynajmniej zawsze znajdował się w pobliżu dziewczyny. Zabierał ją ze sobą, idąc na polowanie lub na zakładanie pułapek. Wszędzie musiała mu towarzyszyć.

Po upływie roku jednak wypadło mu się udać do odległego wąwozu, gdzie pozostawił pułapki, których teraz koniecznie potrzebował. Obawiał się, że daleka ta wędrówka będzie zbyt nużąca dla Allie, z drugiej zaś strony wątpił, czy może pozostawić ją samą, lecz dziewczyna wyśmiała go.

— Nie obawiam się niczego — oświadczyła. — Zostanę i będę czekać na pana.

Slingerland zgodził się na to po chwili wahania. Cóż mogło jej grozić? Była przecież dość odważna i umiała obchodzić się z bronią palną.

Pozbywszy się zatem swych wątpliwości, wyruszył w podróż, która wszakże zajęła mu dużo więcej czasu, niż przewidywał. W chwili, gdy uporał się z robotą, ogarnęły go jakieś złe przeczucia, postanowił więc powrócić co prędzej. Pośpiech jednak uniemożliwiały mu ciężkie pułapki, które musiał teraz nieść.

Było już dobrze po południu, kiedy stanął na krawędzi zbocza swej własnej doliny, a wówczas opanowała go groza. Z głębi wąwozu snuła się ku niebu smuga gęstego dymu. Pod wrażeniem tego złowróżbnego objawu pomyślał przede wszystkim o Siuksach, ale po namyśle odrzucił to podejrzenie. Indianie przecież nie napadają na przyjaciół. Pożar chaty musiał być dziełem przypadku... A może... może wznieciła go jakaś włócząca się po okolicy banda zbójów.

Porzuciwszy swe pułapki, popędził ku polanie, gdzie niegdyś stał drewniany szałas, w którym mieściły się wszystkie jego bogactwa. Ujrzał tylko dymiące zgliszcza, które tliły się zapewne już bardzo długo. Allie nie było. Wszędzie panowała głęboka cisza, przerywana jedynie trzaskaniem dopalających się belek.

— Och, łotry! — jęknął. — Porwali dziewczynę.

Złamany zupełnie nieszczęściem, które zwaliło się nań nieoczekiwanie, pozbawiony od razu dorobku całych lat pracy, usiadł pod drzewem i całą noc spędził, patrząc osłupiałym wzrokiem w tlejące jeszcze zgliszcza swej sadyby. Nad ranem podźwignął się z ziemi i, zarzuciwszy sobie strzelbę na ramię, ruszył w drogę. Całe dwa dni jeszcze wałęsał się po najbliższej

okolicy, zaspokajając głód upolowaną zwierzyną, po czym z ciężkim sercem opuścił dolinę, w której spędził tyle lat.

— Mogę nie wątpić, że Neale zastrzeli mnie przy pierwszym spotkaniu — powtarzał sobie ustawicznie. — Słusznie mi się to należy. Nie należało pozostawiać dziewczyny bez opieki.

Ale w głębi duszy był pewny, że młody mierniczy musiał podzielić los wielu innych, co niebacznie zapuścili się w te strony. W tragicznym losie Neale'a i Allie widział Slingerland nieunikniony wynik pochodu cywilizacji na zachód.

Jeśli dawniej pomysł budowy kolei żelaznej w górach Wyoming budził w nim niechęć, to teraz już Slingerland wprost go nienawidził. Indianie wszakże dopiero z chwilą rozpoczęcia pomiarów wstąpili na wojenną ścieżkę, a przed rozbiciem obozów roboczych nie wałęsały się po drogach żadne szajki zbójeckie. Jakiem prawem rząd kradł Indianom ziemię i, gwałcąc wszelkie umowy z nimi, budował ten przeklęty żelazny szlak, prowadząc go poprzez góry i wąwozy?

Złorzecząc rządowi i budowniczym kolei, traper brnął po bezdrożach, wyobrażając sobie żywo straszliwą, krwawą zawieruchę, jaka rozpęta się w tym kraju, zanim jeszcze robotnicy Kolei Zjednoczonego Pacyfiku zdążą ułożyć ostatni jej odcinek.

Rozdział XII

Allie Lee miała umysł żywy, obdarzony wszakże skłonnością do kontemplacji. Marząc zatem o narzeczonym i o swej przyszłości, oddawała się jednocześnie wielu zajęciom domowym i tak nieznacznie upłynął jej cały rok. Brak wieści od Neale'a łatwo wytłumaczyła sobie dziewczyna. Zwierzchnicy musieli go zapewne wysłać do Omaha, gdzie otrzymał poważniejsze, niż dotąd, stanowisko. Nie mógł więc przyjechać tak prędko, jakby pragnął. Allie nie martwiła się o to. Serce mówiło jej, że Neale prędzej czy później powróci.

Pewnego poranku, gdy siedziała w chacie sama, bo Slingerland udał się do odległej doliny po zastawione tam pułapki, usłyszała tętent koni. Pomyślała od razu, że to przybywa Neale wraz z Larrym i z twarzą promieniejącą radością wybiegła na próg. Rozczarowała się jednak niezwłocznie.

Ku chacie zbliżali się wprawdzie czterej jeźdźcy, ale Neale'a między nimi nie było. Pierwszy z obcych przybyszów zatrzymał się tymczasem przed chatą i Allie wydało się, że widziała już gdzieś tę postać młodego olbrzyma z brzydką, pospolitą twarzą i bezczelnymi oczami.

Jeździec poznał ją również.

— Kogo ja widzę! — zawołał zdumionym głosem. Pani jest przecież córką Durade!

Allie przypomniała sobie teraz, że widziała tego młodzieńca w Kalifornii. Postanowiła jednak udać, że go nie zna.

— Pan się myli — odparła. — Nie jestem córką Durade.

— Doprawdy? Dziwnie mi pani ją przypomina. Czy... czy jest w tej chacie ktoś jeszcze?

— Pan Slingerland znajduje się w pobliżu i powróci tu lada chwila — oświadczyła śmiało dziewczyna.

Przybysz uśmiechnął się szyderczo i, zsiadłszy z konia, wszedł bezceremonialnie do chaty, nie zwracając uwagi na protesty Allie. Prawie jednocześnie nadjechali trzej jego towarzysze.

— Dzień dobry, piękna panienko — rzekł jeden z nich, posiwiały weteran, mogący być równie dobrze traperem jak i górnikiem lub bandytą. Dwaj inni byli młodzi. Jeden miał na głowie olbrzymie sombrero, spod którego wyglądała brzydka, złośliwa twarz, drugi zaś posiadał długie, jasne włosy i żywe, latające oczy.

— Gdzież się podział Fresno?—zagadnął blondyn.

— Jestem tutaj — odparł głos z chaty i młody olbrzym ukazał się w drzwiach. — Zaraz obszukamy tę norę, ale przede wszystkim trzeba unieszkodliwić małą.

Pochwycił długą ręką oniemiałą z przerażenia dziewczynę i popchnął ją ku swemu wierzchowcowi, po czym, zdjąwszy z siodła lasso, przywiązał szarpiącą się rozpaczliwie ofiarę do pnia najbliższego drzewa.

— Stój spokojnie i nie krzycz, to nie stanie ci się nic złego — rzekł i, pogroziwszy palcem, udał się znowu do chaty.

Allie teraz dopiero zrozumiała całą beznadziejność swego położenia i ogarnął ją szalony gniew. Wytężyła wszystkie siły, aby zerwać krępujące jej ręce więzy, ale sznur był mocny i węzły zacisnęły się jeszcze więcej, sprawiając dziewczynie dotkliwy ból. Porzuciła więc myśl o ucieczce i stała, nasłuchując czujnie dolatujących tu odgłosów plądrowania po chacie.

Zobaczyła wreszcie wyłaniającego się z szałasu Fresna, po czym w ślad za nim wyszli inni. Fresno trzymał w ręce sporządzony ze skóry baraniej wór, w którym Slingerland przechowywał pieniądze oraz drobne przedmioty wartościowe. Pozostali toczyli spór o butelkę, w której niegdyś znajdowała się wódka.

— Nie ma już w niej prawie nic— zauważył ze złością bandyta, któremu udało się wyrwać ją innym z rąk. Mówiąc to, rzucił butelkę do wnętrza chaty, i trafił wprost w palenisko, z którego na całą izbę posypały się rozżarzone węgle.

— Co ty robisz, Sandy? — żachnął się siwy rozbójnik. — Zaprószyłeś ogień. Już palą się futra.

— A niech się palą — krzyknął Fresno. — Zabraliśmy przecież wszystko, co miało większą wartość.

— Eh! Jakże można palić komuś dom?

— Fresno wie, co czyni — odezwał się bandyta w sombrero. — Tak będzie więcej wyglądało na robotę Indian. Chodźmy, bo już zaczynają się tlić drzwi.

Fresno, który musiał być zapewne wodzem tej zgrai, spojrzał na swój worek, po czym jego wzrok spoczął na postaci Allie. Przez chwilę zdawał się zastanawiać i wreszcie rzucił worek towarzyszom.

— Weźcie sobie ten łup. Ja biorę dziewczynę — rzekł.

Nie oglądając się na przyjaciół, którzy w mgnieniu oka rozdrapali zawartość worka, podszedł do Allie i, rozwiązawszy mocne więzy, powlókł dziewczynę ku wierzchowcowi.

— Wsiadaj, a szybko! — rozkazał.

Allie usłuchała, rozumiejąc, że opór byłby bezcelowy. Szukając nogami strzemion, których rzemienie były dla niej za długie, obrzuciła spojrzeniem swego gnębiciela, zajętego w tej chwili poprawianiem uprzęży. Nie miał przy sobie żadnej broni. Pistolet jego natomiast tkwił w olstrach siodła. Mogłaby zrobić zeń użytek, zastrzelić bandytę i uciec. Pokusa ta jednak działała tylko krótką chwilę. Po namyśle dziewczyna uznała, że ucieczka jest niemożliwa. Dogoniliby ją przecież niebawem trzej pozostali rozbójnicy.

Sandy tymczasem schwytał na lasso i przyprowadził w triumfie jednego z koni Slingerlanda, ładnego mustanga, który Allie dobrze znał i

pozwalał jej powodować sobą, a był bystry, jak wiatr. W siadłszy nań, dziewczyna mogłaby z łatwością umknąć bandytom.

— Czy umiesz jeździć bez siodła? — spytał Fresno, jakby zgadując jej myśl.

— Nie — skłamała.

Powiedziała sobie, że musi wprowadzić ciemiężców w błąd co do swej umiejętności w jeździe wierzchem. Pomyślała też, że mając do rozporządzenia siodło Fresna, będzie posiadać pod ręką broń.

Fresno sam wsiadł na mustanga, klnąc jego niesforność i, nie wypuszczając z rąk uzdy własnego wierzchowca, poprowadził swą bandę ku miejscu, gdzie zaczynał się stary szlak Św. Wawrzyńca. Tutaj ruszyli wszyscy szybkim truchtem na wschód i, ujechawszy zaledwie kilka mil, przybyli do obozu, który opuścili jedynie w celu obrabowania chaty Slingerlanda.

Fresno własnoręcznie zdjął z siodła Allie, która zresztą nie miała zamiaru się opierać, chociaż dotknięcie jego rąk przejmowało ją odrazą. Stanąwszy na ziemi, odepchnęła go tylko z lekka, czując, że wszelkie prośby i błagania nie zdałyby się na nic.

— Panie Fresno — rzekła, spoglądając bandycie wprost w oczy.

— Co panienka rozkaże? — spytał drwiąco.

— Chciałam panu powiedzieć, iż rzeczywiście jestem córką Durade.

Bandyta parsknął śmiechem.

— Nie wątpiłem o tym — oświadczył. — Widziałem panią przecież u niego, jako małą dziewczynkę. Ale to było dawno. Dzisiaj pani jest już dorosłą, piękną kobietą.

Allie pociągnęła go na ubocze, aby jej słów nie mogli usłyszeć pozostali bandyci.

— Czy chciałby pan zdobyć nieco złota? — zagadnęła tajemniczo.

Fresno spojrzał na nią zmrużonymi oczami.

— Jeszcze jak — odparł. — Proszę jednak nie sądzić, abym cenił sobie pieniądze Slingerlanda wyżej od pani — dodał, w skazując na swych towarzyszy, którzy znów rozpoczęli kłótnię o resztę zawartości worka.

— Nie. Tu chodzi o znacznie większą sumę — rzekła Allie. — Czy pamięta pan starego Horna?

— Horna? Ma się rozumieć. Tego, który odkrył bogatą żyłę w pobliżu Sacramento, prawda?

— Właśnie. Otóż proszę się dowiedzieć, że wraz z nim wyjechałam z Kalifornii. A Horn wiózł wówczas całe swoje złoto.

Twarz Fresna zdradziła w tej chwili pewien wzrost zainteresowania.

—- Na naszą karawanę napadli Indianie — ciągnęła dalej dziewczyna. — Horn zakopał złoto, po czym zginął z rąk Siuksów, jak i wszyscy inni... Ja sama tylko pozostałam i... wiem, gdzie został ukryty skarb.

Bandyta otworzył swą przepaścistą paszczękę, aby uradować towarzyszy tą nieoczekiwaną nowiną, ale dziewczyna dała mu znak, aby milczał.

— Wskażę miejsce, gdzie Horn zakopał złoto, ale nie wolno panu mówić o tym innym. Po co mają zabierać skarb, którym możemy podzielić się sami?

Fresno spojrzał zezem na kusicielkę, nie mogąc się zdecydować.

— Miał że bym nabrać nawet Franka? — szepnął wreszcie niepewnym głosem. — Tego w dużym kapeluszu... Wszakże to mój najlepszy przyjaciel. Nie, moja panienko. Nie mogę oszukiwać Franka. Wiem dobrze zresztą, że oszukuje mnie pani. Jeśli złoto rzeczywiście istnieje, to dlaczego nie wykopał go traper?

— Bo obawiał się trzymać je w swej chacie. Pragnęliśmy zabrać skarb wtedy dopiero, kiedy będziemy mogli wyruszyć w drogę do cywilizowanego kraju.

Fresno zamyślił się. Wyjaśnienie to wydało mu się dość prawdopodobne. Wzrok jego spoczął na trzech towarzyszach, których spór o łupy coraz więcej poczynał przypominać bójkę.

— Chodź no tu, Frank! — zawołał półgłosem.

Zawezwany zbliżył się doń niezwłocznie.

— Słuchaj, Fresno — rzekł tonem skargi. — Ten Sandy zupełnie zwariował. Chce zabrać sobie wszystko. Nie mogę dojść do ładu z nim i z Milsem.

— Daj im spokój. Niech się biją — oświadczył Fresno, wydymając wargi. — Przypuszczam, że powystrzelają się wzajem. Tym lepiej. My zdobędziemy sobie coś lepszego. Chodź!

Ruszył naprzód, prowadząc dziewczynę i swego wierzchowca, a Frank podążył za nim niby cień, ująwszy w dłoń uzdę mustanga. Znalazłszy się poza polem widzenia pozostałych dwóch bandytów, poczęli siodłać szybko konie.

— Coś ty nowego wymyślił, Fresno? — zagadnął Frank.

— Złoto. Mnóstwo złota — usłyszał w odpowiedzi.

W krótkich słowach Fresno opowiedział towarzyszowi o zakopanym przez Horna skarbie. O warunku pod którym dziewczyna zgadzała się wskazać miejsce ukrycia złota, bandyta nie wspomniał wcale. Był pewny widocznie, że w razie oporu uda mu się zmusić ją siłą do wyjawienia tajemnicy.

Ciemną twarz Franka rozjaśniła radość.

- Cudownie! — zawołał. — Będziemy mogli nareszcie wydostać się z tego przeklętego kraju.

— Ma się rozumieć. Rozpoczniemy nowe życie. Pożenimy się, Franku, co?

Roześmiał się szkaradnie, ale niebawem zamilknął, gdyż w tej chwili tuż koło chaty załoskotał wystrzał, a potem drugi i jeszcze raz, i jeszcze.

— Sandy wypalił ostatni — zauważył spokojnie Fresno. Idź, Frank, zobaczyć, czy który z nich jeszcze żyje.

Frank podążył posłusznie w stronę polany i zniknął niebawem za krzewami. Allie nie ruszyła się z miejsca, ale huk owych strzałów przeobraził ją zupełnie. Bezradność dziewczyny ustąpiła miejsca pewności siebie. Toż teraz miała już do czynienia tylko z dwoma bandytami. Lada chwila mogła się nadarzyć sposobność ucieczki, z której należało korzystać.

Bandyta w sombrero powrócił po chwili, niosąc z wyraźnym zadowoleniem dość ciężki worek naładowany oszczędnościami Slingerlanda.

— Sandy ledwie już wierzga nogami — oznajmił. — Milsowi też niewiele brak.

— No to świetnie się składa — roześmiał się Fresno. — Zaczekaj tu chwilę i popilnuj dziewczynę, a ja pójdę zabrać resztę rzeczy.

Oddalił się, stąpając niedosłyszalnie niby kot, a dziewczyna zdjęła niezwłocznie lasso, którem obwiązał jej biodra.

— Nie chcę tego mieć na sobie — oświadczyła stanowczo.

— Ma pani słuszność — odezwał się filuternie Frank. — Sam zawsze wyrzucam memu przyjacielowi, że nie umie obchodzić się dostatecznie delikatnie z ładnymi kobietkami.

Mrugnął na dziewczynę porozumiewawczo i zajął się wypróżnianiem zawartości odziedziczonego po towarzyszach łupu. Allie zaś odetchnęła z ulgą, widząc, że nie zwraca na nią żadnej uwagi. Jej własna uwaga za to była natężona teraz do granic ostateczności. Dziewczyna nie odrywała oczu od stojącego tuż przy niej mustanga. Na wpół dziki rumak niezawodnie musiał coś słyszeć. Uszy jego strzygły bez przerwy, a kształtna głowa zwracała się wciąż w kierunku gór.

Allie rzuciła okiem w tę stronę i ujrzała całą watahę zbrojnych w strzelby Indian, schodzących w dolinę w zupełnym milczeniu. Zadrżała na ten widok, lecz już w następnej chwili twarz jej rozjaśniła radość. Czerwonoskórzy zbóje mogli się teraz stać jej najlepszymi sprzymierzeńcami.

Szybkim ruchem pochwyciła pozostawioną lekkomyślnie przez Fresna broń, nie zdając sobie nawet sprawy, że jest nabita. Frank od razu spostrzegł ten manewr.

— Co pani robi? — zawołał surowo.

— Proszę nie zbliżać się do mnie — ostrzegła go Allie, wskakując jednocześnie na mustanga. — Czyż pan nie widzi, że zaraz napadną na nas Indianie.

W następnej chwili cwałowała już przez zarośla, słysząc za sobą głuchy łoskot wystrzałów Nie obawiała się ich jednak. Rozumiała przecież dobrze ze to Frank, a może i Fresno poczęli odstrzeliwać się Indianom, którzy z kolei prażyli ich ogniem swych strzelb. Mustang, kierowany w prawną dłonią, biegł jak wicher ku przełęczy, lecz Allie spostrzegła z przerażeniem, że tam również znajdują się Indianie.

Chciała zawrócić w inną stronę, ale było już za późno Półnagie postacie, siedzące na zwinnych, rączych koniach, otoczyły ją zwartym kołem. Niebawem rozległ się przenikliwy ryk triumfalny, na którego głos krew ścięła się w żyłach dziewczyny. Takie same wycie słyszała w owej strasznej chwili, kiedy czerwonoskórzy napadli na karawanę Horna. Wkrótce wszystko pociemniało jej w oczach, ziemia zawirowała i poczęła usuwać się gdzieś daleko w głąb, a ostatnim uczuciem, jakie zdołała utrwalić w pamięci gasnąca świadomość dziewczyny, było brutalne pochwycenie jej za ramiona przez czyjeś dwie muskularne łapy.

Rozdział XIII

Po powrocie do przytomności Allie zauważyła, że leży w okrągłym namiocie, sporządzonym z włochatych skór zwierzęcych. Przez chwilę przy tym nie mogła jakoś zdać sobie sprawy, gdzie właściwie się znajduje. Zrozumiała jednak wszystko, gdy wzrok jej padł na otaczające ją różne przedmioty indiańskiego pochodzenia. Tak. Nie mogła już wątpić, że znajduje się w niewoli u Siuksów. Miała związane ręce i nogi, a leżała na stosie surowych bawolich skór.

Przez otwór wejściowy namiotu zauważyła, że zapada wieczór. Niebo pokrywały ciężkie zwały chmur. Lał obfity deszcz. Wszystko to dodało jej otuchy. W razie uwolnienia się z więzów mogłaby uciec, a ulewa zatarłaby ślady, utrudniając Indianom pościg.

Na dalsze rozmyślania jednak nie miała już czasu, gdyż w tej chwili weszła do namiotu wysoka, stara Indianka, przynosząc dzbanek z wodą i glinianą miskę, pełną mięsiwa. Postawiła to wszystko na ziemi i, mrucząc coś niezrozumiale, poczęła rozwiązywać Allie ręce, po czym uderzyła ją z lekka po ramieniu.

Allie usiadła na swym twardym łożu.

— Czy... czy zamierzacie mnie zabić? — spytała.

Indianka potrząsnęła głową na znak, że nie rozumie, wskazała natomiast na przyniesione jedzenie. I dziewczyna, po chwili namysłu, zaczęła się posilać. Upieczone indiańskim sposobem mięso było twarde i niesmaczne, lecz miska opróżniła się szybko, dziewczyna bowiem była bardzo głodna. A gdy skończyła, wówczas Indianka znowu związała jej ręce i wyszła z namiotu, uprzednio okrywszy brankę ciepłą wełnianą derką.

W chwilę potem ściemniło się zupełnie, a dokoła namiotu rozszalała się nawałnica. I Allie teraz dopiero poczuła, jak bardzo przemarzła, leżąc w omdleniu, gdy pod wpływem okrycia po całym jej ciele poczęło rozlewać się miłe ciepło. Myśl dziewczyny zwróciła się ku ukochanemu. Nie miała pojęcia, gdzie mógł znajdować się Neale, ale wiedziała, że będzie jej szukać i przybędzie z pewnością na ratunek.

Z tą myślą zasnęła i zbudziła się dopiero o świcie. Burza minęła już, ale deszcz padał jeszcze i w całym namiocie panował przenikliwy chłód. Allie nie usnęła już więcej, lecz tym razem długo musiała oczekiwać na zjawienie się swej dozorczyni. Dopiero w południe przyszła stara Indianka, aby ją rozwiązać i nakarmić, jak przedtem. Allie za pomocą znaków wytłumaczyła ponurej babie, że pragnie, aby jej rozwiązano nogi. Indianka

z pomrukiem niezadowolenia zadośćuczyniła tej prośbie, a wreszcie posunęła swą uprzejmość tak daleko, że wyprowadziła uwięzioną z namiotu.

Allie zobaczyła rozległe obozowisko, składające się z niezliczonych wigwamów, wśród których kręciło się mnóstwo kobiet i dzieci. W środku obozu stał cały tabun koni, pilnowanych przez kilku Indian. Byli to, jak się zdawało na pierwszy rzut oka, jedyni mężczyźni, którzy pozostawali na zewnątrz namiotów. Reszta zapewne musiała się znajdować na naradzie wojennej.

Mrukliwa opiekunka zaprowadziła teraz Allie do innego wigwamu, który wielkością wyróżniał się spośród innych. Wewnątrz płonęło ognisko, przy którym siedział, paląc fajkę, pomarszczony, siwy Indianin. Z chwilą wejścia Allie ukazała się w namiocie młoda kobieta, posiadająca niezmiernie delikatne rysy twarzy i bardzo bogaty strój. Allie przyjrzała się jej z zaciekawieniem, zgadując, że musi to być jakaś księżniczka indiańska lub co najmniej żona wodza, ale przybyła obrzuciła ją wzrokiem pełnym nienawiści i wyszła niezwłocznie.

Allie usiadła przy ognisku, rozcierając sobie podrętwiałe od więzów ręce oraz ramiona i ciesząc się, że nie związano jej ponownie. Znów upłynęło sporo czasu i nikt nie zjawił się w namiocie, a stary Indianin wciąż palił swą fajkę, nie zwracając żadnej uwagi na brankę. Raz tylko jeszcze przyszła znana już dziewczynie kobieta. Postawiła przy niej miskę z pieczonym mięsiwem i, mrucząc coś gderliwie, opuściła wigwam, aby nie ukazać się już więcej.

Podjadłszy znowu, Allie ułożyła się, jak mogła najwygodniej, na stosie skór, który znajdował się w jednym z kątów wigwamu, i zapadła w głęboki sen, nie myśląc już zgoła o niczym. Nie budząc się wcale, przespała wieczór i noc, aż wreszcie nad ranem wyrwał ją ze snu jakiś hałas.

Usiadła na posłaniu, wsłuchując się w te odgłosy. Rżenie mustangów, ujadanie psów i gardłowe nawoływania mężczyzn wskazywały wyraźnie, że powrócili z wycieczki wojownicy plemienia. Serce Allie przestało bić na chwilę. Dziewczyna poczuła, że nadchodzi dla niej chwila ciężkiej próby.

Lęk jej zwiększył się jeszcze, gdy uchylono zasłonę, zakrywającą wejście do wigwamu. Blask promieni wschodzącego słońca zmusił Allie do zmrużenia oczu. Otworzywszy je po chwili, spostrzegła z przerażeniem, że w wigwamie jest pełno Indian. Byli to przeważnie wojownicy, na co wskazywały zdobiące ich głowy pióra orle i sokole oraz trzymane w rękach strzelby i małe, ostre toporki wojenne. Jeden z nich zwłaszcza zwrócił uwagę dziewczyny. Był wyższy i strojniejszy od innych, a miał przy tym niesłychanie dumny wyraz twarzy i cały szereg blizn na nagiej piersi.

Człowiek ten, będący zapewne wodzem plemienia, przystąpił nieco bliżej, obejrzał uważnie Allie i władczym ruchem ręki polecił zabrać ją precz. Czyjeś ręce skwapliwie pochwyciły dziewczynę. Dwie czy trzy kobiety uprowadziły ją z wigwamu. Allie zaś zdążyła jeszcze zauważyć przemykającą obok niej postać owej młodej Indianki, którą widziała dnia poprzedniego. Czerwonoskóra piękność szła z nisko opuszczoną głową, a falująca pierś i załamane ręce wskazywały na nurtujące ją głęboko uczucie zazdrości i zranionej dumy.

Wódz więc zapewne polecił zaliczyć Allie do swego haremu, co oburzyło widocznie jego młodą i piękną małżonkę.

W przeciągu całego dnia nie zdarzyło się nic nowego. Allie siedziała przez cały czas bezczynnie w niewielkim namiocie, w którym oprócz niej nie było nikogo. Nad wieczorem stara dozorczyni, która przynosiła jej jedzenie, związała znów swej brance ręce i nogi. W krótce potem zapadła noc. Ruch w obozie zamarł. Wszędzie poczęło się rozlegać chrapanie śpiących wojowników. Zasnęła niebawem i Allie, utrudzona rozmyślaniem o ucieczce.

Zbudziło ją lekkie dotknięcie. Czyjaś dłoń przesunęła się ostrożnie po jej ramionach i spoczęła na wargach. Wnętrze wigwamu rozjaśniał blady blask księżyca i Allie ujrzała w jego promieniach klęczącą przy jej posłaniu postać kobiecą.

Poznała od razu młodą żonę wodza i zrozumiała, że zazdrosna piękność przyszła ją uwolnić. Nie omyliła się. Już w następnej chwili Indianka rozcięła więzy, krępujące jej rywalkę, i skierowała się ku wyjściu, ciągnąc uwolnioną za rękę.

Allie szła, czując, że serce zamiera jej w piersi. Co będzie, jeśli ktoś ze śpiących obudzi się nagle i podniesie alarm? Ale nie. W całym obozie panowała zupełna cisza, a w świetle księżyca widoczne były jak na dłoni wszelkie nierówności gruntu. Nie potrzebowała więc obawiać się potknięcia, którego następstwem byłby pościg.

Młoda Indianka sunęła naprzód bezszelestnie, niby duch nocny, od czasu do czasu dając swej towarzyszce znak milczenia... Nie wzbudziwszy niczyjej uwagi, wyszły niebawem obie poza obręb obozu i poczęły wspinać się po stromym zboczu doliny, w której znajdowały się wigwamy. Stanąwszy na krawędzi, Indianka, również bez szmeru jak przedtem, pobiegła naprzód, pociągając za sobą Allie. I dziewczyna pozwoliła jej powodować sobą bez żadnego oporu, czując w sercu głęboką wdzięczność dla tej czerwonoskórej księżniczki, która z narażeniem być może, własnego życia ułatwiała ucieczkę brance swego małżonka.

Po dłuższej chwili pośpiesznego biegu Indianka zatrzymała się wreszcie. Stanęła w milczeniu, nasłuchując uważnie, zwrócona całym ciałem w kierunku dalekiego obozowiska. Allie zadrżała. Czyżby pościg? Ale nie. Wszędzie panowała głucha, niczym niezamącona cisza. Nawet wiatr nie szeleścił srebrzącymi się w poświacie miesiąca liśćmi drzew.

Młoda Indianka poruszyła się wreszcie. Ręka jej falującym ruchem zdawała się wskazywać uwolnionej dziewczynie kierunek dalszej ucieczki poprzez wzgórza i doliny. Następnie ciemny palec zwrócił się ku ziemi, ostrzegając o konieczności zacierania za sobą śladów, a niezwłocznie potem odziana w barwny strój postać pomknęła z powrotem w stronę obozu, nie zaszczycając białej branki żadnym słowem pożegnania.

Allie pozostała sam a wśród przerażającej pustki i ciszy. Nie upadła jednak na duchu. Wierzyła niezachwianie, że uda się jej ujść cało. Odważnie podążyła naprzód w kierunku, w skazanym przez wybawicielkę.

Gdzieś w pobliżu rozległ się jękliwy skowyt wilka, lecz Allie szła dalej bez obawy, pamiętając, że Slingerland mówił jej kiedyś, iż w lecie żaden leśny drapieżca nie napada na człowieka. Przebyła tak jedną dolinę, a

potem drugą, wspinając się zręcznie po stromych zboczach i starając się pozostawiać za sobą jak najmniej śladów.

Zatrzymała się wreszcie pod wysokim urwiskiem skalnym, czując, że nogi odmawiają jej posłuszeństwa. Wcisnęła się w jakąś rozpadlinę i rozejrzała wokoło. Księżyc zniknął już i gwiazdy powoli zamykały swe jasne oczy. Niebo przybrało barwę popielatą, a na wschodzie ukazało się blade światło, zwiastujące rychłe narodziny świtu. Rozjaśniał się stopniowo mrok, zgęszczony na dnie doliny, niknęły cienie, powietrze ocieplało się z wolna. Jeszcze chwila i na horyzoncie zajaśniał promienny dysk słońca.

I cudem prawie wyrwana z rąk czerwonoskórych Allie rzuciła się w tej chwili na kolana, czując nagły przypływ otuchy. Dłonie jej wyciągnęły się ku świetnej tarczy słońca, a z drżących warg wybiegł szept:

— O, Boże! Spraw, abym w tej wędrówce spotkała Neale'a.

Tak. Wszystkie jej myśli płynęły wyłącznie ku ukochanemu.

Cały dzień, aż do zachodu, szła dalej, dręczona głodem i pragnieniem. Nie znalazła bowiem nigdzie żadnego źródła, a nie miała też z sobą zapasów żywności, w które zapomniała ją zaopatrzyć czerwonoskóra wybawicielka. Siły dziewczyny wyczerpywały się teraz szybko. Nadeszła wreszcie noc, a wraz z nią opadły nieszczęśliwą wspomnienia o tragicznym losie matki. Starała się wprawdzie nie poddawać rozpaczy, mówiąc sobie, że wędrówka jej musi się skończyć pomyślnie, ale rzeczywistość zdawała się temu przeczyć. Wisiała przecież nad nią groza śmierci głodowej, lub jeszcze gorszej niewoli u czerwonoskórych.

Nowy wschód słońca zastał ją trzymającą się resztkami sił krzaków, rosnących nad brzegiem przepaścistego wąwozu. Dobrze jeszcze, że ręce jej tak kurczowo zacisnęły się wokoło mocnych gałęzi. Dobrze, że nie zasypiała ani na chwilę tej nocy. Inaczej stoczyłaby się niechybnie na dno przepaści.

Wszystko to Allie zrozumiała teraz dopiero, rozglądając się z przerażeniem dokoła. I jednocześnie z piersi jej wydarł się okrzyk, w którego dzikiem brzmieniu wyładowała się cała udręka duszy biednej dziewczyny. Ratunek przecież był blisko. Dobry Bóg przychylił się do jej próśb błagalnych. Neale nadchodził.

Na dnie wąwozu poruszała się karawana wozów. Widok ten powrócił Allie dawne siły. Czepiając się rękami kolących krzewów, zbiegła ze zdumiewającą szybkością w dół i zatrzymała się, cisnąc rękami zdyszaną pierś i nie mogąc uczynić już ani jednego kroku więcej.

Karawana teraz poczęła się zbliżać nieco prędzej. Człowiek, jadący na jej czele, musiał widocznie spostrzec stojącą przy drodze samotną postać.

Allie usłyszała niebawem, jak krzyknął do innych.

— To jest biała dziewczyna w stroju indiańskim! Ten sam głos rozległ się następnie tuż przy niej, zapytując:

— Skądże to panienka wzięła się w tej dzikiej okolicy?

— Uciekłam... uciekłam... Indianie! — wyjąkała Allie.

— Wyrwała się z niewoli Siuksów? Niemożliwe! Kiedy? — zagadnęło ze zdumieniem kilka głosów, gdyż w tej chwili nadbiegli inni podróżni z karawany.

— Tak! Siuksowie!... Biegłam.... w ciągu dwóch... a może trzech dni... Nie wiem ile... ze dwadzieścia mil chyba... — odpowiadała wpółprzytomnie Allie.

I nagle jakiś wysoki, smukły człowiek, odziany w długi czarny surdut, przedarł się przez grupę otaczających ją ludzi.

— Kto to jest? Co ona za jedna? — zawołał głosem, na którego dźwięk dziewczyna zadrżała z grozy.

— Allie! Allie! To ty? — pytał człowiek w długim surducie.

Nieszczęśliwa spojrzała nań i zobaczyła pochyloną ku niej przystojną twarz Hiszpana o cerze oliwkowej i czarnych oczach, kształtem przypominających migdały. Poznała go od razu. Był to wszakże człowiek, którego tak długo uważała za rodzonego ojca — Durade, iberyjski poszukiwacz przygód i szuler.

Zemdlała.

Rozdział XIV

Przyszedłszy do przytomności, Allie zauważyła, że znajduje się w wozie, nakrytym wysoką płócienną budą. Otaczało ją kilka mile uśmiechających się niewiast. Durade nie było. Allie jednak pamiętała o nim i wiedziała dobrze, że teraz znajdowała się w jego mocy.

Wozy toczyły się szybko po wyboistej drodze. Naczelnik karawany przestraszył się najwidoczniej bliskości Siuksów i chciał przebyć jak najprędzej niebezpieczną strefę. Allie, pijąc chciwie podany sobie napój, rozmyślała o złośliwej ironii losu, który uwolnił ją z rąk Siuksów po to tylko, aby w następnej chwili już wpadła w łapy Durade.

Nadzieja jednak nie opuszczała jej jeszcze. Karawana wszakże dążyła na wschód, a tam prędzej, czy później Allie musiała spotkać Neale'a... Ale jak będzie się do tej chwili zachowywać Durade? Tego Allie nie była pewna i żywiła obawy. Przypominała sobie teraz, że w czasach dziecięctwa zawsze wyrzucała sobie, iż nigdy chyba nie będzie mogła pokochać „ojca”, jak go wtedy nazywała. Osoba Hiszpana budziła w niej dziwną niechęć, która dziś ustąpiła miejsca wyraźnej odrazie.

Rozmyślając o tym wszystkim, zasnęła wreszcie i spała długo bez przerwy, po czym drzemała jeszcze, budząc się od czasu do czasu. Ostatecznie karawana zatrzymała się na postój. Współtowarzyszki podróży pomogły Allie wyjść z wozu, po czym, widząc, że jest jeszcze bardzo osłabiona, przygotowały jej natychmiast wygodne posłanie.

Niebawem zaś zjawił się Durade.

— Co ci jest, kochanie? — spytał aksamitnym głosem, uklęknąwszy przy owym skleconym naprędce polowym łożu.

— Nic — odparła słabo Allie. — Czuję tylko wielkie zmęczenie.

— Uciekłaś od Indian? — zagadnął, patrząc na nią bacznie swymi promiennymi oczami południowca. — A cóż się stało z twą matką? Och, powiedz! — dodał, łamiąc z patosem ręce.

— Z moją matką? — westchnęła dziewczyna. — Po raz ostatni widziałam ją przed dwoma laty.

— Co ty mówisz, dziecko? Jakim sposobem? Rozdzielono was? Kto? Indianie czy bandyci? Mów!

— Nie mam już nic więcej do powiedzenia — odparła Allie z wysiłkiem.

Nie lubiła tego człowieka, ale jednocześnie żałowała go nieco. Widziała przecież jak bardzo postarzał się od czasu, gdy widziała go po raz ostatni. Na twarzy miał nowe zupełnie zmarszczki, a wśród włosów, czarnych niegdyś jak smoła, dziś snuły się liczne srebrne nici.

— Jakie ma pan względem mnie zamiary? — zagadnęła po chwili.

Hiszpan drgnął nagle.

— Pan? — wymówił z widocznym zdumieniem. — Dlaczego tak mnie nazywasz, dziecko?

— Bo wiem teraz, że nie jest pan mym ojcem. Więcej nawet. Wiem, że moja matka musiała uciec od pana — rzekła z goryczą dziewczyna.

— Ach, tak? No, to dowiedz się, że i ja nie jestem ślepy. Ja też wiem, że twoja matka uciekła, aby ukryć cię przede mną. Ale mylne były jej rachuby. Sama widzisz przecież, jak obróciło się to przeciwko tobie. Los wyrównał niesprawiedliwość i zwrócił mi cię, dziewczyno. O, bądź pewna, że teraz już nie wypuszczę cię z mych rąk.

Odszedł, błyskając gniewnie oczami, i przez czas dłuższy nie zbliżał się zupełnie do swej ofiary, która poczuła, iż teraz dopiero znajduje się naprawdę w niewoli. Mogła uciec od Indian. Od tego człowieka — nigdy. Z rąk Hiszpana mógł ją wybawić tylko Neale. Ale czy przyjdzie? Czy zjawi się nareszcie z pomocą? Po raz pierwszy od czasu napadu rozbójników na leśną sadybę Slingerlanda Allie zwątpiła i poddała się rozpaczy.

A karawana tymczasem dążyła naprzód, zatrzymując się jedynie na czas krótki, aby dać chwilę wytchnienia znużonym wołom. Na jednym z następnych postojów Allie dla ruchu poczęła błądzić wśród rozpalonych ognisk, przy których siedzieli ludzie prości wprawdzie, ale grzeczni i zawsze znajdujący dla niej jakieś uprzejme słówko. Dziewczyna jednak czuła, że nie wszystkim może ufać. Durade, formując karawanę, najmował zapewne, nie przebierając, wszystkich, którzy zgłaszali mu swe usługi. Mogli wśród nich być i bandyci.

Okazało się z czasem, że ostrożność była zupełnie na miejscu.

Gdy pewnego wieczora Allie przechadzała się samotnie po obozie, zastąpił jej drogę jakiś wysoki mężczyzna z obandażowaną głową.

— Powiedz tylko o mnie Durade, panienko, a zobaczysz, że jutro już Hiszpan przestanie żyć — szepnął jej wprost do ucha.

Był to Fresno. Allie poznała jego twarz nawet wśród ciemności wieczora. Wymknął się zatem Siuksom i przystał do karawany Durade.

Allie minęła go z odrazą. Hiszpan w porównaniu z tym bandytą wydawał się jej istnym aniołem opiekuńczym. Powróciła niezwłocznie potem do swego wozu, ciesząc się, że znowu jest między ludźmi, których nie potrzebowała się obawiać. Jadące wraz z nią kobiety otaczały młodą towarzyszkę niemal matczyną opieką. Ciekawość ich tylko dokuczała nieco dziewczynie, gdyż wszystkie te kumoszki wypytywały ją ustawicznie o różne rzeczy, pragnąc się dowiedzieć, czy rzeczywiście jest córką Durade i jakim sposobem dostała się w ręce Indian.

Jeden z poganiaczy wołów — ten, który pierwszy dostrzegł Allie na drodze, powiedział jej kiedyś, że w odległości mniej więcej stu mil drogi znajduje się obóz robotników, którzy budują nową kolej. Karawana miała zatrzymać się tam na dłuższy czas i Allie oczekiwała tej chwili z praw dziw em utęsknieniem, żywiąc nadzieję, że może spotka Neale'a.

Jakoż po upływie czterech dni, w ciągu których dziewczyna odzyskała dawne zdrowie i siły, przybyli do obozowiska budowniczych i Allie ze ściskającym się dziwnie sercem ujrzała ludzi, krzątających się przy

układaniu toru wielkiego żelaznego szlaku, będącego w jej oczach wyłącznym dziełem Neale'a.

Okazało się niebawem, że obóz ten był głównym celem podróży Durade. Allie odgadła to po przygotowaniach, jakie poczyniono do postoju, który niewątpliwie miał trwać długo. Karawana zatrzymała się wprawdzie poza linią namiotów, ale wozy wyładowano niezwłocznie, a poganiacze wołów i ich pomocnicy otrzymali z rąk Hiszpana zapłatę, po czym jeden po drugim zniknęli w tłumie robotników budownictwa Kolei Zjednoczonego Pacyfiku. Opuściły wreszcie Allie wszystkie towarzyszki podróży, tłumacząc jej, że muszą udać się dalej, w różne strony, każda do swej rodziny. I w krótkim czasie nie pozostało nikogo, komu mogłaby zaufać biedna dziewczyna.

Tego wieczora Allie długo nie mogła zmrużyć oczu. Samotność w wielkim wozie przejmowała ją obawą, a z drugiej strony budziły w niej niepokój odgłosy wrzawy, dolatującej aż tutaj z dalekiego miasta namiotów. Zasnęła wreszcie, ale był to sen niespokojny, przerywany co chwila przykrymi widziadłami rozgorączkowanej wyobraźni.

Nad ranem zbudził ją głos Durade. Odsunąwszy zasłonę, zobaczyła, że słońce wzbiło się już dość wysoko i że wszyscy dokoła zajęci są robotą.

Durade przyniósł jej śniadanie i dał wskazówki, jak miała się zachowywać. Za dnia więc w jego obecności mogła spacerować, ile chciała, gdy był nieobecny natomiast lub w nocy musiała znajdować się w krytym wozie. Czuwanie nad nią zostało zlecone Stittowi, głuchoniememu kalece, który służył Hiszpanowi wiernie niby pies, a miał rozkaz w razie potrzeby zmuszania dziewczyny siłą do posłuszeństwa.

Zaraz potem Durade polecił rozbić obóz i wznieść namioty, a zwłaszcza jeden, odznaczający się szczególnie wielkimi rozmiarami. Do namiotu tego w stawiono stoły i ławki. Wszyscy ludzie przy tym pracowali w pocie czoła, wyjąwszy głuchoniemego Stitta, któremu zlecono tylko straż nad Allie.

Dziewczyna przyjęła te zarządzenia z pozornym spokojem, lecz w duszy jej kłębiła się czarna rozpacz. Ileż dni miała spędzić bezczynnie, pilnowana przez sługę Hiszpana?

Wyjrzawszy spod budy swego wozu w nocy, zobaczyła, że wielki namiot jest rzęsiście oświetlony. Wejście nie było osłonięte i Allie spostrzegła, że siedzi tam mnóstwo ludzi — Meksykanów, Murzynów, Irlandczyków i Amerykanów. Zrozumiała wówczas od razu, co się tam dzieje, tym więcej, że słuch jej pochwycił dolatujące aż tutaj odgłosy dobrze jej znanej wrzawy szulerni i metalicznych dźwięków rzucanych na drewniany stół grudek rodzimego złota.

Odtąd już powtarzało się to stale. Noc w noc szulernia pracowała. Allie poczęła teraz sypiać za dnia, gdyż każdego wieczora rozpoczynała się w wielkim namiocie zwykła wrzawa, wśród której niejednokrotnie rozlegał się łoskot wystrzału, a potem tupot ciężkich butów ludzi, wynoszących pośpiesznie ciało zamordowanego przez któregoś z towarzyszy gracza.

Dzień dopiero przynosił ulgę skołatanym nerwom dziewczyny. I wówczas jednak wolała nie opuszczać wozu. Spała przeważnie, lub spod uchylonej zasłony śledziła życie pobliskiego obozu budowniczych. Interesowały ją zwłaszcza czynności dziesiętników, którzy dozorowali

roboty. Niektórych zresztą znała już nawet z nazwiska, gdyż byli stałymi gośćmi szulerni Durade.

Jeden z nich, nazwiskiem Mull, zaprzyjaźnił się nawet z Hiszpanem, który posiadał szczególny dar pociągania ku sobie ludzi, należących do przeróżnych warstw społeczeństwa. Mull był niegdyś w Nowym Jorku woźnicą i poganiał konie — teraz, tak samo z biczem w ręce, popędzał ludzi.

Był to olbrzym, tęgi jak byk, z twarzą niemal kwadratową, w której, spod niskiego czoła, świeciły małe, podejrzliwe oczy. Całymi nocami grywał w karty i często upijał się do utraty przytomności. Nie uznawał żadnej władzy nad sobą, a dla podwładnych był prawdziwym katem.

W szulerni Durade stale sprzyjało mu szczęście, co nie było bynajmniej wypadkiem, gdyż, jak zwierzał się towarzyszom dobrze poinformowany Fresno, Hiszpan pozwalał mu wygrywać. Podkupywał go tym. Mull był mu potrzebny.

Rozdział XV

Posuwająca się wciąż naprzód budowa Kolei Zjednoczonego Pacyfiku spowodowała powstanie i szybki rozwój mnóstwa miasteczek, wyrastających niekiedy zupełnie nieoczekiwanie, niby grzyby po deszczu.

Warren Neale, który stracił nagle całą swą dawną ambicję i był już tylko zwykłym, nic nieznaczącym pionkiem, włóczył się teraz po tych wszystkich osiedlach w towarzystwie nieodstępnego cowboya. Zaczął pić i grać w North Platte, po czym wraz ze swym przyjacielem wyruszył do Kearney.

W Kearney Larry King pokłócił się z dozorcą robotników, niejakim Smithem, i zwymyślał go bardzo brzydko. Smith w odpowiedzi porwał za pistolet, ale wyjąć go już nie zdążył. Neale przejął się niezmiernie tym wypadkiem, tym więcej, że, jak się okazało, zakończona śmiertelnym wynikiem kłótnia powstała z powodu złego wyrażania się o nim przez Smitha.

Zamykało to Neale'owi powrót do pracy przy budowie kolei, a obydwaj musieli szukać ratunku w pośpiesznej zmianie miejsca pobytu. Udali się więc do Cheyenne. Tam jednak było dla Neale'a za cicho i za spokojnie. Cheyenne bowiem, po krótkim lecz wspaniałym okresie przodowania nowopowstałym osiedlom, przekazało swe berło niewiele odeń młodszemu miasteczku Benton.

Młody inżynier więc, nie mogąc namówić swego towarzysza do opuszczenia cichego osiedla, udał się na razie sam do nowej stolicy kolejowego obszaru. Jadąc, spoglądał z goryczą na stojące tam i owdzie przy torze znaki drogowe, z którymi tyle razy miał do czynienia podczas pomiarów. Teraz nie brał już żadnego udziału w tym wielkim ruchu, który niósł dzikim obszarom kulturę i cywilizację.

— Benton! — rozległ się okrzyk konduktora i Neale jednocześnie prawie przypomniał sobie, że od Omaha — stacji wyjściowej, dzieliła go przestrzeń sześciuset dziewięćdziesięciu mil. Tak bardzo już zdążył się wydłużyć żelazny szaniec toru wielkiej kolei.

Nieskończenie długi pociąg zatrzymał się z przeraźliwym klekotem kół. Przez otwarte okna do wnętrza wagonów wdarły się tumany kurzu i odgłosy zmieszanej wrzawy, a peron od razu zapełnił się tłumem ludzi. Neale wraz z innymi opuścił przedział i, trzymając w jednej ręce walizkę, drugą począł torować sobie drogę poprzez tę przedziwną mozaikę przedstawicieli wszystkich ras i stanów.

Spotykał Indian, Meksykanów, Murzynów, kupców i robotników. Widział właścicieli wozów, ochrypłymi głosami zachwalających swe środki lokomocji podróżnym, udającym się do Salt Lake, Ogden, Idaho czy Montany. Kroczył ulicami, wzdłuż których wznosiły się niezliczone namioty płócienne, pełne rozwrzeszczanych kobiet i dzieci.

Zaczepiła go wreszcie jakaś niewiasta, dobrze ubrana i nawet przystojna. Powiedziała coś, wpatrując się weń głodnymi oczami jastrzębia, ale on szedł dalej, nie zwracając na nią żadnej uwagi i nie słysząc, co mówi. W chwilę później podobnie zagadnął go stojący przy drodze młody chłopiec, potem brudny wyrobnik w łachmanach próbował odebrać mu walizkę, proponując swe usługi i ostatecznie pomacał m u kieszenie drągal z miną opryszka.

Wśród ogólnej wrzawy rozległ się gdzieś wystrzał. Ktoś krzyknął boleśnie. Ruch tłumu w pewnym kierunku wskazywał miejsce wypadku, który jednakże wzbudził niewiele zainteresowania. Neale, nie zatrzymując się wcale, minął jedną po drugiej pięć przecznic, przekonywając się, że ulica, którą wybrał, musi być główna.

Odczuwał teraz dziwną rześkość. Przeciwności życiowe nie zdołały go złamać ostatecznie. Pomyślał nagle, że wysiłki jego były przecież właściwie tylko zerem w porównaniu do olbrzymiego całokształtu wykonanej pracy. Iluż ludzi padło ofiarą tego wielkiego dzieła? — Setki! Zwłoki ich spoczęły w grobach, o których nikt już nie pamięta, a on żyje wszakże. Nie jest więc jeszcze tak bardzo źle.

Wynająwszy sobie lichą izdebkę w budzie, noszącej szumne miano hotelu, i posiliwszy się nieco przy bufecie tego samego zakładu, Neale wyszedł znowu na miasto, aby dalej włóczyć się bez celu. Zapadł zmierzch, a wraz z nim ogarnęła go tęsknica. Wieczór był ulubioną porą Allie. Ręka w rękę chodziła niegdyś wraz z nim o zmroku po cudnie samotnej, zatraconej wśród dalekich gór dolinie.

Wspomnienie owych szczęsnych chwil powracało teraz z przemożną siłą i Neale nie mógł ani zasnąć, ani usiedzieć na miejscu, gdyż wciąż stawała mu przed oczami wizja ukochanej. Wałęsał się więc, usiłując rozproszyć tęsknotę, aż wreszcie gwar uliczny począł milknąć. Na niebie zamigotały gwiazdy. Daleka pustynia okryła się płaszczem nocy. Ulice Benton rozbłysnęły światłem latarń. Zapłonęły też ognie w niektórych obszerniejszych namiotach i Neale usłyszał rozlegający się wśród płóciennych ścian szmer wielu głosów, przypominający do złudzenia gniewne brzęczenie całych rojów szerszeni.

Neale zatrzymał się przy jednej z większych bud, usłyszawszy dźwięki muzyki. Przez otwarte na oścież drzwi zobaczył wirujące w tanecznych podrygach postaci kobiet i mężczyzn. Orkiestra umilkła nagle, a jednocześnie zadźwięczały szklanice i rozległ się charakterystyczny brzęk rzucanych na stół bryłek złota.

I Neale prawie nieświadomie skierował się ku wejściu. Czuł, że ciągnie go coś do tego namiotu, chociaż nie umiał sobie zdać sprawy, czego tam chce szukać. Od towarzystwa kobiet stronił przecież.

Wszedłszy tam, zdumiał się niezmiernie. Z zewnątrz była to zwykła buda płócienna, podobna do tysięcy innych. Wnętrze tej budy jednak lśniło

od przepychu. Wszędzie wisiały olbrzymie lustra i malowidła, wyobrażające nagie kobiety. Na ogromnym, sufitu sięgającym bufecie piętrzyły się szeregi kryształowych naczyń i butelek z najdroższymi trunkami.

Trunki te spijało mnóstwo ludzi, z których wielu nie można było zaliczyć do warstwy pracującej. Neale zobaczył elegantów, odzianych w pierwszorzędnie skrojone stroje wieczorowe, ale zrozumiał od razu, że nie znajdzie tu żadnego z dyrektorów Kolei Zjednoczonego Pacyfiku lub członków komisji kontrolującej. Byli to sami zawodowi gracze i szulerzy.

Opuścił salę balową w chwili, gdy znowu rozległy się dźwięki orkiestry, i wszedł do gabinetu gry. Wszystkie stoliki tam były zajęte. Stanął więc przy jednym z nich, gdyż lubił bardzo przypatrywać się grze w karty. Interesował go tylko jej przebieg. Moment wygrywania, czy tracenia pieniędzy nie miał dlań żadnego znaczenia.

Jeden z czterech grających, w przeciwieństwie do swych towarzyszy, odziany bez zarzutu, miał bladą twarz bez wyrazu, chłodne, stalowe oczy i wąskie wargi. Ręce jego były świetnie utrzymane i białością swą świadczyły wyraźnie, że właściciel ich uprawia nocny żywot, nie trudniąc się przy tym żadną pracą fizyczną. Niezwykle wprawnie za to tasował długimi, wypielęgnowanymi palcami karty, od czasu do czasu dotykając leżącej przed nim grudki złota.

Naprzeciwko niego siedział młody człowiek olbrzymiego wzrostu z twarzą zbója, którego dwaj pozostali nazywali Fresno. Sąsiadem jego z lewej strony był jegomość o łapach i karku rzeźnika. Tego drugi towarzysz Fresna nazwał raz Mullem, a wtedy Neale przypomniał sobie, że znał go niegdyś, jako dozorcę robotników. Wszyscy trzej przegrywali, podczas gdy blady elegant stale powiększał swoje złote zasoby.

— Czy pozwolą mi panowie przyłączyć się do gry? — zagadnął grzecznie Neale.

— Proszę bardzo — odparł uprzejmie elegant.

— Już ja tam wolę obejść się bez nowego partnera — wtrącił pośpiesznie drugi towarzysz Fresna, obrzucając Neale’a podejrzliwym wzrokiem, a potem przenosząc spojrzenie na bladego pana, jakby sądził, że ma do czynienia ze zmową.

Nie było w tym zresztą nic dziwnego. Szulerzy zazwyczaj pracowali parami.

— Ręczę panu, że tylko co przybyłem do Benton — rzekł Neale, orientując się w sytuacji. — Tego pana, który zaprosił mnie w tej chwili, widzę po raz pierwszy w życiu.

— Ręczę za prawdziwość tego oświadczenia — rzekł dumnie szuler. — Przypuszczam zaś, że słowo Place Hough’a jest coś warte.

Neale niejeden raz już słyszał o tym słynnym szulerze, grasującym zazwyczaj nad brzegami rzeki Missisipi. Znali jego imię zapewne i trzej pozostali partnerzy. Gra więc potoczyła się dalej. Mull począł podwyższać stawki i przegrał mnóstwo pieniędzy.

— Jestem zrujnowany — oświadczył, spoglądając na Fresna i drugiego towarzysza, ale unikając wzroku Hough’a.

Zerwał się następnie z krzesła i, stanąwszy za szulerem, wymierzył mu w plecy lufę swego pistoletu. Ale w tej samej chwili Neale pochwycił go za rękę.

— Hola, przyjacielu! — zawołał. — Czy chcesz popełnić zabójstwo?

Pod wpływem tego żelaznego uścisku Mull wypuścił broń z ręki. Pistolet upadł na podłogę, a Fresno z wściekłością kopnął go nogą.

— Oszalałeś chyba, Mull! — zawołał. — Wynoś się stąd zaraz!

Osoba dozorcy stała się teraz przedmiotem ogólnego zainteresowania. Wszędzie zaprzestano gry. Ktoś podniósł odrzucony pistolet.

— Nie chciałem mu zrobić nic złego — burknął ponuro Muli.

Spojrzał na Neale’a spode łba i opuścił pośpiesznie salę wraz z dwoma kom panami. Szuler wstał z wolna, opuszczając zagięte do gry rękawy. W każdej jego ręce tkwił mały pistolet.

— Uratował mu pan życie — rzekł spokojnie. — W każdym bądź razie dziękuję panu za interwencję. Nazywam się Place Hough. Czy nie zechciałby pan napić się czego ze mną?

— Z przyjemnością — odparł młodzieniec. Jestem Neale.

Stanęli obaj przy ladzie baru i wychylili po szklance whisky.

— Mam wrażenie, że pan musi być kolejowcem? — zagadnął uprzejmie Hough.

— Byłem nim niegdyś. Teraz jestem już tylko... wykolejeńcem...

Kąciki ust szulera rozchyliły się w subtelnym uśmiechu.

— Benton nie jest dobrem miejscem pobytu dla ludzi wykolejonych — rzekł. — Za dużo tu złota, no i... kobiet. Czy poznał pan już pannę Stanton?

— Nie.

— Nazywają ją ogólnie piękną Stanton — mówił Hough. — Znam tę dziewczynę od dawna. Po raz pierwszy spotkaliśmy się w Nowym Orleanie. Wówczas była jeszcze bardzo młoda, ale... znała już życie. Teraz mieszka tutaj i prowadzi dancing. Odwiedzimy dziś ten zakład, dobrze?

Neale nic nie odpowiedział, ale Hough uważał widocznie milczenie nowego znajomego za zgodę, gdyż uregulował niezwłocznie rachunek i skierował się ku wyjściu, biorąc go pod rękę. W tej chwili jednak zwróciło się doń kilku siedzących przy najbliższym stoliku, prosząc, by zagrał z nimi w pokera.

— Nie chciałbym pozbawiać panów gotówki — rzekł Hough z uśmiechem. — Ale trudno. Nie zwykłem odmawiać. Panie Neale! Proszę mi dotrzymać towarzystwa.

Młodzieniec usłuchał i wziął udział w grze. Licząc się z tym, że dużo gotówki nie posiada, grał bardzo ostrożnie, ale szczęście sprzyjało mu dziwnie. Po zakończeniu partii okazało się, że wygrał kilkaset dolarów.

— Czy zawsze sprzyja panu szczęście w kartach? — zagadnął go któryś z sąsiadów.

— Owszem — roześmiał się młodzieniec, czując niezwykłe podniecenie, graniczące niemal z wesołością.

— Szczęście w grze to brak szczęścia w miłości — zauważył sentencjonalnie inny uczestnik pokera.

Hough w tej chwili przypatrywał się badawczo Neale'owi, widział więc, jak twarz jego zmierzchła nagle przy tych słowach i postanowił przerwać dalszą dyskusję.

— Proszę łaskawie powstrzymać się od wszelkich uwag na tematy czysto osobiste — rzekł. — Zechciejcie panowie zająć się więcej kartami.

Neale wciąż wygrywał, ale jego wesołość minęła.

Brak szczęścia w miłości! Och! Cóż dlań znaczyły pieniądze, jeśli tamto miała być prawda.

O północy zaprzestano gry i wszyscy gracze poczęli tłoczyć się ku wyjściu. Neale na zaproszenie Hough'a udał się wraz z nim do dancingu, czując, że nie jest zdolny powrócić do swej samotnej izdebki w hotelu.

W sali tańca panny Stanton było pełno ludzi, splecionych w jedno wielkie kłębowisko, w którem, niby dziwaczne plamy, połyskiwały białe ramiona kobiet i rozgorączkowane twarze mężczyzn. Masa ta kołysała się w dzikim rytmie tańca przy dźwiękach wrzaskliwej muzyki.

Trudno było rozpoznać tu kogoś, ale tańczący za to widzieli doskonale nieliczną grupę widzów, stojących przy drzwiach sali. Neale też czuł przez cały czas na sobie wzrok wielu par oczu.

— Widzę, że Ruby zwraca na pana uwagę — odezwał się nagle Hough.

Orkiestra umilkła w tej chwili i jednocześnie Neale spostrzegł odzianą w jaskrawoczerwoną suknię dziewczynę, która stanęła opodal, patrząc nań badawczo. Ktoś odwołał nagle Hough'a i młodzieniec został sam. W następnym momencie zaś dziewczyna w czerwonej sukni stanęła tuż przy nim.

— Bardzo mi się pan spodobał — oświadczyła śmiało.

Neale oniemiał. Nigdy jeszcze w taki sposób nie zaczepiła go żadna kobieta. Z uczuciem prawdziwej ulgi zauważył, że Hough stanął znów przy jego boku.

— Czy zatańczysz ze mną, chłopczyku? — pytała dziewczyna, nie zmieszana bynajmniej pojawieniem się szulera, któremu skinęła głową, jak dobremu znajomemu.

— Nie — odparł zimno Neale, odsuwając się nieco.

Oczy dziewczyny zapałały blaskiem gniewu. Biała, pokryta pierścieniami rączka wzniosła się w górę, jakby do uderzenia. Ale Hough spostrzegł ten ruch podejrzany i w samą porę pochwycił dłoń dziewczyny.

— Jesteś niegrzeczna, Ruby — rzekł surowo. — Jakże można tak się narzucać nieznajomym! — Panno Stanton! Proszę zabrać ją stąd.

Słowa te były skierowane do wysokiej, eleganckiej kobiety, która zbliżała się ku nim z przyjaznym uśmiechem na pięknej twarzy. Ale Ruby nie czekała na ich wynik i uciekła, jak spłoszona przepiórka, grożąc Neale'owi na pożegnanie zaciśniętą piąstką.

— Czy wyrządziliście jej jaką krzywdę? — spytała panna Stanton, witając się z Hough'em i odpowiadając łaskawym skinieniem głowy na ukłon Neale'a.

— Obraziła się, że nie chciałem z nią zatańczyć — wyjaśnił młodzieniec.

— Doprawdy? A po cóż, jeśli wolno spytać, zawitał pan do nas?

— Do dancingu? Pan Hough mnie tu przyprowadził... Graliśmy razem w karty — plątał Neale, mieniąc się pod badawczym spojrzeniem tej rzeczywiście niezwykle pięknej kobiety.

— Ach, nie o to mi chodzi. Ja pytam, co sprowadziło pana do Benton.

— Zabłądziłem tu po prostu. Szukam, proszę pani, przyjaciela.

— A nie zajęcia? Dziwnie mi jakoś nie pasuje pan do tutejszego otoczenia — zauważyła panna Stanton. — W Benton są same zwierzęta w ludzkiej skórze. Wilki, tropiące złoto... Ale pan... pan jest podobny do mego przyjaciela Ancliffe'a.

— Któż to jest? — spytał grzecznie Neale, czując, że musi coś powiedzieć.

— Ancliffe? A Bóg go wie. To Anglik i gentleman w każdym calu. Szkoda, że tacy ludzie, jak Ancliffe i pan, przyjeżdżają do Benton.

Nie żartowała. Mówiła poważnie i w dodatku szczerą prawdę, co było widać po wyrazie jej wielkich, błękitnych źrenic.

Neale zainteresował się nią nagle.

— Dlaczego pani tak sądzi? — spytał.

Panna Stanton cofnęła się o krok, jakby pragnąc przyjrzeć mu się lepiej.

— Bo w Benton ludzie marnują sobie niepotrzebnie życie — rzekła zwolna. — Zakosztowawszy naszyć przyjemności, nigdy już pan nie weźmie się do żadnej pracy.

Rozdział XVI

Neale obudził się nazajutrz bardzo późno, po czym leżał jeszcze przez dłuższy czas w łóżku, paląc papierosy i rozmyślając o nowych znajomościach, które poczynił wczoraj. Wstał wreszcie i zaczął ubierać się powoli, pozostając wciąż pod wpływem przykrej świadomości, że nie ma nic do roboty.

— Trzeba chyba będzie opuścić Benton — mruczał sam do siebie.

Przez chwilę zastanawiał się nad tym problemem, nie mogąc zdecydować się na coś określonego i ostatecznie postanowił, że zostanie. Dzikie, rozhukane tempo życia tego nowego miasta pociągało go niby magnes.

Spożywszy naprędce śniadanie, wyszedł na ulicę i zupełnie bezmyślnie skierował się ku stacji. Przybył właśnie pociąg i Neale, stojąc na peronie, przyglądał mu się z zaciekawieniem. W ścianie zewnętrznej jednego z wagonów, tuż ponad oknem, tkwiła indiańska strzała. Poza tym jednak nic nie zdradzało niebezpieczeństw drogi. Wszystkie wozy miały zupełnie normalny wygląd. Przewaga ilościowa znajdowała się, oczywiście, po stronie towarowych. Blisko połowę składu pociągu stanowiły platformy, obciążone mnóstwem części drewnianych domów oraz mebli, co było zrozumiałe ze względu na potrzeby rozrastającego się z każdym dniem miasta Benton.

Z wagonów osobowych wysypało się około tysiąca podróżnych, którzy rozproszyli się natychmiast po peronie, a Neale nagle zetknął się twarzą w twarz z Larrym Kingiem.

— Ty tu, Red? — zawołał ze zdumieniem.

— Ano, przyjechałem, jak widzisz — odparł cowboy, ściskając mu dłoń.

— Och, cieszę się!.. Cieszę się niezmiernie... Ale... po co ty przyjechałeś do Benton?

Głos Neale’a załamywał się dziwnie i Larry King zauważył to od razu. Czerwona jego twarz stała się w tej chwili, jeszcze czerwieńszą, a wzrok przybrał wyraz rzadkiej u cowboya łagodności.

— Słyszałem, widzisz, w ostatnich czasach dużo złego o tym mieście, no... i nie chciałem, abyś tu był sam.

Dłonie obu połączyły się jeszcze raz w mocnym uścisku. Neale ruszył następnie w stronę miasta, pociągając za sobą przyjaciela, ale Larry King, po kilku krokach, stanął jak wryty.

— Na Boga! — zawołał. — Patrz, kto tam stoi.

Neale obrócił się prędko i zobaczył stojącego opodal wysokiego człowieka, odzianego w myśliwski strój z jeleniej skóry.

— Toż to Slingerland! — krzyknął głośno.

Traper zbliżył się ku nim z rozjaśnioną radością twarzą.

— Eh, nareszcie spotkaliśmy się, chłopcy — rzekł, podając im obie ręce. — Byłem pewny, że musi to nastąpić prędzej czy później.

Neale spróbował coś powiedzieć, ale gardło ścisnęło mu się w tej chwili i nie mógł wydobyć głosu. Wyręczył go cowboy.

— Czy nie wie pan, co się stało z Allie? — zagadnął.

Twarz trapera zmierzchła.

— Słuchajcie, chłopcy — rzekł, w zdychając ciężko. — Ręczę wam, że przez cały rok nie zdarzyło się, abym zostawił Allie samą. A uczyniwszy to wreszcie raz jeden, zastałem po powrocie tylko zgliszcza... Dziewczyny zaś nie było... Ale nie Indianie popełnili tę zbrodnię... Nie... To byli ci łotrzy z Kalifornii... Śledziłem ich długo, lecz bezskutecznie... Teraz udaję się znów w góry i znowu będę zastawiać pułapki...

Urwał nagle i położył dłoń na ramieniu młodzieńca.

— Wzięło cię to, chłopcze, co? — rzekł krótko.

Neale całą siłą woli powstrzymał rwące mu się z piersi szlochanie.

— Nie — odparł, przymykając oczy. — Tylko mam bardzo czegoś roztrzęsione nerwy.

— Możesz powiedzieć mu całą prawdę — wtrącił Larry. — Przecież to jego widok tak podziałał na ciebie. Ja sam też czuję pewne wzruszenie.

— I mnie ciężko jest na duszy, chłopcy — odezwał się Slingerland.

— Ależ ja cieszę się bardzo ze spotkania z panem — rzekł Neale już znacznie przytomniejszym głosem. — Zdziwiłem się tylko, ujrzawszy tu pana tak nieoczekiwanie. Co właściwie robi pan w Benton?

Traper uśmiechnął się nieco smętnie.

— No, muszę przecież urozmaicać sobie od czasu do czasu mój samotny tryb życia... Teraz zwłaszcza... Poluję niekiedy na bawoły i dostarczam ich mięso załogom obozów budowlanych. W tej chwili właśnie załadowałem świeży transport do wagonu.

Milczał przez chwilę, a potem zagadnął:

— Jakże tam z waszą pracą?

— Z moją? — odparł głucho Neale. — Ja nie pracuję wcale. Nie mogę.

Na ogorzałej twarzy trapera pojawił się wyraz wielkiego współczucia.

— Słuchajcie, chłopcy — rzekł. — A może byście zechcieli zapolować wraz ze mną na bawoły? To jest nawet dość zyskowne zajęcie, a ruch na świeżym powietrzu rozprasza tęsknotę. No, dobrze?

Długo namawiać nie potrzebował. Neale i Larry przyjęli propozycję bez wahania. Neale wyraził swą zgodę i podziękowanie milczącym skinieniem głowy. Larry natomiast uścisnął mocno dłoń trapera, czyniąc przy tym krótką uwagę okolicznościową:

— Uważam jednak, że postępuję niegrzecznie w stosunku do miasta Benton. Tylko co przybyłem tu przecież i już wyjeżdżam, nie zdążywszy przyjrzeć się żadnej z tutejszych osobliwości.

Nie tracąc ani chwili czasu, wszyscy trzej ruszyli w drogę pod przewodnictwem Slingerlanda i przed wieczorem jeszcze znaleźli się w

jego nowym szałasie, skleconym w głębi rozpadliny górskiej i dobrze ukrytym wśród zarośli. W zupełnie bliskim sąsiedztwie odbywały się prace nad dalszym odcinkiem szlaku nowej kolei, ale obozu tu nie było.

Dzień w dzień, o poranku, pociąg przywoził robotników z Benton i po południu zabierał ich stąd z powrotem. W porze nocnej więc cała okolica pogrążała się w niczym niezakłóconym spokoju, który Neale'owi zwłaszcza wydawał się błogim po niespokojnej wrzawie miasta Benton.

Młodzieniec zastanawiał się, czy cisza ta pomoże mu przezwyciężyć tęsknicę. A może właśnie stanie się wręcz odwrotnie i wzmagający się żal zmusi go ponownie do udania się na bezcelową włóczęgę. Z nastaniem nocy jednak zasnął ciężkim snem bez marzeń, co nie zdarzało mu się już od dawna.

Nazajutrz, niemal o świcie, traper osiodłał konia dla siebie i swych pomocników. Mieli zaraz udać się na polowanie, ale Slingerland przypomniał sobie, że w pobliżu kręcą się czerwonoskórzy, postanowiono więc powstrzymać się z wyruszeniem w drogę do chwili nadejścia pociągu roboczego, pod którego osłoną mogli bezpiecznie podróżować.

Niebawem ukazał się pociąg, złożony zaledwie z kilku wagonów, w których znajdowało się około pięćdziesięciu robotników, i trzej myśliwi poczęli cwałować wzdłuż toru kolejowego. Nie trwało to zresztą długo. W odległości kilku mil od szałasu tor kończył się i pociąg stanął w miejscu, gdzie czekała na robotników rozpoczęta praca.

A Neale, patrząc na wyładowywane narzędzia, poczuł, że znowu ogarnia go dawne zamiłowanie do tej kolei, w której budowie sam brał udział przez tyle czasu. Z prawdziwą zazdrością patrzył na krzątających się ochoczo robotników. Byli to wszystko doborowi ludzie, zahartowani w trudach dawni żołnierze. Każdy z nich przed zabraniem się do łopaty, czy kilofa, postawił obok siebie nabitą strzelbę.

— Głowę dałbym, że widzę mego przyjaciela Neale'a — rozległ się nagle głos dobrze znany i młodzieniec, obróciwszy się szybko, ujrzał Irlandczyka Caseya z odwieczną fajką w zębach.

Neale ucieszył się z początku, ale potem ogarnęło go uczucie niezadowolenia. W cale nie pragnął spotykać się teraz z dawnymi towarzyszami pracy. A już ponad wszystko bolesne byłoby dlań spotkanie się z generałem Lodgem lub jego inżynierami, którzy przepowiadali mu wspaniałą przyszłość zawodową.

Shane i MacDermott również znajdowali się przy tej grupie. Neale więc im również musiał odpowiadać na pytania, dotyczące jego obecnego położenia i rozmowa ta nie była dlań wcale przyjemnością. Irlandczycy zmienili się od czasu, gdy widział ich po raz ostatni. W mowie i wzroku tych ludzi Neale wykrywał ślady wielkości dokonanego przez nich dzieła i serce jego ścisnął żal. Jakże znacznie wyprzedzili go wszyscy dawni towarzysze! Każdy z nich mógł wykazać się zupełnie realnym dowodem pracy. On jeden tylko nie miał prawa twierdzić, że jest pożytecznym członkiem społeczeństwa.

Zbadawszy bystrym wzrokiem okolicę dla upewnienia się, czy nie błądzą gdzieś w pobliżu bandy czerwonoskórych, Slingerland wyruszył wreszcie na polowanie wraz z Nealem i Larrym oraz dwoma innymi

pomocnikami, niejakim Brushem i Irlandczykiem Patem, którzy mieli oprawiać ubite bawoły i ładować ich tusze do wozów.

— Niewielka to rzecz zabić bawołu — mówił traper do swych przyjaciół. Pamiętajcie jednak, że należy strzelać tylko do zwierząt młodych, które niełatwo jest rozróżnić, zwłaszcza, gdy stado znajduje się w ruchu. A nie zapominajcie też, że musimy wystrzegać się Indian.

Niebawem ujrzeli pasące się stado i zbliżyli się doń ostrożnie, ale małe, czerwonawej barwy cielęta zlękły się czegoś i bawoły pomknęły nagle w dal, podnosząc tumany kurzu. Myśliwi, na rozkaz Slingerlanda, pognali w ślad za nimi i Neale rozweselił się, widząc, jak Larry, wyprzedziwszy wszystkich towarzyszy, bije uciekające zwierzęta gołą dłonią po kosmatych grzbietach.

Niebawem wszakże cowboy m usiał umknąć co prędzej w obawie przed stratowaniem, gdyż stado rozsypało się na odgłos pierwszego strzału trapera. Rola pomocników musiała teraz ograniczyć się do napędzania mu zwierząt, z których doświadczony myśliwy wybierał pożądane sztuki. Strzelając w błyskawicznie krótkich odstępach czasu, Slingerland dawał Neale'owi i Larry'emu jakieś znaki, nawołując ich jednocześnie, lecz słowa jego zagłuszał tupot racic wielu setek galopujących na oślep bawołów.

Neale w pewnej chwili spojrzał w kierunku, wskazanym przez denerwującego się coraz więcej trapera, i przeraził się. W niewielkiej odległości od nich cwałowała banda Siuksów. Czerwonoskórzy widać mieli zamiar zapolować na to samo stado, a teraz postanowili napaść na przeszkadzających im intruzów.

Larry i Neale więc, porozumiawszy się wzrokiem, gdyż głosów swych usłyszeć nie mogli, skierowali wierzchowce ku wzgórkowi, na którym stał Slingerland. Niemal jednocześnie zwrócił konia do ucieczki Brush oraz Irlandczyk Pat, znajdujący się najbliżej Indian. W następnej chwili i traper, widząc, że wszyscy jego towarzysze wiedzą o grożącym im niebezpieczeństwie, popędził w kierunku dalekiej linii kolejowej, gdzie musiał stać jeszcze zapewne pociąg roboczy, widać bowiem było snujący się na horyzoncie pióropusz dymu.

Neale jednak nie miał nadziei, aby udało im się ocalić. Obejrzawszy się podczas galopu, spostrzegł, że Indianie znajdowali się już bardzo blisko. Część ich ścigała Brusha, gdy inni pędzili w ślad za Patem, a główna masa prześladowała trzech pozostałych myśliwych, starając się przeciąć im drogę.

Młodzieniec obejrzał się raz jeszcze. Bawoły zniknęły. Za uciekającymi widać było tylko czerwonoskórych, galopujących w milczeniu, wydłużoną linią. W chwili, gdy patrzył na nich, rozległ się odgłos dalekiego strzału. To odezwała się strzelba któregoś z Indian, ścigających Irlandczyka Pata.

— O, Boże! — krzyknął Larry. — Ci zbóje zabili mu konia.

W samej rzeczy Irlandczyk runął na ziemię wraz ze swym wierzchowcem, wzbijając w górę kłąb białawego kurzu. Po czym nie podniósł się już więcej.

— Nie żyje! — zawołał z przejęciem Neale.

— Umykaj cwałem! — usłyszał w odpowiedzi.

Neale usłuchał i, dotknąwszy konia ostrogami, pomknął naprzód jak strzała, starając się dorównać szybkości rumaka cowboya. Obydwa wierzchowce były silne i wypoczęte, dzięki czemu myśliwi mogli mieć nadzieję, że dopędzą Slingerlanda, galopującego w odległości około stu jardów. Brush również odsadził się znacznie od ścigających go Indian i jechał teraz w jednej linii z dwoma pozostałymi towarzyszami.

Ale Indianie także nie ustawali w pościgu. Strzelali przy tym coraz częściej i Neale spodziewał się, że lada chwila może go ukąsić rozpalona kula. Zauważył w pewnym momencie, że Brush obraca się, aby strzelić, i przypomniał sobie wówczas o własnej strzelbie. Przyczepił więc niezwłocznie uzdę do siodła i obrócił się ku prześladowcom, próbując wziąć któregoś z nich na cel. Strzelił wreszcie, słysząc, że odpowiada mu naraz kilkadziesiąt strzelb. Kilka kul przeleciało mu tuż koło głowy z przeraźliwym świstem.

Prawie jednocześnie począł strzelać Larry, ale również bez żadnego powodzenia. W tych warunkach trudno było trafić. Neale nabijał pośpiesznie swą fuzję i dalej posyłał kule przeciwnikom. Zauważył jednak, że dzieląca go od nich odległość zmniejsza się coraz szybciej, lecz nie tracił otuchy, gdyż i pociąg roboczy również znajdował się niedaleko. Widać już było nawet robotników, stojących na dachach wagonów i rękami dających znaki ściganym.

W następnej chwili z białawej linii nasypu załoskotało kilka strzałów i gniewny okrzyk dowiódł Neale‛owi, że robotnicy strzelali o wiele celniej od niego. W krótce potem ścigani dopadli pociągu, w zupełności gotowego do odwrotu. Czterej myśliwi zeskoczyli ze swych zdrożonych wierzchowców, które z pomocą robotników wprowadzono do jednego z wagonów, i pociąg ruszył przy wtórze przenikliwych gwizdków parowozu.

Rozdział XVII

Neale postanowił, że na jesieni wraz z Larrym i Slingerlandem uda się w góry, aby odwiedzić dolinę, w której niegdyś mieściła się sadyba trapera i przy tej sposobności spróbuje odszukać zakopane przez Horna złoto. Na razie jednak zdecydował się na powrót do Benton, pragnąc czuwać nad cowboyem, mającym udać się do tego miasta.

Wyruszyli więc w drogę, pożegnawszy się z uczynnym myśliwym, który zapraszał ich serdecznie, aby w razie braku innej roboty, znowu wraz z nim próbowali zdobyć środki do życia polowaniem na bawoły. Pociąg przywiózł obu przyjaciół do Benton nad wieczorem i miasto teraz, po kilku dniach spędzonych w ciszy i spokoju, wydało im się istnym piekłem, tyle tu było hałaśliwej, potępieńczej wrzawy.

Lepsze hoteliki były przepełnione, Neale więc skierował się do zajazdu, w którym raz już zamieszkiwał, i tam znaleźli pokoik, nie obfitujący wprawdzie w wygody, ale względnie niedrogi. Nazajutrz rano, idąc na śniadanie, Neale spotkał młodego człowieka, którego prosta, opalona twarz wydała mu się znana. A młodzieniec, ujrzawszy go, stanął jak wryty.

— Och, panie Neale! — zawołał z radością. — Toż ja szukałem pana, jak szpilki.

— Nie przypominam sobie, abym znał pana — odparł chłodno Neale, obawiając się, że może to być ktoś z jego dawnych towarzyszy pracy, od których stronił.

— Myślę jednak, że Larry na pewno mnie pamięta — nastawał młody człowiek, dając ręką znak cowboyowi, który nadszedł w tej chwili.

— Oczywiście — oświadczył Larry King. — Pan dokonywał pomiarów dla Baxtera, nieprawdaż?

— Właśnie — ucieszył się młodzieniec. — Nazywam się Campbell.

— Teraz i ja przypominam sobie pana — rzekł Neale, przyglądając mu się podejrzliwie. — Czy wolno spytać, dlaczego mnie pan poszukiwał?

Campbell zamiast odpowiedzi podał mu kopertę, którą Neale otworzył i przebiegł pośpiesznie oczami wyjętą z niej kartkę. Był to list Baxtera, który w bardzo serdecznych słowach zapraszał Neale'a do powrócenia na dawne stanowisko. Treść pisma do głębi serca wzruszyła młodego inżyniera. Stał nieruchomo, niby urzeczony, wpatrując się w kartkę, wzywającą go do nowego, czynnego życia. Podał wreszcie w milczeniu list przyjacielowi i ten, przeczytawszy go, wykrzyknął radośnie:

— Wiedziałem, że tak będzie. Musisz się zgodzić!

Neale potrząsnął głową przecząco, a Campbell drgnął na ten znak niechęci.

— Ależ, panie Neale! — zawołał nerwowo. — Nie może pan odmówić prośbie Baxtera. Jesteśmy w bardzo ciężkiej potrzebie. Oprócz Henneya pan jeden tylko umiał przeprowadzać takie ryzykowne pomiary w górach. A teraz mamy w robocie wyjątkowo trudny odcinek, no... i ... Baxter poprzysiągł sobie, że musi nakłonić pana do powrotu.

— Macie przecież Henneya — upierał się Neale, na którym treść listu Baxtera uczyniła jednak duże wrażenie.

Campbell machnął ręką niecierpliwie.

— Henney musiał udać się do Omaha, a Boone leży chory w Fort Fetterman. Baxter jest sam, bo trudno przecież liczyć za coś tych jego, zielonych jeszcze zupełnie, nowych pomocników.

— Tak. Widzę sam, że jest niedobrze — rzekł Neale w zamyśleniu. — A... czy... czy generał Lodge też się tam znajduje?

— A jakże! Mamy przecież cały obóz wojskowy. Jest i pułkownik Dillon oraz wszyscy oficerowie, którzy nie chcą mieszkać w Benton.

— No to niech pan powie Baxterowi, że bardzo żałuję, ale powrócić do pracy nie mogę.

Campbell patrzył nań przez chwilę tak, jakby miał coś jeszcze do powiedzenia i namyślał się, czy może mu to wyjawić. Ograniczył się jednak do krótkiej i nieco zagadkowej odpowiedzi.

— Dobrze, panie Neale — rzekł, cedząc każde słowo z osobna. — Powtórzę pana słowa Baxterowi, ale mam nadzieję, że zobaczymy się jeszcze.

Skinął głową obu przyjaciołom i odszedł.

— Wiesz co? — zagadnął przyjaciela Larry. — Czuję, że oni bez ciebie nie będą mogli zbudować tej kolei.

— A ty chciałbyś widocznie powrócić do dawnego zajęcia? — zagadnął Neale.

— Nie miałbym nic przeciwko temu. Obawiam się jedynie nowej zwady z moim wrogiem Smithem, którego pokiereszowałem trochę, jak zapewne pamiętasz. Przysporzyłoby to ci kłopotu.

— Mnie? Skądże znowu? Wszak słyszałeś, że odmówiłem.

— Owszem — odparł łagodnie Larry. — Słyszałem. Ale myślę, przyjacielu, że pojechałbyś jednak w ślad za Campbellem, gdybym przytroczył cię ładnie związanego do mego siodła.

Neale nic na to nie odpowiedział, nie chcąc się zdradzić wobec cowboya. W głębi duszy tęsknił do swej dawnej pracy. Myśl, że najwyżsi zwierzchnicy potrzebowali jego usług, przepełniała serce młodzieńca radością i dumą. Wiedział jednak, że będzie musiał uczynić bardzo wielki wysiłek, aby wdrożyć się do dawnej pracy. Wolał więc pozostawać nadal w bezczynności. Nie miał wiary w siebie. Był teraz zbyt słaby. Przez cały dzień włóczył się niby cień za Larrym, prawie nie zdając sobie sprawy ze swych czynności. O zmroku dopiero rozstał się z przyjacielem, aby podumać nieco w samotności. Powrócił do zajazdu i rzucił się niezwłocznie na twarde, niewygodne łóżko.

Długo leżał z otwartymi oczami, i nie spał jeszcze, gdy późną nocą do izdebki wtoczył się ciężko na wpół pijany Larry. Neale ofuknął go w sposób dość bezwzględny, z czego wynikła kłótnia. Larry jednak zamilknął pierwszy i zachrapał niebawem, po czym zasnął i Neale.

Z rana cowboy był w zwykłem usposobieniu, zachowywał się spokojnie i najwidoczniej wybaczył przyjacielowi ostrość wczorajszych wymówek. Neale natomiast zauważył w sobie dziwną zmianę. Oto po raz pierwszy od długiego czasu zbudził się bez uczucia odrazy do świata i ludzi.

Wyszedłszy z pokoju wraz z Larrym, ujrzał Campbella, czekającego na nich w tym samem miejscu, gdzie spotkali go wczoraj i na ten widok Neale'owi zabiło mocniej serce.

Campbell powitał obu przyjaciół z radosnym uśmiechem.

— Powróciłem — oświadczył wesoło.

— Widzę to — odparł powściągliwie Neale.

— Tym razem posłał mnie do pana szef — obwieścił z triumfem Campbell.

— Co takiego? — zawołał Neale.

— Sam szef? — Larry zbliżył się do nich nagle, zakładając ręce za pas, co było u niego oznaką dobrego humoru.

— Szef prosi bardzo, aby zechciał pan go koniecznie odwiedzić.

Twarz Neale'a okryła się rumieńcem.

— Generał Lodge prosi, abym zechciał go odwiedzić? — rozległo się pełne zdumienia pytanie.

— Tak. Czy pan nie odmówi?

— No... nie... myślę, że tym razem... nie mogę odmówić — wyjąknął Neale.

Czuł, że inaczej nie może postąpić. Przez głowę przy tym przemknęła mu myśl, że wyrażenie zgody na odwiedzenie generała nie jest równoznaczne z powrotem do dawnego zajęcia.

— Idź na śniadanie — rzekł do cowboya, starając się nie patrzeć mu w oczy. — Zamów coś i dla mnie. Zaraz tam przyjdę.

— Musi pan jednak pośpieszyć się nieco — zauważył Campbell. — Mamy zaledwie pół godziny czasu do odejścia pociągu roboczego.

Larry zawrócił szybko do restauracji, a Campbell po chwili dalszej rozmowy sam zaprowadził tam Neale'a i osobiście dopilnował, aby mu podano śniadanie, gdyż młody inżynier nie mógł ochłonąć z wrażenia, jakie wywołała na nim prośba szefa budowy kolei Zjednoczonego Pacyfiku. Campbell opowiadał mu dużo o szczegółach prowadzonych pomiarów, ale Neale słuchał z roztargnieniem, niezupełnie rozumiejąc jego słowa. Cowboy wreszcie wyszedł na chwilę i powrócił niebawem, niosąc walizkę, do której zapakował troskliwie rzeczy przyjaciela.

Wkrótce potem zaś wszyscy trzej znaleźli się na peronie tymczasowej stacji.

— Bądź zdrów, Larry! Powrócę jutro albo pojutrze! — zawołał Neale przez okno w chwili, gdy pociąg ruszał.

— Spotkam cię z radością, jeżeli powiesz mi, że objąłeś dawne stanowisko! — odkrzyknął Larry King uchylając kapelusza.

Podróż była długa i przykra, gdyż pociąg zatrzymywał się niezliczoną ilość razy, a Neale milczał uparcie, nie pragnąc nawiązywać rozmowy z Campbellem, który ostatecznie, widząc, że jego wysiłki nie osiągają celu, zaczął drzemać i spał do chwili przybycia na miejsce przeznaczenia. Wysiedli wtedy razem i Neale ujrzał nagromadzone tuż przy torze zwały wszelkiego rodzaju materiałów budowlanych. Jeden na drugim leżały bloki kamienia i żelaza, piętrzyły się stosy podkładów i szyn, wraz z otaczającym je tłumem bezczynnych robotników, świadcząc o zwłoce, spowodowanej w robocie przez jakąś nieznaną przyczynę. Wszystko to wzbudziło w Neale'u zaciekawienie i dawną żądzę pokonywania trudności.

Campbell jednak nie dał mu długo stać bezczynnie, twierdząc, że generał Lodge pewno się już niecierpliwi. Neale usłuchał i poszedł posłusznie za swym przewodnikiem do rozbitego opodal obozu, w którego środku wznosił się płócienny budynek, będący rezydencją szefa inżynierów. Przy wejściu do tego namiotu młody inżynier spotkał się oko w oko z Baxterem, który powitał go wesoło.

— Nareszcie pan przyjechał — rzekł z widoczną ulgą, ściskając mu serdecznie dłoń.

— Owszem, ale o co właściwie chodzi? — spytał Neale, czując, że serce przepełnia mu jakieś dziwnie radosne uczucie.

— Szef sam to panu powie. Proszę wejść — odparł Baxter, wciągając go do namiotu.

Wnętrze płóciennego budynku było podzielone na dwie części. Pierwsza miała wygląd gabinetu. Stało tu duże, zawalone papierami biurko, przy którem siedział generał Lodge.

— Witam pana — rzekł, wyciągając dłoń. — Proszę, niechże pan usiądzie. Muszę przyznać, że zawiodłem się na panu bardzo. Jakże można było porzucić tak nagle pracę! Uważałem pana zawsze za mego najlepszego pomocnika, a tymczasem... opuścił mnie pan w godzinie największej potrzeby.

Neale poczuł, że jego postępek uraził szefa głęboko. Powiedział mu to smutny wyraz oczu zwierzchnika.

— Proszę mi wybaczyć, panie generale — rzekł cichym głosem. — Doprowadziła mnie do tego działalność komisji rzeczoznawców. Ci ludzie obrócili wniwecz całą moją pracę.

Generał Lodge poruszył się niecierpliwie.

— Ależ, panie Neale! Przykrość, jaką panu sprawiono, była przecież bardzo niewielka w porównaniu z tym, co ja wycierpiałem. Powinien pan był zacisnąć zęby i pracować dalej. Dlaczego zresztą nie porozumiał się pan ze mną przed porzuceniem swych obowiązków?

— Miałem zamiar uczynić to, panie generale — bąknął Neale. — Chodziło mi tylko o Larry'ego. On tak bardzo przejmuje się moimi sprawami. Obawiałem się, aby nie zabił kogo.

— Co, ten cowboy? — skrzywił się generał. — To dobry chłopak, ale zawsze swędzą go ręce. Postrzelił jednego z mych ludzi.

— Wiem, panie generale. Smitha. Czy... czy on umarł?

— Nie, ale dla budownictwa kolei stracony jest na zawsze. Pracować już nie może. Gdzież znajduje się teraz ten pański przyjaciel?

— W Benton, panie generale.

— Och! — westchnął inżynier naczelny. — Benton... To miasto jest mym żywym wyrzutem sumienia. Cowboy znalazł tam sobie zapewne godne siebie towarzystwo... Benton... Czy wolno spytać, co pan porabiał w tym koczowniczym piekle?... Gra w karty i alkohol, co?

— Z prawdziwą przykrością muszę wyznać, panie generale, że istotnie trawiłem czas na piciu i grze — odparł szczerze Neale, śmiało spoglądając szefowi w oczy.

Generał Lodge przeszył go w tej chwili zimnym jak stal wzrokiem.

— Spodziewam się jednak, że nie wdawał się pan z tą zgrają upadłych kobiet, które w Benton toczą ze wszystkich żywą krew niby pijawki.

— Nie, panie generale — odrzekł Neale z boleścią w głosie. — Nie wie pan zapewne, że straciłem kogoś bardzo ukochanego — dodał, wzdychając. — Od tego czasu nie poszukuję już niczyjej miłości.

Surowa twarz inżyniera naczelnego złagodniała. Dłoń jego wyciągnęła się ponad biurkiem i spoczęła na ramieniu młodego człowieka.

— Wierzę panu — powiedział szeptem prawie. — Może niepotrzebnie poruszyłem tę sprawę. Teraz proszę mi tylko powiedzieć, czy zechce pan objąć swe dawne obowiązki. Bardzo tu pana potrzebujemy.

W głosie generała było tyle serdecznego ciepła, że Neale już nie mógł się dalej opierać. W sercu jego wezbrała fala wdzięczności, a wargi bezwiednie niemal szepnęły:

— Dobrze, panie generale. Dziś jeszcze przystąpię do pracy.

— Cieszy mnie to bardzo — rzekł szef z przyjaznym uśmiechem.

I prawie jednocześnie ogarnęło go jakieś dziwne zakłopotanie. Wyjął z kieszeni zegarek i spojrzał nań z widocznym roztargnieniem. Ręce drżały mu przy tym z lekka, a wzrok unikał oczu Neale'a.

— Powrócę za chwilę — rzekł wreszcie, zrywając się z krzesła. — Niech pan zaczeka tu na mnie.

Wyszedł i Neale pozostał sam, rozmyślając o tym szczególnym przełomie, jaki nastąpił nieoczekiwanie w jego usposobieniu. Czuł przypływ energii w całym ciele, choć przecież z rana jeszcze gotów był nadal gnuśnieć w bezczynności. Serce rozpierała mu teraz duma. Sam naczelny inżynier prosi go o objęcie dawnych obowiązków pracy nad wykończeniem wielkiego dzieła.

Zatopiony w tych myślach, nie zwrócił uwagi na razie, że uchyliła się nagle zasłona, przedzielająca namiot na dwoje, i ktoś stanął tuż za jego plecami. Obrócił się wtedy dopiero, gdy dobrze znany głos, głos, którego brzmienie przeszyło go niby prądem elektrycznym, szepnął:

— Ukochany! To ja – Allie.

Rozdział XVIII

Neale drżał ze szczęścia, nie wierząc jeszcze swym oczom. Przez dłuższą chwilę zdawało mu się, że tylko śni. Ale nie. To była rzeczywiście Allie Lee, niezrównana i nigdy niezapomniana. Schudła może tylko i jakby nieco wyrosła. Lecz czas i trudy, jakie niezawodnie musiały być udziałem jej życia podczas tej długiej rozłąki, podniosły tylko urodę dziewczyny. A znać było przy tym, że nie stało się jej nic złego. Neale czytał to w promieniejących radością rysach twarzy Allie i w wyrazie wspaniałych ciemnobłękitnych cząt.

— Och, nie umarłaś więc, najdroższa? — szepnął cicho, z nadmiaru wrażenia nie mogąc ruszyć się z miejsca.

— Ależ nie. Masz przed sobą istotę z krwi i kości — odparła, zarzucając mu ręce na szyję.

— Naprawdę żyjesz i... i... jesteś ze mną? — jąkał, szlochając z radości. — Och, najdroższa!...

— Żyję... Widzisz przecież... No i... nigdy już nie rozłączymy się teraz, prawda? — mówiła dziewczyna, tuląc się do piersi młodzieńca.

— Wierzę już, ale będziesz często jeszcze musiała zapewniać mnie, że tak jest istotnie — odparł wreszcie nieco przytomniejszym głosem. — Śniłem o tobie ustawicznie, ale rzeczywistość przewyższyła wszystkie marzenia. Toż to cud prawdziwy, za który będę dziękował Bogu do końca mych dni. Powiedzże, jak się to zdarzyło, że żyjesz? Jakim sposobem znalazłaś się tutaj? Mów, och, mów prędko!

Allie usiadła na krzesełku, które Neale przysunął skwapliwie do swego.

— Długo by o tym opowiadać — rzekła, patrząc mu w oczy z miłością. — Czy pamiętasz tych włóczęgów, którzy zabłąkali się do doliny Slingerlanda, kiedy byliśmy tam wszyscy czworo? Otóż ci sami zbóje powrócili, gdy traper nasz po raz pierwszy pozostawił mnie samą, udając się w góry. Uprowadzili mnie, podpalając chatę, po czym pobili się między sobą, w wyniku czego dwaj padli trupem. W drodze udało mi się zbiec na koniu, wprędce jednak, błądząc po lesie, dostałam się w ręce Siuksów, ale i z tej nowej niewoli wydostałam się dzięki pomocy pewnej indiańskiej dziewczyny, która pod osłoną nocy wyprowadziła mnie z obozu czerwonoskórych. Całymi dniami i nocami szłam potem przez lasy i napotkałam wreszcie karawanę białych. Myślałam już, że udało mi się ocalić, lecz, niestety, naczelnikiem karawany okazał się Durade.

— Durade? — powtórzył niby echo Neale.

— Tak. Przejeżdżał przez tę okolicę, udając się na wschód. Poznał mnie od razu, oczywiście, ale nie zrobił mi żadnej krzywdy, choć groził często. Po przybyciu do jednego z obozów roboczych otworzył niezwłocznie dom gry i wówczas uciekłam. Przez całą noc i dzień szłam znowu przez lasy, nie wiedząc sama, dokąd dążę. Nad wieczorem, będąc już w stanie ostatecznego wyczerpania, zabrnęłam wreszcie do obozowiska, w którym teraz znajdujemy się oboje. Przyjęły mnie tu gościnnie żony oficerów, a zwłaszcza pani pułkownikowa Dillonowa okazała mi dużo współczucia. Powiedziałam jej coś niecoś o sobie, prosząc tylko, aby mnie ukryła i posłała po ciebie, a ona przyprowadziła zaraz generała Lodge’a, który obiecał, że uczyni wszystko, co będzie mógł, aby odnaleźć ciebie. Cały tydzień jednak minął, a ja wciąż czekałam i wreszcie...

— Och, Allie! — wybuchnął Neale. — Nikt z nich przecież ani jednym słówkiem nie wspomniał mi, że ty się tu znajdujesz. To było wprost okrutne. Byłbym przyjechał wczoraj jeszcze, gdy Campbell zgłosił się do mnie po raz pierwszy. Ale on powiedział mi tylko, że zwierzchnicy życzą sobie, abym powrócił do pracy.

Dziewczyna uśmiechnęła się z lekka.

— Podejrzewam, że generałowi Lodge’owi bardzo zależało na tym, aby nakłonić cię do powrotu w imię dobra sprawy kolei i twego własnego. Nie chciał, abyś przybył tu dla mnie jedynie.

— No, wiesz? — westchnął Neale. — Dziwię mu się bardzo... Nie masz pojęcia, jak bardzo czułem się przygnębiony, kiedy rozmawiałem z nim przed chwilą... Ale nie mówmy o tym, co należy już, dzięki Bogu, do przeszłości. Powiedziałaś, że Durade miał cię u siebie.

Wie zatem o tobie. Bardzo mnie to niepokoi.

— Mnie również — westchnęła dziewczyna. — Czuję nawet, że tutaj grozi mi od niego jeszcze większe niebezpieczeństwo, niż w czasie, kiedy znajdowałam się u niego. Gotów mnie zabić za to, że uciekłam.

— Widzę, że będę musiał poszukać go i unieszkodliwić na zawsze — oświadczył Neale, zaciskając pięści.

— Nie pozwolę ci tego uczynić — zaprotestowała gorąco Allie. — Będę się bała o ciebie. Musisz zresztą myśleć teraz więcej o swej pracy.

Neale posmutniał, ale wprędce twarz rozjaśniła mu się znowu.

— Wiem już! — zawołał. — Poszczuję nań Larry’ego Kinga.

— Zaniechaj tej myśli. Proszę cię o to bardzo. Larry mógłby go zabić.

— Nawet na pewno. Dlaczegóżby nie miał tego zrobić?

Dziewczyna zadrżała.

— Nie chcę. Rozumiesz? Nie chcę, aby go zabijano. To byłoby straszne. Durade zresztą nie wyrządził mi przecież żadnej krzywdy. Przez tyle czasu uważałam go za mego ojca. Teraz jest mi nienawistny, ale... niechaj sobie żyje. Wiem, że zapomni o mnie z czasem.

Neale potrząsnął głową z powątpiewaniem.

— Nie sądzę... Powiedz mi, czy Durade to jego prawdziwe nazwisko?

— Chyba nie.

— A jak on wygląda? Opisywałaś mi kiedyś jego powierzchowność, ale już zapomniałem.

Allie odmówiła kategorycznie udzielenia narzeczonemu rysopisu osoby Durade, jeszcze raz prosząc go, aby pozostawił Hiszpana w spokoju i zajął się jedynie sprawami bezpośrednio dotyczącymi ich obojga.

— Nie doceniasz niebezpieczeństwa, na jakie mógłbyś się narazić, ścigając Durade — powiedziała. — On ma wszakże przy sobie zawsze kilku zaufanych zbójów i nie zawaha się wydać im polecenia usunięcia z drogi prześladowcy.

Przestrogi te zresztą były już niepotrzebne. Neale sam zapomniał o Hiszpanie i nawet o całym świecie, wpatrując się rozkochanymi oczami w uroczą postać narzeczonej.

— Kiedyż ma się odbyć nasz ślub? — spytał, przyciągając ją do siebie.

Było to pytanie zupełnie naturalne, a jednak Allie spłonęła żywym rumieńcem, kryjąc twarzyczkę w dłoniach. Zmieszanie jej stało się jeszcze widoczniejsze, gdy za kotarą, zasłaniającą wejście do namiotu, rozległ się głos, pytający:

— Czy można wejść?

— Proszę! — zawołał Neale.

Zobaczyli oboje wyniosłą postać szefa inżynierów, który wszedł z uśmiechem, ale rzuciwszy okiem na Neale’a, zdradził żywe zdumienie.

— Ależ pan jest zupełnie odrodzony — rzekł.

Neale roześmiał się wesoło.

— Oto przyczyna mego przeobrażenia się — oświadczył, wskazując na zawstydzoną dziewczynę.

— Wiem przecież — zniecierpliwił się generał. — Był to w mych rękach główny atut, za pomocą którego chciałem skłonić pana do objęcia dawnych obowiązków.

Allie wstała, uwalniając swą dłoń z ręki Neale’a.

—- Mam wrażenie, że panowie chcą teraz porozmawiać na osobności — szepnęła.

I nie czekając odpowiedzi, uciekła za kotarę do drugiej części namiotu.

— Niezwykła to dziewczyna, panie Neale — rzekł z uśmiechem generał. — My wszyscy już zdążyliśmy się w niej zakochać. Przyszło do nas biedactwo pewnego wieczora, prosząc o opiekę i o odszukanie pana. Powiedziała nam przy tym bardzo niewiele. Dowiedzieliśmy się tylko, że ocalił pan jej kiedyś życie i że uciekła z niewoli. Nic więcej. Domyślamy się jednak, że musi się bardzo kogoś obawiać.

— I nie mylą się panowie — odparł poważnie Neale.

Opowiedział następnie generałowi całą historię życia Allie, uzyskując obietnicę strzeżenia jej, jak oka w głowie. Rozmowa z kolei przeszła na tematy zawodowe. Sam Neale poruszył je tym razem, pytając, na czym polegały trudności, o których wspomniał mu luźno Campbell.

— Ach! — westchnął generał. — To jest cały problem, który pan jeden tylko zdoła może rozwiązać.

— Kto prowadził w owym miejscu pomiary?

— Baxter z pomocnikami. Wszystko szło mu, jak dotąd, pomyślnie, ale teraz ma do czynienia z tego rodzaju pochyłością, że jest zupełnie bezradny. Tak, panie Neale. Mamy doprawdy ciężki kłopot. Całymi nocami nie śpię, myśląc o tej przeszkodzie.

— Rozumiem to dobrze, panie generale — rzekł Neale, wstając z krzesła. — Idę więc już od razu przypatrzeć się terenowi.

— Każę Baxterowi i jego ludziom, aby towarzyszyli panu.

— Dziękuję — zaprotestował Neale. — Na razie wolałbym raczej pracować w samotności.

Milczenie szefa inżynierów było wymownym znakiem zgody i zrozumienia. Neale więc wyszedł, czując, że wszystko dokoła niego zmieniło się jakoś dziwnie. Świat nabrał innych, żywszych barw i weselej brzmiały głosy ludzi. Słowem, nie było takiej rzeczy, która nie uległaby gruntownemu przeobrażeniu.

Szybkim, elastycznym krokiem przebył przestrzeń, dzielącą go od linii budowanego toru, po czym zmieszał się z tłumem robotników, stojących bezczynnie wśród stosów podkładów kolejowych i żelaznych szyn. Zadawszy kilka pytań pierwszemu lepszemu z nich i uzyskawszy potwierdzenie jego odpowiedzi z ust kilku innych, skierował się ku miejscu, w którym bystrym swym wzrokiem spostrzegł niezwłocznie główną przeszkodę. Więcej nawet. Wypatrzył od razu ślady, które powiedziały mu, co chciano tu zrobić. Ileż prac niepotrzebnych dokonano podczas budowy tej wielkiej kolei żelaznej?

Nie namyślając się długo, Neale poszedł dalej, brnąc raźno w piaskach, zręcznie omijając skały i skacząc z kamienia na kamień, gdy wypadło mu przejść na drugą stronę potoku. Zrobił w ten sposób około mili, po czym wspinał się długo w górę po stromej pochyłości wyniosłego wzgórza. Było to dość męczące i pot lał się zeń strumieniami, a jednak serce młodzieńca przepełniała radość. Robota szła mu, jak nigdy przedtem. Pracował w stanie jakiegoś dziwnego natchnienia i niebawem w umyśle jego zaświtało rozwiązanie problemu, z którym nie umiał sobie poradzić żaden z inżynierów generała Lodge'a...

Już było dobrze po południu, gdy Neale, cały zakurzony i bardzo znużony, zjaw ł się w kancelarii. Szef przechadzał się po niej wielkimi krokami, żując cygaro. Baxter siedział przy biurku i z wyrazem troski na twarzy przeglądał jakieś papiery. Był tu i pułkownik Dillon, i Campbell, i jeszcze kilku młodych ludzi.

Neale zauważył od razu, że zwróciły się nań oczy wszystkich i wybuchnął głośnym śmiechem.

— Och, jakże się cieszę, że znowu pracuję z panami! — obwieścił, zasiadłszy wygodnie na krzesełku.

Baxter drgnął, wpatrując się weń bacznie. Generał Lodge odrzucił nerwowym ruchem trzymane w ręce cygaro.

— Czy znalazł pan tę przeszkodę, o którą rozbijają się wszystkie nasze wysiłki? — spytał Baxter.

— Nie — odrzucił wesoło Neale.

— Aha! No, dziś już nie będę miał na to czasu, ale jutro pokażę ją panu.

Oczy szefa inżynierów, w miarę przyglądania się twarzy Neale'a, zaświeciły szczególnie żywym blaskiem.

— Ależ, panie Baxter! — roześmiał się Neale. — Nie mogłem znaleźć owej przeszkody dlatego tylko, że jej wcale nie ma.

Zmęczoną twarz Baxtera oblał jaskrawy rumieniec gniewu.

— Panie Neale — rzekł. — Nie wolno żartować z tych rzeczy. Znam pana od dawna i wiem dobrze, że jest to pański zwykły sposób postępowania. Ale ja go znieść nie mogę. Budowa tej kolei wyssała ze mnie zdrowie i życie nawet. Czyż nie widzi pan, jak bardzo się zestarzałem? To są skutki pracy nad przezwyciężeniem przeszkody, o której mówi pan, że zupełnie nie istnieje...

Urwał nagle i oparł się drżącymi rękami o biurko. Jego twarz nosiła rzeczywiście ślady wielkiego wyczerpania. W głosie inżyniera dźwięczał ból i Neale natychmiast pożałował swej nieco może niestosownej, młodzieńczej żartobliwości.

— Proszę panów! — rzekł szybko. — Przeszkoda ta istnieje rzeczywiście, zniknie jednak, jeśli o pół mili dalej skierujemy w inną stronę łożysko potoku. Zyskamy w ten sposób nowy teren, który nie tylko pozwoli nam przeprowadzić tor w pożądanym kierunku, ale skróci znacznie jego długość na danym odcinku. Panie generale! — mówił dalej, zwracając się do szefa inżynierów. — Nie dziwię się wcale, że pan Baxter sam nie wpadł na taki sposób rozwiązania dręczącej go zagadki, bo ma zbyt wiele innych kłopotów na głowie. Jutro od rana przystąpimy do pracy i wszystko będzie w porządku.

Generał Lodge nic nie odpowiedział, ale wzrok jego wyrażał zupełną wiarę w słowa młodego mierniczego

Rozdział XIX

Cały wieczór Neale spędził w towarzystwie Allie, wciąż jeszcze nie dowierzając swemu szczęściu i rojąc plany na przyszłość. A gdy zapadła noc, udał się do wyznaczonego sobie namiotu i zasnął kamiennym snem człowieka utrudzonego nadmiarem wrażeń. Obudził się wczesnym rankiem, nie mogąc sobie zdać sprawy, co właściwie przerwało mu spoczynek. W uszach wciąż jeszcze wibrował mu jakiś dziwnie przenikliwy dźwięk. W chwilę potem jednak domyślił się, że był to odgłos pobudki, gdyż niebawem w całym obozie rozpoczął się ruch i zabrzmiały pełne podniecenia głosy.

Neale ubrał się pośpiesznie i wybiegł z namiotu. Żołnierze w pełnym uzbrojeniu śpieszyli gdzieś, klnąc głośno. Młody inżynier, zapytał jednego z nich, co się dzieje.

— Och, to ci zbóje Indianie! Przed śniadaniem! — zabrzmiała pełna oburzenia odpowiedź.

Myśl Neale'a pobiegła ku Allie i serce jego ścisnęło się boleśnie. Ale, rozejrzawszy się dokoła, nie zauważył nigdzie śladu jakiegoś napadu na obóz. Spostrzegł natomiast generała Lodge'a, stojącego wraz z pułkownikiem Dillonem w otoczeniu kilku inżynierów, i rzucił się ku niemu pośpiesznie.

— Dzień dobry! — powitał go przyjaźnie szef. — Idzie pan już do roboty, co?

A pułkownik Dillon dodał:

— Zdaje się, że dzień pańskiego powrotu do pracy będziemy świętowali małą strzelaniną.

— Ale co się właściwie stało? — spytał Neale.

— Na razie jeszcze nic. Dostaliśmy tylko depeszę, głoszącą, że „Liczna zgraja Siuksów..." To wszystko. Telegrafista twierdzi, że w trakcie nadawania tej wiadomości drut został przecięty.

— Liczna zgraja Siuksów — powtórzył niby echo Neale. — Pomiędzy nami a Benton, tak?

— Właśnie. Niebawem dowiemy się o nich czegoś więcej. Wywiadowcy nasi pogalopowali już w tę stronę. O, jeden powraca! Zdaje się, że to będzie Anderson.

W rzeczy samej drogą, wiodącą ku kancelarii, przed którą stali, cwałował jeździec na pokrytym pianą mustangu. Zatrzymał się tuż przed grupą zwierzchników i, zeskoczywszy z siadła, podszedł do generała Lodge'a, meldując o wszystkim, co widział. Okazało się, że zgraja Siuksów

napadła w połowie drogi do Benton na pracujących przy budowie toru robotników. Ci stawili dzielny opór, strzelając do wrogów z rusznic, w które byli zaopatrzeni. Należało jednak wysłać im odsiecz jak najspieszniej. Indianom bowiem udało się rozrzucić część toru i podpalić pociąg roboczy.

Otrzymawszy taki raport, pułkownik Dillon posłał swego adiutanta do załogi obozu z rozkazem niezwłocznego siodłania koni, co przejęło Neale'a zimnym dreszczem.

— Panie generale! — zauważył. — Będziemy naprawdę w ciężkim położeniu, jeżeli Siuksom uda się nas otoczyć.

Szef inżynierów zagryzł wargi.

— Ma pan słuszność — odparł z niechęcią. — Dookoła mamy wyniosłe wzgórza i lasy, wśród których łatwo będzie ukryć się Indianom. Zakładając ten obóz, nie braliśmy ich w rachubę... Przypuszczam jednak, że nie mamy powodu do obawiania się napadu.

— A gdyby tak ukryć kobiety w górach? — nastawał Neale.

Tutaj uznał za stosowne wtrącić swa uwagę Anderson.

— Może to tylko pogorszyć ich położenie — powiedział. — W obozie mają przynajmniej namioty, dostatek jedzenia i wody oraz mężczyzn na obronę. Tam zaś w każdej chwili mogą je wyśledzić czerwonoskórzy, a o zaopatrzeniu w żywność nie może być mowy.

Generał Lodge postanowił wreszcie polecić ochronę obozu oddziałowi żołnierzy z porucznikiem Bradym na czele, a resztę wojska pchnąć na pomoc osaczonym robotnikom.

Oprócz Allie znajdowało się w obozie jeszcze pięć kobiet i wszystkie przybiegły pożegnać wyruszających na bój żołnierzy. Neale słyszał wiec, jak pułkownik Dillon zapewniał swą żonę, że nie potrzebuje się niczego obawiać. Widział też, że twarz pułkownikowej oraz wszystkich jej towarzyszek zdradzała żywy przestrach. Zachowanie Allie natomiast wbiło go w niemałą dumę, gdyż dziewczyna zupełnie nie lękała się Siuksów.

Oddział, przeznaczony dla odsieczy, opuścił obóz, z generałem Lodgem i pułkownikiem Dillonem na czele. Wypoczęte rumaki pogalopowały raźno, podnosząc obłoki kurzu, i zniknęły niebawem za niezbyt odległym wzgórzem. Żołnierze, pozostawieni w charakterze załogi, udali się tymczasem po szyny, z których mieli zamiar pobudować sobie naprędce schrony, a wywiadowca Anderson wspiął się na jeden ze najbliższych wzgórków, aby dawać stamtąd baczenie na okolicę. Kobiety wprowadzono do zbudowanego z grubych bali szałasu, sąsiadującego z kancelarią inżynierów, uznając go za stosunkowo najbezpieczniejszą kryjówkę. Baxter i Neale spraw owali nad nią straż, trzymając się wciąż w pobliżu.

Czas płynął szybko i w krótce zaczęli przybywać zewsząd zawiadomieni o niebezpieczeństwie robotnicy. Nadjeżdżali, cwałując na nieosiodłanych koniach, siedząc niekiedy po dwóch na jednym wierzchowcu. Każdy z nich miał na plecach nabitą strzelbę, a wszyscy rwali się do walki. Ogółem było ich około stu, samych Irlandczyków, zawadiaków i oczajduszów, z których wielu sługiwało wojskowo. Neale więc odetchnął z ulga, czując jednakże w głębi duszy dziwne przeczucie jakiegoś nieszczęścia. Uczucia tego nie

mógł przezwyciężyć, choć mówił sobie, że wywołała go tylko nieuzasadniona obaw a o Allie.

Robotnikom nakazano na razie otoczyć budynek kancelarii oraz szałas, w którym były ukryte kobiety, płotem z żelaznych szyn. Zabrali się do tego żwawo, sarkając jedynie, że zamiast walki znajdują coś podobnego do zwykłej pracy. Wprędce stanął ten wał ochronny, mierzący około sześciu stóp wysokości, a w chwili jego ukończenia ujrzano Andersona, nadjeżdżającego w pełnym galopie.

— Siuksowie! — krzyknął, wpadając za barykadę.

Pałający żądzą walki robotnicy powitali tę wiadomość głośnymi oklaskami. Wojowniczość ich jednak przygasła znacznie, gdy na szczycie wzgórza pojawiła się chmara Siuksów. Była to najliczniejsza zgraja czerwonoskórych, jaką widział kiedykolwiek Neale, a dziki wygląd poszczególnych postaci zmroził mu krew w żyłach. Indianie zatrzymali się na krawędzi wzgórza i rozpoczęli naradę wojenną. Neale widział, jak wyprostowany dumnie wódz, z głową ozdobioną wspaniale piórami, wyciągnął kilka razy dłoń, wskazując towarzyszom obóz białych. W chwilę potem zaś cała zgraja rozsypała się po okolicy, jakby zapadając się pod ziemię.

— Osaczyli nas! — zawołał z rozpaczą Baxter.

W tej chwili z szałasu wybiegły widocznie przerażone kobiety.

— Indianie! Indianie! — lamentowała pułkownikowa. — Widziałyśmy ich! Są tuż za budynkiem!

— Proszę powrócić do szałasu i nie wprowadzać tu zamętu! — rozkazał surowo Baxter.

Niewiasty usłuchały. Ostatnia skryła się Allie, niemal przemocą wepchnięta tam przez Neale a, który zdumiał się, widząc nagłą zmianę w wyrazie jej twarzy.

— Patrz! Patrz! — szeptała, starając się zwrócić na coś jego uwagę.

Ale Neale nie miał na to czasu, gdyż właśnie załoskotały już wystrzały i świst przeszywających powietrze kul naglił do pośpiechu.

— Wszyscy za barykadę! — krzyknął.

Tłum podnieconych robotników zapełnił w mgnieniu oka ciasną przestrzeń pomiędzy ścianą budynku a żelaznym płotem z szyn. Niektórzy z nich poczęli gorączkowo i bezładnie strzelać do niewidzialnego wroga.

— Panie Anderson! Proszę wziąć nieco ludzi i bronić tyłów domu! — rozkazał Baxter.

Wywiadowca skrzyknął ochotników i pobiegł na wyznaczony sobie posterunek. Jeden z ludzi, których zabrał, prawie otarł się o Neale'a, zwracając ku niemu twarz. Odbyło się to w ciągu ułamka sekundy zaledwie, a jednak Neale poczuł, że zna tego człowieka, chociaż nie mógł sobie przypomnieć, gdzie go widział. W chwilę później zaś zapomniał o tym, gdyż Baxter wzywał wszystkich inżynierów do kancelarii.

Sześciu ich znalazło się tam niebawem i każdy stanął przy jednym z okien, gotowy powitać atakujących Indian strzałami. Ale Neale przekonał się wprędce, że nie ma do kogo strzelać, nigdzie bowiem nie mógł dopatrzyć się czerwonoskórych. Stojący na zewnątrz budynku robotnicy strzelali wprawdzie, lecz Neale uważał, że postąpiliby lepiej zaoszczędzając

prochu, tym więcej, że kule Indian nie wyrządzały oblężonym żadnej krzywdy, odbijając się od grubych bali, z których były sklecone ściany budynku. Podzielił się tą myślą z Baxterem. Ten jednak był odmiennego zdania.

— Niechaj pukają sobie. Mamy przecież dość amunicji. Jeśli nawet nie uda im się zastrzelić żadnego z tych łotrów, to jednak zmuszą ich do trzymania się na przyzwoitej odległości.

Po pewnym czasie Neale wybiegł z kancelarii, aby odwiedzić Allie. Znalazł wszystkie kobiety zebrane w kącie szałasu, który nie posiadał wcale okien, a przeto był o wiele bezpieczniejszym schronieniem od kancelarii. Allie podbiegła ku niemu niezwłocznie. Ręce jej drżały i głos załamywał się dziwnie.

— Jest tutaj Fresno — szepnęła. — Widziałam go.

— Któż to taki? — zaniepokoił się Neale.

— On należy do bandy Durade.

— Niemożliwe! — zawołał Neale. — Omyliłaś się chyba.

Dziewczyna potrząsnęła głową przecząco.

— Nie — odparła z przekonaniem. — Zbyt dobrze go pamiętam. Jest to jeden z czterech zbójów, którzy spalili chatę Slingerlanda.

Neale poczuł coś w rodzaju nagłego olśnienia.

— Masz słuszność — rzekł, biorąc dziewczynę w ramiona. — Ja też go widziałem przed chwilą Taki wysoki, z czerwoną, brzydką twarzą, prawda? Przypominam sobie teraz, że był w liczbie włóczęgów którzy odwiedzili nas kiedyś w dolinie.

— To on. Przyjęliście go widocznie wśród innych robotników. Och, boję się go więcej, niż Indian!

— Nie obawiaj się niczego. On przecież nie może wiedzieć, że jesteś tutaj.

Mówił to wszystko bez przekonania, aby tylko uspokoić wylękłą dziewczynę. Sam jednak zdawał sobie sprawę z nowego niebezpieczeństwa, jakie zawisło nad głową Allie, i w głębi duszy pragnął gorąco, aby jak najprędzej powróciło wojsko wraz z generałem i pułkownikiem, którym mógłby zwierzyć się ze swych obaw

Ale upłynął cały dzień, a żaden żołnierz nie ukazywał się na drodze, biegnącej wzdłuż toru wprost ku miastu Benton. Przed wieczorem ustała wzajemna wymiana strzałów, lecz wkrótce okazało się, że Siuksowie czekali tylko na zapadnięcie zmroku. Wówczas bowiem na czarnym tle nieba, niby rakieta, zajaśniała ognista strzała, a w ślad za tym rozległo się dokoła iście szatańskie wycie. Na obleganych posypał się teraz cały deszcz płomiennych pocisków. Nikt już nie mógł wątpić, ze Siuksowie postanowili podpalić obóz i w ten sposób wykurzyć białych z bezpiecznego ukrycia.

Jakoż udało im się to nadspodziewanie szybko. Jeden z namiotów buchnął wprędce płomieniem, rzucając na cały obóz blask jaskrawego zarzewia. Niebawem zajął się i następny, co Indianie powitali dzikim okrzykiem, w którym dźwięczał triumf. Płócienne namioty płonęły szybko, ale w świetle pożaru nie zamajaczył żaden wróg. Teraz już Indianie nie dawali o sobie znać nawet okrzykami. Kryjówki ich zdradzały tylko nikłe ogniki, zapalające pakuły, którymi obowiązane były tuleje lecących coraz

gęściej strzał. Robotnicy strzelali w tym kierunku, jednakże bez widocznego powodzenia, gdyż nigdzie nie rozlegał się żaden jęk bólu. Czerwonoskórzy natomiast mieli ułatwione zadanie, widząc dobrze w łunie pożaru swój cel — budynek kancelarii.

Anderson, Neale i Baxter złożyli naprędce radę wojenną, w której wyniku postanowiono, że, wobec wzrastającej grozy położenia, należy wyprowadzić kobiety z drewnianego szałasu, lada chwila mogącego paść ofiarą płomieni.

Neale podjął się wykonania tej uchwały i, pełznąc ostrożnie wzdłuż żelaznej palisady szyn, przemknął się na drugą stronę budynku kancelarii, gdzie stał szałas. Panował tu zmrok, gdyż najbliżej stojące namioty zdążyły już spłonąć. Zbliżył się ku drzwiom szałasu, aby zapukać. Ale w tej chwili jedna z ognistych strzał utkwiła w dachu kancelarii, który zajął się niezwłocznie, i w blasku ognia młodzieniec przekonał się ze zdumieniem, że drzwi szałasu są otwarte. Wbiegł do środka i przekonał się, że nikogo tam nie ma.

Pełny niepokoju wypadł na dwór w chwili, gdy płomienie poczynały ogarniać już i dach nad jego głową. Powietrze było pełne dymu. Z okien kancelarii i ze wszystkich szpar w jej ścianach wydobywały się ogniste języki. Czerwonoskórzy dopięli celu. Drewniany budynek płonął niby świeca. Ale jednocześnie umilkły wystrzały i szatańskie okrzyki oblegających, a może utonęły tylko w odmęcie daleko głośniejszej wrzawy. W pobliżu bowiem słychać już było nawoływania i tętent kopyt.

Neale w patrzył się w drogę, jasno oświetloną blaskiem pożaru.

— Żołnierze wracają!

Od razu zwalił mu się z barków ciężar strapienia. Pojawienie się silnego oddziału będzie musiało przepłoszyć Indian.

Ale jednocześnie młodzieniec zawrócił natychmiast. Teraz chciał już tylko odszukać Allie. Szałas stał w płomieniach, on jednak, nie bacząc na ogień i gryzący dym, wbiegł doń raz jeszcze, aby się upewnić, że nie ma tam jego ukochanej. Opuścił go dopiero w chwili, gdy dach począł się już zapadać. Wynurzywszy się z płomieni, które osmaliły mu ubranie, parząc dotkliwie twarz i ręce, popędził na podwórze, ku stosowi desek, w przypuszczeniu, że kobiety wśród nich mogły szukać ukrycia.

Jakoż były tu rzeczywiście. Znalazł panią Dillonową i wszystkie jej towarzyszki. Allie jednak brakowało, a od wylękłych niewiast zdołał się dowiedzieć tylko, że znajdowała się wraz z nimi, gdy wraz z rozpoczęciem przez Indian zarzucania obozu ognistymi strzałami wybiegły z szałasu, aby szukać bezpieczniejszego ukrycia. Odtąd nie widziały jej już więcej.

Neale nie rozpaczał, choć serce zamierało mu z trwogi. Allie przecież musiała być gdzieś w pobliżu. Ruszył naprzód bez namysłu na dalsze poszukiwania. Rozglądając się dokoła, przypomniał sobie nagle o zbóju, którego Allie nazywała Fresno, i począł upatrywać go wszędzie, jednakże bez żadnego skutku.

Pozostałe godziny tej strasznej nocy spędził bezsennie, krzepiąc się tylko nadzieją, że za dnia odnajdzie ukochaną. Nadszedł wreszcie upragniony świt, wraz z którym zyskało wyjaśnienie wiele zagadek. Okazało się, że Siuksowie poszli sobie precz, a żaden z nich nie poległ

zapewne, gdyż nigdzie nie znaleziono trupów. Pozostały za to ślady ich napadu. Wszystkie namioty jako też i drewniane zabudowania spłonęły doszczętnie wraz z odzieżą, zapasami żywności oraz przyrządami mierniczymi. Ocalały tylko wykresy, które Neale przezornie zakopał w ziemi. Wielu robotników odniosło rany od kul Siuksów, a dziesięciu zaginęło równie tajemniczo, jak Allie Lee.

Był to straszny cios, ale Neale nie ugiął się pod jego ciężarem. Przypomniawszy sobie wszystko, co mówiła mu dziewczyna, osiodłał nazajutrz konia i udał się do Benton, uznając, że tam jedynie należy jej szukać.

Rozdział XX

Przybywszy do hałaśliwej osady, Neale odszukał niezwłocznie swego przyjaciela Larry'ego Kinga i zamieszkał wraz z nim. Nie od razu jednak zwierzył mu się z cudownego odzyskania Allie i tajemniczego stracenia jej po raz wtóry. A kiedy pewne okoliczności zmusiły go wreszcie do wyjawienia cowboyowi tej tajemnicy, uczynił to z wyraźną niechęcią.

Larry King wysłuchał go na pozór, jak zwykle, chłodno i bez żadnego zdziwienia. Po chwili namysłu wyraził przekonanie, że Allie musiała wpaść w ręce czerwonoskórych. Następnie jednak rzucił kilka zdań, wskazujących, że podejrzenia jego kierują się raczej w stronę bandy Fresna i począł przeklinać wszystkich wywołańców bez czci i wiary, których tak wielu znajdowało się w Benton.

Neale począł prosić go, aby postępował oględnie, gdyż wszelka wykazana przezeń gwałtowność nie pomogłaby mu, lecz raczej zaszkodziła w dalszych poszukiwaniach dziewczyny.

— Mój drogi — westchnął Larry. — Obawiam się, że tym razem już jej nie odzyskasz.

— Co? Myślisz, że nie żyje?... Och, Larry!... Wiem, że się mylisz. Czułbym przecież, gdyby nie było jej na świecie — protestował gorąco Neale.

Lecz Larry nie podzielał jego przekonania. Znał wszak aż nazbyt dobrze okrutne zwyczaje dzikich pól pogranicza. Nie poszukiwania były mu teraz w głowie, lecz zemsta.

— Sądzę, że nie od rzeczy będzie rozejrzeć się za tym zbójem Fresno — zauważył lakonicznie.

Na pozór jednak nic nie zapowiadało żadnego wybryku z jego strony. Cowboy prowadził taki sam tryb życia, jak dawniej, całymi nocami przesiadując w podejrzanych spelunkach. Ale pewnego wieczora Neale, powróciwszy z pracy do zajazdu, zastał tam już Larry'ego Kinga i zdziwił się bardzo, widząc go o tej porze w domu.

— Czy coś ci się stało, Red? — spytał niespokojnie. — Wyglądasz jakoś bardzo mizernie.

Cowboy milczał przez chwilę, spoglądając posępnie na przyjaciela.

— Miałem małe zajście — rzekł wreszcie.

— Gdzie? — przeraził się Neale, teraz dopiero zdając sobie sprawę, że Larry King trzyma w ręce pistolet, z którego najwidoczniej musiał zrobić użytek.

— W sali tańca panny Stanton.

— I kogoż tam ustrzeliłeś?

Larry King spuścił głowę, w zdychając ciężko.

— Mój drogi — rzekł. — Wiesz przecież, że nie lubię dużo mówić. Obiecałem sobie przy tym, że nic nie powiem nikomu.

— Ale m nie musisz wyznać wszystko. Rozumiesz? — krzyknął gniewnie Neale.

Przyzwyczajony do tyranizowania cowboya, wydarł mu z ręki pistolet i rzucił go z w ściekłością na łózko. I Larry King, jak zwykle, stał się potulny, niby baranek.

— No dobrze już — westchnął. — Powiem ci. Otóż wczoraj wieczorem, gdy byłem w sali panny Stanton, zrobiła do mnie oko niebrzydka dziewuszka. Poprosiłem ją zaraz do tańca i wszystko byłoby w porządku, gdyby pozostawiono nas w spokoju. Ale stało się inaczej. Jakiś osobnik, nazwiskiem Cordy, począł się przyczepiać do mnie w sposób tak grubiański, że wreszcie, pragnąc zaoszczędzić przykrości Ruby, — tak się ona nazywa — opuściłem salę. Widzisz więc sam, że wykazałem niezwykle duży, jak ma mnie, zasób silnej woli.

— Istotnie — zdziwił się Neale.

— Posłuchaj dalej. Otóż dziś znowu wpadłem do zakładu panny Stanton, ku radości Ruby, która tym razem sama zaprosiła mnie do tańca. Ty wiesz, że nie jestem pierwszorzędnym tancerzem, no, ale próbowałem i szło mam jakoś nieźle. Tymczasem w chwili, gdy oboje byliśmy najwięcej rozbawieni, jakby ma złość, licho przyniosło tego przeklętego Cordy’ego. Zjawił się z całą bandą przyjaciół i począł mi szpetnie przymawiać. Zniósłbym to jednak przez wzgląd na mą partnerkę, ale ona nie mogła widać znieść owych drwin, gdyż powiedziała mi: „Czy pan pozwoli im wyrzucić się z sali? Zaręczam panu, że ci ludzie nie mają żadnego prawa do mnie”. Uwaga ta ośmieliła mnie znacznie, wyciąłem więc zaraz Cordy’emu potężny policzek. Drab zbladł, jak płótno, i porwał się do pistoletu, ale ja też już trzymałem w ręce swój i grożąc mu nim, zapowiedziałem, aby nie ważył się strzelać, bo położę go trupem, zanim zdąży pociągnąć za cyngiel...

Larry przerwał nagle swe opowiadanie i westchnął ciężko, ocierając wierzchem dłoni pot, cieknący mu obficie z czoła. Było widoczne, że nie uspokoił się jeszcze.

— Mów dalej — nalegał niecierpliwie Neale.

— Nic nie zdarzyłoby się, gdyby Cordy nie miał przy boku godnego siebie towarzysza — ciągnął wolno cowboy. — Ten był zupełnie pijany i począł go podżegać. Goście, widząc na co się zanosi, opuścili salę. Ale Ruby została. Och, rozkoszna to jest dziewczyna! Jutro pójdę się z nią zobaczyć.

— Nie pójdziesz! — syknął gniewnie Neale. — Ale wyłóż już nareszcie wszystko, co tam zrobiłeś.

— Nie mam już wiele do wykładania — westchnął cowboy. — Ten Cordy sam jest winien. Dlaczego, pomimo ostrzeżenia, zmierzył do mnie z pistoletu? Musiałem strzelić pierwszy. Unieszkodliwiłem łotra, czego nie żałuję wcale. Nie o to mi chodzi, przyjacielu. Wyobraź sobie, że zdarzyło się nieszczęście. Kula, zrobiwszy porządek z Cordym, przeszyła ścianę,

raniąc jakąś dziewczynę, która znajdowała się w innej izbie. Och, po cóż oni budują w tych domach takie cienkie ściany!...

Tego samego wieczora jeszcze Neale spotkał się z Ancliffem, który był świadkiem zajścia w sali tańca panny Stanton. Jego relacja w niczym prawie nie różniła się od powściągliwego zeznania cowboya. Dodał tylko, że Larry sprawiał wrażenie, jakby niejeden raz już wypadło mu działać w sposób podobny. Potwierdził to Neale'owi w chwilę później Hough, a od wielu innych znajomych młody inżynier dowiedział się o różnych, nieznanych mu dotąd szczegółach podejrzanego okresu życia Larry‛ego Kinga.

Okazało się, że w Benton przebywali przez pewien czas hodowcy wielkich stad bydła z Teksasu, którzy Kinga niezwłocznie poznali, ale mówić o nim nie chcieli do chwili opuszczenia miasta. A wtedy ciekawi dowiedzieli się od nich, że cowboy nazywał się w istocie rzeczy nie King, lecz Fisher, a był rodzonym bratem znanego szeroko ze swych sprawek teksaskiego wywołańca, Kinga Fishera. Dzisiejszy Larry nazywał się wówczas Red Fisher i opuścił Texas, znajdując się już na dobrej drodze do pozyskania sobie sławy brata. Zabił mianowicie podczas sprzeczki szeryfa, a wtedy zaczęło mu się robić ciasno. Miał jednak wielu przyjaciół, gdyż znano go ogólnie z dobrego charakteru, ale prześladował go szczególny pech. Ten doskonały jeździec i niezrównany strzelec wiecznie zaplątywał się w przeróżne nieporozumienia, które zawsze kończyły się śmiercią lub niebezpiecznym poranieniem jego przeciwników.

Neale z tego wszystkiego nie powtórzył Larry’emu ani słowa. Cowboy jednak zmienił się widocznie. Stał się mianowicie dziwnie pewny siebie i jednocześnie więcej powściągliwy. Może powodem tego była zmiana stosunku do niego wśród całego otoczenia. Zdarzało się bowiem, że z chwilą jego wejścia przerywano tańce w dancingach, a w szulerniach grę. Sława cowboya wzrastała w miarę, jak ludzie, zawsze coś dodając, podawali sobie z ust do ust historię jego przygód. Ale sławie tej towarzyszyła, jak to zwykle bywa, zazdrość pospołu z nienawiścią i strachem. Zauważono też i szeptano sobie, że cowboy poszukuje wciąż jakiegoś Kalifornijczyka, czy Kalifornijczyków. Słyszano przecież, jak pytał każdego nowoprzybyłego:

— Czy nie przybywa pan czasem z Kalifornii? Może słyszał pan coś o bandzie, która w górach Wyoming porwała pewną dziewczynę?

Neale tymczasem, niekoniecznie dla względów, wynikających z poszukiwania Allie, zaprzyjaźnił się z Place Houghem. Ancliffe również doń przylgnął i wszyscy trzej często przebywali razem. Wraz z nimi więc młody inżynier odwiedzał wszystkie spelunki miasta Benton, bezskutecznie usiłując pochwycić jakąś nić, która mogłaby go doprowadzić do miejsca, w którem więziono dziewczynę.

A ponieważ gra w karty mogła być jedynym usprawiedliwieniem jego pobytu w Benton, brał więc w niej udział wraz z Houghem stale. I tak dziwnie mu się wiodło, że zazwyczaj wygrywał znaczne sumy, wydając je potem rozrzutnie.

Pewnego dnia do Benton zawitało grono kapitalistów z Saint-Louis, którzy pragnęli zwiedzić nowe miasto, mając nadzieję, że uda im się ubić

tu jakiś większy interes. Place Hough znalazł wśród nich kilku dawnych znajomych i ze zwykłą swą szczerością pośpieszył im oznajmić, że nie może zrzec się tak dobrej sposobności, dającej mu możność obrania bogaczy z nadmiaru gotówki. Rozśmieszyło to gości i rozpoczęła się gra na bardzo wysokie stawki. Przy stoliku zasiadł Hough z Nealem i pięciu kapitalistów z Saint-Louis.

Gruba gra ściągnęła wielu ciekawych, którzy otoczyli stolik ciasnym kołem. Wszyscy przy tym zachowywali się dość hałaśliwie, a niektórzy nawet byli pijani. Neale jednak mało na nich zwracał uwagi, patrząc tylko w swe karty, gdyż obawiał się, że może ujrzeć kogoś z dyrektorów kolei, jak również dlatego, że przegrywał. Szczęście dziś nie sprzyjało mu zupełnie i wreszcie musiał pożyczyć sobie pieniędzy od Hougha.

Po pewnym czasie do sali gry weszła panna Stanton w towarzystwie Ruby oraz jeszcze jednej wybitnie przystojnej dziewczyny i wszystkie trzy zainteresowały się grą ku widocznemu zadowoleniu gości z Saint-Louis. Ale jednocześnie zjawił się Larry Red King, jak zwykle, chłodny i nie zwracający na nic uwagi. Stanął z rękami w kieszeniach i, gryząc niedbale koniec papierosa, rozglądał się wokoło swymi zimnymi, niebieskimi oczami.

— Czy to on? — wyszeptał któryś z grających, wskazując nań głową.

— Tak. To Red — odparł Hough. — Przypuszczam jednak, że nie ugania się za żadnym z panów.

Pięciu kapitalistów wybuchnęło śmiechem, zgodnym wprawdzie, ale niezbyt szczerze brzmiącym.

— Widziałem go raz w Dodge City — rzekł jeden.

— Trzeba go poprosić, aby zagrał z nami — rzucił drugi.

— Tego nie uczynię — oświadczył Hough. — Wolę dokończyć spokojnie gry.

Dłużej już o tym nie rozmawiali, pogrążywszy się znowu w zawiłościach pokera. Neale jednak nie mógł już skupić swej uwagi wyłącznie na kartach. Niepokoiła go obecność Larry'ego, który wciąż jeszcze rozglądał się wokoło czujnie, jakby śledząc nieznanego wroga. A tuż przy stoliku stała słodka Ruby, tajemniczo mrużąc śliczne oczęta. Zbliżyła się doń wreszcie i piękna panna Stanton.

— Przynoszę panu szczęście — oświadczyła, kładąc mu na ramieniu białą dłoń.

I rzecz szczególna. Znowu uśmiechnęła mu się kapryśna fortuna. Pod jego ręką poczęły gromadzić się rulony złota i paczki banknotów, a po ukończeniu gry Neale stwierdził ze zdumieniem, że wygrał przeszło trzy tysiące dolarów.

— Widzi pan, że mam naprawdę szczęśliwą rękę — szepnęła mu do ucha panna Stanton. A spoza stolika Ruby posłała mu uśmiech na wpół tęskny i na wpół szyderski.

Neale zaprosił wszystkich bez wyjątku do bufetu. Poszli ochoczo wszyscy, wyjąwszy kobiet i cowboya. Okazało się przy tym, że Ruby poszukuje towarzystwa Kinga, nie kryjąc się z tym wcale.

— Czy pan jest zatrudniony przy budowie kolei? — spytał jeden z gości, przepijając do Neale'a.

— Owszem — odparł młody inżynier.

— Widziałem pana kiedyś w Omaha. Pozwoli pan, że się przedstawię. Nazywam się Blair. Jestem dostawcą pana Lee, członka komisji rzeczoznawców, bardzo poważnie zainteresowanego w budowie tej kolei.

Neale zagryzł wargi, odstawiając wypróżniony kieliszek, po czym uregulował rachunek i, przeprosiwszy gości, powrócił do swego stolika. Rozpierał się teraz przy nim Larry, prowadząc ożywioną rozmowę z Ruby. Nieco dalej siedziała panna Stanton z drugą swą przyjaciółką.

— Widziałem, że wygrałeś mnóstwo pieniędzy — zagadnął go cowboy. — Pożycz mi trochę.

Neale spojrzał nań, po czym przeniósł z kolei wzrok na dziewczynę, która nagle spuściła oczy.

— Czy pani kocha Larry'ego? — zagadnął.

— Ma się rozumieć — odparła śmiało Ruby.

— A ty, Reddy? Czy kochasz pannę Ruby? — ciągnął dalej Neale.

Panna Stanton i jej przyjaciółka uśmiechnęły się, poczynając słuchać z zaciekawieniem. Larry zaś spojrzał na swego druha ze zdumieniem.

— Mam wrażenie, że to był jedyny w mym życiu wypadek zakochania się od pierwszego spojrzenia — wycedził wreszcie przez zęby.

— No, to słuchaj! — oświadczył Neale. — Wygrałem dziś trzy tysiące dolarów. Daję ci je. Bierz i opuść Benton. Możesz powrócić do stron rodzinnych — nie, raczej pojechać na zachód, i tam rozpocząć nowe życie.

— Wraz z Ruby? — zawołała panna Stanton z rumieńcem na pięknej twarzy.

— Ależ oczywiście! — odparł z naciskiem Neale. — Decyduj się, Larry! — dodał, zwracając się znów do przyjaciela. — Przeskrobałeś dużo, lecz nic to. Jesteś młody i masz jeszcze życie przed sobą. Możesz kupić sobie farmę i znaleźć szczęście.

— Zdaje mi się, że piłeś dziś za dużo, mój kochany — mruknął Larry.

A Ruby potrząsnęła głową.

— Za późno — rzekła smętnie.

— Dlaczego? — zdumiał się Neale.

— Bo mnie pozostał już tylko grób — odparła z goryczą. — Chodź! — rzekła do panny Stanton. — Postarajmy się znaleźć sobie innych towarzyszy, którzy będą mieli ciekawsze tematy do rozmowy.

Neale rzucił się za nią i zatrzymał w chwili, gdy miała już wyjść z pokoju.

— Panno Ruby — rzekł, spoglądając jej wprost w oczy. — Przecież pani jest mądra i umie myśleć. Dlaczegóż więc boi się pani rozmowy ze mną?

— Nikogo się nie boję — rzuciła mu zadzierzyście. — Ale pan jest szalony... pan...

— Chodzi mi o to tylko, aby przyznała pani, że za późno nie jest — upierał się.

Dziewczyna zadrżała nagle.

— Owszem! — krzyknęła. — Jest za późno.

Neale poczuł raczej, niż spostrzegł, że ma nad nią dziwną władzę.

— Nigdy nie jest późno — odparł z mocą. — Nigdy! Mogę to pani dowieść.

Ruby cofnęła się naraz o krok wstecz. W oczach jej pojawił się wyraz, jakiego Neale nigdy w nich nie widział. Na jedno mgnienie przeobraziła się zupełnie. To nie była już dzika Ruby z Benton, lecz jakaś inna nieznana dziewczyna.

— Nie chcę już więcej o tym mówić! — zawołała, dając mu ręką znak, aby nie zatrzymywał jej dłużej.

W chwilę potem wybiegła z sali, a w ślad za nią udała się druga jej towarzyszka. Panna Stanton pozostała sama, a wyraz jej twarzy zdradzał żywe zdumienie, połączone jakby z pewnym rozczarowaniem. Neale powrócił do stolika i usiadł, nic nie mówiąc do nikogo. Cowboy spoglądał nań spod oka, kręcąc papierosa.

— Jesteś doprawdy niezwykle wspaniałomyślny — rzekł. — Obawiam się, że stracisz tę wygraną szybko, jeśli los zetknie cię z jakim odpowiednim towarzystwem.

— Stracę ją w ten, czy inny sposób — odparł Neale głucho.

Mówiąc to, wyjął z kieszeni garść złota i banknotów. Podał je Larry'emu, nie próbując bynajmniej przeliczyć.

— Ależ, mój drogi — protestował cowboy. — Przecież ja nie jestem kasą oszczędnościową.

W tej chwili podeszli do nich Hough i Ancliffe patrząc z uśmiechem, jak Larry stara się umieścić otrzymany nieoczekiwanie kapitał w kieszeni.

— Lekko przyszło i lekko poszło — rzekł Hough, po czym, przyjrzawszy się baczniej siedzącej w milczeniu pannie Stanton, spytał: — Co się pani stało?

Piękność miasta Benton była bardzo blada i wzrok jej spoczywał bez przerwy na postaci Neale'a. Głos Hougha wyrwał ją z zadumy.

— Co mi się stało? — powtórzyła. — Nic. Przeżyłam tylko chwilę niewypowiedzianie szczęśliwą, a teraz... teraz czuję, że jestem śmiertelnie chora.

Ancliffe zadrżał. Było widoczne, że bierze te słowa w ścisłym ich znaczeniu. Ale wzrok panny Stanton znowu przeniósł się na Neale'a.

— Czy zechce pan odwiedzić mnie dzisiaj? — spytała otwarcie.

— Nie — odciął krótko młodzieniec.

Był znudzony. Panna Stanton nie jeden raz już zapraszała go do siebie, on jednak zawsze odmawiał jej grzecznie. Tym razem nie pokusił się nawet o uprzejmość.

Panna Stanton oblała się żywym rumieńcem. Przez chwilę zdawało się, że wybuchnie gniewem, a jednak zdołała się opanować. Wstała niebawem i opuściła salę gry, opierając się na ramieniu Ancliffe'a. Neale pozostał sam wraz z Larrym i Houghem, który patrzył nań zagadkowo.

— Czy nie zauważył pan jeszcze, że panna Stanton kocha się w panu? — zagadnął wreszcie.

— Ach! Skądże znowu! — żachnął się niecierpliwie młodzieniec.

— Ależ tak. Zapewniam pana. Mnie oczy nie mylą — twierdził Hough.

— Może zainteresowała się mną dlatego, że wygrałem sporo pieniędzy — rzekł wzgardliwie Neale.

Hough uśmiechnął się.

— Nie, drogi panie. Nie zdołałby pan kupić jej nawet za górę złota— zapewnił. — Ale nie mówmy już o tym. Widzę, że pan dziś jest więcej, niż zwykle, podniecony. Czemu to należy przypisać? Czy znaczniejszej wygranej?

Neale wówczas opowiedział mu o propozycji, jaką uczynił pannie Ruby i Larry'emu.

— Ruby nazwała mnie za to szaleńcem — mówił. — Ale cóż? Ja miewam od czasu do czasu takie dziwaczne porywy, którym nie mogę się oprzeć... Tym zaś potraktowałem sprawę bardzo poważnie... No, tak! Chciałem coś dla niej zrobić... Zdawało mi się po prostu, ze dziewczyna warta jest lepszego losu, a tymczasem moje dobre chęci spełzły na niczym...

A nazajutrz, kiedy miasto Benton zbudziło się do swego pasożytniczego życia, biedną Ruby znaleziono w jej własnej sypialni – nieżywą. Drzwi musiano wyłamać. Dziewczyna nie padła ofiarą zbrodni. Leżała na łóżku, odziana w skromną sukienkę, której nikt w Benton na niej nie widział. Nie dowiedziano się przy tym nigdy, jakich środków użyła dla pozbawienia się życia, a tajemnicą również pozostał powód samobójstwa. Mało kogo zresztą interesowały te szczegóły. Ruby wszak byłą tylko jedną z wielu dziewcząt, które wstąpiły w Benton na śliską drogę i tak samo jak ona szukały ucieczki przed bólem życia.

Kiedy Neale dowiedział się o tym smutnym wypadku, powróciwszy po południu do Benton, mała Ruby już spoczywała w ziemi. Młodzieniec udał się niezwłocznie na cmentarz i przez chwilę stał w milczeniu nad świeżą mogiłą. Nie było na niej ani krzyża ani żadnego napisu. Taki ot sobie bezimienny grób. Pagórek żółtego piasku rozkopią z czasem szakale, wicher jesienny i deszcze dopełnią dzieła zniszczenia i nie pozostanie zgoła nic.

Powrócił do zajazdu w stanie głębokiej rozterki duchowej. Pamiętał dobrze spojrzenie, jakim go obrzuciła Ruby po raz ostatni. Czyżby postępkiem swym i słowami rozbudził w niej świadomość? Niebawem Neale spotkał się z Houghem i od niego dowiedział się, że Ruby nie była wcale w sali tańca i odsunęła się od wszystkich, kogo znała, w ostatni wieczór swego życia. Neale zrozumiał teraz, że postępek jego miał głębsze podłoże, niż można się było domyśleć. Kierowało nim wówczas przeczucie tragedii, której uprzedzić nie mógł już, bo było widocznie rzeczywiście za późno.

A Larry King w zupełnie swoisty sposób zareagował na wieść o samobójstwie Ruby. Poszedł tego wieczora do pewnej sali tańca, gdzie na głos jej zamilkła muzyka i wszyscy tańczący zamarli w bezruchu.

— Chodź no tu, łotrze! — rozkazał blademu ze strachu drabowi, który niegdyś drwił zeń wraz z Cordym.

Wyciągnął go na środek sali, spoliczkował, zbeształ ostatnimi słowami, a wreszcie w oczach wszystkich zastrzelił w chwili, gdy znieważony sięgnął po pistolet.

Rozdział XXI

Dla Allie Lee, znowu znajdującej się w szponach Durade, każdy dzień pobytu w Benton był ciężki, a noc wręcz straszna. Z dreszczem grozy słuchała dziewczyna głuchego odgłosu kroków i ustawicznego szmeru wielu głosów, jakby przechodzących oddziałów wojska oraz dziwnej zmieszanej wrzawy, podnoszącej się od czasu do czasu w oddali i tak samo nagle milknącej.

Karawana Durade przybyła do Benton późnym wieczorem i Allie spostrzegła jedynie mnóstwo oświetlonych od wewnątrz namiotów oraz tłumy śpieszących nie wiadomo dokąd, a rozkrzyczanych ludzi, nie mając jednak pojęcia, gdzie się znajduje. Mieszkanie wyznaczono jej w ciasnej izdebce płóciennego szałasu. Drzwi tej izdebki otwierały się na coś w rodzaju małego podwórka, otoczonego wysokim płotem z desek, który nie pozwalał jej rzucić okiem na świat zewnętrzny.

Durade zobaczyła raz tylko, w dniu, kiedy Fresno przybył do Benton wraz z całą swą bandą. Hiszpan zapowiedział jej wówczas surowo, że przy następnej próbie ucieczki będzie ukarana śmiercią. Wysłuchała go, milcząc wzgardliwie, ale do otrzymanych wskazówek zastosowała się całkowicie, wiedząc, że na zewnątrz może jej grozić jeszcze większe niebezpieczeństwo.

Siedząc bezczynnie w swym zamknięciu, słuchała z trwogą i zdumieniem dolatujących tu odgłosów życia tajemniczego miasta i wreszcie ogarnęło ją przeczucie czegoś strasznego, a nieuniknionego. Nie traciła jednakże nadziei i nie upadała na duchu, bo dowiedziała się, że przebywa w mieście Benton. Prędzej, czy później więc musiało nadejść wybawienie. W Benton przecież na pewno znajdował się Neale, a mógł tu być jeszcze i Larry. Obydwaj szukali jej niechybnie. Czuła ich bliskość i nie wątpiła, że pewnego dnia ujrzy narzeczonego lub przyjaciela — cowboya, którzy wybawią ją z niewoli.

Pierwszego poranka po przybyciu do Benton usłyszała, że ktoś wchodzi do sąsiedniego pokoju. Odryglowano wreszcie drzwi izdebki i wszedł Stitt, głuchoniemy służący Durade, który pilnował jej od chwili porwania. Położył przy łóżku przyniesione zawiniątko i za pomocą znaków wytłumaczył, że m a się przebrać w znajdującą się w nim sukienkę. Dał jej znać przy tym, że musi się pośpieszyć, gdyż zabiorą ją stąd niebawem.

Spełniwszy to, wyszedł, zaryglowawszy za sobą drzwi.

Allie drżała cała, rozwiązując paczkę. Kto wie? Może za chwilę ma odzyskać wolność. Z prawdziwym zdumieniem wyjęła z zawiniątka pełny

strój damski, skrojony bez zarzutu i sporządzony z najlepszych materiałów. W Benton zatem nie brakowało sklepów a musiały tu być i kobiety. Ubrała się pośpiesznie, przekonywając się z zadowoleniem, że zarówno sukienka jak i obuwie pasują zupełnie dobrze. Kłopot sprawiał jej tylko znaleziony w paczce długi, czarny welon. Nie rozumiała, po co go jej dostarczono.

Niebawem rozległo się pukanie do drzwi, poprzedzone pytaniem:

— Czy jesteś gotowa, Allie?

— Tak — odparła dziewczyna.

Drzwi się otworzyły. Wszedł Durade. Twarz miał nieco więcej bladą i wyciągniętą, niż zazwyczaj. Znać było na niej ślady hamowanych namiętności.

— Włóż ten welon — rzekł. — Nie chciałbym, aby poznał cię kto w Benton.

— Czy zabierze mnie pan do miasta? — spytała.

— Przeprowadzamy się do nowego mieszkania — wyjaśnił. — Chodź! Stitt zabierze twoje rzeczy.

Ujął ją pod ramię i wyprowadził z płóciennego budynku wprost na ulicę. Tłoczno tu było niesłychanie i Allie słyszała gwar wielu głosów, niewiele co widząc jednak po przez gęstą zasłonę. Niektórzy z przechodniów przystawali, patrząc na zawoalowaną dziewczynę, a wówczas Durade przyśpieszał kroku, niemal ciągnąc ją za sobą.

Brnąc po kostki w głębokim piachu, przeszli na drugą stronę drogi, po czym przez dłuższy czas kroczyli jej brzegiem i zatrzymali się wreszcie przed nowym domem, który z daleka sprawiał wrażenie murowanego, a po bliższym zbadaniu okazał się sklecony naprędce z pomalowanych desek. W jego wnętrzu rozlegały się głośne uderzenia młotków i zgrzyt pił... Durade pomógł Allie wejść na schody i przez dwie rozległe sale zaprowadził ją do niewielkiego, ale bardzo widnego i wygodnie umeblowanego pokoiku.

— Jest tu wszystko, czego tylko można było dostać w Benton — rzekł z pewną dumą w głosie. — Niczego ci nie zabraknie.

— Widzę — rzekła chłodno Allie, zdejmując woal. — Czy... czy będę zamknięta?

— Tak. Czasem tylko i to wyłącznie wieczorem będziesz mogła wraz ze mną pójść na małą przechadzkę. Postaram się, abyś się czuła dobrze. Posłuszeństwo jest jedynym warunkiem, jaki ci stawiam. Musisz mnie słuchać na każde skinienie. W razie, gdyby mi się nie udało tego dopiąć, odnajdę twą matkę, a wówczas...

— Mówiłam już panu, że moja matka nie żyje.

— Kłamiesz — rzucił niecierpliwie. — Ona ukryła się tylko u jakiegoś trapera lub wśród Indian. Dawno już byłbym ją pochwycił, gdyby moi wywiadowcy nie obawiali się Siuksów. Musieliśmy wówczas uciekać i wskutek tego nie dowiedziałem się jeszcze, jakim sposobem znalazłaś się wtedy przy drodze.

Allie zrozumiała, że powtarzając Durade jeszcze raz wiadomość o śmierci matki, utwierdzi go tylko w przekonaniu wręcz przeciwnym. Zrozumiała też, że jest to dla niej korzystne. Mogła bowiem, czuć się

zupełnie bezpieczna, dopóki Hiszpan trwał w tym mniemaniu. W słowach jego brzmiała groźba i Allie nie wątpiła, że użyłby jej za narzędzie zemsty na matce, która go opuściła. Na swój sposób przecież kochał tę kobietę. Ona i karty były jedynymi namiętnościami jego życia.

Teraz przyglądał się posępnie swej brance i nieoczekiwanie pochwycił ją w objęcia.

— Och, dziewczyno! Ty jesteś jej żywym portretem.

Równie nagle rozwiązał uścisk. Nie można było wątpić, że działał w tej chwili pod wpływem tęsknoty i jednocześnie nienawiści do kobiety, którą miłował i stracił.

Wkrótce potem wyszedł i Allie została sama.

Rozejrzała się po pokoju, który miał się stać jej więzieniem na czas nieokreślony! Ściany i sufit były zestawione z poszczególnych części drewnianych, niezupełnie uszczelnionych. Dom cały zapewne był składany. W stanie rozebranym przywieziono go widocznie do Benton i zmontowano naprędce.

Przejrzała następnie dzienniki, ze szczególnie dziwnym uczuciem czytając ostatnie doniesienia o postępach budowy Kolei Zjednoczonego Pacyfiku. Nazwisko szefa inżynierów, generała Lodge'a, przyprawiło ją o dreszcz. To on wszakże przepowiadał jej Neale'owi i wspaniałą przyszłość. Czytała dalej, że tor kolei dotarł do podnóża gór Sierra Nevada, że pracują przy jego budowie dziesiątki tysięcy Chińczyków i że niedaleki jest już dzień ostatecznego połączenia Wschodu z Zachodem za pomocą pasma żelaznych szyn. Przeczytała też o ruchach Siuksów na odcinku pomiędzy Medicine Bow a Kearney. Okazało się, że robotnicy dzień w dzień prawie widują bandy czerwonoskórych. Przyzwyczaili się więc do nich, przestali zachowywać ostrożność i w wyniku tego bardzo wielu ginie. Dzienniki donosiły jeszcze, że generał Lodge posiada teraz własny pociąg, którym podróżuje ustawicznie, badając stan robót na różnych odcinkach.

Allie pochłaniała te wszystkie wiadomości, będące żywym dowodem zainteresowania, jakie społeczeństwo poczęło nareszcie żywić dla wielkiego dzieła. Jakże musi cieszyć się tym Neale! On zawsze przecież wierzył w ziszczalność i doniosłość projektu budowy tej kolei. Pracował teraz zapewne na jednym z odcinków, a na wieczór przyjeżdżał może do Benton. W zruszenie przesłoniło jej wzrok łzami i rozpłynęły się na chwilę w mgle drukowane litery. Neale nie uwierzy już więcej, że umarła i nie ustanie w poszukiwaniach.

Znowu poczęła czytać i zadrżała nagle, gdyż dziennik donosił coś o Allisonie Lee.

— Allison Lee! — westchnęła z cicha. — Ojciec.

I przeczytała, że Allison Lee, członek komisji rzeczoznawców przy Kolei Zjednoczonego Pacyfiku, a zarazem jeden z jej największych dostawców, opuści niebawem swój dom w Council Bluffs, aby udać się do Nowego Jorku na konferencję z dyrektorem kolei.

— Co będzie, jeśli Allison Lee spotka się kiedykolwiek z Durade? — szepnęła.

W możliwości tej dopatrzyła się nowego niebezpieczeństwa dla szulera, tak! Durade w swym zaślepieniu sam nie wiedział, na co się naraża. A tymczasem wszystko wskazywało, że długo jej więzić nie może.

Dalsze rozmyślania przerwało Allie wejście Stitta. Głuchoniemy służący przyniósł brance swego pana obiad na tacy oraz tę trochę rzeczy, które pozostawiła w płóciennym budynku.

Minął wreszcie dzień i zapadł zmrok, przynosząc dziwną zmianę w odgłosach, do których już przyzwyczaiła się Allie. Lampy nie zapalała, gdyż nie lubiła światła o tej porze. Przez okna więc tylko sączył się bladawy odblask płonących na ulicy latarń. I dziewczyna siedziała w tym półzmierzchu, w słuchując się ze zgrozą w głuchą wrzawę miasta Benton. Goś podobnego słyszała już w osadach kalifornijskich kopalń złota i obozach roboczych, po których koczował Durade. Zgiełk miasta Benton był taki sam, a jednak inny. Dźwięczały w nim nuty jakiegoś niewypowiedzianego okrucieństwa i bezlitosnej żądzy bogactwa, okupowanego częstokroć krwią niewinnych ofiar. Długie godziny Allie leżała, wsłuchując się w te głosy nocy. Wyczerpana zasnęła wreszcie, ale było już tak późno, że przebudziła się dopiero koło południa.

Ten dzień upłynął jej podobnie, jak poprzedni, a potem nastała nowa noc, taka sama jak wczorajsza, z tą zmianą jedynie, że wrzawa poczęła się rozlegać już i wewnątrz domu. Durade bowiem otworzył swój własny zakład, co zwiększyło jeszcze przerażenie Allie. Dziewczyna znowu leżała bez snu całe godziny, nasłuchując czujnie ordynarnych wyzwisk, jakie rozlegały się w sąsiedniej sali. Nikt jednakże nie wszedł do jej pokoju i Allie zasnęła wreszcie o świcie.

Minął tak szereg dni, w ciągu których nieszczęsna branka widywała tylko Stitta, czując, że przymusowe osamotnienie jest cięższe, niż wyobrażała sobie z początku. A poza tym, przebywając w zamknięciu, nie mogła liczyć na sposobność zetknięcia się z Nealem czy Larrym. Czuła też, że długo już nie będzie mogła znosić tych czysto więziennych warunków życia. W duchowym jej stanie bowiem poczęły zachodzić zmiany, których lękała się sama. Miewała od czasu do czasu napady ostrej melancholii, podobnej do tej, w jakiej pogrążyła ją śmierć matki.

Odczuwała właśnie coś w tym rodzaju, gdy zupełnie nieoczekiwanie wszedł do jej pokoju Durade. Twarz miał bardzo zmęczoną, rozgorączkowane oczy i drżące ręce, co dowodziło, jak dobrze wiedziała Allie, że umysł jego znajduje się całkowicie w sidłach demona gry.

— Allie! — rzekł. — Już czas.

— Na co? — spytała zdumiona.

— Na ciebie. Chcę, abyś robiła to samo, co niegdyś twoja matka. Ale przede wszystkim musisz uczynić się piękną.

— Piękną?... Jak to?... Nic nie rozumiem — szeptała niewyraźnie Allie, mając tylko niejasne przeczucie znaczenia słów Hiszpana.

Durade roześmiał się z przymusem.

— Nie przypuszczałem, że do tego stopnia jesteś pozbawiona próżności — rzeki. — Jesteś piękna zawsze. To pewne. Musisz jedynie tę piękność podkreślić i uwypuklić niejako. Przypiąć jakiś kwiatek, ufryzować włosy, no i tam dalej. Przypomnij sobie, jak robiła to twoja matka.

Allie patrzyła nań szeroko rozwartymi oczami, czując, że wszystka krew ucieka jej z twarzy. Nadeszło więc nareszcie to nieznane, którego obawiała się tak bardzo.

— Wyglądasz jak upiór, dziewczyno — zauważył Durade. — Mój Boże! — westchnął. — Tak samo pobladła ona, kiedy przed laty oświadczyłem jej to, co dziś powiedziałem tobie.

— Rozumiem teraz, dlaczego moja matka tak nienawidziła pana, — rzekła głucho Allie.

— Zapłaci mi za to jeszcze, a i ciebie spotka kara, — wybuchnął namiętnie.

Już nie panował nad sobą. Kipiał cały gniewem. Dłoń jego, bezwiednie może, uderzyła Allie w twarz tak silnie, że dziewczyna zachwiała się na nogach.

— Zostawiam ci pięć minut czasu na przygotowanie — warknął. — Masz przyjść, kiedy cię zawołam.

Wyszedłszy, zamknął za sobą drzwi, ale ich nie zaryglował.

Allie przyłożyła dłoń do warg. Były zakrwawione. Czuła ciepło i słony smak własnej krwi. Duchowy stan jej uległ nagłemu przeobrażeniu. Znikła niepewność — pojawiła się energia. Potrzebowała tego uderzenia. Pod jego wpływem zrozumiała wreszcie, że musi liczyć przede wszystkim na siebie samą.

— Neale lub Larry prędzej czy później zjawią się w zakładzie Durade — myślała, myjąc pośpiesznie twarz. A w najgorszym razie znajdę kogoś, co pomoże mi się stąd uwolnić.

Wprędce usłyszała wzywający ją głos Hiszpana i pewnym krokiem weszła do sali, jaskraw o oświetlonej i urządzonej ze zbytkiem, a przeznaczonej, według wszelkiego prawdopodobieństwa, na prywatny salon gry. Durade zaprowadził ją do stolika, stojącego przy kredensie, pełnym kryształów i butelek z napojami wyskokowymi, dał wskazówki, co ma czynić, po czym powrócił do kilku gości, z którym i siedział przed chwilą.

Wkrótce rozpoczęła się gra w karty, a niebawem Durade zawołał o wino i Allie pośpieszyła spełnić jego polecenie. Podając butelkę i szklanki, poczuła na sobie wzrok jednego z grających. Rzuciwszy nań okiem, powzięła przekonanie, że widziała już gdzieś jego twarz. Przypomniała sobie nawet, że było to w Kalifornii. Nogi ugięły się pod nią, a pierś wezbrała falą gniewu. Musiała wytężyć wszystkie siły, aby dowlec się z powrotem do swego stolika. Usiadła, mówiąc sobie, że bezczelne spojrzenia mężczyzn wpłyną jedynie na wzmożenie jej odporności, a ratunek musi przyjść z czasem.

Przy innym stoliku siedział Fresno, grając w ruletkę z dwoma wojskowymi. Koło ruletki kręcił Mull, wykrzykując coś od czasu do czasu swym grubym głosem, a kulkę rzucał mały człowieczek o przebiegłej twarzy i nerwowych rękach, którego nazywano Andy.

Durade w krótkim czasie zgrał się do nitki. Szczęście mu nie sprzyjało. Niejaki Jones, wyglądający na zawodowego szulera, przełożył do swych kieszeni całą zawartość jego portfela i wyszedł niebawem wraz z innymi partnerami, a w ślad za nim opuścił salę gry i Durade.

Fresno wówczas zbliżył się do Allie.

— No cóż, moja mała? — zagadnął poufale. — Lepiej ci w lakierkach, niż w mokasynach, co?

Allie zerwała się, gotowa do ucieczki lub obrony. Durade zapomniał o niej. Fresno pochwycił jej spojrzenie, skierowane ku drzwiom, przez które wyszedł Hiszpan.

— Nie oglądaj się na niego — rzekł szydersko. — On sobie niedługo skręci kark. Bądź więc rozsądna i dbaj więcej o moje względy.

— Ja... ja powiem to panu Durade — wyjąkała Allie, starając się opanować ogarniający ją lęk.

Rozczarowała się jednak zupełnie. Zbój uśmiechnął się złośliwie, wzruszając ramionami.

— Nie radzę — oświadczył tonem pogróżki. — Zabiję twego Hiszpana, jeżeli powiesz mu choć słówko, a wtedy przypadnie ci, moja mała, rola bezbronnej owieczki wśród stada wilków.

Roześmiał się, jak z dobrego żartu, kładąc rękę na pasie, za którym tkwiły kolby dwóch pistoletów. Allie poczuła gorąco, bijące od jego potężnego ciała, i oddech, buchający alkoholem. Zrozumiała też niebawem, że Fresno jest bandytą bez czci i wiary, nie obawiającym się nikogo, a może najmniej Durade.

Wejście Hiszpana jednak zmieszało widocznie zbója, gdyż zamilkł niezwłocznie.

— Co ty jej tu opowiadasz? — krzyknął gniewnie Durade.

— Eh, nic takiego — oświadczył Fresno. — Pytałem tylko pannę Allie, czy podoba się jej w Benton.

Powiedziawszy to, wymknął się chyłkiem z sali.

— Allie! — rzekł Durade. — Musisz unikać tych ludzi. Strzeż się ich, jak ognia, bo wszyscy oni są zepsuci i nie zasługują na zaufanie. Wiem o tym — dodał z goryczą. — Ale cóż? Muszę trzymać przy sobie całą bandę, bo bez niej nie mógłbym prowadzić zakładu.

A niebawem Allie przekonała się, że tak było istotnie. Durade byłby zupełnie bezradny bez tych pomocników, którzy pełnili przy nim rolę siepaczy. Pewnego wieczora Jones, zawodowy gracz, znowu święcił triumfy, zbierając obfite żniwo. Główną ofiarą jego i tym razem był Durade, który w pewnej chwili wstał, wołając coś, czego Allie nie zrozumiała. Olbrzymi Fresno natomiast zrozumiał od razu i rzucił się, jak tygrys, na Jonesa, przytłaczając go do ziemi. Allie uciekła natychmiast do swego pokoju i stamtąd już usłyszała groźne przekleństw a i głuchy łoskot strzału, a potem jęk. Niebawem rozległ się głos Durade, obwieszczającego donośnie, że Jones oszukiwał w grze, musiał więc ponieść należną mu karę. W chwilę później zaś do uszu Allie doleciał odgłos kroków ludzi, wlokących po podłodze jakiś ciężki przedmiot, po czym wszystko ucichło.

To ohydne morderstwo przeraziło dziewczynę, ale jednocześnie zahartowało jej nerwy. Mijały dni i tygodnie. Durade bogacił się, a jego zachowanie w stosunku do gości oraz pomocników stawało się coraz to więcej wzgardliwe i brutalne. Łatwo było przewidzieć, że musi spotkać go smutny koniec.

Rozdział XXII

Neale powziął przekonanie, że znalazł się wreszcie na drodze do dawno spodziewanego awansu. Ani szef inżynierów wprawdzie, and bezpośredni zwierzchnik Baxter nic nie wspominali o tym w ostatnich czasach, a jednak w miarę postępowania budowy powierzano mu wykonanie coraz to bardziej zawiłych i odpowiedzialnych zadań.

Młodzieniec już dawno odkrył w sobie talent do rozwiązywania szczególnie trudnych zagadnień z zakresu inżynierii cywilnej, ale uwierzył weń teraz dopiero, gdy z nabraniem praktyki poczuł się pewniejszy w swej pracy. Szła mu też ona jak najlepiej. Z wszystkich poleceń wywiązywał się bez zarzutu. Generał Lodge pytał go często o radę, Baxter polegał na nim całkowicie, a wszyscy młodzi inżynierowie patrzyli weń, jak w tęczę. Kiedy Baxter ze sztabem swych pomocników udał się w góry, spadł mu na barki ciężar całej odpowiedzialnej roboty, a jednak Neale zawsze prawie znajdował dość czasu, aby wieczorem odwiedzić Benton.

Przeszukał tu już wszystko. Nie było zajazdu, sali tańca czy domu gry, których by nie odwiedził. Ale wszystkie te wysiłki były na razie bezowocne. Nie udało mu się dotąd wpaść na ślad Allie ani spotkać bandyty Fresno, którego postać i twarz utkwiły mu dobrze w pamięci. Widział też wielu Hiszpanów i Meksykanów, ale żaden z nich nie był szulerem Durade.

Nie tracił jednak nadziei, bo wiedział, że miasto Benton jest zbyt przeludnione i zbyt zmienne, aby można je było w krótkim czasie przetrząsnąć z pożądaną dokładnością. Dźwigał więc nadal swój krzyż, czując wszakże, że brzemię jego staje mu się z każdym dniem coraz dotkliwsze. Ale na duchu nie upadał, znajdując zbawcze zapomnienie w naw ale prac związanych z budową kolei.

Pewnego poranku udał się, jak zwykle, na stację, aby odebrać rozkazy telegraficzne od generała Lodge'a. Znalazł go tam natomiast we własnej osobie. Szef inżynierów ujrzał swego pomocnika z okna wagonu pociągu specjalnego, który lada chwila miał wyruszyć na wschód.

— Jadę do Omaha — zwierzył m u się generał. — Znowu cała historia. Dyrektorzy są wprost wściekli.

— O cóż im chodzi? — spytał Neale, zawsze przejmujący się sprawami kolei.

— No, ma się rozumieć, że o koszty budowy. O cóżby innego? Musi pan pamiętać przecież, że budowę Kolei Zjednoczonego Pacyfiku prowadzą ludzie dwojakiego rodzaju. Tacy, którzy rozumieją jej doniosłość i tacy, którzy widzą w niej jedynie źródło zysku.

— Stąd wypływa różnica poglądów. Czy tak, panie generale?

— Właśnie. I różnice owe tym boleśniej dają się nam we znaki, im bliższe jest zakończenie wielkiego dzieła.

— Ale pomimo wszystko musimy zwyciężyć, panie generale — rzekł z mocą Neale.

— Mowy być nie może, aby stało się inaczej — odparł szef inżynierów, ogarniając go życzliwym spojrzeniem.

— Ale, ale... Panie Neale! Mam dla pana robotę. Ciężka jest. Można przy niej osiwieć. Czy pamięta pan te pomiary, które prowadziliśmy przed dwoma laty w górach dla mostu Nr. 10?

— Oczywiście, panie generale. Nie zapomnę o nich, póki życia.

— No, to niechże pan uda się tam co prędzej. Coś jest nie w porządku. Czy nie mógł się pan wypadkiem omylić wówczas w swych obliczeniach?

— Wszystko możliwe — odparł żywo Neale. — Uwierzę temu jednak wtedy dopiero, gdy przekonam się naocznie.

— Proszę zrobić, co pan będzie uważał za potrzebne. Przy budowie tego mostu pracują inżynierowie Blake i Coffee, których bliżej nie znam. Przysłano mi ich z Omaha. Mieli doskonałe polecenia. Ale roboty tam nie idą dobrze. Pana więc proszę o objęcie kierownictwa. Oni wiedzą już o tym.

W tej chwili rozległ się gwizdek parowozu i rozmowa się urwała. Pociąg ruszył, a generał, wychylając się z okna wagonu, zawołał jeszcze:

— Do widzenia na razie! Życzę panu powodzenia w tej ciężkiej pracy!

Neale pobiegł pośpiesznie do zajazdu, aby zapakować rzeczy i wyruszyć w drogę. W pokoju swym zastał Larry’ego. Cowboy leżał na tapczanie ubrany zupełnie i głośno chrapał. Neale zbudził go niezwłocznie i w krótkich słowach opowiedział mu, dokąd się udaje z polecenia generała Lodge‘a. Poprosił go następnie, aby nie ustawał w poszukiwaniach Allie i, nie zwracając wcale uwagi na sceptyczne spojrzenia przyjaciela), pobiegł z powrotem na stację, aby zdążyć na pociąg roboczy.

Jadąc, wyglądał przez okno, przypominając sobie wykonywane w tych miejscowościach prace i z całym zadowoleniem zdając sobie sprawę, że bez niego budowa Kolei Zjednoczonego Pacyfiku nie posunęłaby się tak szybko naprzód. Zastanawiał się przy tym, ile czasu musi jeszcze upłynąć, zanim ziści się długo wyczekiwane sprzęgnięcie Wschodu z Zachodem za pomocą pasma żelaznych szyn. Może nastąpi to już niezadługo. Mówiono przecież, że tor od strony oceanu doprowadzono już do Utah.

Po kilkugodzinnej podróży przybył wreszcie do obozu, gdzie pułkownik Dillon zaofiarował się przydać mu eskortę z kilkunastu żołnierzy, twierdząc, że droga, wiodąca do miejsca budowy m ostu Nr. 10, nie jest bezpieczna. Neale jednak zrzekł się jej, woląc odbyć dalszą podróż w zupełnej samotności. W ciągu trzech godzin przebył dwadzieścia mil i zatrzymał się tuż przy obozie, rozbitym w dolinie, której zbocze porastał gęsty las. Na jego widok pojawił się jakiś Meksykanin i Neale wręczył mu uzdę swego wierzchowca, polecając mieć o nim staranie, a sam skierował się z walizką w ręce ku największemu, stojącemu w pewnym odosobnieniu namiotowi w przypuszczeniu, że tam właśnie musi się mieścić kwatera główna budownictwa mostu.

Po wejściu do wnętrza zobaczył kilku mężczyzn, siedzących na składanych krzesełkach przy dużym stole. Jeden z nich podniósł się na widok nieznajomego.

— Czy mogę się widzieć z panam i Blake i Coffee? — zapytał Neale.

— Owszem — zabrzmiała odpowiedź. — Ja jestem Blake, a tu siedzi Coffee. Czy mam przyjemność mówić z panem Nealem?

— Tak — oświadczył krótko Neale, stawiając na ziemi walizkę.

Obydwaj inżynierowie uścisnęli mu dłoń chłodno, ale grzecznie, przedstawiając jednocześnie nowoprzybyłemu trzeciego swego towarzysza — mierniczego, nazwiskiem Somers. Neale nie przewidywał, aby go tu powitano ze szczególną serdecznością i postanowił być, w miarę możności, wielkoduszny. Misja, jaką go obarczono, nie należała do rzędu przyjemnych. Inżynierowie ci mogli być na wysokości swego zadania, a jednak generał Lodge nasłał im kontrolera, który tym bądź co bądź wytrawnym zawodowcom mógł się wydawać zbyt młody i niedoświadczony.

— Naczelny inżynier wczoraj dopiero zawiadomił nas depeszą o pana przyjeździe — zauważył Coffee. — Wiadomość ta zaskoczyła nas nieco.

— Nie dziwię się. Bardzo mi przykro. Co pisał generał?

— Och, Lodge jest zawsze dość skąpy w słowa — odparł niechętnie inżynier.

Nie wyjawił jednakże treści rozporządzenia. Neale więc usiadł przy zakurzonym stole i, wyjąwszy z kieszeni notes, spojrzał na obu budowniczych, patrzących nań w natężonym oczekiwaniu.

— Niesporo jakoś idzie panom budowa mostu Nr. 10, co? — zagadnął.

— Ano ślęczymy nad nią już od trzech miesięcy — burknął Blake.

— Zobaczy pan sam, co można zrobić z tymi ruchomymi piaskami — dodał Coffee.

— Jakie ruchome piaski? — zawołał Neale. — Wiem, że ten strumień ma dno zupełnie twarde. Sam przecież prowadziłem tu pomiary i sporządziłem plany budowy mostu Nr. 10.

Coffee i Blake spojrzeli nań z widocznym zmieszaniem. Poruszył się również mierniczy Somers.

— Jak to? Więc pan jest autorem planów, w myśl których wykonywamy roboty? — bąknął Coffee.

— Tak — odparł zimno Neale.

Uderzyło go, że Blake pobladł z lekka. Przypisał jednak to zmieszanie obu inżynierów nagłemu zrozumieniu przez nich własnego błędu. Wiedziony uczuciem rycerskości w stosunku do tych nieudolnych wykonawców planu, uczuł, że postąpi najlepiej, jeżeli przejdzie nad nim do porządku dziennego i począł zadawać pytania, dotyczące wyłącznie technicznej strony budowy.

Okazało się przy tym, że Blake i Coffee mają do rozporządzenia dwustu robotników, których zwierzchnikiem jest Irlandczyk Colohan. Na pytanie, co właściwie zostało zrobione w ciągu tych trzech miesięcy, Coffee oświadczył, że zdołano wbić w dno potoku trzy filary, które jednak z nastaniem pory deszczowej nie wytrzymały naporu ruchomych piasków i padły. Odtąd zaś prace ograniczały się jedynie do ich podźwignięcia, po

czym miano przystąpić do budowy innych, sporządzonych z twardszego materiału.

Neale, wysłuchawszy tego oświadczenia, namyślał się przez chwilę. Zamknął wreszcie swój notatnik i powstał energicznie z miejsca.

— No, moi panowie! — rzekł. — Widzę, że dopuściliście się poważnego niedopatrzenia.

— Jakiego mianowicie? — wybuchnął Coffee, okrywając się rumieńcem.

— Powiem panu o tym nieco później — oznajmił mu Neale i, zwracając się do mierniczego, dodał spokojnie: — Panie Somers! Proszę powiedzieć Colohanowi, że muszę się z nim rozmówić.

Powiedziawszy to, wyszedł z namiotu. Znajdując się już na progu, usłyszał, jak Blake rzucił gniewnie towarzyszowi:

— Widzisz? Mówiłem ci przecież, że tak będzie.

Coffee odburknął mu na to coś, czego Neale nie zrozumiał. Ale ton tej odpowiedzi był aż nadto wymowny. Ci ludzie popełnili gruby błąd i teraz czynili sobie wzajem wymówki. A Neale wrzał cały gniewem. Ten odcinek kolei był zawsze jego dumą, bo opracowanie jego było szczególnie trudne i odpowiedzialne. Lekkomyślność i niefachowość tych dwóch inżynierów zmarnowała mu wyniki pracy.

Minąwszy szereg namiotów, pełnych zaspanych, bezczynnych robotników, udał się wprost nad rzekę. To, co zastał tam, wprawiło go w zdumienie i jeszcze większy gniew. Łożysko strumienia, dawniej czyste zupełnie, obecnie było zamulone. W trzech miejscach sterczały ponad wodą resztki filarów, a zgromadzone bezładnie na brzegu zwały bloków kamiennych i żelaza świadczyły dobitnie o zmarnotrawionych tu kapitałach.

Pogrążony w myślach powrócił do obozu. Blake i Coffee czekali nań w towarzystwie jakiegoś wysokiego Irlandczyka.

— No, jak się panu podobało błoto, na którym mamy zbudować podstawy mostu Nr. 10? — zagadnął Blake.

— Widziałem to błoto. A jakże — odparł chłodno Neale. — Chciałbym teraz zapytać, czy panowie ściśle wykonywali opracowany przeze mnie plan?

Blake chciał coś odpowiedzieć, ale Coffee przerwał mu.

— Ma się rozumieć — odparł krótko.

— Gdzież więc jest grobla?! — zawołał gniewnie Neale.

— Grobla? — zdumiał się szczerze Coffee.

— No, tak. W planach mych przewidywałem przecież zbudowanie grobli ochronnej, aby w okresie wysokiego stanu wody główna siła prądu nie kierowała się wprost na filary mostu.

— Och, przypominam sobie teraz — odparł pośpiesznie Coffee. — Ale my mieliśmy zamiar usypać ją już po ukończeniu budowy mostu. Prawda, Blake? — dodał, zwracając się do kolegi.

— Prawda — odparł Blake tomem, w którym brakowało pewności.

— Rozumiem — wycedził Neale.

W tej chwili wysoki Irlandczyk wyciągnął doń swą potężną prawicę.

— Jestem Colohan — przedstawił się.

Neale uścisnął podaną sobie dłoń. Podobała mu się prosta i szczera, a przy tym inteligentna twarz Irlandczyka.

— Panie Colohan — rzekł. — Proszę posłuchać. Most Nr. 10 i grobla muszą być gotowe w ciągu dziesięciu dni. Przystępujemy do pracy zaraz. Jeśli będzie potrzeba więcej ludzi, sprowadzimy ich jutro.

W tej chwili Coffee wybuchnął wzgardliwym śmiechem.

— Panie Neale — oświadczył. — To brzmi bardzo imponująco, ale wykonalne nie jest. Wprzódy muszą nam doprowadzić tu tor i przywieźć potrzebne ilości materiału drzewnego.

Neale nie zaszczycił go żadną odpowiedzią, zwracając się wyłącznie do Colohana, który oświadczył z całą gotowością:

— Zastosuję się do tego, panie kierowniku, i czekam na bliższe rozkazy.

— Świetnie. Widzę, że pan mnie rozumie. Proszę więc zaraz posłać ludzi do lasu. Niech wybiorą i zetną jak najwięcej grubych drzew na budulec. Trzeba też znaleźć lub wytknąć drogę dla koni, które jutro zwiozą nam te kloce. Niech pan sprawdzi, czy mamy dosyć żelaza. W razie przeciwnym należy zatelegrafować do Benton, aby przysłano więcej. To byłoby na razie wszystko, kochany panie Colohan.

— Będzie zrobione, panie kierowniku — odparł Irlandczyk, salutując po wojskowemu, po czym zwrócił się do Blake'a i Coffee'ego. — Słyszeli panowie? — rzucił przez zęby. — To rozumiem. Widać od razu, że przemawia zwierzchnik, znający się na rzeczy! Teraz od żadnego z panów nie przyjmę już polecenia.

Wyraźnie lekceważący ton głosu Colohana wprawił Coffee'ego we wściekłość.

— Widzę, że chce pan pozyskać sobie łaski nowego szefa! — wybuchnął. — Ale proszę pamiętać, że za zwłokę w budowie mostu Nr. 10 odpowiada pan na równi z nami. Nic panu nie pomoże to przymilanie się.

Wyszła teraz na jaw cała nienawiść, jaką pałali do siebie ci dwaj ludzie. Twarz Colohana oblała się szkarłatem oburzenia, a pięści jego zacisnęły się groźnie.

— Panie Coffee! — rzekł, z trudnością powstrzymując swój gniew. — Oświadczam panu przy wszystkich, że nie jestem i nigdy nie byłem odpowiedzialny za tę budowę. Wykonywałem jedynie rozkazy pana, wśród których było wiele bardzo dziwnych.

Neale taktownie zażegnał sprzeczkę i Colohan wyszedł, rzuciwszy obu swym byłym zwierzchnikom pełne groźby spojrzenie.

— Proszę o moje plany konstrukcyjne — zwrócił się Neale grzecznie do wyraźnie zmieszanych inżynierów.

Blake przyniósł kilka kartonów z wykresami i rzucił je na stół.

— Czy zechcą panowie naradzić się nad nimi ze mną? — pytał Neale.

— Po co? — wybuchnął Coffee. — Pan przecież jest najmądrzejszy.

— Dlatego też mnie właśnie przysłał tu generał Lodge — odciął się Neale. — Jeśli panowie nie chcą ze mną rozmawiać, postaram się dać sobie radę sam.

Wyszedł, zabierając plany i przestudiował je starannie, siedząc w przydzielonym sobie namiocie. Potem udał się na obiad, który spożył w

towarzystwie robotników, rozmawiając z nimi wesoło. Lubił bardzo Irlandczyków i czuł się dobrze, przebywając wśród nich. Przekonał się jednak, że sprawa budowy mostu Nr. 10 była dla robotników przedmiotem drwin, co zasmuciło go niezmiernie.

Odbył następnie przechadzkę po okolicy i przez czas dłuższy siedział nad brzegiem strumienia, rozmyślając o budowie mostu Nr. 10, a niekiedy trapiąc się losem Allie, po czym o zmierzchu już powrócił do swego namiotu, gdzie w świetle lampy ujrzał leżącą na stole ćwiartkę papieru. Była to depesza od generała Lodge a, który pozostawiał mu całkowitą swobodę w zakresie wypłat poborów inżynierom i wszelkich, jakie uzna za stosowne, potrąceń. Treść tego telegramu wprawiła Neale a w niemałe zdumienie. Czyżby szef uważał, że Blake'owi i Coffee'emu należało potrącić coś za zwłokę w budowie, albo zwolnić ich ze służby, w zależności od tego, co postanowi jego pełnomocnik? W chwili, gdy zastanawiał się nad znaczeniem owej depeszy, nadeszli obaj inżynierowie. Dał im więc ją do przeczytania.

— Co panowie o tym powiedzą? — spytał.

Coffee, odczytawszy telegram, zapalił fajkę.

— Powiem, że tracę trzymiesięczne wynagrodzenie, czyli dziewięćset dolarów — rzekł, wypuszczając kłąb dymu.

— A ja sześćset — dodał Blake.

Neale spojrzał badawczo na swych podwładnych. Teraz w usposobieniu ich znać było zmianę. Było widoczne, że musieli powziąć jakieś postanowienie.

— Generał Lodge mnie to pozostawia do uznania — zauważył Neale. — Przyznam się jednak, że nie pragnę wcale ani was zwalniać, ani też potrącać wam trzymiesięcznych poborów. Potrzebuję przecież waszej pomocy.

— Zrobi pan zapewne i jedno i drugie, chyba... że zdołamy się porozumieć — zapewnił go Coffee.

— Alboż to miałoby być takie trudne?

— Poczekajmy jeszcze, a zobaczymy — zabrzmiała zagadkowa odpowiedź.

— Tak — dodał Blake, spoglądając znacząco na towarzysza. — Pogadamy o tym jutro.

W chwilę potem pożegnali się i wyszli, a Neale, nie zastanawiając się długo nad znaczeniem tej tajemniczej zapowiedzi, rzucił się na twarde łóżko polowe i zasnął kamiennym snem.

Nazajutrz, skoro świt, udał się nad rzekę, aby tym razem dokładnie zbadać, co właściwie zrobiono dotąd przy budowie mostu Nr. 10. Od Colohana dowiedział się o stanie zatopionych słupów, a murarze wyjawili mu ilość użytych do ich sporządzenia materiałów. Wiadomości te wprawiły go już nie tylko w zdumienie, ale w gniew. Całe setki ton budulca wrzucono w rzekę, marnotrawiąc setki tysięcy dolarów.

Ale niebawem odkrył rzecz jeszcze gorszą. Oto żadnego z trzech wbijanych w dno słupów nie pogrążono na należytą głębokość. Plany jego przewidywały opuszczenie ich na pięćdziesiąt stóp przynajmniej, gdzie znalazłyby niewzruszoną podstawę w postaci jednolitej skały. Blake i

Coffee nie wykonali tego kardynalnego warunku, pozbawiając tym samym filary przyszłego mostu niezbędnego fundamentu.

Neale zawrzał oburzeniem. Taka rzecz nie mogła już być wynikiem braku fachowości, czy też niezrozumienia planu. To była już nieuczciwość, lub wprost złodziejstwo. Brnąc po kostki w błocie, wyszedł na brzeg i w tej chwili zauważył zbliżającego się ku niemu Blake'a. Usiadł więc co prędzej i począł oskrobywać sobie obuwie z mułu, aby ukryć pałającą gniewem twarz. Zdołał się opanować całkowicie i powitał Blake'a na pozór spokojnie.

Przez chwilę siedzieli obydw aj w milczeniu, po czym Blake zauważył:

— Z tego błota jednak można czasami zrobić pieniądze.

— Ano cóż? Różnie się zdarza — odparł w równie zagadkowy sposób Neale.

W tej samej chwili poczuł, że Blake wciska mu do ręki grubą paczkę biletów bankowych i zadrżał nerwowo. O mało nie zerwał się nagle, aby rzucić opryszkowi w twarz tę łapówkę. Zdołał jednak powściągnąć się raz jeszcze.

— Kto jest waszym dostawcą, parnie Blake? — spytał porywczo.

— Sądziłem, że pan wie. Lee.

Neale drgnął, jak rażony prądem elektrycznym. Nazwisko to obudziło w nim bolesne wspomnienia i jednocześnie odrazę.

— Allison Lee? Członek komisji rzeczoznawców? — wymówił z trudnością.

— Aha! No, widzi pan? Porozumieliśmy się jednak — roześmiał się wesoło Blake.

Neale skoczył nagle na równe nogi, rzucając mu garść banknotów w twarz.

— Ty łotrze! — wybuchnął. — Chcesz mnie przekupić? Sądzisz, że łapówką zmusisz m nie do milczenia? Ty złodzieju!... Ty psie!... Ty...

Kilkoma uderzeniami pięści powalił go na ziemię i wówczas dopiero odstąpił, dysząc ciężko i spoglądając z niewypowiedzianą wzgardą na zmaltretowanego oszusta.

— Panie... Neale!... — wyjąkał Blake.

— Ani słowa więcej! — krzyknął Neale. — Proszę zabrać te pieniądze i... marsz do obozu!

Trzęsąc się z oburzenia i gniewu, zaprowadził go do namiotu kierownictwa budowy mostu. Siedział tam Coffee wraz z Somersem, a wkrótce po nadejściu Neale'a zjawił się i Colohan.

— Panie Coffee! — krzyknął Neale. — Przyprowadziłem tu pańskiego godnego pomocnika, który przed chwilą usiłował mnie przekupić. Teraz wszystko już rozumiem. Jesteście obaj złodziejami! Przecież wy nawet nie próbowaliście przystąpić do budowy mostu według mych planów. Dzielenie się łupami z łotrem dostawcą było waszym jedynym zajęciem. Wy...

Coffee począł się bezczelnie tłumaczyć.

— A cóż pan sobie myśli? Czy mieliśmy patrzeć tylko, jak wzbogacają się inni. Toż kradną tu wszyscy, począwszy od dyrektorów, którzy biorą pożyczki od rządu i z tych sum wypłacają sobie królewskie honoraria.

Oprócz nas zresztą ktoś inny jeszcze odpowiedzialny jest za zwłokę w budowie mostu Nr. 10.

W tej chwili wyrosła przed nim olbrzymia postać Colohana.

— Czy mnie ma pan na myśli? — zagrzmiał Irlandczyk. — Jeśli tak, to oświadczam, że pan kłamie. Panie kierowniku! — dodał, zwracając się do Neale‘a. — Przysięgam, że nie brałem żadnego udziału w ich machinacjach. Zgadywałem tylko, że coś tu jest nie w porządku. Rozumie pan jednak, że musiałem wykonywać otrzymywane rozkazy.

Coffee zbladł, ale zdobył się jeszcze na dawny swobodny ton mowy.

— W każdym bądź razie nie zdoła pan dowieść nam winy — mówił, biorąc się pod boki. — Po pewnym namyśle sam przyjdzie pan do przekonania, że będzie najlepiej zachować milczenie. A proszę też pamiętać, że sprawa budowy mostu Nr. 10 jest bardzo małą rzeczą w porównaniu z innymi. Znam finansistów, członków komisji i senatorów wreszcie, którzy również są zamieszani w tym, co pan nazywa okradaniem Kolei Zjednoczonego Pacyfiku. Podnosząc wrzawę, byłby pan chyba szaleńcem.

— Szaleńcem? Może — odparł drwiąco Neale. — Ale nie będę... złodziejem.

Coffee stracił panowanie nad sobą. Po raz drugi już rzucano mu obelgę wobec podwładnych.

— Zamilcz pan! — krzyknął. — Ja też nie jestem złodziejem. Proszę pamiętać, że za takie słowa płaci się niekiedy życiem.

Neale roześmiał się. Ci oszuści przynajmniej zachowywali szczerość. Coffee obiecywał przejrzyście, że pozbędzie się intruza tą czy inną drogą. Neale zrozumiał to od razu. Dość długo przecież przebywał w towarzystwie Reda Kinga.

— Raz jeszcze stwierdzam, że jest pan złodziejem! — rzucił, postępując o krok naprzód. — Tak! Złodziejem i to najgorszego gatunku, bo kradł pan, nie ryzykując niczym. Ale ja zdobędę dowody pańskiego przestępstwa. O, już mam je w ręce!

I zręcznym, a nieoczekiwanym ruchem wyjął stojącemu przed nim Coffee’emu z bocznej kieszeni jakieś papiery. Twarz oszusta oblała się szkarłatem.

W padł we wściekłość.

— Proszę mi to zwrócić natychmiast! — wrzasnął, wyciągając rękę.

— Jeszcze czego? — odparł chłodno Neale, chowając papiery. — Wiem przecież, że znajdę tu pańską korespondencję z Lee.

W tej chwili Coffee sięgnął po pistolet, ale cios pięści Neale‘a rozciągnął go na ziemi, zanim zdążył wyjąć broń, która wypadła mu z ręki. Neale pochwycił ją niezwłocznie.

— Panowie Coffee i Blake są zwolnieni ze służby! — oświadczył wzgardliwie. — Proszę zabrać swe rzeczy i natychmiast opuścić obóz.

W dwa tygodnie później koła pierwszego pociągu roboczego zadudniły na wybudowanym z niesłychanym pośpiechem moście Nr. 10. A w

niewiele dni potem zatrzymał się przy nim pociąg o wyglądzie już zupełnie odmiennym. W składzie jego znajdowały się same wagony osobowe, wśród których wyróżniały się dwa szczególnie komfortowe, wiozące generała Lodge‵a i dyrektorów Kolei Zjednoczonego Pacyfiku. Maszynę tego pociągu zdobiło mnóstwo sztandarów, a jej kierowca, stając przed pierwszym przęsłem, puścił w ruch syrenę, która ryknęła przeciągle, salutując nową konstrukcję, gdyż zbudowanie mostu Nr. 10 stało się wielkim wydarzeniem.

Pociąg przebył wolno most i zniknął z oczu patrzących nań robotników. Po południu zaś ukazał się znowu i wśród przeraźliwych gwizdków parowozu zatrzymał się przy obozie. W chwilę potem nadbiegł goniec generała Lodge'a, wzywając doń Neale'a, i młody inżynier, zebrawszy wszystkie niezbędne dokumenty, jak stał, zabłocony i mokry od potu, udał się do salonowego wagonu dyrektorów.

Znajdowało się tam czterech ludzi zaledwie — generał Lodge oraz panowie Warburton, Rogers i Rudd, ale Neale, wchodząc, poczuł, że chwila ta odegra doniosłą rolę w jego życiu. W zachowaniu generała bowiem była owa wielka powaga, jaką okazywał zawsze, gdy miał do czynienia ze sprawami donioślejszego znaczenia.

— Panowie poznają zapewne inżyniera Neale‵a — rzekł szef donośnym głosem.

Trzej dyrektorzy skinęli głowami potakująco. Warburton przy tym uścisnął serdecznie dłoń Neale‵a i, zwyczajem ludzi starszych, odstąpił nieco, aby przyjrzeć mu się dokładniej.

— Czy go poznaję? Ma się rozumieć — zahuczał basem. — Poznaję naszego młodzieńca, chociaż wychudł przeraźliwie i zestarzał się nieco.

— Trudno się temu dziwić — wtrącił inżynier naczelny. — Pan Neale dokonał przecież naprawdę wielkich rzeczy i pracował za dziesięciu.

— A przecież jednak zdarzyło się kiedyś, że porzucił nas pan — ciągnął dalej Warburton. — To było nieładnie. Ja zawsze lubiłem pana i byłbym... No, ale nie mówmy już o tym. Dzięki Bogu, jest pan znowu z nami.

— Żałuję bardzo, że tak postąpiłem, panie dyrektorze — odparł szybko Neale. — Ale cóż? Taki już mam charakter. Popędliwy jestem, panie dyrektorze.

Warburton uśmiechnął się.

— To mnie wcale od pana nie odstręcza. Sam jestem taki, a generała Lodge‵a znam również jako bardzo popędliwego. Musi nim być każdy, który ma coś w życiu do zrobienia. A teraz, panie Neale, radzi byśmy posłuchać pańskiego opowiadania.

Neale spojrzał na trzymane pod pachą dokumenty, po czym wzrok jego przeniósł się na generała Lodge‵a, na którego twarzy widniał w tej chwili uśmiech.

— No, niechże pan opowie nam na przykład o panach... Blake'u i Coffee'em — zachęcił go naczelny inżynier.

— Alboż nie stawili się u pana generała? — zdumiał się Neale.

— Nie. Ani u mnie, ani u Henney'a, który sam ich przecież polecił.

Neale pokręcił głową.

— No, więc powiem już, że w stosunku do nich wykazałem również znaczną popędliwość.

— Proszę — odezwał się Warburton. — Niech pan opowie nam, jak to było, a my już postaramy się wyciągnąć stąd odpowiednie wnioski.

Dla Neale'a była to dość ciężka chwila, teraz bowiem zdawało mu się, że postąpił z dwoma inżynierami w sposób niezupełnie odpowiadający powadze misji, jaką go obarczono. Przypomniał sobie jednak ofiarowywaną mu przez Blake'a łapówkę i znowu ogarnął go gniew.

— Wyrzuciłem ich obu precz z obozu — oświadczył. — Blake bowiem usiłował mnie przekupić, abym nie podnosił sprawy ich łajdackich konszachtów z dostawcą Allisonem Lee, a Coffee uciekł się do pogróżek i chciał do mnie strzelać.

Warburton uśmiechnął się szeroko.

— Eh, panie Neale — rzekł. — Wydaje mi się, że w danym wypadku popędliwość pana zasługuje wyłącznie na pochwałę. Proszę teraz powiedzieć nam coś o tych konszachtach pańskich poprzedników z dostawcą. Bardzo mnie to interesuje.

Neale wyjawił wszystko, co wiedział, poczynając od stwierdzonej przez siebie złej woli obu zwolnionych inżynierów w stosunku do wykonywania szczegółów jego planu aż do stawiania filarów mostu przy świadomym pozbawieniu ich należytej podstawy i kompromitującej korespondencji z Allisonem Lee.

Warburton mienił się na twarzy podczas tego opowiadania.

— Znowu więc to samo! — krzyknął gniewnie. — Nie, panie Lodge. Tu trzeba działać stanowczo i zdecydowanie. Musimy skończyć z tym nareszcie.

— Sam tak myślę — oświadczył spokojnie generał Lodge.

On nie przejmował się już tymi sprawami. Większe i drobniejsze szacherki różnych osobników, którzy tuczyli się kosztem Kolei Zjednoczonego Pacyfiku, nie były dlań żadną nowością. Teraz nareszcie miał możność dostarczenia dowodu jednej z nich dyrektorom, a ich rzeczą już było wyciągnięcie odpowiednich wniosków.

A Warburton tymczasem uległ paroksyzmowi szalonego gniewu i miotał się po całym wagonie, jakby w poszukiwaniu czegoś, na czym mógłby wywrzeć swój gniew. Z ust jego padały przekleństwa, ręce raz po raz zaciskały się groźnie, a twarz oblewała się szkarłatem lub bladła na przemian. W pewnej chwili zatrzymał się przed generałem Lodgem i grzmotnął pięścią w stół.

— Ci łotrzy przecież utopili w błocie trzysta tysięcy dolarów! — zagrzmiał. — I to nie po raz pierwszy! Nie oni jedni! Mój Boże! Ileż robót wykonywało się po to tylko, aby na pełnić czyjeś kieszenie złotem! Oto co doprowadza mnie do wściekłości. Czy można pracować, kiedy dokoła mamy tylu złodziei? Eh, panie Lodge! Dlaczego pan od razu nie przysłał tu Neale'a?

Na okrytej siecią zmarszczek twarzy naczelnego inżyniera legł cień. Dlaczego? Przez głowę przemknęła mu myśl, że z równym powodzeniem można by go zapytać, czemu nie uczynił tysiąca innych rzeczy. Nie dał jednak żadnej odpowiedzi rozjuszonemu dyrektorowi.

— Trzysta tysięcy dolarów! — rozpaczał Warburton.
Dwaj pozostali dyrektorzy wybuchnęli śmiechem.
— Wielka rzecz — zauważył Rogers. — Bywały już gorsze nadużycia. Czy zapomniał pan o nich?
Spokojna ta uwaga uśmierzyła nieco gniew Warburtona, który usiadł z ciężkim westchnieniem.
— Mam nadzieję, że wybaczy mi pan ten wybuch gniewu — rzekł pojednawczo. — Zeznania naszego młodego przyjaciela wytrąciły mnie z równowagi. No, trudno. Stary już jestem i zgorzkniały, a takie sprawki wpływają jak najgorzej na moje usposobienie. Rozumiem jednak, że trudno jest ustrzec się od złodziei. Ale wróćmy do rzeczy. Może zechce pan, generale, zaprosić tu pana Lee i jego przyjaciela, senatora Dunna. Powiemy im kilka słów prawdy.
— Nareszcie — zauważył generał z widoczną ulgą, po czym wyszedł szybko do sąsiedniego wagonu.
Neale poczuł w duszy dziwną rozterkę. Lee! Allison Lee! Sam dźwięk tego nazwiska przyprawiał go o dreszcz nerwowy. Istniał wszak człowiek, noszący nazwisko Lee, a będący ojcem Allie, i Neale wiedział, że musi kiedyś się z nim spotkać.
A w chwili, gdy inżynier naczelny powrócił do wagonu w towarzystwie dwóch elegancko ubranych mężczyzn, Neale w bladej twarzy jednego z nich zauważył ze zgrozą dziwne podobieństwo do rysów swej ukochanej. Nikt nie powitał nowoprzybyłych. W tym położeniu nie mogło być mowy o grzecznościach. Warburton odezwał się pierwszy, a głos jego zabrzmiał zupełnie chłodno i spokojnie.
— Panie Lee! — rzekł. — Oświadczam panu, jako dyrektor Kolei Zjednoczonego Pacyfiku, że, kierując się zeznaniami naszego tu obecnego inżyniera, unieważniliśmy kontrakt z panem. Odtąd więc przestaje pan być naszym dostawcą.
Bladość twarzy Allisona Lee ustąpiła purpurze. W jego oczach zamigotały skry gniewu. I Neale nie wątpił już, że ma przed sobą ojca Allie. Jej oczy przecież w chwilach nagłego wzruszenia miotały takie same płomienie.
— Panie Warburton! Pożałuje pan jeszcze swych dzisiejszych słów. Ja mam bardzo rozległe wpływy — zabrzmiało pełne pogróżki ostrzeżenie.
— Drwię sobie z pańskich wpływów! — ryknął Warburton, znowu wpadając w szał gniewu. — Przemawiam w imieniu budowniczych, dyrektorów i właścicieli Kolei Zjednoczonego Pacyfiku. Ma ich pan przed sobą wszystkich.
— Tak! — wybuchnął Lee. — Zwłaszcza tego niedorostka, który mieni się inżynierem, a zna się zaledwie nieco na miernictwie. Zdumiewa mnie, że panowie polegają na jego zdaniu. Jak można...
Warburton wyciągnął dłoń i Allison Lee urwał nagle, a Neale poczuł się wzruszony do głębi duszy. Coś szeptało mu, że w tej chwili mają się rozstrzygnąć losy iego życia. Potwierdzenie tego przekonania widział również w uśmiechu, błądzącym na surowej twarzy generała Lodge'a.
— Panie Lee i senatorze Dunn! — rzekł uroczyście Warburton. — Chciałbym przerwać już tę jałową rozmowę. W tym celu wiec pozwolę

sobie oświadczyć wam. że pan Neale z chwilą zakończenia budowy Kolei Zjednoczonego Pacyfiku obejmie stanowisko jej naczelnego inżyniera.

Rozdział XXIII

Niedługo potem Neale powrócił do Benton i, osiedliwszy się tam, począł znowu pędzić podwójne życie, za dnia dokonując wycieczek wzdłuż toru w celu badania jego stanu, a wieczorami włócząc się po różnych zakładach rozrywkowych miasta.

W końcu miesiąca zawezwano go depeszą do Omaha. Telegram był podpisany przez Warburtona, musiało zatem chodzić o coś ważnego, Neale więc pojechał niezwłocznie. Po przybyciu na miejsce zastał zdumiewającą zmianę. Omaha stało się już prawdziwym miastem. Ale Warburtona nie było. Pojechał, jak się okazało, do Nowego Jorku, pozostawiwszy Neale'owi polecenie zaczekania do jego powrotu.

Czas ten zużył Neale na bliższe zapoznanie się z ludźmi, z którymi miał mieć dużo do czynienia w przyszłości. W rozmowach z nimi i w rozgwarze ludnego miasta znalazł częściową przynajmniej ucieczkę od bólu, co wciąż szarpał mu duszę. Niektórzy z tych nowych znajomych stali się niebawem jego przyjaciółmi i zapraszali go do siebie często, tak że pobyt w mieście Omaha był dlań i zapomnieniem i przyjemnością, a jednocześnie przynosił mu wyraźna korzyść.

Ale po kilku dniach nadszedł od Warburtona nowy telegram, wzywający go tym razem do Waszyngtonu, i Neale wyruszył niezwłocznie w nową, długą podróż. Zabrało mu to całe dwa dni, w ciągu których wydawało mu się, że znaczenie jego wzrasta jakoś dziwnie, a nadspodziewanie, co rozśmieszyło go wreszcie. Wszystko to przypominało raczej sen, niż jawę.

Przybywszy do wymienionego w telegramie hotelu, zastał tam Warburtona, który powitał go serdecznie.

— Naraziłem pana na trudy uciążliwej podróży dla sprawy względnie niewielkiej — oświadczył szczerze. — Sądziłem, że będę pana tu potrzebować dla wyjaśnienia niektórych szczegółów budowy... Zdołaliśmy, widzi pan, uzyskać nową pożyczkę, a zatem ukończenie Kolei Zjednoczonego Pacyfiku jest już zapewnione.

Tego samego dnia jeszcze zaprosił Neale'a na obiad, a potem do klubu, gdzie przedstawił go wielu znacznym osobistościom. Młody inżynier więc uważał, że podróż do stolicy opłaciła mu się sowicie. A rozmowy z senatorami, członkami Kongresu i przedstawicielami rządu wprawiły go w zdumienie. Nie spodziewał się, że wszyscy ci dostojnicy posiadają tak dokładne wiadomości co do budowy Kolei Zjednoczonego Pacyfiku. Zadawano mu przy tym mnóstwo pytań, ale on odpowiadał na nie z wielką

oględnością, stosując się całkowicie do wskazówek, otrzymanych od Warburtona.

Słuchał za to uważnie, zdumiewając się, że w stolicy właśnie znajduje się główny nerw budowy wielkiej kolei. Tutaj przecież żyli i działali wszyscy ci eleganccy, cicho mówiący i ćmiący kosztowne cygara ludzie, których Warburton wraz ze swymi dyrektorami zdołał pozyskać dla dokonania wielkiego dzieła. Ale cóż za przepaść dzieliła tych panów od budowniczych kolei! Jakże olbrzymia różnica była między siwowłosym Warburtonem a jego dzisiejszymi towarzyszami, co spijali drogie wina i świecili brylantami na palcach! Neale w duchu porównywał z nimi swych współpracowników, przekonywając się, że mogą być jeszcze większe różnice. Ale cóż? Przedstawiciele każdej sfery byli jednakowo potrzebni w zbiorowym życiu społeczeństwa. Ci obywatele stolicy, dzierżący w swych rękach nici wielu interesów, rozmawiali o pieniądzach i złocie równie lekko, jak każdy robotnik kolei mógł mówić o żwirze czy piasku, a cały sposób ich zachowania cechowała swoboda, którą daje tylko pewność własnego znaczenia i siły.

Skończyły się wreszcie dni pobytu w Waszyngtonie i pewnego wieczora Neale odprowadził na stację Warburtona, który udawał się do Nowego Jorku.

— Wyruszy pan z powrotem, jak było umówione, jutro — rzekł mu na pożegnanie Warburton. — Mam nadzieję, że niebawem zobaczymy się znowu, ale już w Utah, gdyż tam nastąpi połączenie obu torów. Och! Cóż to będzie za dzień! Co za godzina! — Lata upłyną, a data tego zdarzenia będzie świętowana w całych Stanach Zjednoczonych.

Nazajutrz więc i Neale opuścił Waszyngton, udając się z powrotem do Benton przez Omaha. Dotarł tam w nocy, ale w kolejowym mieście obie połowy doby odznaczały się jednakowym ruchem. Noc zaś była może jeszcze więcej gwarna, niż dzień. Tym razem jednak ten ruch nocny miał w sobie coś niezwykłego. Mnóstwo ludzi dążyło w stronę stacji, i Neale z wielką trudnością torował sobie drogę wśród tłumu. Pytał też przechodniów o przyczynę owego zagadkowego pośpiechu i po wielu próbach bezowocnych otrzymał wreszcie odpowiedź.

Były to ostatnie dni istnienia miasta Benton.

Teraz zrozumiał wszystko. Olbrzymie obozowisko osiągnęło szczyt swej zawrotnej kariery. Teraz nie było już nikomu potrzebne. Falanga pasożytniczej ludności porzucała je w popłochu, aby zająć nowe kwatery w innym mieście namiotów, obecnie już zapewne rozbijanym pośpiesznie o wiele mil dalej, w miejscu budowy ostatnich odcinków gigantycznego szlaku.

Drewniane domy, których wnętrza lśniły niegdyś od przepychu, dzisiaj stały pustkami. Okna ich były zabite deskami i przypominały oczy człowieka, pogrążającego się w wieczny sen śmierci.

Na wielu ulicach, dawniej rojnych i pełnych wrzawy, dziś nie było już ani jednego przechodnia.

Neale wlókł się tymi pustymi zaułkami w kierunku swego zajazdu, targany wspomnieniami o Allie. Hen daleko, poza obozem, zarysowywały się szczyty okolicznych wzgórz, tak samo, jak dawniej, tajemniczych i

milczących. Och! Gdybyż miał pewność, że jego ukochana znajduje się gdzieś wśród nich, żywa czy umarła! Świadomość tego byłaby dlań niewypowiedzianą ulgą.

Ale życie pulsowało jeszcze w żyłach tego dziwnego tworu, który nosił nazwę miasta Benton. Okna niektórych większych zakładów rozrywkowych były oświetlone rzęsiście i blask ten magiczny zwabił wreszcie Neale'a do jednego z nich. Była to sala gry i młody inżynier spotkał w niej wielu ludzi, z którymi niejeden raz już siedział przy zielonym stoliku.

Teraz również wciągnięto go do gry. Oddał się jej, jak zwykle, z całą namiętnością, gdy nieoczekiwanie biała rączka kobieca dotknęła jego ramienia. Usłyszał wymówione szeptem swe nazwisko i, odwróciwszy się, zobaczył zarumienioną i dziwnie promienną twarz panny Stanton.

Rozdział XXIV

W dniach, kiedy w Benton odbywały się wypłaty, Durade zamykał swą brankę, nie pozwalając jej wcale ukazywać się na sali ogólnej. A wówczas Allie czuła się jeszcze gorzej, nie mogąc zmrużyć wieczorem oczu wskutek nieustannego zgiełku, jaki rozlegał się tuż za ścianą. Słuchając ordynarnych wrzasków pijackich, gorączkowych nawoływań szulerów oraz brzęku złota i szklanek, rozróżniała wśród nich niekiedy głosy kobiet, zastanawiając się w swej niewinności nad przyczyną, która mogłaby sprowadzić niewiasty do tego strasznego przybytku gry i alkoholu.

Leżała po ciemku, modląc się, aby jak najprędzej zaświtał nowy dzień, uwalniając ją od tego straszliwego sąsiedztwa. A nazajutrz rano lustro przypominało jej o okropnościach nocy. Widziała w nim swą twarz bladą śmiertelnie i pałające niezdrowym blaskiem oczy, otoczone sinymi obwódkami.

Pewnego razu po takiej nocy, gdy zaledwie zdążyła się obudzić, choć było już dobrze po południu, wszedł do niej Durade, przynosząc śniadanie. Twarz miał zmęczoną, ale jaśniejącą radością. Widać było przy tym, że jest zaprzątnięty własnymi myślami, gdyż nie zauważył nawet przerażającej bladości Allie.

— Ten głuchoniemy głupiec, który ci posługiwał, poszedł sobie — rzekł. — Wczoraj był w Benton dzień wypłat i wielu wyjechało... Wyobraź sobie, Allie, że wygrałem pięćdziesiąt tysięcy dolarów w złocie.

— Czyż to nie dosyć jeszcze? — spytała.

Nie zwrócił na jej słowa żadnej uwagi, a może nie słyszał ich wcale, i zaczął opowiadać bezładnie o przebiegu wczorajszej gry, o swych sukcesach i o niebywałej wprost wysokości stawek. Wargi mu przy tym drżały, a zakrzywione, na kształt szponów drapieżnego ptaka, palce darły nerwowo powietrze.

Allie westchnęła z ulgą, gdy ją opuścił. Widok jego sprawiał jej teraz większą, niż zazwyczaj, przykrość, czuła bowiem, że ten człowiek osiągnął szczyt swego powodzenia. Teraz już musiało się dlań zacząć zbliżanie nieuchronnego końca.

Wieczorem Durade zawezwał ją znowu na salę. Poszła posłusznie, spuszczając nisko oczy, aby nie spotkać się ze spojrzeniami zebranych tam mężczyzn. Dziwiło ją tylko nieco, że tym razem goście zachowują się o wiele spokojniej, niż zwykle. Wprędce Durade polecił jej podać trunki, a niezwłocznie potem wszczął z towarzyszami bardzo ożywioną, niemal wesołą rozmowę.

Allie, stawiając tacę z napojami na wielkim stole usłyszała, jak ktoś wyszeptał z cicha:

— Cóż to za dziewczyna? Widzisz, Hough?

Po tych słowach nastąpiło urwane westchnienie i krótki okrzyk:

— O Boże!

Przeraziło to ją bardzo, powróciła więc szybko na swe zwykłe miejsce przy bufecie i upłynęła dłuższa chwila, zanim, ośmieliła się rzucić dokoła spojrzeniem. Zobaczyła wówczas, że Durade gra w karty z czterema mężczyznami, z których trzej, zwyczajem zawodowych szulerów, mieli na sobie czarne ubrania. Czwarty był ubrany w szary strój i dziwaczny kapelusz, ozdobiony szeroką wstążką. Zdjął go niezwłocznie, pochwyciwszy spojrzenie dziewczyny, i Allie domyśliła się od razu, że on to właśnie wygłosił przed chwilą uwagę dotyczącą jej osoby.

Zauważyła też, że mężczyzna ten wygląda na Anglika. Miał przystojną, a dziwnie smętną twarz i zmęczone, błękitne oczy oraz jasne wąsy, zakrywające ładnie wykrojone usta. Nie patrzył na nią więcej i grał niechętnie, bez śladu żywszego zainteresowania, jakby myśli jego były zajęte innym, ważniejszym przedmiotem.

— Ile dobierasz, Ancliffe? — zagadnął go któryś z czarno ubranych panów.

Anglik rzucił na stół trzymane w ręce karty.

— Żadnej — oświadczył krótko.

W chwilę potem przerwali grę i powstali, nasłuchując wrzawy, jaka rozległa się w pokoju sąsiednim, będącym publiczną salą gry zakładu Durade. Wśród przeraźliwych okrzyków i odgłosu ciężkich kroków załoskotał nagle złowrogo wystrzał z pistoletu.

— Znowu awantura — zauważył z niesmakiem Durade. — Przepraszam panów — dodał, zwracając się do towarzyszy, i wyszedł szybko.

W ślad za nim wyszli dwaj inni. Przy stoliku pozostał tylko Anglik z ostatnim z czarno ubranych panów. Rozmawiali przez pewien czas półgłosem, po czym powstali zgodnie i obydwaj podeszli do Allie. Towarzysz Anglika przemówił pierwszy.

— Nazywam się Place Hough — oznajmił, przedstawiając się grzecznie. — Słyszałem już dużo o pani, a teraz, korzystając ze sposobności, pragnąłbym dowiedzieć się, ile jest w tych plotkach prawdy.

Serce Allie zabiło żywiej w piersi. Zadrżała nerwowo, spoglądając bacznie na tego nowego znajomego. Kiedy siedział przy stole, wówczas wydawało się jej, że jest takim samym eleganckim i opanowanym szulerem, jak dwaj jego towarzysze. Z bliska sprawiał już zgoła odmienne wrażenie. Jakaś dziwna łagodność zdawała się przeglądać spod zimnej, zastygłej maski. Spojrzenie miał niezwykle jasne, obdarzone jakąś szczególną magnetyczną siłą. Malowało się w nim zdumienie w połączeniu z ciekawością i sympatią.

I Allie zupełnie odruchowo powzięła doń zaufanie.

— Och, proszę pana! — wyszeptała. — Sama już nie wiem, co mam czynić. Umieram ze strachu. Gdybym mogła się ośmielić...

— Ze mną może pani mówić otwarcie — zapewnił ją szybko. — Proszę tylko nie tracić czasu. Czy znajduje się tu pani z własnej woli?

— Och, nie...
— Od razu się domyśliłem, że jest pani dobrą, uczciwą dziewczyną... Kto są rodzice pani?
— Mam tylko ojca. Nazywa się Allison Lee.
— Co takiego?
Place Hough zagwizdał z cicha, spoglądając na stojącego poza nim Anglika.
— Słyszysz, Ancliffe? Ta panienka jest córką Allisona Lee, jednego z najwpływowszych ludzi na Kolei Zjednoczonego Pacyfiku... Coś jest tu nie w porządku.
Począł mówić z nim szeptem i Allie spostrzegła po chwili, że twarz Anglika wyraża zwątpienie i jednocześnie smutek. Uświadomiła też sobie, że ludzie ci istotnie musieli słyszeć o niej, a poczuła również, że nadchodzi dawno oczekiwana chwila.
— Nazywam się Allie Lee, proszę panów — rzekła. — Matka moja uciekła z Durade do Kalifornii. Uwierzyła mu, a on zawiódł jej miłość i zaufanie, bo począł używać jej za przynętę, przyciągającą mu gości do szulerni, teraz zaś mnie używa w tym samym charakterze. Dwa lata temu uciekłyśmy od niego, ale na karawanę naszą napadli Indianie i ja jedna tylko uszłam z życiem. A potem...
— Niechże pani nie opowiada nam tego wszystkiego — przerwał Hough. — Nie ma na to czasu, a ja i tak pani wierzę. Czy Durade trzyma tu panią wbrew jej woli?
— Ależ tak. Ani razu nie dano mi wyjść na ulicę. Nikomu o tym dotąd nic powiedzieć nie mogłam, gdyż Durade zabronił mi rozmawiać z kimkolwiek.
— Niedługo już będzie pani znosić tę niewolę — oświadczył Ancliffe. — Zabierzemy stąd panią.
— No, dobrze. Ale jak? — zagadnął Hough.
— Och, nie przyjdzie to z łatwością! — westchnęła Allie. — Durade zapowiada, że zabije mnie przy pierwszej próbie ucieczki. Przeze mnie poszukuje zemsty na mej matce, którą kochał. Nie wierzy w jej śmierć. A ma całą bandę pomocników, którzy muszą mnie pilnować.
— Może by więc przyprowadzić tu oddział żołnierzy? — rzucił Ancliffe.
— Zginę wówczas na pewno z jego ręki.
— A czy nie moglibyśmy wykraść panią w nocy?
— Wątpię, czy to się uda. Oni nie śpią przecież w nocy, a ja jestem zamknięta i strzeżona czujnie. Lepiej starać się wykorzystać słabość Durade. Złoto. On szaleje za złotem. Gotów byłby przegrać mnie lub po prostu sprzedać w chwili, gdy ogarnia go gorączka chciwości.
Błękitne oczy Hougha zajaśniały chłodnym blaskiem. Otworzył usta, aby przemówić, lecz naraz zmienił zamiar i pociągnął szybko Ancliffe’a do stolika. Pośpiech ten był zupełnie usprawiedliwiony, gdyż w chwili, gdy zdążyli usiąść, weszli dwaj szulerzy, poprzedzeni przez Durade, który zacierał z zadowoleniem ręce.
— Któż tam się awanturował? — zagadnął Hough, obcinając cygaro.
— Jacyś pijacy, którzy nie mogli odżałować straconych pieniędzy — odparł obojętnie Hiszpan.

Gra rozpoczęła się na nowo, lecz Allie zauważyła od razu, że teraz przebieg jej miał inny zupełnie charakter. Hough namyślał się długo przed każdym pociągnięciem, a w chwili kładzenia karty wydawał się uosobieniem czujności i siły zarazem. Ancliffe wyszedł z gry, a jednak zdawał się nią interesować o wiele więcej, niż przedtem. Niebawem okazało się, że Hough dzięki swemu opanowaniu i niezwykłej umiejętności dominuje nad przeciwnikami, rozpalając w nich jednocześnie namiętność do gry. Durade wydawał się najwięcej pozbawiony zapału, chociaż wiodło mu się stosunkowo najlepiej.

Mijały godziny i zapadł wreszcie zmierzch. Durade zawołał o światło. Meksykanin, o kocich ruchach pantery i fałszywym wyrazie oczu, wbiegł, aby wykonać polecenie. Miał pas z wielkim, krzywym nożem i wygląd prawdziwego zbója. Zapaliwszy lampy, zbliżył się do Durade i przemówił doń po hiszpańsku. Durade odpowiedział mu w tym samym języku. Nikt nie wiedział, o czym rozprawiali. Jeden po drugim następnie poczęli przybywać do sali inni pomocnicy Hiszpana stąpając cicho i rzucając dokoła chytre spojrzenia. Jeden z grających wreszcie stracił wszystko i powstał nagle.

— Pozwolą panowie, że pójdę po nowy zapas pieniędzy i powrócę tu za chwilę? — zagadnął.

— Ależ owszem. Prosimy bardzo — odezwał się Hough.

Durade zaś skinął głową z wyraźnym szyderstwem w spojrzeniu.

Gra stawała się coraz namiętniejsza, z każdą chwilą podwyższano stawki, a niebawem drugi partner wyszedł w ślad za pierwszym, oświadczając, że musi sobie pożyczyć gdzieś pieniędzy. Hough i Durade prowadzili dalej grę sami i szczęście zdawało się obdarzać swymi względami każdego z nich po kolei.

W pewnej chwili Hough przerwał grę, uderzając ręką w stół. Uderzenie to zadźwięczało twardym, metalicznym odgłosem, choć dłoń była pusta Ktoś uważny wprawdzie mógłby spostrzec, że w rękawie Hougha tkwi mały pistolet, ale Durade nie widział nic.

— Nie życzę sobie aby ten osobnik kręcił się przy naszym stoliku — rzekł Hough, wskazując na wałęsającego się w pobliżu Fresno.

— Doprawdy? — mruknął olbrzym, spoglądając nań złośliwie.

— Proszę nie odzywać się do mnie — rzucił mu ostro Hugh.

Fresno odszedł w milczeniu, ale Durade zaprotestował nagle.

— On nie przeszkadza nam w niczym — oświadczył. — Ja nigdy nie krępuję się obecnością mych ludzi. Niech się przyglądają grze.

— Ancliffe! — rzekł Hough, nie odpowiadając wcale Hiszpanowi. — Przyprowadź tu kilku naszych przyjaciół, aby również byli świadkami gry. Zawezwij przede wszystkim Neale'a i Larry'ego Kinga.

Anglik wyszedł natychmiast, a Durade rzucił się gniewnie:

— Uprzedzam pana, że ten rudy cowboy ma wzbroniony wstęp do mego zakładu — oświadczył porywczo.

— Żałuję bardzo, ale tym razem będzie pan musiał cofnąć swój zakaz — rzekł chłodno Hough. — Ja też chcę mieć tu kilku przyjaciół. Nie życzę sobie pozostawać osamotniony wśród pańskich ludzi... Muszę zauważyć, że w Benton źle mówią o panu. Pamięta pan Jonesa? Zastrzelono go

przecież właśnie w tym pokoju. Uprzedzam pana jednak, ze nie ujdzie to panu na sucho, gdyby mnie miał spotkać taki sam los.

Hiszpan zatrząsł się z oburzenia, a może strachu. Takiego przeciwnika, jak Hough, nie zdarzyło dotąd spotkać. Allie słuchała z natężeniem tej rozmowy spoglądając jednocześnie na drzwi z nadzieją, że może ujrzy za chwilę Neale'a lub Larry'ego Kinga... Otworzyły się wreszcie, przyprawiając ją o nerwowe drżenie. Wszedł Ancliffe, prowadząc kilku mężczyzn o szybkich ruchach i bystrych spojrzeniach. Nie było jednak między nimi ani Neale'a, ani Kinga. Serce zaciążyło Allie niby ołów. Było to bolesne rozczarowanie. Zobaczyła, że Ancliffe potrząsa przecząco głową jakby dając znak, że nie mógł znaleźć tych, których Hough szczególnie pragnął mieć przy sobie. W chwilę potem zaś poczuła dziwne dla niej samej zadowolenie, ze Neale jej tu nie zobaczy i że Larry nie będzie miał sposobności wdania się w krwawą zwadę z bandą Durade. Może uda się jednak uciec bez gwałtu i rozlewu krwi?

Rzuciwszy znowu okiem na stolik, spostrzegła, że nastąpiła tam pewna zmiana. Teraz grało trzech mężczyzn — Hough, Durade i ktoś nieznany. W chwili gdy patrzyła, ten trzeci uczestnik gry odrzucił karty i, powstawszy z krzesła, w zupełnym milczeniu stanął obok drugiego, ubranego w czarny strój wieczorowy gracza, który od dłuższego czasu tkwił nieruchom o za plecami Hougha. Było coś znamiennego w ich postawach i spojrzeniach, jak również w tern czuwaniu nad Houghem. Szulerzy zrzeszali się przeciwko szulerni.

Durade tymczasem gorączkował się i przegrywał. Stracił już mnóstwo pieniędzy, a wyraz jego twarzy pełny był gniewu. Czoło Hiszpana ociekało potem, kołnierzyk przekręcił mu się na bakier, ręce drżały a na rozgryzionej z wściekłości dolnej wardze wystąpiły krople krwi. Oczy jego nie widziały już nic prócz złota i kart i tej beznamiętnej, jakby wykutej z szarej stali twarzy przeciwnika. Ciasnym kołem otoczyła go banda pomocników, czujnych na każde skinienie swego zwierzchnika i, równie jak on, pożerających oczami leżące na stoliku stosy złota.

Allie udała się wreszcie do swego pokoju i, zostawiwszy drzwi otwarte, słuchała odgłosów gry, na którą patrzeć dłużej już nie mogła. A wierzyła niezachwianie, że Hough wygra od Durade jego cały majątek, po czym postawi go jako stawkę w zamian za ostatnią własność Hiszpana, którą była ona sama. Nie wątpiła też, że i tę stawkę Hough wygra i zastanawiała się jedynie, czy uda mu się ją stąd zabrać. Nastąpi zapewne starcie, ale wówczas musi paść Durade. Ten mężczyzna o twarzy stalowej i przenikliwych oczach w razie oporu nie zawaha się na pewno położyć go trupem.

Słuch Allie pochwycił wreszcie dziwny szmer przeciągły, zdający się być westchnieniem zbiorowym wszystkich, którzy znajdowali się w sąsiedniej sali. Niezwłocznie potem zaskrzypiało przeraźliwie krzesło i rozległ się dźwięczny, chłodny głos Hougha:

— Jest pan skończony, panie Durade!

Allie pobiegła ku drzwiom i przycisnęła się do nich, ogarniając spojrzeniem całą salę. Durade siedział przy stoliku skulony, niby zwierzę, które otrzymało śmiertelny cios. Hough stał wyprostowany zwycięsko przy

stoliku, na którym leżał cały stos złota. Wszyscy inni zastygli w bezwładzie.

— Czy ma pan coś jeszcze do przegrania, panie Durade? — ciągnął dalej Hough.

Hiszpan wtedy dopiero oderwał oczy od połyskującej żółtym blaskiem góry pieniędzy i podniósł się wolno.

— Szydzi pan ze mnie — wyjąkał złamanym głosem.

— Wcale nie. Chcę ofiarować panu całą mą wygraną za dziewczynę, którą pan więzi.

— Pan jest szalony! — wykrzyknął Hiszpan.

— Wiem o tym... Ale do rzeczy! Czy przyjmuje pan mą propozycję?

— Ależ, *senor*! — odparł Durade. — Nie oddałbym tej dziewczyny nawet za wszystkie skarby Indii.

W głosie jego nie było ani wahania, ani niepewności. Propozycja Hougha nie rozbudziła chciwości tego Hiszpana, co tyle przestępstw popełnił już dla złota.

— Dobrze! Może pan jednak postawi ją jako stawkę — zauważył Hough.

Teraz już w głosie jego zabrzmiało wyraźne szyderstwo. Wspaniałym ruchem rozgarnął leżące przed nim złoto na całą szerokość powierzchni stolika. Dusza szulera nie miała dlań żadnych tajników.

Dolna warga Durade zadrżała konwulsyjnie i opuściła się, jakby jej właściciel nie władał już sobą. Wyczuwało się, że w następnej chwili padną wymówione drżącym głosem słowa zgody i skarb, którego nie sprzedano by za żadną cenę, zawiśnie niebawem na szali, dzięki niezrozumiałemu dla wielu zaufaniu, jakie szulerzy pokładają w szczęściu.

— Stawiam całą moją dzisiejszą wygraną — powtórzył wzgardliwie Hough. — Czy pan się zgadza?

Durade drgnął, jakby go przeszył prąd elektryczny.

— Si, senor! — zawołał z radością i mocą zarazem.

W tej chwili, która była niewątpliwie największą w całej jego karierze szulerskiej, powrócił zupełnie może nieświadomie do swego ojczystego języka.

Kierowani wspólną myślą przewodnią Hough i Durade jednocześnie zasiedli przy stoliku. Pozostali znowu otoczyli ich ciasnym kręgiem. Fresno stanął jak najbliżej Hiszpana, ciskając dokoła złowrogie spojrzenia.

Niedługo trwała tym razem gra, a wynik jej obwieścił wszystkim zdławiony krzyk, jaki wydarł się naraz z piersi Hiszpana.

Hough powstał z błyskiem triumfu w oczach.

— Wygrałem, panie Durade! — oświadczył donośnie. — Panowie zechcą zabrać to złoto — dodał, zwracając się ku swym towarzyszom.

I powiedziawszy to, skierował się ku drzwiom pokoju Allie.

— Chodźmy, panno Lee! — rzekł, widząc, że dziewczyna zmierza ku niemu cała drżąca i blada.

Hiszpan w tej chwili spoglądał z rozpaczą na towarzyszy Hougha, w milczeniu zgarniających ze stolika złoto. Niebawem jednak ujrzał Allie, podającą dłoń jego przeciwnikowi, i zmienił się nagle. W błyszczących

chciwością źrenicach zrodziły się czarne cienie. Powstał, wpatrując się w dziewczynę oczami, z których wyzierała groza i nienawiść zarazem.

— Senor! — wyjęknął. — To jest... to jest... nieuczciwość.

— Nie, panie Durade! — odparł twardo Hough. — To jest gra. Pan zgodził się na stawki. Słyszeli to moi przyjaciele i ludzie pana, a byli też przecież świadkami całej gry.

Durade w wybuchu wściekłości niepohamowanej przewrócił stolik i reszta złota, którego nie zdążyli schować przyjaciele Hougha, z brzękiem stoczyła się na ziemię. Ludzie Durade rzucili się chciwie na błyszczące monety. W następnym zaś momencie Hiszpan porwał się na swego zwycięzcę, ale odwaga opuściła go, gdy zobaczył wycelowaną w swe piersi lufę pistoletu Hougha.

— Zastrzel go zaraz — radził Ancliffe.

Nagle jeden z przyjaciół Hougha, pragnąc widocznie nie dopuścić do rozlewu krwi, zerwał wiszącą u sufitu lampę, po czym laską stłukł drugą, pogrążając tym sposobem cały pokój w ciemności. Durade począł nawoływać rozpaczliwie swych pomocników, ale nikt z nich nie kwapił się z pomocą. Wszyscy byli zajęci zbieraniem rozsypanego złota.

Hough i Ancliffe tymczasem, wspomagani przez przyjaciół, utorowali sobie drogę do okna i wyskoczyli przez nie na słabo oświetloną ulicę, uprowadzając Allie. Lecz Durade, pomimo ciemności, zauważył ten manewr i wybuchnął stekiem najbrutalniejszych hiszpańskich przekleństw.

— Fresno! Mull! — ryknął. — Biegnijcie za nimi. Złotem zapłacę wam za tę dziewczynę!

Tą obietnicą udało mu się wreszcie zgromadzić kilku najbliższych pomocników i zachęcić ich do pościgu za zbiegami. Hough i Ancliffe więc, zdążający wraz z Allie na oślep, bez żadnego określonego kierunku, usłyszeli wprędce rozlegający się za nim i tupot ciężkich butów i gniewne okrzyki.

Hough pierwszy pochwycił te odgłosy i zwrócił na nie uwagę towarzyszowi. Ancliffe zaś, jak zwykle, przezorny, upatrzył zaułek, w którego czeluściach zagłębili się z ulgą wszyscy troje. Tutaj można już było zwolnić biegu. Ujęli więc obydwaj pod ramiona dziewczynę i poprowadzili ją ostrożnie, nie wiedząc jeszcze dokładnie, w którą mają skierować się stronę.

A serce Allie wezbrało wdzięcznością. Jakże szlachetnie i po rycersku ci dwaj nieznajomi mężczyźni podążyli jej na pomoc? Jak szybko postanowili wziąć ją w obronę? Przecież zdążyli zamienić z nią kilka słów zaledwie, a zapewne nie wiedzieli wiele o jej życiu. Postanowiła więc uczynić im wyznanie. Potrzebowali go wszakże, bodajby jako wskazówki do dalszego postępowania.

— Muszę panu powiedzieć coś... och, muszę — szepnęła, pochylając się ku Houghowi. — Słyszałam, że kazał pan zawezwać Neale'a i Larry'ego Kinga... Och, jakże serce mi wówczas biło!... Neale... Warren Neale jest moim narzeczonym... O!... Proszę zobaczyć... Mam na palcu jego pierścionek... A Reddy King jest mym najlepszym przyjacielem... bratem prawie.

Hough dotknął ręką pierścionka na palcu Allie, po czym zwrócił się do Ancliffe'a.

— No, widzisz? — zawołał. — Ja zawsze czułem, że znajduję się na właściwym tropie przyczyny zmartwień Neale'a. Teraz zaś widzę, że miałem rację. Ta panienka jest jego narzeczoną.

— Doprawdy? — wykrzyknął Ancliffe.

— Tak. Posłuchaj teraz. Będziemy musieli podzielić nasze siły. Ja postaram się wstrzymać bandę Durade, a ty zaopiekujesz się dziewczyną. Dasz rady?

— Możesz o tym nie wątpić — odparł Anglik. — Dokąd mam ją zabrać?

— Dokąd? Czekaj! Chyba do obozu wojskowego. Nie! To będzie za daleko. Aha! Zabierz ją do panny Stanton. Ona najlepiej ukryje dziewczynę. Potem odnajdziesz Neale'a i Kinga.

Powiedziawszy to, zwrócił się do Allie.

— Dobrze się stało, że powiedziała mi pani o Neale'u — rzekł z dziwną łagodnością w głosie. — Znam go i lubię bardzo. Ancliffe wyprowadzi stąd panią i da mu niezwłocznie znać. A zatem do widzenia na razie!

Ancliffe pociągnął za sobą Allie, nie dając jej nawet pożegnać się z tym szlachetnym człowiekiem, który zmarnotrawił życie na szulerce, a jednak zdołał zachować wielkie, pełne rycerskich porywów serce. Pozostał teraz na czatach, aby osłonić im odwrót, oni zaś pobiegli naprzód, słysząc, że u wejścia do zaułka odzywają się już głosy pościgu.

Trzask deski pod stopą Ancliffe'a w dał siepaczom Durade kierunek, w którym uchodzili zbiegowie, i cała banda rzuciła się w tę stronę. Niebawem rozległ się huk wystrzału. Allie usłyszała zgrzyt kuli, wdrążającej się w deski płotu. W chwilę potem strzelił Hough i gdzieś w oddali zabrzmiał bolesny jęk. Niebawem zaś załoskotały inne wystrzały. Allie oswoiła się już z ciemnością i widziała wyraźnie opartą o pień drzew a postać Hougha. Teraz sypał się nań cały grad kul. Jedna ugodziła go wreszcie. Allie, stojąc wraz z Ancliffem w ukryciu za załomem płotu, spostrzegła z przerażeniem, że jej wybawiciel zachwiał się nagle. Poczuła raczej, niż zobaczyła, że w tej chwili ugodziła go nowa kula i ogarnęła ją straszna rozpacz. Hough teraz był już otoczony ze wszystkich stron i raz po raz błyskały wokoło niego ogniste węże wystrzałów.

Dłużej jednak patrzyć nie mogła, Ancliffe bowiem porwał ją za ramię i przemocą niemal wciągnął za sobą w otwór między deskami wysokiego płotu. Allie zaledwie zdążyła spojrzeć za siebie raz jeszcze. Zobaczyła, że Hough słania się, jakby miał niebawem upaść. W chwilę potem zaś, gdy odbiegli nieco, usłyszała huk kilku nowych wystrzałów i odgłos upadku czegoś ciężkiego, a potem tupot szybko biegnących stóp.

Któryś z prześladowców m usiał natrafić na otwór w płocie i dopędzał zbiegów. Ancliffe zatrzymał się i podążył mu niezwłocznie na spotkanie. W chwili następnej Allie ujrzała w zmroku zarysy dwóch zmagających się mężczyzn. Usłyszała przekleństwa, wypowiadane w dźwięcznym języku hiszpańskim, i zamarła z grozy, myśląc, że to Durade napadł na Ancliffe'a.

Niebawem jednak, wytężywszy wzrok, poznała Meksykanina, który służył u Durade. W ręce jego tkwił długi nóż.

I jednocześnie Allie jęknęła z przerażeniem, gdyż ostrze noża zabłysnęło nad głową jej jedynego już obrońcy. Zamknęła oczy, ale niebawem otworzyła je na odgłos upadku czyjegoś ciała. Nie wątpiła, że tym razem nadchodzi zguba ostateczna. Westchnęła radośnie widząc przed sobą Ancliffe'a. Stał przed nią, chwiejąc się z lekka. W ręce trzymał długi, zakrwawiony nóż, który ukrył niezwłocznie pod płaszczem.

— Chodźmy! — rzekł dziwnie słabym głosem.

Idąc krokiem przyśpieszonym, wydostali się na jakąś inną ulicę, zalaną światłem, płynącym z okien dużego domu. Tu słuch Allie pochwycił inne zupełnie odgłosy dźwięki muzyki i szelest stóp, posuwających się w rytmie tanecznym po gładkich deskach sali tańca. Biegła jednak naprzód, zaledwie mogąc dotrzymać kroku Ancliffe'owi, który nie odezwał się do niej ani razu.

Zatrzymali się wreszcie na rogu ulicy, przy budynku, którego okna całe jarzyły się od świateł. Ancliffe otworzył drzwi i wepchnął dziewczynę do rozległego, urządzonego ze zbytkiem przedsionka, po czym idąc krokiem coraz to mniej pewnym, wprowadził Allie do rzęsiście oświetlonego, niewielkiego saloniku. Siedziała tu jakaś Murzynka, która na widok Ancliffe'a zerwała się zaraz z fotela. Na twarzy jej znać było przerażenie.

— Zawołaj prędko pannę Stanton! — rzekł Ancliffe, rzucając jej złotą monetę. — Nikogo więcej! Pamiętaj!

Upadł raczej, niż usiadł. Twarz miał teraz bardzo bladą i oczy przymykały mu się dziwnie. Wpół leżąc na miękkiej, niskiej kanapce, odsłonił część płaszcza i Allie zobaczyła, że z jego piersi płynie krew.

— Mój Boże! — zawołała boleśnie. — Przecież pan jest ranny.

Na bladej twarzy Ancliffe'a zaigrał słaby uśmiech.

— Proszę... już.... nie troszczyć się... o mnie — rzekł przerywanym głosem. — Gdyby... gdyby... panna Stanton nie nadeszła w porę... niech pani powie jej, że... że musi... odnaleźć... Neale'a.

Allie poczuła, że ogarnia ją niewypowiedziany żal. Mówić jednak nie mogła. Wpatrywała się tylko całą mocą swego wzroku w tego rycerskiego przyjaciela, którego życie, jak i tamtego, miało niebawem stać się okupem jej wolności. Jego spojrzenie również nie odrywało się od postaci dziewczyny, a na twarzy widniał mu uśmiech, mający wyraz już nie cielesny, lecz raczej duchowy.

Wprędce potem Allie usłyszała szelest jedwabi. Drzwi otworzyły się i zamknęły z powrotem. Do saloniku weszła majestatycznie piękna kobieta z obnażonymi ramionami, na których połyskiwały migotliwie brylantowe bransolety. Jej wielkie, ciemnobłękitne oczy, w których czaił się smutek, spoglądały pytająco to na Allie, to na Ancliffe'a.

— Go się stało, panie Ancliffe? — zawołała. — Pan jest blady, jak upiór. Co takiego? Krew? O, mój Boże!

Uklękła przy nim.

— Jestem ranny... śmiertelnie — wyszeptał umierający. — Hougha zastrzelono. Niech pani mi nie przerywa... Chcę zdążyć jeszcze... Pamięta pani, że wszyscy interesowaliśmy się tą dziewczyną, którą trzymał u siebie Durade... Oto ona... Hough wygrał ją w karty... Potem napadli na nas

ludzie Durade... A ona jest zaręczona z... Nealem... Proszę więc... proszę... obiecać, że znajdzie go pani dla niej.

— Obiecuję — odparła szybko panna Stanton. — Obiecuję solennie. Och, jakież to wszystko jest dziwne! Ale pan... Och, czemuż zamyka pan oczy? Proszę przemówić do mnie. O, Boże! On umiera.

Istotnie, na twarzy Ancliffe'a wystąpiła lekka, zaledwie dostrzegalna zmiana. Było to niezawodnie skutkiem odprężenia woli, która trzymała go przy życiu. Wkrótce potem głowa jego pochyliła się na piersi i całe ciało opadło ciężko. Ancliffe skonał.

— Nie żyje — wyszeptała; panna Stanton, podnosząc się z klęczek z wyrazem niezwykłej powagi na twarzy. — Nie żyje. Nikt z nas nic o nim nie wiedział. Nie znaliśmy nawet jego prawdziwego nazwiska. A jednak każdy krok jego cechowała rycerskość. Widzieliśmy przecież, że umarł jak prawdziwy gentleman.

Westchnęła z lekka, po czym wzięła za rękę oblewającą się łzami wzruszenia Allie i zaprowadziła ją do skromnej sypialni. Tutaj posadziła wyczerpaną wszystkimi przejściami tego wieczora dziewczynę na niskim foteliku, spoglądając na nią z bezmierną głębią uczucia, na jaką może się zdobyć jedynie cierpiąca kobieta.

— Czy jesteś narzeczoną Neale'a, dzieweczko? — spytała łagodnie.

— Och, tak!... — szlochała Allie. — Proszę dać mu o mnie znać jak najprędzej.

Jakże długo wahała się z odpowiedzią piękna panna Stanton! Biała dłoń jej długo gładziła główkę Allie, lecz usta milczały.

— A Neale sądzi, że ona nie żyje — wyszeptała wreszcie głosem złamanym, lecz niebawem rzekła głośno: — Dobrze. Postaram się go zaraz zawiadomić, abyście mogli się połączyć.

Wstała i w oczach jej nie było już dawnych cieni. Teraz błyszczały w nich łzy.

— Dobrze, panno Allie — powtórzyła głosem podobnym do westchnienia. — Proszę nie obawiać się niczego. Odnajdę go przez wzgląd na pani dobro.

Odeszła z tęsknym uśmiechem na pięknej twarzy, zamykając za sobą starannie na klucz drzwi i niebawem zamarł w oddali wspaniały szelest jej jedwabnych sukien.

Rozdział XXV

Miasto Benton pośpiesznie likwidowano. Białe płócienne namioty zwijano, a składane drewniane domy rozbierano na części, ładując to wszystko do wagonów, które miały przewieźć szczątki kolejowej stolicy do następnego obozu budowlanego. Miasto Benton przeżywało swą ostatnią noc. Jego istnienie się kończyło. W ciągu następnych czterdziestu ośmiu godzin miała zniknąć z powierzchni ziemi reszta jego budynków. Po upływie tego czasu mogły tu pozostać jedynie sterty gruzów, połamanych desek i śmieci, świadczące swoją obecnością, że niegdyś znajdowało się tu rojne ludzkie osiedle.

Działały jednak jeszcze, rozbrzmiewając głośnymi odgłosami wrzawy, zakłady rozrywkowe i panna Stanton poszła szukać Neale'a w uczęszczanej szulerni, zwanej „Big Tent".

W obszernym przedsionku tego przybytku gry było pełno ludzi, a w sali panował wprost niebywały ścisk. Wszystkie stoliki obsiedli mężczyźni odziani w czarne, eleganckie ubrania. Gra toczyła się przeważnie o wysokie stawki.

Panna Stanton wkroczyła do tej zatłoczonej sali w pełni blasku urody, który powrócił jej nagle. Rozglądała się dokoła swymi wspaniałymi, ciemnobłękitnymi oczami, poszukując Neale'a. Ale teraz w spojrzeniu jej nie było już namiętności. Pobudki, jakimi się kierowała, były zupełnie czyste. Chciała jedynie zdobyć sobie jego przyjaźń, zasłużyć na wieczystą wdzięczność.

Zobaczyła wreszcie Neale'a. Siedział przy jednym licznych stolików i grał, nie patrząc na nikogo. Miał ponury wyraz twarzy i posępnie zmarszczone czoło.

Postąpiła jeszcze o kilka kroków dalej i stanęła za jego krzesłem. Niektórzy z grających powitali ją poufale, a ona odpowiadała im wdzięcznym uśmiechem, co było zwykłym jej obowiązkiem. Wreszcie i Neale skłonił się grzecznie, ale zimno. Jej serce zaś ruch ten przeszył bólem. Uprzejmość i obojętność. Nic więcej.

Pozbyła się jednak wprędce żalu, gdyż cała jej dusza tętniła radością. Miała przecież za chwilę wyrwać tego umiłowanego człowieka z bagna rozpusty obozów, doręczyć mu jego największy skarb i marnotrawioną jałowo energię skierować ku zakończeniu wielkiego dzieła twórczego.

Pochyliła się nad nim cała drżąca ze szczęścia.

— Panie Neale! — szepnęła miękko. — Proszę pójść ze mną.

Młody inżynier zamiast odpowiedzi potrząsnął przecząco głową.

— Proszę... bardzo proszę... — powtórzyła głosem, w którym wibrowało wzruszenie.

Neale położył karty na stole znużonym ruchem i spojrzał na nią. W czarnych jego oczach było pełno zdumienia i jeszcze czegoś, co mogło być litością.

— Panno Stanton! — rzekł półgłosem. — Zechce mi pani wybaczyć, ale doprawdy... nie mogę.

Niezwłocznie potem odwrócił się i, podjąwszy karty, znowu wziął udział w grze.

A panna Stanton poczuła nagły wstrząs. Było to jakby lodowato-zimna myśl próbowała wdrążyć się w jej mózg, tętniący szczęściem i radością. Na razie nie mogła się odezwać. Nie znajdowała odpowiednich słów. Jednocześnie zaś pozostawała nadal w poprzednim stanie emocjonalnym. Jej intuicja kobieca, poczucie taktu i znajomość mężczyzn wreszcie nie działały w danej chwili.

— Ależ ja... proszę... Musi pan pójść ze mną — zawołała głosem złamanym. — Znajdzie pan...

Któryś z mężczyzn roześmiał się brutalnie. Dla niej jednak było to niczym. Spostrzegła się wtedy dopiero, gdy zauważyła, jak bardzo śmiech ten uraził Neale'a. Twarz jego oblała się purpurą, a ręce zacisnęły się kurczowo, mnąc trzymane karty.

— Niechże pan się nie krępuje — mówił gruboskórny gracz. — Widzimy przecież, że pan wygrywa. Nie mamy więc nic przeciw ko temu, aby poszedł pan sobie na spacer ze swą bogdanką.

Neale nagle rzucił mu w twarz karty, po czym uderzył go pięścią tak silnie, że brutal spadł z krzesła. Na odgłos tej wrzawy uciszyło się. Wszystkie twarze zwróciły się ku obu przeciwnikom. Neale stał wciąż jeszcze, groźnie zaciskając pięści. Zerwał się z ziemi i powalony. Klął obrzydliwie, ale po broń nie sięgał.

A piękna panna Stanton dalej nie mogła wypowiedzieć słów, które cisnęły się jej na usta.

— Proszę... pójść ze mną.

To było wszystko, co zdołała wyrzec.

— Nie! — oświadczył porywczo i gniewnie.

Słowo to, w połączeniu z cichymi śmieszkami świadków owej sceny, sprawiło, że panna Stanton zrozumiała wreszcie, co wszyscy ci ludzie mają na myśli. Och, szaleńcy! Szaleńcy! W dumnym jej sercu wezbrała fala gniewu, ale piękna kobieta zdołała się jeszcze opanować. Neale wprawdzie obrócił się do niej plecami. Tłum widział to i wielu uśmiechało się szyderczo. Panna Stanton czuła, jak krew pulsuje w jej żyłach i oblewa twarz szkarłatem. Hamowała się jednak. Źle ją zrozumiano. Ale czymże to było dla niej ostatecznie? Niczym.

W chwili, gdy Neale odstąpił, pochwyciła go za ramię, usiłując przyciągnąć do siebie i szepnąć mu do ucha wszystko, co miała do powiedzenia. On jednak odtrącił ją. Twarz pociemniała mu z gniewu. Prawą rękę wzniósł do góry ruchem, który każda kobieta zrozumiałaby i znienawidziła. Podziałało to na pannę Stanton otrzeźwiająco. A więc Neale również sądzi, że ona chce pociągnąć go ku sobie. Dla niego jej

spojrzenia, dotknięcia i poszepty miały to sam o znaczenie, co dla tego stada ludzi-zwierząt, którzy wybałuszali na nią swe wstrętne, obleśne ślepia. Zrozumiała nareszcie, że musi mówić otwarcie, jeśli ten nieczuły młodzieniec ma ją zrozumieć.

— Allie Lee... Allie Lee... znajduje się w mym domu — wybuchła i nagle zastygła w przerażeniu.

Wyraz twarzy Neale'a uległ nagłej zmianie. Teraz już przed panną Stanton nie znajdował się człowiek znudzony, opędzający się nagabywaniom natrętnej kobiety, ale szaleniec, dyszący pragnieniem zemsty za pohańbienie jego jedynej świętości.

— Idź precz, ty...! — ryknął.

Twarz jego była szara, jak popiół, oczy ciskały płomienie, a z ust padło słowo wstrętne, obelżywe, którego brzmienie ugodziło kobietę wprost w serce, niby grot zatruty. Ale Neale nie poprzestał na tym. Teraz znajdował się w stanie obłędu niemal i gotów był zabić. Zaciśnięta pięść jego wzniosła się do góry i uderzyła kobietę w twarz.

— Zabraniam ci wymawiać jej imię!

I pannę Stanton ogarnęło przerażenie. Zakrywając oczy rękami, uciekła z sali. Wypadła na ulicę i z rozwianym włosem, nie zwracając uwagi na to, że długa jedwabna jej suknia nurza się w błocie ulicy, biegła na oślep, ku migoczącym w oddali światełkom toru kolei.

— Spoliczkował mnie i nazwał... O, Boże! — szeptała boleśnie.

I nagle stan jej duszy przeobraził się zupełnie. W nicość rozwiała się pełna egzaltacji tęsknota za dobrym uczynkiem. Pozostało tylko pragnienie odwetu.

— Zabraniam ci wymawiać jej imię!

Stałą na środku ulicy.

— Znajdę opryszków, którzy zamordują go za nędzne kilka sztuk złota. Och, tak! A ja wówczas umyję sobie ręce w jego krwi przeklętej i plunę mu w twarz, gdy będzie umierał.

Minęło wzburzenie, ustępując miejsca chłodnej nienawiści, i panna Stanton udała się w kierunku swego domu. A nikt przecież nie potrafi znienawidzić człowieka kochanego tak nagle i tak strasznie, jak upadła kobieta. Panna Stanton zaś w taki sposób właśnie znienawidziła Neale'a. W uczuciu tym wyładował się cały ból wszystkich krzywd, jakich kiedykolwiek doznała w swym życiu od mężczyzn!

— Och... zniweczyć go... spalić żywcem... w kawałki pokrajać... i to jeszcze byłoby zbyt mało za taką zniewagę — jęczała, brnąc ociężałym krokiem wzdłuż ciemnej ulicy.

I nagle zaświtała jej olśniewająca, niby piorun, zła myśl.

— Na Boga! Uczynię z Allie Lee to, czym jestem sama. Uczynię z niej istotę, której mianem mnie nazwał.

Odtąd piękna panna Stanton przestała być kobietą. Stała się mścicielką, furią, morderczynią. Jedynym celem, jaki widziała jeszcze w życiu, była zemsta. W takim stanie duszy przywlekła się raczej, niż przyszła do domu. Usiadła w przedsionku, niewidoczna prawie w przyćmionym świetle małej ozdobnej lampki, płonącej u sufitu, i zastygła w pozie pełnej oczekiwania.

— Pierwszemu mężczyźnie, który tu wejdzie, wręczę klucz od jej pokoju — syknęła.

Czaszkę jej rozsadzał straszny ból. Przyćmione światło wiszącej lampy raziło oczy. Najlżejszy szelest drażnił rozigrane nerwy. A jednak panna Stanton trwała na swym posterunku i słuchała czujnie. Raz i drugi na ulicy rozległ się odgłos kroków. To rzadki już teraz przechodzień zdążał gdzieś pośpiesznie. Wreszcie jednak otworzyły się drzwi i do przedsionka wkroczył oczekiwany z utęsknieniem gość.

Ogień nienawiści, płonący w piersi czuwającej mścicielki własnej czci, rozżarzył się i buchnął żywym płomieniem. Panna Stanton poznała niezwłocznie przybysza. Poznała, a może domyśliła się tylko, gdyż wzrok jej przesłaniała łuna krwi. Był to najgorszy, najniebezpieczniejszy zawadiaka Benton, którego imię samo budziło grozę w sercach najodważniejszych. Był to Larry Red King.

Podniosła się, aby go powitać, starając się jednocześnie opanować swe wzburzenie. Zmierzyła go przy tym wzrokiem od stóp do głowy. Tak, ten odpowiadał jej zamiarom, jak nikt inny. Był zresztą pijany, a z tą swoją rozwichrzoną, rudą czupryną przypominał raczej diabła, niż człowieka. Nie wybrałaby nikogo innego nawet w takim wypadku, gdyby stanęło przed nią tysiąc doborowych opryszków miasta Benton.

— Dobry wieczór! — bąknął niewyraźnie na powitanie.

Podała mu rękę z uśmiechem, na który zdołała się zdobyć ku własnemu zdumieniu.

— Dobry wieczór, panie Larry! — rzekła uprzejmie. — Dobrze się stało, że przyszedł pan do mnie. Mam właśnie nową dziewczynkę.

Larry wydął policzki zaczerwienione silniej, niż zwykle, pod wpływem alkoholu i oczy błysnęły mu ognikiem wesołości chłopca, któremu pokazano nieznaną zabawkę.

Poszedł za nią bez wahania, stąpając ciężko i przytrzymując ręką zwisający mu od pasa długi pistolet. Panna Stanton czuła chłodne dotknięcie stalowej lufy i to przyprawiało ją o nerwowy dreszcz. Z przedsionka przeszli do korytarza, a stąd na salę tańców. Było tam pełno ludzi, a wśród nich widniały postaci nieco podejrzane, ale ona w swym podnieceniu nie zwracała na nic uwagi. Nie odzywając się do nikogo, przeprowadziła swego towarzysza przez zatłoczoną salę, po czym zagłębili się oboje w wąskim korytarzu.

Po chwili panna Stanton zatrzymała się przed pewnymi drzwiami.

— Proszę wziąć ten klucz — rzekła.

Sama czuła w tej chwili, że jest potworem, a jednak w sercu jej wzbierała radość. Pragnienie zemsty

Rozdział XXVI

Po odejściu pięknej kobiety o nagich ramionach Allie przez długi czas siedziała nieruchomo, pogrążona w stanie jakiegoś nieziemskiego zachwytu, wywołanego nadzieją ujrzenia za chwilę Neale'a. Potem zaczęła się rozglądać po pokoiku, w którym ją zamknięto. Niewielka sypialnia wydawała się jej istnym przybytkiem zbawienia, chociaż atmosfera była tu równie szczególna, jak w tym przedsionku, do którego wprowadził ją Ancliffe. Atmosfera ta jednak nie wpłynęła na nią przygnębiająco. Sypialnia ostatecznie sprawiała wrażenie pokoiku hotelowego i nikt w niej zapewne nie mieszkał. A umeblowanie pokoiku było takie same, jak to, które w swoim czasie zakupił dla niej Durade.

Po pewnym czasie więc Allie poczuła się dziwnie nieswojo, gdyż sypialnia zbyt już bliźniaczo była podobna do jej niedawnej celi więziennej w domu Hiszpana. A tutaj również słyszała dolatujące z oddali odgłosy wrzawy, lecz nieco więcej przytłumionej i przerywanej dźwiękami muzyki.

Upłynęła tak godzina, a może dwie. Na korytarzu wreszcie rozległy się czyjeś kroki. Przechodzący jednak nie zabawili długo pod jej drzwiami i udali się nieco dalej, a w chwilę później Allie usłyszała gruby głos mężczyzny i odpowiadający mu przenikliwy, bezwstydny śmiech kobiety.

Naprężenie jej nerwów dosięgło szczytu, gdy po pewnym czasie poruszyła się nagle klamka, a w zamku zgrzytnął klucz. Zerwała się wówczas, stając na środku pokoju. Czyżby to był Neale? Och, tak! Na pewno! Postąpiła chwiejnym krokiem ku drzwiom, które otworzyły się wolno, i krzyknęła głośno na widok czerwonej twarzy i rudych włosów wchodzącego.

— Larry! — zawołała radośnie.

Gotowa była rzucić mu się w objęcia, ale w następnej chwili cofnęła się zdumiona. Larry King bowiem zbladł nagle i przeżegnał się, jakby widząc przed sobą upiora.

— Panno Allie! — wyszeptał złamanym głosem. — Czy to naprawdę... pani?

— Ależ tak, panie Larry! — odparła, teraz dopiero zdając sobie sprawę, że cowboy może uważał ją za umarłą.

— I... doprawdy żyje pani? — pytał niedowierzająco.

— No, ma się rozumieć — roześmiała się wesoło. — Proszę dotknąć mnie nareszcie, a przekona się pan, że nie jestem duchem.

Poczuła, że serce bije mu mocno w piersi, gdy w iście chłopięcym wybuchu radości porwał ją na ręce i uniósł do góry.

— Mam jednak wrażenie, że świat się kończy — rzekł wreszcie, stawiając ją z powrotem na ziemi. — Ale może ostatecznie jestem tylko pijany.

To patrzył na nią, to znowu oglądał się dokoła, kiwając głową i mrucząc coś w bezmiernym zdumieniu.

— Och, Reddy! — westchnęła Allie. — Proszę powiedzieć mi już, gdzie jest Neale.

A w jego zachowaniu nastąpiła nagła zmiana. Zdawało się, że zastygł w bezruchu.

— O, Boże! — szepnął z widocznym przerażeniem. — Więc to naprawdę pani? W tym domu?

Nieoczekiwanym ruchem pochwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie. Wzrok jego stał się dziwnie przenikliwy i wargi rozchyliły się z lekka, ukazując białe, ostre zęby. Był wprost straszny.

— Niechże pani spojrzy mi teraz w oczy — rzekł twardo.

Uczyniła to, starając się jednocześnie wyrwać z uścisku jego palców swą dłoń. Przerażał ją. Takim dotąd jeszcze nigdy go nie widziała.

— Ależ, panie Larry — jęknęła słabym głosem. — Pan... pan... chyba jest pijany.

— Byłem, ale już nie jestem — odparł tym samym co poprzednio tonem. — Od jak dawna przebywa pani w tym domu?

— Czy ja wiem? Zdaje się, że od pół godziny. Nie wiem zresztą dokładnie. Och, niechże pan mnie puści — prosiła.

— I oprócz mnie nie wchodził tu żaden mężczyzna? Ja byłem pierwszym pani gościem?

— No, ma się rozumieć! Tak bardzo się ucieszyłam, gdy pan wszedł, ale teraz...

Larry King puścił nareszcie dłoń dziewczyny, widocznie przychodząc do siebie. Teraz już nie znajdował się pod działaniem oparów alkoholu. Cały jego wygląd świadczył jednak, że przejście to wyczerpało go z sił. Oparł się ręką o drzwi i przez chwilę dyszał ciężko. Wreszcie uśmiechnął się słabo, ale radośnie.

— Bardzo to niedobrze, gdy pije się zbyt wiele — rzekł innym zupełnie głosem. — Żałuję niezmiernie, że mam takie brzydkie przyzwyczajenie. Od dziś jednak nigdy już pić nie będę. Proszę nie gniewać się na mnie, panno Allie.

Allie odetchnęła z ulgą. Znów stał przed nią dawny, uprzejmy i dobry Larry King.

— Ani mi się śniło gniewać na pana — roześmiała się, patrząc nań figlarnie. — Teraz chyba pogniewam się, jeśli nie zaprowadzi mnie pan zaraz do Neale'a.

Cowboy jeszcze raz spojrzał na nią badawczo, jakby pragnąc upewnić się ostatecznie co do rzeczy, która dla niej była tajemnicą.

— Proszę powiedzieć mi, panno Allie, jedno jeszcze. To ta podła... Stanton, tu panią zamknęła?

— Tak. Ale dlaczego nazywa pan ją...

Urwała na widok jego ruchu, nakazującego milczenie. Gdzieś za drzwiami, na korytarzu rozległy się kroki i na odgłos ten Allie poczuła

dawny lęk przed Durade i jego ludźmi. Jednocześnie zaś zrozumiała, że cowboy przecież nie wie zapewne nic o wypadkach, w których wyniku dostała się do domu panny Stanton.

A odgłos kroków zamilkł niebawem. Cowboy otworzył po cichu drzwi i wyszedł na korytarz. Powrócił po chwili i w jego oczach, niedawno zamglonych oparem alkoholu, połyskiwał teraz zimny blask stanowczości.

— Wyprowadzę stąd panią — szepnął. — Chodźmy!

Wziął ją za rękę delikatnie, jak dziecko, i wyszli oboje. Korytarz był zupełnie pusty, a na rogu cowboy zatrzymał się, nasłuchując uważnie. Wszędzie było cicho. Tylko z sali tańca dolatywał stłumiony gwar głosów.

— Panie Larry! — odezwała się półgłosem Allie. — Muszę panu powiedzieć, że Durade mnie ściga. Zna pan jego ludzi, prawda?

— Och, pamiętam ich wszystkich bardzo dobrze — odparł. — Mój Boże! Jak bardzo jest pani nieszczęśliwa. Cała banda Durade czyha na panią i ta... Stanton... No, tak. Powiedziała mi przecież, że „ma nową dziewczynkę". Źle utrafiła. Porachuję się z nią jeszcze.

Allie drżała na całym ciele. Chciała powiedzieć coś, ale cowboy znowu dał jej znak milczenia. Mógł zresztą nie czynić tego. Sam wyraz jego twarzy, dziki i przerażający, paraliżował jej gardło i nie mogła dobyć głosu.

Po chwili Larry ruszył naprzód i, skręciwszy na prawo, wprowadził ją do wielkiej sali, przez którą raz już przechodziła. Wolno, nie śpiesząc się wcale, szedł w stronę przedsionka, lecz Allie czuła podświadomie, że czujność jego w tej chwili napięta jest do granic ostateczności. Wokoło nich kręciło się mnóstwo par, zajętych wyłącznie sobą i nie zwracających uwagi na cowboya, kroczącego środkiem sali wraz z młodą dziewczyną. Ale nagle ujrzała ich panna Stanton i wydała przejmujący okrzyk, który przeraził Allie. Ta straszna kobieta z bladą twarzą i gorejącymi oczami wcale nie przypominała tamtej łagodnej, pięknej opiekunki, co poszła po Neale'a. Allie zadrżała, czując, że jednocześnie wszyscy dookoła zamilkli dziwnie i że zwróciły się !ku nim wszystkie twarze.

Panna Stanton zagrodziła im drogę, wyciągając białe ramię.

— Dokąd pan prowadzi tę dziewczynę? — spytała porywczo.

Larry stanął, obejmując silniej Allie.

— Do Neale'a! — rzucił twardo.

Blada furia jęknęła przenikliwie, a palce jej ręki zakrzywiły się drapieżnie. W tej chwili, doprawdy, niepodobna była wcale do tej miłej kobiety, na której łonie tak niedawno jeszcze spoczywała głowa Allie.

— Nie pozwolę na to! — krzyknęła, tupiąc nogami.

I w tej chwili Allie spostrzegła wyłaniające się z tłumu groźne, a znienawidzone postaci. W milczeniu, krok za krokiem, sunęli ku niej Fresno, Mull i Blake, najbliżsi pomocnicy Durade. Allie wpiła się kurczowo palcami w ramię cowboya, aby ostrzec go o niebezpieczeństwie, lecz on nie zwrócił na to uwagi i ciągnął ją za sobą.

— Panno Stanton! — krzyknął głośno. — Proszę zejść z drogi!

W głosie jego brzmiała teraz nuta okrucieństwa, na której dźwięk cofnęli się wszyscy dokoła, wyjąwszy tej zaślepionej kobiety. Panna Stanton nie usłuchała ostrzeżenia i, dysząc pragnieniem odwetu, jak

tygrysica rzuciła się na cowboya, nie bacząc na wymierzoną w jej pierś lufę pistoletu.

I Larry King strzelił. Blada furia zachwiała się, wydając przeraźliwy okrzyk. Przez chwilę stała jeszcze, zagradzając uchodzącym drogę, po czym runęła ciężko na ziemię i leżała w złocistym płaszczu rozpuszczonych włosów, z szeroko rozpostartymi nagimi ramionami, a na bieli jedwabiu jej sukni pojawiła się jaskrawo-czerwona plama krwi.

Wówczas dopiero odezwały się jęki kobiet i groźne głosy mężczyzn, lecz Larry King, ciągnąc za sobą na wpół omdlałą z przerażenia Allie, rzucił się na schody i wybiegł na ulicę. W ślad za nim z dom u panny Stanton wypadło kilku mężczyzn. Olbrzymi Fresno biegł pierwszy z pistoletem w ręce. Załoskotały wkrótce wystrzały i na ich odgłos Larry przystanął, zasłaniając swym ciałem Allie. Jedno zmierzenie z pistoletu rozciągnęło Fresna, za drugim padł Mull, a wreszcie celny strzał cowboya pozbawił życia trzeciego prześladowcę.

Biegli potem jeszcze przez pustą i ciemną ulicę, słysząc rozlegające się za sobą okrzyki przerażenia zaalarmowanych odgłosem strzelaniny obywateli i głuche łoskoty pojedynczych wystrzałów. Allie poczuła dreszcz zgrozy, przenikający jej ciało aż do szpiku kości. Czuła przecież przesycający powietrze przenikliwy swąd spalonego prochu i widziała przeszywające mrok nocy długie pasma płomienne. W pewnej chwili zaś poczuła, że Larry drgnął, jakby uderzony silnie, a niebawem na ramię jej trysnęło coś gorącego. To posłana w ślad za zbiegami kula przeszyła na wylot plecy cowboya.

Znajdowali się na rogu ulicy. Łatwo było skręcić i zmylić ten pościg. Ale Larry King chwiał się już na nogach, jak pijany. W bladym świetle okien pobliskiego domu Allie zobaczyła jego twarz i serce zamarło jej w piersi. Larry był blady, jak śmierć, a wokoło jego ust błądził dziwny uśmiech.

Stanął, w skazując ręką na ten budynek.

— Niech... pani... ucieka — wyszeptał słabo. — Ze mną już koniec.

— Och, nie — zaszlochała, przyciskając jego dłoń do piersi. — Pan jest ranny przecież. Nie. Musimy iść razem.

Lecz w tej chwili głowa jego opadła ciężko, a następnie całe ciało osunęło się na ziemię. Życie uleciało zeń nagle. Larry King skonał, stojąc, z pistoletem w każdej ręce.

— Och, Larry... Larry! — jęczała Allie.

Nie mogła już ani biec, ani iść nawet. Nie okazała też żadnego sprzeciwu, gdy pochwyciły ją czyjeś brutalne ręce. Jak przez zasłonę z mgły zobaczyła, że otacza ją kilka postaci, ale wśród pochylających się ku niej twarzy zdołała rozróżnić blade oblicze i błyszczące złowróżbnie oczy Hiszpana Durade.

Rozdział XXVII

Otworzywszy oczy po długiem omdleniu panna Stanton ujrzała nad sobą błękit nieba, przezierający poprzez rzeszoto dziurawych płócien namiotu. Wokoło panowała zupełna cisza, w której zastygła, jak się zdawało, cała okolica. Tylko wiatr szemrał w fałdach płóciennych ścian i dziwnie żałośnie szeleściły lotne piaski. Cóż to wszystko mogło znaczyć? Co się właściwie stało? Byłże to sen, czy jawa?

Leżała bezwładnie, czując, że nie może zdobyć się na najmniejsze bodaj poruszenie. Czyżby przywalił ją ciężar? Całe ciało tętniło straszliwym, tępym bólem, nie sięgającym jednak dolnych kończyn, w których nie odczuwała nic prócz lodowatego zimna.

Potoczyła wreszcie powoli wzrokiem dokoła. Tak! Znajdowała się w starym, brudnym namiocie i leżała na gołej ziemi. Przez jedną z większych szpar w płótnie namiotu spostrzegła część czegoś, co dawniej mogło być ulicą, ale teraz już było tylko śmietniskiem, pełnym gruzu, połamanych desek i wiórów. Zrozumiała wówczas całą grozę rzeczywistości. Miasto Benton przestało istnieć. Ludność jego uszła, zabierając z sobą domy, namioty i sprzęty.

Domyśliła się też, że przeniesiono tu ją w stanie omdlenia, uważając może za umarłą. Miała na sobie tę samą białą jedwabną suknię, którą włożyła wczoraj, ale wszystkie kosztowności znikły. Przypomniała sobie również, że po wypadku płaczące dziewczęta złożyły ją na noszach, a mężczyźni otoczyli ciasnym kołem, opowiadając coś sobie wzburzonymi głosami. O czym mówili? Aha! Mówili, że cowboy zabił ją celnym strzałem, a potem przedarł się przez zastępujący mu drogę tłum na ulicę i zginął tam z ręki Durade, który odebrał mu Allie.

A po chwili rozmyślania zrozumiała wreszcie, że pozostawiono ją samą w opuszczonym obozie i że musi umrzeć. Gdybyż jeszcze, dziwnym zdarzeniem, pojawił się tu Neale! Gdybyż mogła wyznać mu wszystko i wybłagać sobie przebaczenie! O, wtedy niestraszna byłaby jej śmierć!

Rękami, które zdawały się jakby cudze, poczęła szukać czegoś w kieszeni sukni i po długich wysiłkach znalazła notatnik z ołówkiem. W tedy zaś, walcząc z ogarniającą ją coraz więcej niemocą, poczęła pisać list do Neale'a. A w miarę pisania pierś jej wzbierała, jak dawniej, uczuciem miłości i żalu i goryczy.

Casey zaprzestał na chwilę pracy i, oparłszy się na rękojeści swej łopaty, przetarł wierzchem dłoni spocone czoło, po czym rzucił okiem na odpoczywającego w podobny sposób MacDermotta. U stóp ich czerniał ziejący pustką otwór świeżo przez nich wykopanego grobu, a nieco opodal leżał nieruchomy, długi kształt, spowinięty w stare płótno.

— Niech mnie diabli wezmą, jeśli lubię tę robotę — zauważył posępnie Casey, zapalając swą krótką, czarną fajeczkę.

— W olałbyś pewnie być dyrektorem Kolei Zjednoczonego Pacyfiku, prawda? — roześmiał się MacDermott.

— Wszystko, co chcesz, byleby nie to — odburknął Casey. — Dlaczego grzebania tych zwłok nie powierzyli żołnierzom? Tylko nas sobie upodobali.

— Nie masz czego narzekać, Casey. Wiesz przecież dobrze, że wszyscy opuścili Benton. Wytrwamy więc jakoś do końca, a jutro wyruszymy ostatnim pociągiem roboczym. Przypuszczam zresztą, że grzebanie tego rudowłosego cowboya musi ci sprawiać prawdziwą przyjemność.

— I dlaczegóż to? — zdziwił się Casey.

— Strzelił przecież kiedyś do ciebie.

Casey wyjął z ust fajeczkę.

— Mój drogi — rzekł z pewną urazą. — Zapomniałem już o tam tym wypadku. Dowiedz się zaś, że grzebanie zwłok Larry'ego Kinga wywołuje we mnie i żal, i dumę zarazem. On był przecież przyjacielem naszego Neale'a.

— To prawda, Casey. Ale był jednocześnie prawdziwym zbójcą. Mówili ludzie, że to on zastrzelił pannę Stanton.

— Kłamią z pewnością — oburzył się Casey. — Nie on jeden przecież strzelał w tej przeklętej sali tańca. Czyjaś inna kula równie dobrze mogła ugodzić biedną kobietę. Ale skończmy już raz z tym grabarstwem.

Rzucił łopatę na ziemię i pochylił się nad spowiniętym w płótno trupem.

— Pomóż mi, Mac! — dodał.

Wspólnymi siłami złożyli ciało w mogile i zasypali je piaskiem, po czym Casey przeżegnał się pobożnie.

— Niechaj mu ziemia będzie lekka — westchnął.— Umarł po męsku. Jak sądzisz, przyjacielu? — dodał po chwili. — Może należałoby zaznaczyć jakoś, że leży tu Larry King? Moglibyśmy postawić na jego grobie krzyż, albo kamień ostatecznie.

MacDermott podniósł wysoko brwi i podrapał się po niegolonym od wielu dni podbródku, po czym machnął ręką.

— Nie będzie z tego żadnego pożytku, mój drogi — rzekł. — Widzisz przecież sam, że niezadługo wszystko tu zasypie piasek. Nie zapominaj, że nie mamy wiele czasu, a trzeba pochować jeszcze jednego nieboszczyka.

Znowu ujęli łopaty i wprędce w żółtym piasku rozwarł się nowy grób. Odrzucili wówczas swe narzędzia pracy i powlekli się ku brudnemu namiotowi, jedynej pozostałości po mieście, które zniknęło w ciągu jednej nocy. Casey wszedł tam pierwszy i zagwizdał przeciągle.

— To jest bardzo dziwne — zauważył.

— Co mianowicie? — spytał MacDermott.

— Byłbym przysiągł, że złożyłeś jej ręce na piersiach.

— I nie mylisz się, Casey.

— Widzisz sam, że teraz ma je wyciągnięte wzdłuż ciała. Oho! Trzyma coś teraz.

Pochylił się nad ciałem i z ręki zmarłej kobiety wyjął mały notatnik. Otworzył go następnie, z trudnością przerzucając kartki swymi grubymi, namulonymi palcami.

— Słuchaj, Mac! — zawołał. — Tu coś stoi napisane.

— No, więc przeczytaj prędko — zauważył MacDermott.

— A cóż to? — oburzył się Casey. — Myślisz, że nie potrafię? Pisać wprawdzie nie umiem, ale czytać... oho.

Począł pracowicie odcyfrowywać pismo, lecz nagle przerwał to zajęcie, spoglądając dziwnym wzrokiem na towarzysza.

— Wiesz ty co? — rzekł zdziwionym tonem. — Ten list jest adresowany do samego Neale'a i stoi w nim o miłości.

— O w takim razie sądzę, że nie należy odczytywać go do końca — zadecydował MacDermott.

— Jesteś głupi — zniecierpliwił się Casey. — Widziałeś przecież, że przerwałem czytanie. O co innego mi chodzi, mój niedomyślny przyjacielu. Ta nieszczęśliwa żyła widać jeszcze, kiedy złożyliśmy ją w namiocie. Powróciła do przytomności na chwilę, napisała list do Neale'a i potem dopiero umarła naprawdę.

— Co ty mówisz, Casey? O, mój Boże! — wykrzyknął z przerażeniem MacDermott.

Casey westchnął ciężko i, uklęknąwszy na ziemi, przyłożył ucho do piersi zmarłej.

— No, teraz już na pewno nie żyje — rzekł, podniósłszy się z trudnością.

Z pomocą towarzysza podźwignął następnie sztywniejące już ciało i obydwaj ponieśli je ku świeżo wykopanej mogile. W chwilę potem zaś owe biedne zwłoki, owinięte naprędce w dziurawe płótno namiotu, zniknęły na zawsze pod grubą warstwą sypkiego, suchego piasku.

I znowu przeżegnał się pobożny Casey, spoglądając smutnie na nowy grób bezimienny, po czym dopiero zauważył, że w jego fajeczce nie było już nic prócz popiołu i począł ją skwapliwie napełniać.

— Tak, moja piękna panno Stanton! — rzekł wreszcie z pewnym rodzajem patosu. — Usłaliśmy ci łóżeczko o wiele czyściejsze od tego, które miałaś za życia. Nikt ci tu snu nie zakłóci, bo żaden z mężczyzn nie wie przecież, gdzie leżysz.

A w chwilę potem robotnicy, oparłszy sobie łopaty na ramionach, niby żołnierze karabiny, skierowali się powolnym krokiem ludzi utrudzonych ku przystankowi kolei.

Od strony pustyni wiał wciąż silny wiatr, przynosząc coraz to nowe warstwy suchego piasku. Minęło południe, słońce pochyliło się ku zachodowi i wreszcie zapadł zmierzch. A poprzez wszystkie te godziny trwała głucha cisza, którą mącił jedynie szelest sypkich ziaren piasku i

jękliwy poszum wiatru lub wycie wałęsającego się po okolicy wilka. Potem zaś na wszystko spłynęła noc, okrywając swym czarnym płaszczem mogiłę pięknej panny Stanton i jej zabójcy — cowboya Larry'ego Kinga.

Rozdział XXVIII

Casey i MacDermott opuścili Benton pociągiem roboczym, w którego skład wchodziła nieskończona ilość krytych wagonów towarowych i platform, naładowanych kamieniami, żelazem, żwirem, szynami oraz innymi materiałami, niezbędnymi do utrzymania w należytym porządku toru kolejowego. Parowóz nie wlókł za sobą tego pociągu, lecz go popychał, podczas gdy na przodzie znajdowała się platforma pełna żwiru. Stłoczyło się na niej kilkunastu robotników, między którym i siedzieli i obaj Irlandczycy.

Wzdłuż całego szlaku były widoczne ślady prób dokonywanych przez czerwonoskórych w celu zniszczenia toru. Robotnicy jednak zdążyli się już do tych rzeczy przyzwyczaić i teraz nie zwracali na nie żadnej uwagi. Niektórzy tylko zdawali sobie sprawę z grożącego im niebezpieczeństwa, pamiętając, że zwyczajem Indian było napadanie na odosobnione gromadki ludzi i mordowanie ich bez litości. Oni zaś właśnie byli odosobnieni. Załoga miasta Benton odjechała wszakże innymi pociągami, które uwiozły ludność cywilną wraz z jej ruchomościami.

Pociąg roboczy posuwał się naprzód powoli, przystając często, gdy zachodziła potrzeba naprawy toru i zastąpienia wydartych szyn nowymi, a Casey rozglądał się wtedy czujnie dokoła, w obawie, że lada chwila może spostrzec Siuksów. Spodziewał się przy tym nadejścia od strony wschodniej normalnego pociągu, który powinien był ich stąd zabrać. Ale pociąg nie nadchodził. Może przytrafiła mu się katastrofa, a może rozporządzenie telegraficzne zatrzymało go w Medicine Bow.

O zmierzchu pociąg roboczy dotarł do krańca piaszczystej pustyni, rozciągającej się falistą równiną aż do stóp wzgórz. W tym miejscu znajdował się rozjazd oraz tymczasowy przystanek w postaci kilku krytych wagonów ciężarowych, w których mieszkali telegrafiści, ochraniani przez nieliczny oddziałek żołnierzy.

Już z daleka Casey zauważył, że na przystanku stoi ktoś, dający im rozpaczliwe znaki chorągiewką sygnałową.

— Dziwnie mi to wygląda — rzekł do towarzysza.

— Przecież ci telegrafiści muszą wiedzieć, że zatrzymamy się tutaj.

— Kto wie, czy gdzieś w pobliżu nie ma Indian — odparł MacDermott.

Po chwili pociąg stanął i obaj Irlandczycy zeskoczyli pośpiesznie na ziemię wraz z innym i robotnikami.

Okazało się, że znaki dawał im Collins — telegrafista, którego Casey znał dobrze. Teraz podszedł doń widocznie przerażony w towarzystwie kilku żołnierzy.

— Nie możecie jechać dalej — oświadczył.

Casey wyjął z ust fajeczkę.

— Dostaliśmy z Medicine Bow polecenie telegraficzne wstrzymania pociągu generała Lodge’a, gdyż przed tą stacją leży w zasadzce około trzystu Siuksów. A pociąg generała znajduje się gdzieś między naszym przystankiem a Roaring City — narzekał telegrafista.

— I depesza ta nadeszła z Medicine Bow? — zawołał Casey.

— Tak. Nadano ją zapewne jeszcze w nocy, ale O’Neil, telegrafista, który miał w tym czasie dyżur, został podstępnie zamordowany przez Indian.

— To diablo podła sprawa — westchnął Casey, napełniając fajkę tytoniem.

— Sam już nie wiem, co czynić — skarżył się telegrafista. — Starałem się uzyskać połączenie z Roaring City. Nic z tego. Druty są przecięte. A generał wyjechał swym pociągiem specjalnym dwa dni temu. Miał ze sobą żołnierzy. Owszem. Nie tylu jednak, aby mógł się oprzeć nie trzem, ale bodajby jednej tylko setce czerwonoskórych. W głowę zachodzę, jak go ostrzec o tej zasadzce.

Casey tymczasem palił wolno fajeczkę, rozmyślając nad położeniem.

— Wiem już, gdzie ukryły się te czerwone diabły — rzekł wreszcie, powoli cedząc słowa. — Siedzą zapewne w owym wąskim przesmyku, między dwoma wzgórzami.

— Zna pan więc to miejsce? — ożywił się telegrafista. — Owszem. Tam właśnie urządzili zasadzkę. Generał Lodge wraz z całym sztabem znajdzie się w tym wąwozie niby w pułapce. Nikt stamtąd nie ujdzie żywy. Nie będą mogli nawet użyć broni. Ten przesmyk zawsze budził w nas poważne obawy. No i Indianie wreszcie go zwęszyli. Och, co czynić, panie Casey? Co czynić?

— A gdyby się udało zatrzymać pociąg generała poza przesmykiem? — zagadnął Casey.

— W takim wypadku jego ludzie mogliby jeszcze stoczyć walkę i utrzymać się do chwili nadejścia następnego pociągu, względnie też powrócić do Medicine Bow.

— Należy zatem postarać się o niedopuszczenie pociągu generała do zagłębienia się w tym przeklętym przesmyku — wycedził Casey.

— Ale jak to zrobić? — zawołał Collins. — Druty są przecięte, nie możemy więc wysłać ostrzeżenia telegraficznego. Ujrzawszy wasz pociąg, powziąłem wprawdzie nadzieję, że uda się nam pchnąć naprzód parowóz bez obsługi. Teraz jednak przekonałem się, że tego nie możemy zrobić, bo parowóz macie na samym końcu. Och, panie Casey — dodał. — Jesteśmy zupełnie bezsilni.

Irlandczyk patrzył nań przez chwilę, pykając fajeczką.

— No, niechże się pan nie martwi — oświadczył wreszcie. Ja już znajdę sposób zatrzymania pociągu naszego generała.

Ruszył w kierunku czołowej platformy, naładowanej żwirem, a wszyscy inni, nie wyłączając telegrafisty i MacDermotta, poszli za nim, szepcząc do siebie ze zdumieniem. Casey zaś, nie zwracając na nikogo uwagi, wspiął się na platformę.

— Co ty chcesz zrobić, u licha? — zdziwił się MacDermott.

Casey posłał mu przyjazny uśmiech.

— Zechciej odczepić ten wagon, Mac — rzekł krótko.

MacDermott wzruszył ramionami, ale wszedł posłusznie między wagony i wprędce rozległ się szczęk opadających żelaznych łańcuchów, świadczący, że polecenie Caseya zostało wykonane.

Wówczas dopiero wszyscy zrozumieli, o co chodziło.

— Na Boga! — zawołał Collins, chwytając się za głowę. — Czy pan naprawdę zamierza to uczynić? Pochyłość toru wprawdzie ciągnie się na przestrzeni dwudziestu mil. Zepchnięta stąd platforma może dotrzeć aż do podnóża gór, ale... ale... nawet gdyby udało się panu przemknąć szczęśliwie przez tam ten wąwóz, wagon roztrzaska się o pociąg generała Lodge'a. Hamulec przecież może zawieść. Idzie pan na niechybną śmierć.

Casey spojrzał nań z pogardą. Och, ci młodzi telegrafiści! Któryż z nich może zrozumieć, że dla takiej wielkiej sprawy życie ludzkie jest niczym?

— Podeprzyjcie dobrze wagon plecami i puśćcie go w ruch! — rozkazał towarzyszom.

Przyzwyczajeni do posłuchu robotnicy wykonali w milczeniu to polecenie. MacDermott tylko stał bez ruchu, jakby osłupiały, opierając się plecami o wagon, od którego przed chwilą sam odczepił platformę ze żwirem. Wyszedł z tego bezwładu wtedy dopiero, gdy platforma ruszyła z miejsca i poczęła toczyć się po pochyłości.

— Żegnaj, przyjacielu! — zawołał głosem zdławionym.

— Powiedz im, Mac, że widziałeś, co zrobiłem! — odkrzyknął Casey.

Stojąc na toczącej się coraz szybciej platformie, machnął ręką kilka razy, żegnając zebrany na przystanku tłum i uśmiechnął się, słysząc krótkie, chóralne pożegnanie. W chwilę zaś potem równowaga jego została zachwiana, zauważył bowiem z przykrością, iż wiatr wydmuchnął mu całą zawartość fajeczki. Napełnił ją ponownie i zapalił z niemałą trudnością, a ukończywszy te zabiegi, obejrzał się znowu, lecz przystanek zniknął już za horyzontem.

Podpełznął wówczas do hamulca i tu wygrzebał w żwirze dość głęboką jamę, w której usiadł sobie, wygodnie. W tym ukryciu zabezpieczony był do pewnego stopnia od kul czy też strzał indiańskich. Pozostawało mu jedynie dbanie o hamulec oraz rozglądanie się po okolicy.

Platforma tymczasem nabrała już dobrego rozpędu i wiatr począł świstać nad głową Caseya, rozrzucając mu włosy i w jednym mgnieniu oka unosząc dym z fajeczki. W odległości kilku mil od przystanku wagon przemknął się przez wąski przekop i bieg jego stał się jeszcze szybszy, gdyż pochyłość toru zwiększała się od tego miejsca. Casey więc zmuszony był uciekać się coraz częściej do pomocy hamulca, zwłaszcza przed zakrętami, których było tu dość dużo. Niestety, przyrząd nie działał dość sprawnie i pewne niepokojące oznaki wskazywały, że dłuższej pracy może istotnie nie wytrzymać. Na razie jednak wszystko szło pomyślnie i

platforma toczyła się po szynach z ogłuszającym zgrzytem zardzewiałych kół.

Casey pamiętał dobrze, że ma przed sobą jeszcze kilkanaście gwałtownych zakrętów, z których ostatni znajdował się tuż przed gardzielą wąskiego przesmyku, gdzie czyhali czerwonoskórzy. Postanowił też sobie, że w tym miejscu zrezygnuje ostatecznie z hamulca, aby platforma mogła rozwinąć jak największą szybkość.

Z niecierpliwością wyglądał tego ostatniego zakrętu, a minąwszy go wreszcie, zwolnił koła od ucisku żelaznego łańcucha i obciążony żwirem wagon potoczył się szybciej. Casey zdawał sobie w zupełności sprawę z celu, do którego dążył. Rozumiał, że musi przeprowadzić swą platformę przez ów wąski przekop. Nie zapominał też, że zadanie jego pozostałoby niewykonane, gdyby wagon natrafił na przeszkodę lub gdyby czerwonoskórzy wrogowie przedwcześnie go wytropili.

I jednocześnie ogarnęło go zwątpienie. Nie był pewny, czy zdoła doprowadzić swój zamiar do pomyślnego końca. Wagon toczył się wprawdzie z olbrzymią szybkością w kierunku szeroko rozwartej gardzieli przekopu, ale z tak ogłuszającym szczękiem, że musieli usłyszeć go Indianie. Wahając się, co ma uczynić, pochwycił hamulec, ale w następnej chwili puścił go znowu, gdyż wagon zagłębił się już w czeluści przekopu, na którego skraju Casey dostrzegł w tej chwili stojącego spokojnie nieosiodłanego mustanga. Doniesienia więc głosiły prawdę. Indianie istotnie urządzili tu zasadzkę, a zatem nie wolno było się zatrzymać.

Zobaczył wkrótce jeszcze więcej rumaków. Niektóre pasły się na zarośniętych trawą zboczach przekopu, inne zaś pomykały wśród zarośli. Nigdzie natomiast nie było widać Indian, którzy najwidoczniej ukryli się w gęstwinie krzewów. Dali zresztą niebawem znak życia. Wśród łoskotu kół toczącej się szybko platformy Casey usłyszał wyraźnie huk kilku wystrzałów i jednocześnie zobaczył tryskające z zarośli pasma białawego dymu. Tak go to zajęło, że w pierwszej chwili zapomniał ukryć się w jamie, którą sobie wykopał w zwałach żwiru i uczynił to ponownie z chwilą, gdy na platformę posypał się deszcz pierzastych strzał. Dwie z nich utkwiły w żwirze, dwie inne świsnęły mu przeraźliwie koło uszu, a piąta trafiła w ramię, raniąc je głęboko. Casey wydarł tę strzałę natychmiast z wściekłością, rozdzierając sobie ciało, i rzucił ją w stronę Siuksów.

— Och, wy łotry przeklęte! — krzyknął gniewnie — Czekajcie! Dam ja wam za to!

Groźba jednak nie poskutkowała. Kule i strzały nadal sypały się na platformę, a na krawędziach przekopu rozlegało się niekiedy przenikliwe wycie. Ale wagon, tocząc się ze wzrastającą wciąż szybkością, w następnej chwili wypadł z przekopu. Niebezpieczeństwo minęło. Zasadzka Siuksów znajdowała się już poza Caseyem.

I niezwłocznie, niby za dotknięciem magicznej różdżki, zwaliło mu się z ramion brzemię troski i lęku. Nie zdołał wprawdzie jeszcze doprowadzić swego przedsięwzięcia do pożądanego końca, ale przezwyciężył trudność największą. W następnej chwili zaś serce jego wezbrało radością przeogromną, gdyż hen daleko na końcu bezmiernie długiej doliny, po której dnie ciągnął się szlak kolei, zamajaczyły smugi czarnego dymu

komina parowozu. To zbliżał się pociąg generała Lodge'a. Naładowana żwirem platforma toczyła się teraz z równą szybkością pół mili na minutę. Casey więc, pragnąc rozpocząć stopniowe zwalnianie jej biegu sięgnął do hamulca. Poruszył jego rękojeścią raz i drugi, po czym splunął z odrazą. Hamulec nie działał. Żelazna lina nie wytrzymała widać zbyt wielkiego naprężenia i pękła.

Wagon tymczasem toczył się bez przerwy i szybkość jego biegu zwiększała się w miarę rozpędu. Casey widział teraz wyraźnie czarne zarysy pędzącego od strony przeciwnej parowozu i zdecydował, że był już wielki czas, aby przygotować się do tego, co, wobec niemożności zatrzymania wagonu, nie nastręczało mu żadnych wątpliwości.

Przygotowania te zresztą były bardzo mało skomplikowane. Casey ułożył się po prostu wygodnie na kupie twardego żwiru i zamknął oczy. Po chwili jednak zerwał się znowu, przypomniawszy sobie o znalezionym przy zwłokach panny Stanton notesie, zawierającym list do Neale'a. Począł szukać gorączkowo po kieszeniach i znalazł go wreszcie. Wtedy uspokoił się ostatecznie.

— Nic nie można przewidzieć — szepnął. Ci robotnicy naszej kolei są tak mało rozgarnięci, że mogą pochować człowieka, nie zrewidowawszy mu uprzednio ubrania.

Znowu ułożył się wygodnie, lecz tym razem w jego zębach obok fajki tkwił cenny notes.

Rozdział XXIX

Pełny oburzenia i wstydu zarazem opuścił Neale salę gry, w której publicznie spoliczkował piękną pannę Stanton. W sercu jego wrzało całe piekło bólu i udręki. Ta kobieta ośmieliła się mówić o Allie Lee! Co za niesłychana bezczelność! I skąd ona mogła dowiedzieć się o istnieniu jego ukochanej dziewczyny?

Oszalały z gniewu błąkał się wśród labiryntu ciemnych zaułków i ochłonął wreszcie pod wpływem ruchu i zimnego nocnego wiatru. W pewnej chwili stanął, jak wryty, usłyszawszy przenikliwy gwizd parowozu i nagle postanowił opuścić Benton od razu, pierwszym pociągiem, na jaki uda mu się zdążyć. Pośpieszył więc do swego zajazdu i, zabrawszy walizkę, przyłączył się do tłumu, który nawet o tej spóźnionej porze płynął w kierunku stacji kolejowej.

Siedząc w starym, rozklekotanym wagonie, spojrzał jeszcze raz na majaczące w bladym świetle latarń przerzedzone silnie szeregi namiotów.

— A zatem nie powrócę tu już więcej — szepnął sam do siebie. — Dzięki Bogu!

Teraz dopiero zrozumiał jak troskliwie czuwała nad nim Opatrzność podczas całego pobytu w tym upiornym mieście.

W chwilę później pociąg ruszył powoli poprzez pogrążoną w mroku nocy pustynię, nad którą przewalał się ciężko wicher — jedyny pan i władca owego odludzia.

Całe czterdzieści osiem godzin trwała podróż Neale'a do nowego obozu, ochrzczonego mianem Roaring City. Było to miasteczko większe nawet, niż Benton i rosnące wciąż jeszcze, dzięki przybywającym z każdym dniem nowym namiotom i kleconym pośpiesznie drewnianym domom. Pomieszczeń więc nie brakło i Neale znalazł sobie niebawem przyzwoity pokój. Rozgościł się w nim naprędce i umył się z prawdziwą rozkoszą, gdyż w ciągu dwóch dni podróży nie miał sposobności tego uczynić. Posilił się potem obficie i zaraz poszedł spać, czując potrzebę odpoczynku. Nazajutrz zaś, przyprowadziwszy do należytego porządku swój wygląd, udał się do biura kierownictwa budowy kolei, spotykając po drodze gromadki ludzi, rozprawiających z ożywieniem o zasadzkach, urządzanych przez Indian, i o walkach z czerwonoskórymi.

A wszedłszy do kancelarii, zdziwił się niezmiernie, gdyż znajdujący się tam inżynierowie powitali go bardzo chłodno. W zachowaniu się generała Lodge'a również była widoczna zmiana. Neale jednak przypisał ją jakiemuś zdarzeniu, wskutek którego naczelny inżynier zapomniał nawet zapytać go

o wyniki podróży do Waszyngtonu. I, rzeczywiście, generał Lodge, zaledwie skinąwszy mu głową, począł mówić zaraz o Indianach.

— Siuksowie urządzili zasadzkę na mój pociąg w Wielkim Przekopie — mówił. — Było ich tam całe mrowie. Nie spodziewaliśmy się, aby ci zbóje ośmielili się zapędzić tak daleko na zachód. Wyginęlibyśmy zapewne co do jednego, gdyby nie Casey... Nie znamy jeszcze wprawdzie szczegółów, gdyż drut telegrafu jest przecięty, ale wiemy, co uczynił Casey. Przedarł się mianowicie przez zasadzkę na naładowanej żwirem platformie, która toczyła się sama. Pamięta pan, jak bardzo pochyły jest w tern miejscu tor, prawda, panie Neale? Nie można wątpić, że zamiarem jego było zatrzymać mój pociąg. Chciał biedak zatarasować nam drogę, abyśmy nie wpadli w zasadzkę. Przypuszczam też, że udałoby mu się wyjść cało, bo mógł przecież użyć hamulca, ale, zdaje się, że pękły mu w drodze łańcuchy. Mój maszynista dał wprawdzie kontrparę, ale nie zdołał uniknąć zderzenia. Znaleźliśmy potem Caseya pod przewróconą platformą. Konał już...

Głos generała zadrżał z lekka, a twarz okryła się bladością. Opanował się jednak niebawem i począł mówić znowu:

— Inżynier Tom Daley dopadł go na chwilę przed zgonem. Był to zresztą jedyny człowiek, któremu udało się zastać Caseya przy życiu. Ostatnie słowa, jakie zdążył ten biedak wyszeptać przed śmiercią, były: „Zasadzka... Siuksowie... Strzeżcie się Wielkiego Przekopu", a potem „Oddajcie... memu przyjacielowi Neale'owi". ... Długo biedziliśmy się, zanim zdołaliśmy zrozumieć, o co chodziło. Trudno mu zresztą było mówić, bo w zębach trzymał mały notes damski i swoją ulubioną fajeczkę.

Tu naczelny inżynier oddał niewielki notes Neale'owi, który wziął go drżącą nerwowo ręką.

— Widzi pan znaki po zębach Caseya na tej skórzanej oprawie? — mówił generał. — Z trudnością przyszło nam wyjąć mu ową książeczkę, a fajeczka w ogóle została... Pochowano go z nią... tam... przy torze.

Zamilkł i przez chwilę stał bez ruchu ze zmarszczonymi brwiami i oczami pełnymi smutku, ale jednocześnie tak bardzo jasnymi, jakby widziały przed sobą otoczoną glorią chwały mogiłę bohatera.

A potem generał znowu spojrzał na Neale'a i przemówił, ale innym już, wyraźnie zupełnie innym tonem.

— Notes ten, który Casey zachował najwidoczniej dla pana, należał do niejakiej panny Stanton — powiedział. — Znajdzie pan w nim list, zapewne skreślony tuż przed jej śmiercią. Wyszło to na jaw z chwilą, gdy Daley począł nam go czytać na głos. Tak. Słyszeliśmy wszyscy. Zrozumiawszy jednak, że ten list jest przeznaczony dla pana, odebrałem mu go natychmiast. Dużo zatem przeczytać nie zdążył. Ale rozumie pan chyba, że wszyscy otoczyli Daleya, bo byli bardzo zaciekawieni. Zdarzyło się też, że w wagonie znajdowało się wielu obcych, a między innymi i ten Lee — pana wróg. Żałuję, że tak się stało. Lecz trudno. Nie można było na to nic poradzić.

Neale słuchał, nie rozumiejąc dokładnie, o czym mówił generał.

— Szkoda Caseya — wyszeptał wreszcie.

A potem przypomniał sobie, że trzyma w ręce notes z listem, który panna Stanton rzekomo miała napisać doń przed śmiercią. Co takiego?

Przed śmiercią? Cóż stało się z nią właściwie? Chciał odczytać ten dziwny list zaraz, ale rozmyślił się. Nie chciał tego czynić przy wszystkich. Ukłonił się więc i wyszedł z kancelarii.

Ale z chwilą znalezienia się na ulicy przestał panować nad sobą. Czuł, że coś pali mu dłoń. Był to mały, oprawny w skórę notes. Nie znajdował jednak w sobie dość odwagi, aby go otworzyć i zastanawiał się bezskutecznie nad znaczeniem ostatnich słów generała Lodge'a. Jakim sposobem Casey znalazł się w posiadaniu rzeczy, należącej do panny Stanton? I czyżby istotnie ta kobieta przestała żyć?

Naraz zatrzymała go czyjaś ciężka dłoń i dźwięk głębokiego basu. Neale podniósł utkwione w ziemię oczy i ujrzał przed sobą muskularną postać, odzianą w strój z jelenich skór. Zobaczył brązową, brodatą twarz, ożywioną ciepłym wyrazem radości i poczuł potężny uścisk żelaznej prawicy.

— Nareszcie spotykam pana — rozległ się dobrze znany głos.

— Pan Slingerland — zawołał Neale, chwytając dłoń trapera w obie ręce, niby tonący linę ratunkową. — Mój Boże! Jakże się cieszę z tego spotkania. Och, panie Slingerland! Tyle lat... A ja wciąż jeszcze mam takie ciężkie zmartwienie.

— Zdaje mi się, że wiem o nim coś niecoś — odparł traper.

Neale zadrżał nerwowo. Dlaczego wszyscy dziś patrzą nań tak dziwnym wzrokiem? Ten stary traper również. W spojrzeniu jego wyraźnie malowało się współczucie. I nagle młody inżynier pochwycił się oburącz za głowę.

— Pójdźmy gdzieś, panie Slingerland! — zawołał zdławionym głosem. — Dokąd? Wszystko mi jedno, bylebym się znalazł zdała od tego tłumu. I niech pan nic nie mówi do mnie. Mam list, który muszę przeczytać, a czuję, że jest w nim coś złego.

Pociągnął trapera w jakiś odludny zaułek i tam, otworzywszy z śmiertelnym lękiem w duszy notatnik panny Stanton, począł przebiegać oczami drobne, niewyraźne pismo.

„Nazwał mnie pan obelżywym mianem — czytał. — Uderzył mnie pan, a ja teraz leżę i umieram. O, tak. Umieram z sercem wciąż jeszcze pełnym miłości. Kochałam pana przecież prawdziwie i pragnę tego dowieść. Och, czemuż był pan tak ślepy i szalony?

Ancliffe przyprowadził do mnie Allie Lee — pana narzeczoną, z prośbą, abym ukryła ją przed Durade. Zdążył tylko wyszeptać, że muszę odszukać pana i zaraz potem skonał. Zraniono go śmiertelnie w czasie, gdy ratował Allie z rąk bandy Durade. Hougha ci zbóje zabili na miejscu.

Zamknęłam wówczas to słodkie biedactwo w jednym z mych pokojów i pośpieszyłam szukać pana. I po raz pierwszy w życiu poczułam się szczęśliwa. Dlaczego? Bo zrozumiałam nareszcie przyczynę tej obojętności pana dla mnie. Zrozumiałam i powzięłam dla pana wielki szacunek. Gotowa byłam do wszelkich poświęceń. Och, jakże cieszyłam się, że to z moich rąk właśnie otrzyma pan swą ukochaną, a wraz z nią odrodzenie

wszystkich swych dawnych nadziei. Tak słodko mi było na duszy, gdy myślałam, że odtąd każdy pocałunek miłosny i każdą chwilę dumy będzie pan zawdzięczać odtrąconej kobiecie. W taki oto sposób chciałam się zemścić za pana obojętność.

I znalazłam pana wreszcie, nie przypuszczając ani na chwilę, że ta najlepsza chwila mego pełnego goryczy życia stanie się punktem szczytowym mej hańby. Och, nie przewidziałam wcale, że ten Neale, któremu tak dobrze życzyłam, w bezmiernym swym zadufaniu poweźmie podejrzenie, iż szukam go dla niego samego. Bezwzględna pogarda, jaką mi pan okazał, wytrąciła mnie zupełnie z równowagi. Przez dłuższą chwilę nie mogłam mówić i wreszcie po wielkim wysiłku zdołałam zaledwie wykrztusić imię tej dziewczyny i prośbę, aby poszedł pan za mną.

A pan wówczas, niczym prawdziwy szaleniec, uderzył mnie wobec całego tłumu ludzi. Och, istne piekło bólu i gniewu rozgorzało w mej piersi po owym policzku, którem u towarzyszyła ta straszna, ciężka obelga. Uciekłam wtedy, poprzysięgając panu zemstę tak straszliwą, na jaką może się zdobyć jedynie kobieta znieważona. Postanowiłam wręczyć klucz od pokoju Allie Lee pierwszemu lepszemu mężczyźnie, który tej nocy zgłosi się do mego zakładu.

I zdarzyło się, że pierwszy przyszedł Larry Red King. Był pijany, co ucieszyło mnie niezmiernie. Powitałam go z iście szatańską radością. Zapomniałam jednak, że ten rudy cowboy jest pana przyjacielem. On jednak dobrze o tym pamiętał i wyszedł wkrótce wraz z Allie. Wyszedł już zupełnie trzeźwy, a twarz miał posępną i bardzo groźną. Rzuciłam się, aby odebrać mu dziewczynę, ale on wówczas strzelił. O, Boże! Zdaje mi się, że teraz jeszcze widzę jego oczy. Trafił. Jestem mu za to wdzięczna. Dał mi wyzwolenie.

Padając na ziemię, zdążyłam zauważyć jeszcze, że pogoniło za nim czterech opryszków tego zbója Durade. Nieco później zaś dowiedziałam się, że zabili go i że Durade porwał Allie.

Och, proszę nie tracić ani chwili czasu. Niech pan zabije tego Hiszpana. Nie wiem, dlaczego on oszczędzał Allie tak długo, ale ręczę panu, że grozi jej wielkie niebezpieczeństwo.

Proszę też, aby na zawsze przechował pan w pamięci nazwisko Hougha i Ancliffe’a oraz tego strasznego cowboya. Ancliffe umarł pięknie, jak przystało prawdziwemu gentlemanowi... Ciało mi ziębnie... Z trudnością już wodzę ołówkiem po papierze... Noc zapada... Cicho jest wszędzie... Tylko wicher wyje tak żałośnie... Och, przebaczenia...”

Rozdział XXX

— Sam nie wiem już, co się ze mną dzieje — mruczał MacDermott, ocierając zroszone grubymi kroplami potu czoło. — A może... może śniło mi się to wszystko.

Było zaledwie po czwartej, ale na ulicy panował tłok, niezwykły o tej porze. Ludzie zbierali się wszędzie gromadkami i rozprawiali przyciszonymi głosami.

Generał Lodge wyszedł ze swej kancelarii i ujął MacDermotta pod ramię.

— Niezdrowo mi coś wyglądasz, Sandy! — rzekł. — Chodź do mnie. Nie zaszkodzi ci szklanka whisky.

Usiedli razem przy stole, jak dwaj starzy przyjaciele, i generał własnoręcznie napełnił szklankę robotnika mocnym trunkiem, a MacDermott ujął ją drżącą ze wzruszenia, namuloną dłonią i wychylił duszkiem.

— Nie jestem już tym samym, co dawniej, człowiekiem, panie generale — odezwał się, wzdychając ciężko. — Casey zginął. Potem mieliśmy utarczkę z tymi czerwonoskórymi diabłami, a teraz, zaledwie tylko zdążyłem wyjść z wagonu, znowu zdarzyło się nieszczęście.

— Co to było, Sandy? Słyszałem już rozmaite relacje, ale nic nie wiem naprawdę. Powiedzże mi, Sandy, o co poszło? — pytał skwapliwie generał.

— Bardzo przejęła mnie ta wieść o śmierci Caseya i poczułem potrzebę pokrzepienia się — zaczął Irlandczyk. — Wstąpiłem więc zaraz do zakładu Durade i napiłem się trochę whisky, a potem przeszedłem do innej sali, gdzie grała muzyka. Ślicznie tam było. Wszędzie stały złocone meble, a wszyscy goście mieli fraki. Myślałem z początku, że to sami dostojnicy, ale w chwilę później poznałem niektórych. Znajdował się tam, między innymi, i ten pan Lee, który niegdyś należał do komisji, co kontrolowała nasze roboty. Siedział w towarzystwie kilku przyjaciół.

Urwał na chwilę opowiadanie, aby pociągnąć nowy łyk whisky, i mówił dalej:

— Znajdowałem się właśnie w pobliżu stolika zajmowanego przez pana Lee, gdy na salę weszła dziewczyna, na której widok oniemiałem zupełnie, bo była śliczna niby anioł i jednocześnie straszliwie smutna. Rozglądała się dokoła wielkimi, jakby wystraszonymi, oczami. Dowiedziałem się potem, że szukała Durade. A pan Lee jeszcze więcej, niż ja, zdziwił się, ujrzawszy tę dziewczynę. Stałem tuż przy nim i zauważyłem to od razu.

— Co za szczególne podobieństwo — powiedział sam do siebie.

Wyjął z kieszeni jakiś malutki portrecik, spojrzał nań i wreszcie jeszcze raz obrzucił wzrokiem tę smutną dziewczynę, a potem zbladł, jak płótno.

— Porównajcie sami, moi panowie! — rzekł do przyjaciół.

Wszyscy jego towarzysze bardzo się zainteresowali portrecikiem, a każdy z nich przy tym spoglądał na dziewczynę z widocznym zdumieniem.

— Posłuchajcie, panowie! — rzekł Lee. — Moja żona wiele lat temu uciekła na Zachód z pewnym szulerem. Podejrzewam zatem, że ta mała jest jej córką, gdyż wygląda kubek w kubek, jak moja żona przed dziewiętnastu laty.

Kilku z nich wybuchnęło śmiechem, niektórzy spojrzeli uważniej na dziewczynę, a Lee niepokoił się coraz więcej. Słyszałem wyraźnie, jak szeptał:

— Mój Boże! To chyba niemożliwe... Jej dziecko?... W szulerni?... Ale ta twarz!... No, czegóż ostatecznie miałbym się spodziewać po dziecku takiej matki?

I mrucząc tak, podszedł do dziewczyny, a w ślad za nim pociągnęli jego towarzysze. W tej chwili właśnie przestała grać muzyka i dziewczyna obróciła się ku nim, a wtedy pan Lee zadrżał strasznie. Ona również przestraszyła się widocznie, oboje zaś milczeli przez czas dłuższy, jakby nie wiedząc, co mają mówić. Bardzo to dziwacznie wyglądało.

Pan Lee odezwał się pierwszy.

— Czy pani nigdy nie słyszała o niejakim Allisonie Lee? — spytał półgłosem.

A wówczas ona również pobladła i poczęła drżeć na całym ciele.

— To mój ojciec! — zawołała. — Ja jestem Allie Lee.

Pan Lee chciał coś odpowiedzieć, lecz nie zdążył, gdyż nagle z głębi sali nadbiegł jakiś południowiec — takie ot sobie półdiablę weneckie, o czarnych włosach i błyszczących oczach.

— Wynoś się stąd zaraz! — krzyknął, zbliżając się do dziewczyny.

Ona jednak nie zwróciła na niego żadnej uwagi, a któryś z ludzi, stojących przy mnie, powiedział, że to jest Durade. Sam zresztą domyśliłem się tego od razu, Durade zaś teraz dopiero spostrzegł, że ma przed sobą pana Lee i twarz jego przybrała naraz zielonawą barwę, a oczy stały się wprost dzikie. Pan Lee wszakże zmienił się jeszcze więcej. Zdawało mi się, że widzę prawdziwego diabła. Zacisnął pięści i wykrzyknął głośno jakieś nazwisko hiszpańskie, wcale niepodobne do Durade.

A Durade rzekł głosem syczącym, niby wąż:

— Allison Lee!

Poczęli się potem mierzyć wzrokiem, niby dwaj bokserzy, co za chwilę mają się rzucić na siebie, a wszyscy goście, którzy znajdowali się na sali, otoczyli ich kołem, czekając z zaciekawieniem na wynik zwady. Ja zaś domyśliłem się od razu, że Lee i Durade od wielu lat już musieli być zaciętymi wrogami.

Durade wreszcie skurczył się w sobie, jakby miał skoczyć na wroga.

— Ona wróciła do pana — syknął z wściekłością.

— Ty, złodzieju! Ty, psie hiszpański! — zawołał pan Lee. — Ja nie widziałem jej od dziewiętnastu lat.

A wówczas odezwała się i dziewczyna.

— Moja matka nie żyje — rzekła. — Zamordowali ją Indianie.

— Powiedz mi jeszcze, czy ona go opuściła — wykrztusił pan Lee przerywanym głosem.

— Tak — odparła wyraźnie dziewczyna. — Uciekła od niego wraz ze mną. Mówiła mi, że jedziemy do domu. Ale po drodze napadli na nas Indianie i pozabijali wszystkich. Ja jedna tylko uszłam z życiem.

Wówczas Durade oszalał wprost z wściekłości. Twarz jego z żółtej stała się nagle czerwona, a oczy poczęły miotać płomienie. Wyglądał jak prawdziwy wariat.

— Słuchaj, Lee! — zawył. — Ja rzeczywiście straciłem matkę, ale córkę odzyskałem, jak widzisz. No i przypatrz się jej teraz uważnie. Toż ona jest moją niewolnicą. Robiłem z nią wszystko, co chciałem. Poszła śladem tej zdrajczyni. Była już i w mieście Benton i wszędzie, wszędzie. Cha! cha! cha!

Allison Lee zaniemówił ze zgrozy, a dziewczyna, którą tak haniebnie oczerniał ten łotr, też nie odzywała się wcale i tylko wyraz twarzy i oczu świadczył dobitnie o jej całkowitej niewinności.

A Durade, zanosząc się wciąż piekielnym śmiechem, wyciągnął z kieszeni niewielki pistolet i wymierzył go w pierś pana Lee, sycząc coś po hiszpańsku, lecz w tej chwili zrobił się nagły ruch w tłumie gości i ukazał się nagle Neale w towarzystwie Slingerlanda. Dziewczyna na ich widok krzyknęła przenikliwie i zachwiała się, jakby miała upaść, Neale zaś zasłonił pana Lee własnym ciałem.

— Durade! — zawołał groźnie i na dźwięk jego głosu ucichło wszystko na sali, jakby makiem posiał.

Tu MacDermott znów przerwał opowiadanie, otarł dłonią spoconą twarz i, przytknąwszy do ust nalaną świeżo szklankę, wypił ją do dna. W jego bladobłękitnych oczach malowało się żywe wzruszenie.

— Zna pan przecież dobrze Neale'a, panie generale — rzekł po chwili. — Wspaniały to chłopak. Zdolny do wszelkich poświęceń. Dorównać mu mógłby chyba tylko Casey. Wiedziałem o tym, a jednak zdumiałem się. Pan również zdziwiłby się, panie generale, bo nikt z nas nie widział Neale'a takiego, jaki był w owej chwili. Wyglądał niby wcielenie gniewu i zemsty. Nie zawahał się wcale, lecz ruszył wprost na Durade. Och, panie generale! Każdy zbój musiałby przeczuć, że Neale przebłagać się nie da. Zrozumiał to nawet ten głupi Hiszpan-szaleniec. Zrozumiał i strzelił.

A Neale roześmiał się tylko w odpowiedzi. Dziwny to był śmiech, panie generale. Dźwięczała w nim ta sama szatańska radość, jaką przedtem słyszałem w śmiechu Durade, kiedy dręczył pana Lee. Pełno było w tym śmiechu nienawiści i żądzy krwi. Neale jakby cieszył się, że trafiła go kula.

W następnej zaś chwili rzucił się na Durade i zadał mu taki potężny cios, że Hiszpan nakrył się nogami. Tak, panie generale!

Upuścił przy tym swój pistolet, a ja pochwyciłem go natychmiast. Przy pierwszej sposobności podaruję tę broń Neale'owi. Durade podniósł się z ziemi, jęcząc i wzywając pomocy, ale nikt się jakoś z nią nie kwapił. W pobliżu zaś stał traper Slingerland, trzymając w każdej ręce pistolet, i wyraz jego oczu nie wróżył Hiszpanowi nic dobrego.

Durade jednak nie chciał ustąpić i nieoczekiwanie dla wszystkich rzucił się na Neale'a, wyjąwszy uprzednio zza pasa długi, ostry nóż.

— Proszę zabrać stąd córkę, panie Lee! — krzyknął wówczas Neale.

Zobaczyłem wtedy, że słodka panna Allie słania się na nogach. Upadłaby na pewno, gdyby pan Lee nie pochwycił jej w ramiona. Podniósł ją z łatwością i na rękach, niby dziecko, wyniósł z sali. Tych dwojga więcej już nie ujrzałem.

Ale było jeszcze na co patrzeć, bo w następnej chwili Neale zwarł się z Durade. Usłyszałem niebawem trzask kości ramienia, które pochwycił w swe żelazne dłonie Neale. Hiszpan zaskowyczał niby pies, a ja pożałowałem, że mój przyjaciel Casey nie może być świadkiem tej wspaniałej walki. On tak bardzo przecież lubił Neale'a. Gdyby...

— Ależ, człowieku — zniecierpliwił się generał. — Powiedzże nareszcie, czym się to zakończyło.

— No, więcej już prawie nic nie było, panie generale. Wciąż tylko rozlegał się trzask kości i nieludzkie wrzaski. Neale obie ręce Durade trzymał w swoich łapach i tak wreszcie pokierował sprawę, że Hiszpan nadział się na własny nóż. Mój Boże! Nigdy chyba nie zapomnę ryku, który wydarł się wtedy z jego piersi. Nie była to rana śmiertelna. Nie! Pewien jednak jestem, że Durade został dzięki niej całkowicie unieszkodliwiony.

Zamilknął i, obrzuciwszy żałosnym spojrzeniem pustą butelkę, dodał tonem proszącym:

— Oto wszystko, panie generale. A teraz napiłbym się czegoś jeszcze.

Rozdział XXXI

Sam widok Warrena Neale'a oddziałał dobroczynnie na Allie. Niczym było nagłe spotkanie nieznanego ojca, niczym był wstyd przebywania w szulerni wobec tej wspaniałej rzeczywistości, którą stało się ponowne odnalezienie jej przez Neale'a.

Leżąc teraz w małym, zacisznym pokoiku jakiegoś mieszkania, dokąd zaprowadził ją pan Lee, przypominała sobie, jak wspaniale wyglądał Neale w chwili, gdy, nie oglądając się na grożące mu niebezpieczeństwo, stanął pomiędzy jej ojcem a tym Hiszpanem o strasznych, pałających żądzą zemsty oczach. Przypominała sobie również, że nie odczuwała wówczas żadnej obawy o los narzeczonego, ani litości dla Durade. Teraz zaś przekonywała się także, że znikła gdzieś jej rozpacz i pozostała jedynie przybierająca wciąż jeszcze w sercu fala miłości. Pokój, w którym się znajdowała, był oddzielony od drugiego tylko zasłoną i wprędce Allie usłyszała odgłosy prowadzonej tam przez kilku ludzi rozmowy.

— Winszuję panu szczerze, panie Lee! — mówił ktoś głębokim, pełnym powagi głosem. — Był pan na włosek od śmierci.

— Ma pan słuszność, generale — zabrzmiała odpowiedź. — Znajdowałem się w dość ciężkich opałach.

Allie usiadła na łóżku, nasłuchując z zaciekawieniem. Odgadła z łatwością, że w sąsiednim pokoju siedział jej ojciec w towarzystwie generała Lodge'a, zwierzchnika Neale'a.

— Neale pobił Durade do utraty przytomności — odezwał się znowu generał. — Słyszałem to od MacDermotta, jednego z mych robotników, któremu wierzę najzupełniej. Neale przy tym otrzymał postrzał, a może i pchnięcie nożem, lecz najprawdopodobniej wcale tego nie zauważył w swej zawziętości.

Allie skoczyła na równe nogi, przerażona i drżąca.

— Doprawdy? — zawołał Allison Lee.

W głosie jego brzmiało coś w rodzaju przykrego zdziwienia. Odpowiedział mu człowiek, który, jak dziewczyna mogła się domyślić po skrzypnięciu drzwi, w tej chwili właśnie wszedł do pokoju.

— To prawda, panie Lee — rzekł. — Proszę wyjrzeć przez okno. Zobaczy pan, ilu ludzi stoi na ulicy. A wszyscy tylko o tym rozprawiają.

— Gzy Neale jest tu, panie pułkowniku Dillon? — zagadnął szybko Lodge.

— Służba pana Lee nie daje mu tu dostępu, ale nasi chłopcy chcą go wnieść na własnych ramionach. Pysznią się bardzo zwycięstwem tego młodzieńca nad Durade — odparł głos, wibrujący żywym wzburzeniem.

— Czy Neale jest ciężko ranny, pułkowniku?

— Zdaje mi się, że tak. Krwawi strasznie.

— Widział go pan? — pytał generał Lodge.

— Tak! Wygląda na niezupełnie przytomnego. Rany muszą mu dolegać porządnie. Nie pozwolił sobie jednak zrobić opatrunku i biegł tu, jak szalony.

— Oho! Nadchodzi MacDermott! — zawołał generał Lodge. — Ten powie nam pewnie coś nowego.

Czujne ucho Allie pochwyciło w tej chwili odgłos kroków nowego przybysza. Świadomość jej zanotowała odniesienie przez Neale'a ran, ale serce odmówiło uznania ich za niebezpieczne. Dobry Bóg wszakże nie zechciałby doświadczać jej w sposób tak straszliwie okrutny.

— Czy widziałeś się z Nealem, mój Sandy?—rozległ się nagle glos generała Lodge'a.

— Ma się rozumieć, panie generale — odparł skwapliwie ktoś nieznany. — Przekonałem się też naocznie, że krew jego jest równie czerwona, jak ta, co płynie w żyłach każdego uczciwego Irlandczyka. Chciałem mu podarować ten pistolet, który wymierzył w niego Durade, ale on rzucił mi takie spojrzenie, jakby mnie widział po raz pierwszy.

— Czy przyjmie pan Neale'a, panie Lee? — zagadnął generał.

Przez chwilę panowała cisza.

— Nie — zabrzmiała wreszcie chłodna odpowiedź. — Nie uważam tego za rzecz niezbędną. Postaram się go jednak wynagrodzić za to, że stanął w mej obronie.

— Jakże chce go pan wynagrodzić? — zabrzmiał głos generała.

— W sposób najbardziej dlań zrozumiały. Pieniędzmi. Neale był szulerem i, dzięki temu zapewne, żywił może osobistą niechęć do Durade. Przypadek zdarzył, że załatwienie przez obu tych panów wzajemnych porachunków wyszło mi na korzyść. Nie sądzę więc, abym potrzebował poczuwać się do szczególnej wdzięczności względem pana Neale'a.

— Zaraz, panie Lee — przerwał mu porywczo generał Lodge. — Zaręczam panu, że Neale jest młodzieńcem wielkiej szlachetności, a przy tym jednym z najzdolniejszych inżynierów, jakich miałem kiedykolwiek. Zawsze przepowiadałem mu wspaniałą przyszłość.

— Te rzeczy nie obchodzą mnie wcale — odparł zimno Lee.

— A jednak musi się pan o nich dowiedzieć. Neale, bądź co bądź, ocalił dziewczynę, która okazała się pana córką. On opiekował się nią, on ją pokochał i stał się wreszcie jej narzeczonym. Źli ludzie porwali mu ukochaną i od owej chwili biedak na wpół oszalał. Ta strata zniszczyła go moralnie i fizycznie.

— Nie wierzę w to — rzekł sceptycznie ojciec Allie. — W moim przekonaniu zniszczyły go karty, trunki, no i... kobiety.

— Myli się pan.

— Ależ nie mylę się, drogi generale. Muszę też oświadczyć panu, że nie wierzę nawet w jego miłość do mej nieszczęśliwej córki. Czyżby mógł przebywać w towarzystwie szulerów i kobiet lekkich obyczajów, gdyby istotnie łączyło go z nią jakieś głębsze uczucie?

— Zdaje mi się, że tracimy na próżno czas — oświadczył generał Lodge zniecierpliwionym głosem. — Nie mam zamiaru nastawać, aby go pan przyjął. Przypuszczam wprawdzie, że mógłby mu pan podziękować, lecz

nie radzę ofiarowywać temu chłopcu pieniędzy. Ale wszystko to należy ostatecznie do zakresu osobistych spraw pana, do których nie życzę sobie się w trącać. Żądam jedynie, aby dozwolił mu pan widzieć się z panną Allie.

— Nie dozwolę.

— Panie Lee! — oburzył się generał. — Eh, po co ja właściwie z panem rozprawiam! — wybuchnął gniewnie. — Sandy! Przyprowadź no tu pana Neale'a!

Allie słuchała tej rozmowy, ściskając drżącymi dłońmi fałdy oddzielającej ją od drugiego pokoju zasłony, gotowa ukazać się w każdej chwili wiodącym spór mężczyznom, z których jeden był przyjacielem Neale'a, a drugi wrogiem.

— Zapomina pan, generale, czego dowiedzieliśmy się o Neale'u przed kilku godzinami zaledwie — rzekł znowu jej ojciec. — Zapomina pan o tym liście, który czytał nam na głos któryś z inżynierów. Był to list od kobiety, która, jak można było łatwo wyrozumieć z treści, umarła ugodzona przez niego śmiertelnie, a przecież jeszcze go kochała.

— Pamiętam — westchnął generał. — Pozory istotnie świadczą przeciwko niemu. Nie znam y jednak szczegółów zajścia. Neale w gniewie lub zamroczeniu mógł uderzyć tę kobietę. Ale zabić? Nigdy!

I Allie zrozumiała nagle, o co chodziło. Ci mężczyźni mieli na myśli pannę Stanton, którą Larry King zastrzelił w jej oczach. Och, mogła im z całą pewnością wymienić nazwisko prawdziwego zabójcy. Ale co oni mówili jeszcze? Że Neale kochał tę kobietę? Umarłaby raczej, niżeli miałaby uwierzyć w taką rzecz, a jednak na chwilę pociemniało jej wszystko w oczach i musiała chwycić się oburącz fałd grubej materii, aby nie upaść na ziemię.

Wprędce jednak opanowała się całkowicie. Neale przecież miał zjawić się niebawem, a wobec tego usuwało się w cień wszystko, co nie miało bezpośredniej łączności z tym faktem.

I nagle ucho jej znowu pochwyciło słowa generała Lodge'a.

— Pozostaniesz tutaj, Sandy — mówił. — Pan również, pułkowniku. Niechaj nikt nie opuszcza tego pokoju. Pana Lee nie zatrzymuję, oczywiście. My jednak musimy zobaczyć się z Nealem i pokazać go pannie Allie.

Allie odchyliła zasłonę, czując, że nie powinna dłużej pozostawać w odosobnieniu. Nikt jednak nie spostrzegł jej na razie. Spojrzenia wszystkich, znajdujących się w tym pokoju, były skierowane w stronę drzwi, poza którymi rozlegał się już odgłos ciężkich kroków. Wkrótce wszedł jakiś Irlandczyk, a w ślad za nim ukazała się wysoka postać, na której widok serce Allie zatrzepotało niby stęskniony ptak, bo był to przecież Neale.

Niebawem do pokoju wkroczył jeszcze jeden człowiek, którego od razu poznała po kaftanie, skrojonym z jelenich skór, a potem zobaczyła twarz Neale'a w pełnym oświetleniu i zaledwie zdołała powstrzymać rwący się z piersi jęk żałosny. Mógł że to być jej wspaniały, młodzieńczy Neale? Poznawała go wprawdzie, ale widziała przecież, że jest odmieniony

zupełnie. Na skroniach srebrzyły mu się siwe włosy, pod oczami legły cienie sinych obwódek, a wokoło ust zarysowały się zmarszczki bólu.

— Panie Lee — rzekł głuchym, urywanym głosem. — Proszę mi wierzyć, że Durade kłamał nikczemnie. Tak! To wszystko, co mówił o Allie, było wstrętnym oszczerstwem. Podły łotr chciał zemścić się w ten sposób na matce Allie. Gotował jej wprawdzie los jak najgorszy. Wiem o tym. Ale Bóg wszechmogący czuwał nad nią. Tak! Wierzę, że nie był to ślepy przypadek. Hough, a potem Ancliffe i wreszcie mój najlepszy przyjaciel Larry King oddali życie, stając w jej obronie. Może pan więc nie wątpić, że dziewczyna jest niewinna jak dziecię. Oni wszak również nie wątpili o tym. Inaczej nie byliby zdolni do takiego poświęcenia. Rozumie pan?

Przy ostatnich słowach głos jego przeszedł w szept, a wzrok śmiertelnie znużonych oczu spoczął nieruchomo na obojętnym obliczu Allisona Lee z wyrazem niemej prośby.

— Dziękuję panu za wszystko — rzekł chłodno Lee. — Pragnąłbym teraz dowiedzieć się, w jaki sposób mógłbym pana wynagrodzić?

Upiornie blada twarz Neale'a oblała się nagle szkarłatem rumieńca.

— Nie żądam żadnej nagrody — wybuchnął. — Chcę jedynie, aby mi pan uwierzył.

Wzrok Allisona Lee tkwił wciąż gdzieś ponad głową młodzieńca i ani na chwilę nie stracił wyrazu zupełnej obojętności.

— Pozwolę sobie jeszcze zadać panu kilka pytań zabrzmiała wreszcie chłodna odpowiedź. — Generał Lodge poinformował mnie, że przed kilku laty uratował pan życie mej córce... Czy... czy może mi pan powiedzieć, co się stało z jej matką?

— Owszem — odparł Neale. — Matka Allie została zamordowana przez Siuksów. Widziałem potem, jak kładli ją do grobu, który znajduje się niedaleko stąd.

Teraz dopiero zmienił się wyraz lodowatej twarzy Allisona Lee. Doskonale na pozór obojętny człowiek odwrócił na chwilę głowę, zagryzając wargi, a ręce ego zacisnęły się nerwowo. Allie zastygła w miejscu, nie mogąc oderwać oczu od tej postaci złamanej nagle bezbrzeżnym bólem.

— I dokąd to zaprowadził pan wówczas moją córkę? — spytał wreszcie Lee.

— Do mego znajomego trapera Slingerlanda — odpowiedział Neale. — Allie mieszkała tam dość długo i ostatecznie przyszła do siebie. Nie wie pan zapewne, że przez jakiś czas obawialiśmy się o jej umysł. A potem porwano ją w czasie nieobecności Slingerlanda.

— Słyszałem, że zaręczył się pan z moją córką. Czy miał pan zamiar ją poślubić?

— Nie porzuciłem go bynajmniej — oświadczył szybko Neale.

— Pozwalam sobie uprzedzić pana, że obecnie nie da się to urzeczywistnić.

Neale zadrżał.

— Nie rozumiem pana — wybełkotał. — Ja przecież...

— To trudno — przerwał mu Lee, w stając z krzesła. — Inaczej tego wytłumaczyć panu nie potrafię. Teraz zaś pragnąłbym już zakończyć tę

bardzo dla mnie niemiłą rozmowę, jeśli rzeczywiście nie życzy pan sobie przyjąć ode mnie żadnego wynagrodzenia.

Allie wiele razy już w swoim życiu myślała, że serce jej rwie się z bólu, teraz jednak poznała cierpienia większe od tych, jakie odczuwała kiedykolwiek. Dlaczego Neale nie spojrzał ani razu w jej stronę? W wyrazie bladej twarzy swej narzeczonej byłby wyczytał wszakże zaprzeczenie tych strasznych, bezlitosnych słów.

Lecz w tej chwili do rozmowy wmieszał się generał Lodge.

— Panie Lee! — rzekł głosem, drżącym z oburzenia. — Musi pan przecież wykazać bodajby odrobinę szlachetności. Proszę zezwolić Neale'owi na zobaczenie się z panną Allie.

— Nie mogę — odparł twardo Lee.

— Dlaczego właściwie?

— Mówiłem już panu dlaczego — zabrzmiała niecierpliwa odpowiedź.

— Ależ, panie Lee! — protestował gorąco generał. — Pan może się mylić. Nie czytaliśmy wszakże tego listu do końca.

Lee wzruszył ramionami.

— Może zechce pan poprosić Neale'a, aby nam to wyjaśnił — rzekł obojętnie.

Generał Lodge zwrócił się natychmiast do młodego inżyniera.

— Proszę powiedzieć nam, jak to było z panną Stanton — zagadnął. — Czy ona istotnie kochała się w panu i czy rzeczywiście uderzył ją pan, a potem...

Urwał, jakby nie mogąc wypowiedzieć pytania, które wydawało mu się zbyt niedorzeczne. A Neale spojrzał nań oczami, pociemniałymi z bólu.

— Ku memu wstydowi muszę oświadczyć, że wszystko to jest prawdą — rzekł wyraźnie.

Lecz wtedy Allie z rozdzierającym okrzykiem wybiegła na pokój i otoczyła ramionami szyję ukochanego, którego twarz zajaśniała natychmiast blaskiem niewypowiedzianego szczęścia. Przez chwilę tulili się do siebie oboje, po czym dziewczyna zawołała głośno:

— Nie widziałam nigdy listu panny Stanton, ale wiem przecież dobrze, że nie ty ją zabiłeś. To zrobił Larry King.

— Och, Allie — szepnął ze wzruszeniem.

Teraz zrozumiał nareszcie, że nie jest to wizja, ale rzeczywistość. Allie znowu znajdowała się z nim. Widział, że jest zdrowa na ciele i duchu, a wobec tego niczym były wszelkie strapienia.

— Dlaczego sam nie powiedziałeś im, że to zrobił Larry? — pytała błagalnie dziewczyna.

— Ależ ja zrobiłem jeszcze gorszą rzecz — westchnął. — Ja...

Zobaczyła, że Neale unika jej oczu i przeraziła się nagle.

— Ona cię kochała? — zagadnęła głosem bezdźwięcznym.

Skinął głową zamiast odpowiedzi.

— O, Boże! — jęknęła. — I ty... ty...

Allison Lee stanął nagle między nimi, patrząc surowo na Neale'a.

— Widzi pan? — zawołał. — Ona wie już! Proszę więc odejść teraz, jeśli ma pan dla niej choćby odrobinę litości.

— Ona wie? Co mianowicie? — wybełkotał Neale, czując ogarniające go coraz więcej znużenie. — Żegnaj, Allie! — mówił na wpół przytomnie, patrząc, jak Lee ciągnie ją w stronę zasłony. — Żegnaj! Niech Bóg da ci szczęście...

Urwał i zawrócił ku drzwiom, ukrywając w dłoniach twarz, po której płynęły strumienie łez.

— Nie odchodź jeszcze! — szlochała dziewczyna, wyciągając doń ręce. — Przebaczam ci wszystko. Na całym świecie przecież nie mam nikogo prócz ciebie.

Słowa te jednak nie wywarły żadnego wrażenia na młodym inżynierze, który wyszedł w tej chwili na ulicę, słaniając się, niby człowiek, ugodzony zabójczym pociskiem w samo serce.

Rozdział XXXII

Neale stał nieruchomo, patrząc jak pociąg uwożący Allie mknie w oddali ozłocony blaskiem ostatnich promieni zachodzącego słońca. W tej chwili odczuwał tylko wielki spokój, którego nie mąciła żadna samolubna myśl. Allie żywa i zdrowa znajdowała się przecież przy boku swego ojca. Jechała wraz z nim do własnego domu. Skończyły się jej strapienia i udręki. Długi pociąg zatoczył szeroki łuk i zniknął wreszcie za zakrętem. A młody inżynier zrozumiał, że z tą chwilą zamknął się nieodwołalnie pewien okres jego życia.

— Już po wszystkim, synu — rzekł Slingerland, który nieodstępnie mu towarzyszył. — Allie odjechała nareszcie, dzięki Bogu, aby stać się tym, czym miała być zawsze, a ty teraz możesz powrócić do swego dawnego życia. Chodź, synu!

Neale spojrzał nań z wdzięcznością i usłuchał wezwania bez żadnego sprzeciwu. Traper od kilku dni nie opuszczał go ani na chwilę, lecząc umiejętnie, a tak troskliwie, jakby miał do czynienia z chorym dzieckiem.

Razem powrócili do namiotu, a niebawem zapadła noc i Neale położył się, lecz nie zasnął od razu i długo jeszcze rozmyślał, wpatrując się na wpół zmrużonymi oczami w zgarbioną postać czuwającego nad nim trapera. Z rana obudził się po raz pierwszy od długiego czasu bez uczucia nienawiści. Slingerland własnoręcznie przyrządził mu śniadanie.

— Czy zechcesz towarzyszyć mi, synu, kiedy udam się w góry? — spytał, stawiając przed nim pożywienie.

— Owszem — odparł Neale w zamyśleniu. — Ale dopiero po ukończeniu budowy kolei.

Traper spojrzał nań badawczo.

— Budowa kolei zbliża się już ku zakończeniu — rzekł miękko. — A ty potrzebujesz wypoczynku.

— Sam to czuję — szepnął młodzieniec.

— No, więc jedź ze mną. W górach prędzej wyleczysz się z ran.

— Jedna pozostanie mi na zawsze — westchnął Neale, dotykając ręką piersi. — Tego bólu już nigdy się nie pozbędę. Ale to nic. Wytrzymam jakoś. Na razie wezmę się do roboty.

— Jak chcesz. Bylebyś tylko unikał kart i alkoholu. To nie dla ciebie, synu. Pamiętaj.

Neale uśmiechnął się słabo, a pomarszczona twarz starego trapera rozjaśniła się od razu.

— Zdaje mi się, że niepotrzebnie o tym ci wspominałem, synu — rzekł łagodnie. — Żegnaj tymczasem. Pewnego dnia powrócę, aby zobaczyć połączenie obu torów i zabrać cię w góry.

Neale wyjechał z Roaring City pociągiem roboczym, siedząc na platformie ciężarowej wraz z tłumem robotników, odzianych w czerwone koszule. Pociąg ten dźwigał setki ludzi, tysiące podkładów i całe góry stalowych szyn, a był również zaopatrzony dobrze w żywność dla robotników oraz w oręż dla odparcia możliwego napadu czerwonoskórych.

Zatrzymano się na samym końcu toru, w odległości czterdziestu mil od Roaring City, a wówczas Neale poszedł szukać kierownika robót, niejakiego Reilly. Znalazł go niebawem, ale olbrzymi Irlandczyk był otoczony takim tłumem, że nie sposób było się doń przecisnąć. Wszyscy ludzie otrzymali wreszcie potrzebne wskazówki i wówczas Reilly spostrzegł młodego inżyniera.

— Dzień dobry, panie Neale! — zahuczał, ściskając mu serdecznie dłoń. — Skąd pan się wziął?

— Przyjechałem, aby pracować.

Reilly odstąpił nieco, obrzucając go pełnym zdumienia wzrokiem.

— Co takiego? — zawołał. — Przecież pan jest inżynierem, a ja tu potrzebuję tylko robotników.

— Ja też chcę pracować jako zwykły robotnik — odparł Neale. — Porozumiałem się już w tej sprawie z generałem Lodge'em. Będę wraz z innymi układać szyny na podkładach i uważać to za pewien rodzaj odpoczynku.

— Aha... aha... — rzekł Reilly tonem człowieka, który słyszy, ale nic nie rozumie. — No, dobrze dodał, wzruszając ramionami. — Życzę panu powodzenia.

Neale został przydzielony do grupy robotników, mających wyładowywać z wagonów ciężkie podkłady, i zabrał się natychmiast do roboty z wrodzonym sobie zapałem.

— Eh, towarzyszu! A na co ten pośpiech? — zaprotestował jeden z jego nowych kolegów, krępy i silny człowieczek o pełnych humoru oczach, którego inni nazywali Patem.

Splunął niechętnie w ręce i, ująwszy całe naręcze podkładów, zaniósł je wraz z Nealem do miejsca, w którym kończył się tor. Tutaj pochwycili je zaraz czekający już robotnicy i poczęli układać na świeżym nasypie. Neale i Pat powrócili niebawem do wagonu po nowy ładunek, a inni tymczasem wynosili już długie pasma żelaznych szyn.

Tak rozpoczął się dla Neale'a ten pełny znoju dzień.

Pat spoglądał nań krytycznym wzrokiem, dając jednocześnie do zrozumienia swym towarzyszom, że żadnej przyjemności nie sprawia mu praca z nowym zupełnie człowiekiem. Niechęć jego jednakże zniknęła wprędce, gdy zobaczył, że Neale pracuje znacznie lepiej od wielu wytrawnych robotników. Wówczas ofiarował mu wspaniałomyślnie parę rękawiczek, które skutecznie chroniły skórę rąk od ścierania do krwi. Neale jednak odmówił ich przyjęcia.

— Włóż je, kolego — błagał Pat. — Masz przecież delikatniejsze ręce, niż ja.

— Uprzedzam cię, że będziesz potrzebował dziś pomocy chirurga, jeśli nie przestaniesz mnie nudzić — oświadczył gniewnym tonem Neale.

Mały Irlandczyk wzruszył ramionami i nie odezwał się już więcej. Neale teraz budził w nim zdumienie. Zdawał się być nieczuły na upał, ból i trudy. Niosąc ciężkie podkłady, ciągnął za sobą nie mogącego nadążyć za nim Pata, a powracając do wagonu, zawsze wyprzedzał go znacznie. I ciężkie podkłady nowy robotnik również dźwigał z większą łatwością, niż przyzwyczajony do tego rodzaju pracy Pat. Irlandczyk czuł, że długo temu nie podoła.

— Nie wiem, czy przy takim tempie uda mi się dożyć do następnego dnia wypłat — użalił się w pewnej chwili, zaledwie dotrzymując kroku towarzyszowi.

— Dożyjesz — zapewnił go Neale. — Będziesz miał co najwyżej nieco lepszy, niż zwykle, apetyt.

— Skądże znowu? Umrę z pewnością. Słuchaj, przyjacielu. Czy ty nie jesteś czasem Irlandczykiem?

— Poniekąd tak.

— Czułem to — jęknął Pat. — Ale teraz lżej mi będzie umierać, kiedy wiem, że zadręczył mnie współziomek.

W pół godziny zaś później poczuł się wyczerpanym ostatecznie i musiał usiąść.

— Powiedz mi przynajmniej, jak się nazywasz — zagadnął zbolałym głosem.

— Nazywam się Neale — rzekł młody inżynier.

— Powinien byś właściwie nazywać się Casey — westchnął Pat, przypatrując mu się podejrzliwie. — Znałem tylko jednego człowieka, który mógłby dorównać ci w wytrzymałości, a ten takie właśnie nosił nazwisko. Na Boga! — jęknął nagle. — Przecież ty pocisz się krwią.

Neale dotknął ręką swej nagiej piersi i zobaczył, że istotnie spływa z niej pot, pomieszany z krwią.

— Dłonie także sobie pokrwawiłeś — biadał dalej Pat.

Całe były pokryte ranami, ale Neale teraz dopiero to zauważył. W tej chwili zatrzymał się przy nich kierownik robót Reilly.

— Co ci się dzisiaj stało, Pat, że pracowałeś tak ochoczo? — zagadnął, mrużąc przekornie jedno oko. — Czy wiesz, że dzięki temu szalonemu tempu roboty, posunęliśmy się o całe pół mili naprzód? Uśmiechnął się wesoło, po czym zwrócił się do młodego inżyniera.

— Pan jest wprost nadzwyczajny — rzekł. — Znałem wprawdzie kogoś, kto mógłby rywalizować z panem, ale nie żyje już biedak. Był to niejaki Casey.

Poszedł, nie czekając na odpowiedź, a Neale zobaczył nagle przed sobą wizję olbrzymiego Caseya, z nieodstępną czarną fajeczką w zębach. Ujrzał go wyraźnie, leżącego pod szczątkami zdruzgotanego wagonu, w kałuży krwi, która zalała żwirowe osypisko, i poczuł nagły przypływ smutku.

Pracy wreszcie zaniechano na dźwięk przeraźliwego gwizdu lokomotywy, wzywającego ludzi na posiłek Wszystko zmieniło się wówczas w jednej chwili. Ustały powolne, pełne jednostajności ruchy i robotnicy pociągnęli sznurem ku stojącym w oddali wagonom. Cała ta rzesza, po

przybyciu na miejsce, poczęła się obficie posilać, po czym nastąpił wypoczynek, równie beztroski i wesoły jak przedtem robota.

Po przerwie Neale pracował już znacznie opieszałej z czego cieszył się niezmiernie jego towarzysz, gdyż słońce paliło coraz silniej i obydwaj ociekali potem. Neale zaś odczuwał jeszcze ból wszystkich mięśni i pragnienie, którego niczym nie mógł ugasić. Ręce przy tym mdlały mu dziwnie, plecy zesztywniały, a kolana uginały się za każdym razem, gdy przyszło dźwignąć większy ciężar. Rana w piersi zaś znowu poczęła dolegać boleśnie i krwawić.

Pod koniec dnia ledwie już powłóczył nogami i z uczuciem prawdziwej ulgi wsiadł wraz z innymi robotnikami do pociągu, który miał ich odwieźć na spoczynek. Wszedłszy do namiotu, rzucił się natychmiast na posłanie i przespał całe dwanaście godzin, lecz obudził się z uczuciem jeszcze większego zmęczenia i bólu. Z wielką trudnością przemógł osłabienie i udał się ponownie do pracy, która jednakże była dlań teraz już istną torturą.

A dzień następny przyniósł dalsze pogorszenie. Znużone nadmiernym wysiłkiem mięśnie buntowały się, odmawiając posłuszeństwa. Neale wszakże zacisnął zęby i pracował nadal bez wytchnienia, zaledwie powłócząc nogami i czując, że umysł zaczyna mu się mącić wskutek tej wyczerpującej walki wewnętrznej, jaką ciało jego toczyło z wolą.

Ale ostatecznie noszenie ciężarów się skończyło. Teraz należało tylko układać i spawać szyny, a robota owa była już lekka zupełnie w porównaniu z poprzednią. Neale odpoczywał przy niej po tamtym ciężkim trudzie, powracając stopniowo do dawnej równowagi duchowej i cielesnej. Wraz z nią wszakże opadły go wspomnienia, w ciągu tych kilku dni nie mające przystępu do zamroczonego umysłu. I Neale poczuł wreszcie, że wzrok jego dwoi się dziwnie. Widział bowiem z całą wyrazistością prostą linię toru, układanego z szybkością dziesięciu mil na dobę, i zdawał sobie najzupełniej sprawę z całej niezwykłości tego postępu, którą mógł zrozumieć dokładnie tylko bardzo wytrawny inżynier, a jednocześnie nie przestawała mu majaczyć przed oczami blada, opromieniona aureolą przedziwnej niewinności twarzyczka Allie Lee.

Mijały tak dni i noce, a wizja ukochanej nie opuszczała Neale'a ani na chwilę. Noc teraz już przestała być dlań wypoczynkiem, gdyż z nastaniem ciszy ogarniała go z przemożną siłą tęsknota. Kiedyś, myśląc, że Allie umarła, znajdował pewne ukojenie w przeświadczeniu, że duch jej znajduje się w pobliżu. Obecność ukochanej wyczuwał wówczas w każdym cieniu, w poszumie wiatru i szmerze strumyków. Dziś wiedział już, że żyje, ale ta świadomość właśnie napełniała go jeszcze większą tęsknotą. Tak. Żyła, lecz znajdowała się gdzieś daleko, poza górami i stepami, nieosiągalna i na zawsze dlań stracona.

Niezmiennie wybiegał ku niej myślą podczas tych niespokojnych nocy bezsennych, po tysiąc razy zadając sobie pytanie, co porabia i co czuje Allie. Czyżby zapomniała o nim zupełnie? Czyżby sprzeniewierzyła się jego pamięci? Cóż? Wszystko możliwe! Allie wszakże była jeszcze taka młoda, a zaranie swego życia spędziła przecież we wprost strasznych warunkach.

Może więc pod wpływem spokoju i dostatku ugięła się wobec woli swego ojca i zrezygnowała z poślubienia niemiłego mu młodzieńca.

— Jest to przecież naturalne i zupełnie zrozumiałe — szeptał sam do siebie, bezskutecznie starając się usnąć. — Niechże tak będzie. Chcę, aby zapomniała o mnie i była szczęśliwa. Tak. Niechaj znajdzie sobie kogoś odpowiedniejszego niż ja. Życzę jej tego szczerze.

W głębi duszy jednak zdawał sobie doskonale sprawę z kłamliwości własnych słów. Nie! Nic nie mogło wyrugować z jego serca przekonania, że zobojętnienie Allie byłoby dlań wyrokiem śmierci. Żył przecież tylko wspomnieniem o niej. Żył tą przeszłością, którą z dniem każdym opromieniał mu coraz to większy urok.

A rozpamiętując wszystkie chwile, spędzone w towarzystwie ukochanej, zadał sobie wreszcie pytanie.

— Cóż to takiego powiedziała mi Allie, kiedy widzieliśmy się po raz ostatni?

Przypomniał sobie te słowa dziwaczne. Odszukał je z mozołem w tajnikach podświadomości, która przechowała troskliwie każdy szczegół przebiegu owej rozmowy.

Powiedziała:

— Przebaczam ci wszystko!

Pamiętał tragiczny wyraz jej twarzy, pociemniałe z bólu oczy i wyciągnięte doń w udręce ramiona.

— Za cóż mi ona przebaczyła? — szeptał w niemym zdumieniu.

Tak pogrążył się w dociekaniu znaczenia tych słów, że porzucił pracę i stał, zamyślony, nie słysząc przeraźliwych gwizdków parowozu, zwołujących robotników ma obiad. Pociągnęli też wkrótce ku pełnym strawy kotłom wszyscy jego towarzysze, a on stał wciąż jeszcze nieruchomo, zapatrzony w wizję niezapomnianej sceny, która rozegrała się niegdyś u Allisona Lee.

Znowu znajdował się w obszernym pokoju, gdzie było wraz z nim tylu innych mężczyzn. Słyszał chłodny głos Allisona Lee, wyrażającego mu podziękowania i rzucającego bezlitosne słowa odmowy, a potem ostrą wymianę zdań pomiędzy nim a generałem, który wstawiał się za swym ulubieńcem. I nagle z jasnością niesłychaną zaświtała mu nowa myśl.

— No, ma się rozumieć — szepnął. — Lee myślał, że to ja zabiłem pannę Stanton. Ale nie. Allie przecież wyjaśniła mu, że zabójcą był Larry. O, Boże!

Przypomniał sobie o małym notesie, który niegdyś był własnością panny Stanton i wyjął go szybkim ruchem z kieszeni. Otworzył drżącymi rękami tę małą, oprawną w skórę książeczkę i znowu począł przebiegać oczami dobrze znane pismo. A wtedy doznał jakby nagłego olśnienia.

Generał Lodge mówił wszakże, że po znalezieniu notesu w ręce Caseya odczytano nagłos tylko początek owego listu zza grobu. Allison Lee oraz inni słuchacze zatem powzięli pewno przekonanie na mocy jego pierwszych słów.

Neale odczytał teraz uważnie te pierwsze słowa.

— Nic dziwnego, że posądzono mnie o zabójstwo panny Stanton — zawołał. — Przecież ona oskarża mnie o to wyraźnie, chociaż nie wiedziała

zapewne, że stworzy takie pozory. A jednak... Nie!... Allie wszakże powiedziała im, że widziała sama, jak Larry zastrzelił tę kobietę... Cóż więc chciała wybaczyć mi Allie?

I nagle zatoczył się, jak pijany.

— O, Boże! Toż Allie wierzyła widocznie w to, co oni wszyscy przypuszczali, a czego ja, w mym zaślepieniu, nie postarałem się sprostować. Wierzyła, że ja byłem... że byłem... kochankiem panny Stanton.

Rozdział XXXIII

Dom, do którego przywieziono Allie, stał na krańcu Omaha nad brzegiem rzeki Missouri, wśród gąszczu lasu. i Allie całymi dniami przesiadywała teraz w zaciszu dąbrowy, patrząc na płynące u jej stóp, rozlane szeroko wody. Minęło kilka tygodni, a ona wciąż jeszcze nie mogła przyjść do siebie potkaniu z Nealem i równie nagłej rozłące. Wypoczęła wprawdzie nieco, dzięki poczuciu bezpieczeństwa, jakim napawał ją dom rodzicielski, a jednak przekonała się z czasem, że odzyskanie ojca stało się dla niej jedynie nowym źródłem goryczy.

Siostra Allisona Lee, starsza kobieta o raczej nieprzyjemnym charakterze, ustosunkowała się zupełnie wrogo do tej tak nieoczekiwanie odnalezionej bratanicy. Allie nie wzbudziła w niej żadnego cieplejszego uczucia. Sąsiedzi zaś i przyjaciele ojca tylko przez pewien czas darzyli ją sympatią, a potem poczęli unikać towarzystwa dziewczyny, dokoła której szerzyły się dziwaczne plotki. A ojciec również niedługo znajdował przyjemność w jej obecności. Ten wystygły i zgorzkniały człowiek wstydził się rozgłosu, jaki towarzyszył imieniu Allie i zmartwychwstałych wspomnień o hańbie, jaką okryła go niegdyś ucieczka żony z Hiszpanem-przybłędą. Z tej przyczyny więc nie mógł się zdobyć na pokochanie córki, Allie zaś wywzajemniała mu się podobną obojętnością, czując, że cała jej miłość należy do kogoś innego, kto pozostał na Dalekim Zachodzie. Była tylko posłuszna i obowiązkowa, lecz nie przywiązała się do ojca. A nastał wreszcie dzień, kiedy zrozumiała, że ojciec ten nie wierzy, aby córka jego mogła zachować cnotę podczas tyloletniego pobytu w osiedlach poszukiwaczy złota i koczowniczych obozach kolejowych. Było to dla niej ciosem bardzo dotkliwym, ale zniosła go mężnie, choć w sercu zachowała głęboką urazę. Niebawem zaś straciła dla ojca nawet szacunek, usłyszawszy, jak kilku mężczyzn oskarża go podniesionymi głosami o nieuczciwość w interesach.

W kilka dni później Allison Lee zwierzył się jej zmienionym głosem, że wskutek znacznych strat, jakie poniósł, grozi mu zupełna ruina, którą zażegnać mogłoby tylko otrzymanie przed pewnym terminem większej pożyczki.

Tego dnia Allie również zasiadła na urwistym wybrzeżu, śledząc oczami niespokojny pęd żółtawych fal rzeki Missouri. Żal jej było ojca, ale przecież pomóc mu nie mogła. Czuła zaś przy tym, że nie przejmuje się zbyt głęboko jego strapieniami, gdyż serce ma przepełnione własnym bólem.

Dzień był słoneczny i upalny. Nigdzie nie zaśpiewał żaden ptak. Tylko koniki polne terkotały rozgłośnie a jednostajnie i brzęczały krążące wśród leśnego kwiecia pszczoły.

Allie słuchała tych owadzich głosów, wpatrując się jednocześnie w skłębioną i mętną powierzchnię rzeki. Nie miała przecież nic do roboty, gdyż ciotka nie dopuszczała jej do zajęcia się domem. Mogła więc tylko rozpamiętywać przeszłość i cierpieć w milczeniu. Widok wielkiej rzeki koił nieco jej ból i rozpraszał smutne myśli. Allie spoglądała na spienione fale, dumając o swej beznadziejnej teraźniejszości i starając się bezskutecznie odgadnąć, co przyniesie jej przyszłość.

Głos służącej-murzynki wyrwał ją z zadumy.

— Ktoś obcy pragnie pomówić z panienką — rzekła czarna dziewczyna.

Allie spojrzała i wydało się jej, że widzi wysokiego mężczyznę, przybranego w strój z jelenich skór i dźwigającego na plecach ciężki wór. Byłżeby to sen lub nagłe obłąkanie? Zerwała się z ziemi, drżąc na całym ciele. Ale ten wysoki mężczyzna miał wszelkie pozory żywego człowieka. Poruszał się, a opalona skóra jego twarzy błyszczała w słońcu niby brąz. Zbliżył się niebawem, kładąc u stóp Allie swój ciężki worek, po czym przeszył ją przenikliwym wzrokiem.

— Dzień dobry, panno Allie! — rzekł.

Poznała głos Slingerlanda i wiedziała już, że nie jest ofiarą halucynacji, a jednak nie mogła się poruszyć ani odezwać. Po chwili zaś zachwiała się i byłaby zapewne upadła, gdyby nie pochwycił jej w objęcia. Wówczas dopiero uwierzyła, że nie śni. Poczuła przecież ostry zapach lasu, którym przepojony był jeleni kożuch trapera.

Serce biło jej w piersi niby młotem, a oczy napełniły się łzami.

— Co się dzieje z Nealem? — szepnęła drżącym głosem.

— Pracuje dużo i jest zdrów — odparł Slingerland. — On właśnie posłał mnie do pani — dodał szybko.

Długie rzęsy Allie opadły z wolna na policzki, a wargi jej nieco się rozchyliły.

— Och, jak to ładnie, że pan przyjechał — westchnęła, przyciskając głowę do piersi trapera. — Jakże się cieszę...

Slingerland pogładził ją po twarzy swą szorstką dłonią.

— Czemu więc moja panienka drży tak bardzo? — spytał z uśmiechem. Radość przecież objawia się zupełnie inaczej. I oczki ma panna Allie niewesołe.

— Bo czuję się taka nieszczęśliwa — zaszlochała w odpowiedzi.

— Rozumiem. Tak nagle rozłączono was przecież.

— Nie tylko o to mi chodzi — szepnęła.

Roniąc obficie łzy, opowiedziała mu o swym pożyciu w domu ojca, a stary traper, słuchając tego, szarpał brodę i zagryzał wargi.

— Nie mogło być inaczej — odezwał się wreszcie, gdy skończyła. — Ludzie ci bądź co bądź są dla pani obcy, a różne plotki musiały usposobić ich wrogo. Pozostając więc z całym szacunkiem dla pani ojca, powiem, że należałoby po prostu powrócić do mnie i do Neale'a.

— Czy... czy on polecił panu to powiedzieć? — wyszeptała z niepokojem.

— No... nie... Skądże znowu? — zawołał Slingerland.—

— A czy Neale pamięta jeszcze o mnie?

— Mój Boże! Usycha z tęsknoty za panią. Proszę mi wierzyć, że mówię zupełnie szczerą prawdę.

Usiedli oboje pod drzewem i Allie przytuliła się do starego trapera, czując, że musi w jakiśkolwiek sposób, dać wyraz ogarniającej ją szalonej radości.

— Przebaczyłam mu wszystko — szepnęła tak cichutko, jakby zwracała się wyłącznie do siebie. Slingerland miał jednak dobry słuch.

— Dobrze pani zrobiła — podchwycił szybko. — Choć tam Bogiem a prawdą, niewiele co było do przebaczenia.

Dziewczyna nic na to nie odpowiedziała i zdawało się, że nie śmie nawet podnieść oczu.

— Proszę wysłuchać mnie, panno Allie — zaczął Slingerland. — Ż chwilą, gdy pani opuściła Roaring City, Neale oddał się bardzo ciężkiej pracy. Z początku nosił wraz z robotnikami ciężkie podkłady kolejowe, a potem zajął się układaniem i spawaniem szyn. Z trudnością poznałem go, tak był zmieniony, a w ogóle zaledwie zdołałem odszukać tego biedaka. Mówili niektórzy, że pracuje, aby znaleźć zapomnienie, a inni przebąkiwali coś, że Neale pragnie śmierci. Nie zginął jednak i zyskał sobie tylko znaczny szacunek. Twierdzili bowiem wszyscy zgodnie, że tak pracować, jak on, umiał jedynie pewien Irlandczyk, nazwiskiem Casey.

Urwał na chwilę, aby zapalić fajkę, po czym ciągnął dalej.

— Tydzień temu, m niej więcej, spotkałem go znowu w pociągu, idącym do Roaring City. Mój Boże! I tym razem nie poznałem mojego Neale’a, bo był odmieniony zupełnie. Dobrze widać podziałała nań ta piekielna praca. Zmężniał ogromnie, rozrósł się, a oczy miał pełne blasku. — Czy może mi pan poświęcić kilka dni, panie Slingerland? — spytał. — Dlaczegóżby nie? — odpowiedziałem. — Ale o co panu właściwie chodzi? — Zwierzył mi się wówczas, że chce koniecznie odszukać to złoto, które stary Horn zakopał przy szlaku Świętego Wawrzyńca. Zgodziłem się, oczywiście, od razu, zapakowałem manatki i hajda w góry. Pamięta je pani zapewne, co? Nie trudziliśmy się wiele. Z łatwością odnaleźliśmy ukryte pod ziemią worki, zabraliśmy je, no i jazda z powrotem do Roaring City. Tutaj zaś Neale wsadził mnie na pociąg, prosząc, abym odwiózł ten skarb pani. Oto wszystko.

Allie przez pewien czas siedziała w milczeniu, spoglądając ze zdumieniem to na Slingerlanda, to na leżący u jej stóp ciężki wór. W reszcie zerwała się z ziemi, czując, że twarz jej zalewa fala krwi.

— Złoto! — zawołała pełnym wzruszenia głosem.— Złoto Horna? Ależ ono nie należy do mnie! Czy Neale posłał mi wszystko?

— Co do jednej uncji — oświadczył traper. — Pozwolę też sobie zauważyć, że cały ten skarb jest bezsprzeczną pani własnością. Pamiętam przecież dobrze, co powiedział w tej sprawie Horn.

— Ile tego może tu być? — zagadnęła Allie z iście kobiecą ciekawością.

Przypomniała sobie teraz rozmowy, jakie prowadził z nią Horn. Zawsze utyskiwał na brak krewnych. A zatem jego złoto rzeczywiście powinno należeć do niej.

— Ile? — odparł traper w zamyśleniu. — Czy ja wiem? Neale również nie miał pojęcia, gdyż nie posiadaliśmy pod ręką żadnej wagi. Proszę mi

jednak wierzyć, panno Allie, że w tym worku znajduje się wielkie bogactwo.

Dziewczyna spojrzała nań uważnie. W oczach jej widniał teraz prawdziwy niepokój.

— Czy Neale to tylko przysłał mi przez pana? — spytała półgłosem.

— Nie — rzekł traper. — Mam tu coś jeszcze.

Sięgnął do kieszeni swego jeleniego kożucha i, wyjąwszy stamtąd małą oprawną w skórę książeczkę, podał ją Allie, a miał przy tym dziwnie promienną twarz. Dziewczyna zaś wzięła do ręki notes i otworzyła go, nie rozumiejąc, czemu drżą jej palce. W krótce potem przeczytała wypisane atramentem na pierwszej stronicy nazwisko „Stanton" i krew poczęła szybciej krążyć jej w żyłach, a serce zabiło silniej, niż kiedykolwiek. Przebiegła oczami cały list od początku do końca i znowu powróciła do pierwszej kartki. W reszcie książeczka wypadła jej z rąk, a znużona nadmiarem wzruszeń główka spoczęła na twardej piersi trapera.

Slingerland pogładził ją znowu z iście rodzicielskim wzruszeniem.

— Nie trzeba się tak przejmować, panno Allie — rzekł łagodnie, zaglądając w pełne łez oczy dziewczyny. — Bogu trzeba dziękować, że...

Urwał zdumiony, gdyż Allie nagle objęła go mocno rękami i pocałowała wprost w usta.

— Cicho — powiedziała. — Nie mówmy już o tym więcej. Jadę z panem do Neale'a.

Stary traper odsapnął z widocznym zadowoleniem.

— Wiedziałem, że na tym musi się skończyć — rzekł, klepiąc dziewczynę po ramieniu.

— Ja też tak myślałam. A teraz proszę podzielić to złoto, panie Slingerland. Połowę mego skarbu chcę podarować ojcu.

Slingerland począł skwapliwie rozwiązywać worek.

— Niebawem odchodzi pociąg — zauważył. — Miałem wprawdzie zamiar pozostać tu przez cały dzień, sądzę jednak, że będzie lepiej, jeśli wyjedziemy wcześniej. Czy mamy uciec? — dodał, spoglądając na Allie spod oka. — Byłoby przyzwoiciej wyznać wszystko staremu Lee.

— Tak też postąpię. Ojciec przecież nie może mnie zatrzymać w domu, choćby chciał. Pocieszy się zresztą moim złotem, które uchroni go od ruiny.

Rozdział XXXIV

Zarówno inżynierowie jak i robotnicy Kolei Zjednoczonego Pacyfiku z prawdziwym zamiłowaniem pracowali nad wykończeniem olbrzymiego toru żelaznego.

Wrzało niby w ulu wszędzie, gdzie tylko zatrzymywały się robocze pociągi. Całe zastępy wyrzucały z wagonów szyny, konie i muły odwoziły je natychmiast na miejsce, a robotnicy w mgnieniu oka rozchwytywali te ciężkie sztaby i równie pośpiesznie spawali.

Przy takim tempie pracy pociągi robocze z każdym dniem posuwały się coraz dalej na zachód i niebawem już miały się spotkać z pociągami, zdążającymi w kierunku wschodnim. Jako miejsce owego spotkania wyznaczono Promontory Point i miano to przez czas dłuższy prawie nie schodziło z ust.

Nadszedł wreszcie ten upragniony przez wszystkich dzień. Z obu stron przybyły pociągi specjalne. Gubernator Kalifornii, będący zarazem prezesem zachodniej części Kolei Zjednoczonego Pacyfiku, zamienił uścisk dłoni z wiceprezydentem Stanów Zjednoczonych i dyrektorami wielkiego przedsiębiorstwa. Rząd reprezentowali oficerowie w pełnej gali oraz żołnierze, których obecność nadała tej uroczystej chwili prawdziwie wojskowy charakter. A sam Promontory Point stał się owego dnia istną Wieżą Babel. Zgromadzili się tu bowiem w znacznej liczbie mormoni z Utah, podczas gdy ze wschodu nadciągnęli Irlandczycy i Murzyni, a z zachodu Chińczycy i Meksykanie.

I ziściło się wreszcie połączenie obu części gigantycznego toru, a druty telegraficzne poniosły w świat wieść o owym radosnym zdarzeniu. Prezydentowi Stanów Zjednoczonych i ministrom posłano powinszowania, a w całym kraju odbyły się uroczyste obchody. Magistrat miasta San Francisco urządził wspaniałą uroczystość, którą uświetniły strzały armatnie i pochody członków przeróżnych stowarzyszeń. W Omaha również grzmiały armaty, a wszystkie zakłady i biura zawiesiły urzędowanie, aby dać swym pracownikom możność wzięcia udziału w świętowaniu radosnej chwili. W Chicago wszystkie domy przystrojono narodowymi chorągwiami i zielenią. Nowy Jork wiadomość o połączeniu wschodniego toru z zachodnim powitał setką wystrzałów armatnich, a w Filadelfii odezwał się słynny Dzwon Wolności.

Neale tego dnia wraz z innymi znajdował się w Promontory Point i, stojąc zdała od tłumu, przypatrywał się błyszczącymi oczami ceremonii wbijania w żelazne szyny ostatnich gwoździ. Od czasu do czasu zaś rozglądał się dokoła, badając nastrój zebranych. W postawie i wyrazie twarzy robotników wyczuwał spokój wypoczynku. Czas ich minął. Mogli odejść. Rozumieli to i zgadzali się z taką samą zimną krwią, z jaką

przyjmowali przedtem rozmaite przeciwności losu w postaci burzy, powodzi, czy też Siuksów.

Ci, którzy stali w miejscu połączenia szyn, rozstąpili się teraz, tworząc czworobok, w którym zjawiła się niebawem grupa inżynierów i wyfraczonych dostojników oraz dyrektorów. Zbliżała się chwila uroczystego poświęcenia nowego toru i Neale doznał nagle tak dziwnego uczucia, jakby znajdował się na grzbiecie powstającej z głębin morskich, a wznoszącej się powoli wzwyż fali. W śród inżynierów spostrzegł dawnych swych towarzyszy i coś mówiło mu, że za chwilę stanie się współuczestnikiem ich chwały. Chwila ta nadeszła wprędce. Ktoś ujął go pod ramię i zaprowadził na zaszczytne miejsce, a w krótce potem cały nieprzeliczony tłum ludzi pogrążył się w milczeniu, słuchając słów księdza, który począł odprawiać uroczyste modły.

Neale również słuchał ich w skupieniu, stojąc z obnażoną głową w pierwszym szeregu najzasłużeńszych wykonawców wielkiego dzieła, a kiedy przebrzmiały wreszcie, wówczas po raz drugi doznał tego samego, co przed chwilą, uczucia zachwycenia. Zdawało mu się przy tym, że spada z jego barków brzemię wszystkich trosk i nieszczęść, jakich doświadczył kiedykolwiek w życiu.

I nagle drgnął nerwowo, gdyż poczuł w swej ręce czyjąś maleńką, a rozkosznie ciepłą dłoń. W następnym momencie zaś zastygł i znieruchomiał, gdyż dotknięcie tej dłoni było mu dobrze znane. Tak. Nie potrzebował widzieć, aby wiedzieć, kto stoi obok niego. I ani na chwilę nie przemknęło mu przez głowę podejrzenie, że jest ofiarą złudzenia, wytworzonego przez rozgorączkowaną, chorobliwą wyobraźnię. Toż czuł przecież ciepło żywego ciała i słodką pieszczotę atłasowych palców i tętno krwi, dzwoniące mu rozkoszną obietnicą miłości Allie Lee.

Rozdział XXXV

Związek małżeński między Allie Lee a Nealem pobłogosławił ten sam ksiądz, którego modły towarzyszyły połączeniu obu części toru Kolei Zjednoczonego Pacyfiku. Slingerland brał w tej ceremonii udział jako drużba Neale'a, a czuł się uszczęśliwiony, jakby był co najmniej jego ojcem. Powinszowania młodej parze złożył cały sztab inżynierów z generałem Lodge'em na czele, co wbiło wielce w dumę starego trapera, który podczas uczty weselnej siedział na honorowym miejscu, słuchając ze wzruszeniem toastów wznoszonych na cześć oblubieńców i radując się nagłym szczęściem Neale'a oraz blaskiem ciemnobłękitnych oczu Allie.

A kiedy ruszył pociąg, uwożący nowo zaślubionych, Slingerland przez chwilę nic nie widział, bo wzrok mu przesłoniła dziwna mgła. W sercu jednak czuł lekkość, gdyż wszystkie jego modlitwy zostały wysłuchane i teraz już pragnął tylko powrócić do swych umiłowanych gór.

Pośpieszył też natychmiast do zagrody, w której czekały nań własne wozy, obładowane przeróżnym sprzętem łowieckim, którego ilość powinna mu była wystarczyć na wiele lat, przypuszczalnie nawet do końca życia. Poczynił tak znaczne zapasy, gdyż nie miał zamiaru powrócić do życia cywilizowanego, znienawidził je bowiem zupełnie.

Opuszczając Roaring City, nie obejrzał się za siebie ani razu, pragnąc zapomnieć jak najprędzej o tym upiornym mieście, co wysysało z ludzi krew i życie. Poganiał raźno swe woły, zmuszając je do szybszego biegu, a w duszy rozkoszował się wspomnieniami o szczęściu Neale'a, to znowu poddawał się smutkowi, co gryzł mu serce. Stracił przecież jednocześnie i przyjaciela, i Allie. Neale'a jeszcze mogli mu zastąpić koledzy-myśliwi, których dość było w górach. Któż jednak mógł zastąpić tę dziewczynę, co swym uśmiechem rozjaśniała niegdyś niby słoneczko jego ponurą sadybę w lesistej dolinie?

Poza tym stary traper niczego nie żałował i cieszył się bardzo, że po raz ostatni widzi osiedla, ludzi, a zwłaszcza kolej. Nienawidził głęboko tego błyszczącego, stalowego węża, który łączył Wschód z Zachodem i niósł zagładę dziewiczej pierwotności ziem, stanowiących odwieczną własność plemion czerwonoskórych Indian. Teraz wiadomo już było, że od iskier parowozu muszą prędzej czy później spłonąć nieprzebyte lasy, że pożary te wysuszą doszczętnie wodę bijących w dolinach kryształowych źródeł i że nowi przybysze wybiją do nogi zwierzynę w górach. Niedaleki był już zapewne dzień, kiedy padnie ostatni z dzikich bawołów, w ślad za nimi będą musieli zginąć Indianie, a zwierzęta futerkowe i polujący na nie traperzy również znikną z powierzchni ziemi.

Slingerland nienawidził kolei, bo zapatrywał się na nią inaczej zupełnie niż Neale i wszyscy ci inżynierowie, co z takim mozołem budowali żelazny

tor. Zbyt wiele przecież obcował z Indianami, nauczył się więc widzieć poprzez dal. Wzrok jego przebijał mgłę stuleci i granitowe ściany samotnych gór.

Stary traper uznawał wprawdzie doniosłość postępu, ale nic nie mogło zagasić gorejącej w jego sercu miłości dla przyrody, nieskalanej przez cywilizację. Wyobraźnia zaś rysowała mu przed oczami całą sieć stalowych szyn, oplątujących góry i stepy niby straszna pajęczyna. Jasnowidzące jego oczy widziały niezliczone osiedla, miasta i miasteczka, porastające w zamożność, a żerujące drapieżnie na resztkach bogactw leśnych i górskich dziś jeszcze tak wspaniałego w swym pierwotnym majestacie Zachodu.

Pierwszy obóz rozbił nad brzegiem potoku, toczącego bystre wody w zacisznej dolinie, odległej o całe dwadzieścia mil od kolei. Wszędzie tu widniały ślady Indian, lecz Slingerland nie potrzebował obawiać się czerwonoskórych. On przecież nigdy nie wyrządził im żadnej krzywdy. Tej nocy jednak, choć dokoła panowała uroczysta cisza, a na niebie iskrzyły się pogodne gwiazdy, czuł przecież jakiś dziwny niepokój.

Nazajutrz zaś puścił się w dalszą drogę i wreszcie dotarł do samego serca górzystego kraju i wtedy dopiero odetchnął z ulgą, bo tutaj nie było już ludzi. Cały ten obszar zachował jeszcze w pełni dawną swą dziewiczość. Jeleń, niedźwiedź i ryś władały nim niepodzielnie.

W ciągu wieloletnich swych wędrówek Slingerland nigdy nie napotkał tak bardzo dzikiego ustronia. Było aż nadto oczywiste, że stopa ludzka nigdy nie zbrukała zieleni tej cudnie samotnej doliny, w której pasły się stada zupełnie łaskawych danieli, ani tego szemrzącego ukojnie strumienia, co z brzegów swych pozwalał korzystać jedynie ciekawym, a wiecznie zapracowanym bobrom.

Tutaj więc wreszcie postanowił osiedlić się stary traper i zbudować sobie nową sadybę.

Rozdział XXXVI

Kilkudziesięciu wojowników z plemienia Siuksów cwałowało po krawędzi wyniosłego wzgórza, dominującego nad roztaczającą się u jego stóp płaszczyzną. W pewnej chwili zatrzymali się wszyscy, wskazując na coś wyciągniętymi ramionami. Wódz ich zeskoczył ze swego rumaka i stanął, wyniosły niby posąg, krzyżując ramiona na nagich piersiach. Głowę zdobił mu wspaniały pióropusz, brązowe ciało pokrywały liczne na wpół zasklepione blizny, pomarszczona twarz miała surowy i nieubłagany wyraz, a czarne oczy zdawały się miotać błyskawice.

Oczy te wpatrywały się w coś nieskończenie długiego, pełznącego w oddali, a pozostawiającego za sobą czarną smugę dymu. Były to wozy białych ludzi, które po żelaznym torze ciągnął straszliwy, ziejący żywym ogniem Stalowy Smok. Potwór ów przybywał ze Wschodu i nie wiedzieć po co dążył na Zachód. Patrzył nań wódz, patrzyli i jego wojownicy. Nie padło przy tym ani jedno słowo, nie podniosła się żadna dłoń i żadna twarz nie zmieniła wyrazu kamiennej obojętności.

Jakież były myśli wielkiego wodza i co się działo w jego duszy?

Przecież ten Smok Stalowy, sporządzony z drzewa i żelaza rękami ludzi białych, przybywał z kraju, w którym Wielki Duch umieścił siedzibę zmierzchu. Potwór ów pędził, plując iskrami i dymem, a ryczał niby demon wrogiego plemienia, niosąc zagładę polom łowów i zwiastując śmierć Indianom. Gładki tor Stalowego Smoka po wielekroć zbryzgała obficie krew. Wielu mężnych wojowników posnęło pod drzewami ostatnim snem, a bluzgający ogniem żelazny potwór przemknął po ich trupach i znów powrócił. Biali ludzie byli liczni niby liście w gęstym lesie. Walczyli i umierali wprawdzie, ale liczba ich nie zmniejszała się nigdy.

Stary był już wielki wódz i znał wszelką mądrość, jaką można było wyczytać z gwiazd i gór, z wiatru i przerażającej pustki stepów. Wiedział też, że biali ludzie umieją wydrzeć wszystkie skarby ziemi i wodom. Indianie byli stworzeni do polowania i do walk z wrogiem, a poza tym potrafili jedynie spoglądać w chmury i służyć swym bogom. Któż jednak mógł zwalczyć tych białych wrogów, co przychodzili niby szarańcza i gotowi byli rozsypać się po całej szerokości bezbrzeżnego stepu? Bawoły umkną przed nimi i nigdy już nie wrócą. Dla Indian zabraknie zwierzyny, a ich mustangi wyginą, pozbawione trawy, którą spali ognisty oddech Stalowego Smoka. Żaden wojownik nie znajdzie miejsca do postawienia bodajby najskromniejszego wigwamu. Biali najeźdźcy wymordują Siuksów lub wypędzą ich na pustynię, gdzie czyha śmierć.

O tym zapewne myślał wielki wódz, wpatrując się w pełznącego po stepie żelaznego potwora, który był dlań zwiastunem zagłady i zniszczenia.

KONIEC